

Weir Theresa

Długa księżycowa noc

Kiedy Nash Audubon - pozbawiony skrupułów reporter - wdziera się na przyjęcie, by zrobić wywiad z Sarą Ivy, spodziewa się rozmowy z kolejną, piękną wprawdzie, ale znudzoną i nieciekawą, żoną bogatego męża.

I oto w jego życiu rozpoczyna się ciąg niespodzianek. Sara nie jest bowiem typową kobietą z tak zwanego towarzystwa, ba, w tak zwanym towarzystwie nie ma dla niej miejsca. Zafascynowany Sarą Nash postanawia odkryć jej tajemnice.

Czy uda mu się ją zdobyć i ochronić przed katastrofą? Czy Sara zdobędzie się na odwagę i zdecyduje się na zakończenie maskarady, jaką jest jej małżeństwo?

Prolog

Springfield, Illinois, 1982

Przed budynkiem sądu, w tłumie, za barierką, stał mężczyzna. Potrącali go reporterzy, ale on nie zwracał na to uwagi. Nie odrywał wzroku od zamkniętych drzwi. Drzwi, które za moment się otworzą. Nie miał pojęcia, jak długo tak stał na marmurowych stopniach. Czas nie miał znaczenia.

Drzwi otworzyły się.

Mężczyzna na schodach przesunął się ostrożnie. Powoli, niespiesznie, tak aby nie ściągnąć na siebie uwagi. W pewnym momencie wysunął rewolwer spod płaszcza. Wycelował. Nacisnął spust. Siła wystrzału targnęła jego ramieniem. Ludzie zaczęli coś wołać, kobiety krzyczały.

Opuścił pistolet i czekał, aż go zaarrestują.

Więzienie stanowe, Joliet, Illinois

Zaczął skreślać dni w notesie. Ale bardzo szybko zrozumiał, że śledzenie upływającego czasu to tylko inny rodzaj niewoli. Piątego dnia po wyroku wyrzucił notes.

***Pamiętaj, synu, wiele dobrych historii zostało zmarnowanych
przez chęć dociekania prawdy.***

James Gordon Bennett

Rozdział pierwszy

Chicago; 1995

Starte opony zapiszczały na betonie, dźwięk odbił się echem po ścianach miejskiego garażu w Chicago. Nash Audubon wjechał na podjazd i zajął pierwsze wolne miejsce, jakie zobaczył. Zaparkował, wyjął klucz ze stacyjki, pchnął drzwi swojego Forda Fairlane rocznik 76.

Poszły zawiasy. Wszystkie rzeczy z samochodu wypadły.

Koszula, dżinsy, trampki, pudełko po Big Macu, kubek plastikowy.

Zebrał wszystko i wepchnął z powrotem, tym razem za siedzenie, chwycił aparat fotograficzny z półki i szybko zatrzaskał drzwi, zanim coś znowu mogłoby wypaść.

Z pewnością nie o to chodziło reklamom, które rozplývają się nad nowymi możliwościami percepcji świata zza szyb samochodu. Ale mieszkanie w samochodzie na pewno ułatwia życie, gdy nagle postanowisz gdzieś się przeprowadzić. Jaki inny facet może zasiąść wygodnie w fotelu, włożyć klucz do stacyjki i zabrać swój dom na przejażdżkę? Śwad spalonego oleju przypominał mu, że przed opuszczeniem garażu powinien dolać kolejny litr. Powiesił aparat na szyi i zarzucił kurtkę skórzaną na plecy.

Wiatr od jeziora rozwał jego długie włosy.

Przez ułamek sekundy poczuł to drżenie, które nazywał życiem. Zjawilo się nie wiadomo skąd, gdzieś głęboko w środku. Potem znikło tak szybko, jak się pojawiło. Jak kometa, jak spadająca gwiazda. Pozostawiło za sobą tylko jakieś nieokreślone, męczące poczucie, zbyt ulotne, żeby je można było uchwycić.

Ostami raz, powiedział do siebie. Takie uczucia nie pojawiały się już od dawna w jego życiu. Od bardzo dawna. I nigdy już się nie pojawiają.

Ruszył w kierunku pomarańczowej poświaty zachodzącego słońca, minął pokryte graffiti ściany i filary aż do drugiej kondygnacji. Gdy dotarł do Michigan Avenue, wiatr uderzył go prosto w twarz. Zimny, słodki wiatr.

Theresa Weir

I znowu. Cierpkie echo wczorajszego dnia. Strząsnął je z siebie i ruszył ulicą w kierunku hotelu „Renesans”. Godzina szczytu. Ludzie się spieszą. Owijają się szczelnie w swoje okrycia, aby nie dosięgnął ich lodowaty wiatr. Czasami ktoś spojrzał w jego kierunku, ale przeważnie każdy myślał tylko o swoich sprawach. To była jedna z tych rzeczy, za którą lubił miasto. Anonimowość. W mieście można być niewidzialnym. W mieście można zniknąć. Stojący pod czerwonym baldachimem, umieszczonym nad obrotowymi drzwiami hotelu, odźwierny w pelerynie spojrzał na niego podejrzliwie, ale nie próbował go zatrzymać.

Nash pchnął ręką ciężkie drzwi. Gumowe krawędzie skrzydeł drzwi tarły o ścianę. W środku winda właśnie się zamykała.

- Proszę przytrzymać drzwi! - zawołał Nash biegnąc. Ktoś nacisnął guzik i drzwi z powrotem się otworzyły.

Wślizgnął się do wewnątrz. Sprane dzinsy i wytarta skóra wśród wieczorowych sukni i smokingów. W powietrzu unosił się zapach drogich perfum.

Kątem oka uchwycił swoje odbicie w lustrze.

Pewnie powinienem poświęcić trochę więcej czasu na swój wygląd, pomyślał przeczesując włosy palcami, włosy, które od co najmniej dwóch miesięcy wymagały podcięcia. Może kiedy dotrą na górę, będzie mógł wstąpić do toalety i ogarnąć się trochę? Ludzie wpatrywali się w niego bez słowa.

- Prasa - usiłował wytłumaczyć swój sportowy strój.

- Z jakiej gazety? - pytanie padło z ust kobiety w długiej czarnej sukni z cekinami.

Zaczął przeszukiwać kieszenie koszuli, po czym wyciągnął jedną z wizytówek i podał jej.

- „Chicago Journal”.

Gdyby powiedział, że pracuje dla „Shoot the Moon”, zatrzymaliby windę i wyrzucili go na zbity pysk.

Przypomniawszy sobie o fałszywym identyfikatorze w kieszeni kurtki. Przypiął go do koszuli.

WALTER DEVLIN CHICAGO JOURNAL

Identyfikator tak naprawdę nie był fałszywy. Znalazł go w toalecie w John Hancock Building i zatrzymał na pamiątkę. Już nieraz okazał się przydany.

- Robię wywiad z Sarą Ivy - powiedział.

Kobieta uśmiechnęła się. Białe zęby. Zmysłowe usta. Krótkie, ciemne, lśniące włosy.

- Jeżeli mąż spuści ją z oczu na tak długą chwilę - powiedziała kobieta. - Są strasznie do siebie przywiązani. Naprawdę, jak para nowożeńców.

- Urocze - sucho skomentował Nash. Oboje uśmiechnęli się.

Wywiad nie był ważny. Mógł się bez niego obejść. To, co go naprawdę interesowało, to było zdjęcie Sary Ivy do kolumny życia towarzyskiego lokalnych znakomitości. Plotka głosiła, że ta oddana żona ma romans z Russellem Crayem, jednym z partnerów jej męża w interesach. Gdy mąż ubiega się o stanowisko radnego, romans jego połowicy jest nie lada atrakcją. Zadaniem Nasha było zrobienie zdjęcia Sarze Ivy razem z Crayem.

Winda zatrzymała się na piętnastym piętrze, gdzie mieścił się luksusowy apartament. Wszyscy wysiedli.

Nash nie musiał długo szukać toalety. Wszędzie dywany, kinkiety, miękkie w dotyku ręczniki, dezodoranty, wody kolońskie, maszynki do golenia...

Prawdziwa rozkosz...

Rozebrał się do dżinsów. Nagi do pasa, pochylił się nad owalną umywalką, namydlił twarz i szybko zgolił dwudniowy zarost. Umył zęby szczoteczką, którą zawsze miał przy sobie, a potem pachy. Wysuszył je ręcznikiem z wyhaftowanym monogramem. Rzucił ręcznik, spryskał się dezodorantem, zapach był całkiem do wytrzymania, zwilżył ręce i uporządkował włosy.

Sprawdził odbicie w lustrze. Może nie' miałby szans jako model, ale tu ujdzie.

Zapinał koszulę, gdy wszedł mężczyzna w smokingu. Nash spokojnie wsadzał koszulę do spodni, zarzucił na ramiona skórzaną kurtkę, chwycił aparat i skierował się na przyjęcie.

Zorientował się, że gdy odbywał swoją toaletę, zapadł wieczór. Podeszedł powoli do szklanej ściany i rzucił okiem na rozciągający się przed nim widok. Nic nie może się równać z widokiem Chicago nocą. Był to Wrigley Building.

Naprzeciwko modernistyczna bryła budynku „Chicago Tribune”.

Skierował wzrok na wschód, za Lake Shore Drive, na portowe moło. Światła jachtów rozsiane były po całym jeziorze. Majestatyczny widok przywiódł mu na myśl wspaniałych, ambitnych ludzi i ich wielkie aspiracje. Ludzi, którzy walczyli z przeciwnościami losu nie do pokonania i wygrali. Ludzi takich jak Frank Lloyd Wright i William LeBaron Jenney. Ludzie, którzy wstrząsnęli światem.

Dzięki Bogu, Nash nie zaprzętał sobie głowy takimi rojeniami i złudzeniami. Pozostawiał to innym.

Mówiono o nim, że jest cyniczny, ale to nie była prawda. Żeby być cynicznym, trzeba mieć w sobie nienawiść pełną namiętności. W nim nie było już takich emocji. Doszedł do granicy, przekroczył ją i zostawił daleko za sobą.

Theresa Weir

Był taki czas, gdy nienawiść płonęła w nim pełnym płomieniem, tak gorącym i pożerającym wszystko, że zniszczyła nawet jego. Teraz nic już z tego nie zostało. Po prostu egzystował, nic więcej. Każdy kolejny dzień podobny był do poprzedniego. Dzień za dniem. Wczoraj. Dzisiaj. Jutro. Wszystko tak samo. Potrzebował tej jednostajności. Nie mógłby żyć bez tej monotonii.

- Nie wyglądasz jak Walter.

Nash oderwał wzrok od świateł miasta i skupił je na czymś o wiele ciekawszym. Kobieta z windy. Lakierowanym paznokciem pukała w jego znaczek.

- Czyżby? Pokręciła głową.

- A jak twoim zdaniem wygląda Walter?

- Och... Wyobrażam go sobie w trzyczęściowym garniturze. Plus krawat w prążki.

Nash spojrzał na swoją kurtkę i spodnie, a potem znowu na kobietę.

- Jasne, krótkie włosy. Koło czterdziestki. Znała Waltera Devlina. Cholera. Uśmiechnął się. Ona również.

Była bystra. I piękna. Typ, który nie szuka czegoś ani kogoś na długo. Ktoś, kto byłby usatysfakcjonowany związkiem na jedną noc. Ktoś, kto być może właśnie szukał takiego związku...

- Czy zauważyłaś, że jest coraz więcej ludzi o tym samym nazwisku? -zapytał. - Zwykle dotyczyło to głównie kobiet, ale teraz już tak nie jest.

- Myślę, że jest to kwestia ruchu wyzwolenia mężczyzn - zareplikowała bez wahania.

Roześmiał się.

- Znam faceta z Południowej Dzielnicy, który może załatwić ci legalną zmianę nazwiska za dwieście dolarów.

- Więc możesz tam pójść i zmienić swoje personalia na Walter Devlin?

- Dobry pomysł. Rozejrzała się po pokoju.

- Tam jest Sara Ivy. Możesz mieć swój wywiad, kiedy tylko chcesz. -Uniosła brodę i wskazała grupę ludzi. - Ma na sobie białą suknię. Nie sposób jej nie zauważyć. To ta, która wygląda jak księżniczka albo anioł. W każdym razie coś w tym rodzaju.

Podła mu wizytówkę, którą dostała od niego.

- Moje prawdziwe nazwisko i telefon są po drugiej stronie - powiedziała. Po czym uśmiechnęła się i odeszła.

Odwrócił kartę. Mary Jane Francis.

DŁUGA KSIĘŻYCOWA NOC

Wsunął wizytówkę do kieszeni koszuli i przez moment miał zamiar zapomnieć o tym wszystkim, co spowodowało go tutaj. Kusilo go, aby podążyć za tymi kołyszącymi się biodrami.

Ale wtedy rzucił okiem w tamten kąt pokoju. Tłum przesunął się i tym razem odsłonił mu Sarę Ivy w pełnej krasie. Nie było w niej nic, czego mógłby się spodziewać po żonie kogoś tak marnego jak Donovan Ivy. Była piękna. Nie jak Marilyn Monroe, bogini seksu, ale Audrey Hepburn albo Joanna d'Arc, nieziemska piękność.

Wyglądała na nieco zagubioną, zdecydowanie nie pasowała do otoczenia. Miała na sobie obcisłą białą suknię, która okrywała ją od kostek po szyję. Włosy ciemne, prawie czarne, proste i lśniące, spływały na ramiona. Kilka krótkich, prostych kosmyków nad czołem nadawało jej jeszcze delikatniejszy wygląd.

Nash nie zastanawiając się ani chwili ruszył przez tłum, aż stanął obok niej.

- Pani Ivy - powiedział próbując zwrócić jej uwagę. - Stawiłem się na umówiony wywiad.

Odwróciła głowę w jego kierunku. W jej twarzy najważniejsze były ogromne, jakby nawet za duże, oczy niezwyklego koloru. Przyminały szarość mgły.

Wydawało mu się, że ziemia zadrżała pod stopami.

- Wywiad? - zapytała marszcząc brwi.

- W zeszłym tygodniu rozmawialiśmy przez telefon - powiedział, czując przelotne ukłucie jakiejś nieznannej emocji. Winy? W każdym razie coś w tym rodzaju.

Kontrasty - to był pomysł jego szefa. Drukowali poważne artykuły na temat polityki i gospodarki obok idiotycznych, wyssanych z palca historyjek. Opowiadania o UFO i plotki o słynnych ludziach, ludziach, którzy muszą być eksponowani. Którzy powinni być... no cóż, nawet trochę zranieni. Szef zwykł mawiać, że to jest celem dobrego brukowca. Kwestia ambicji. Coś naprawdę ważnego.

Nash miał w nosie wyższe cele, ambicje. Nie dbał o nic. Kiedy szef prosił go o materiał, robił go. Po prostu.

Jedyna rzecz, której był teraz pewien, to to, że ta kobieta o jasnej cerze i z rwdkrążonymi oczami nie wygląda na taką, która byłaby w stanie nawet ustać na silnym wietrze.

- Jestem z „Chicago Journal”. Przygotowuję materiał o pani aukcji w tym tygodniu.

- Aha - sprawiała wrażenie nieobecnej.

Był pewien, że próbuje sobie przypomnieć rozmowę, która nigdy nie miała miejsca, i znów poczuł to przelotne poczucie winy. Ale starał się je od siebie odsunąć.

Theresa Weir

Co się z nim dzieje? Od ponad dwóch lat zrobił setki takich artykułów, setki zdjęć, i jak do tej pory nie żałował tego. Nie zapominaj, że ta kobieta jest żoną jednego z najbardziej skorumpowanych ludzi w Chicago, pomyślał. Na pewno nie jest taka niewinna, na jaką wygląda.

- Tak, oczywiście. Wywiad - powiedziała i uniosła delikatną, drobną dłoń. Rękaw jej sukni ześlizgnął się nieco, odsłaniając jasną skórę aż do łokcia.

W pokoju było dość ciepło, ale ona wyglądała, jakby była zimna i krucha, jak z porcelany. Przez chwilę miał szaleńczą chęć, aby otulić ją ciepłym pledem i zabrać stąd w jakieś bezpieczne miejsce.

- Może moglibyśmy... - zaczęła, ale zanim skończyła, mężczyzna w smokingu ujął ją pod ramię.

Donovan Ivy.

Nash nie mógł zrozumieć, co kobiety widziały w tym facecie. Oczywiście, był wysoki i dobrze zbudowany, ale mięsły nie wyglądały naturalnie. Zmienił swoje ciało w coś dziwnego. Gdzieś w tych mięśniach czał się cień zwyrodnienia, co nadawało mu w rezultacie charakter jakiegoś monstrum, czegoś, czego człowiek brzydziłby się dotknąć gołymi rękoma.

- Pozwól, kochanie - powiedział Ivy do żony. - Jest tu ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić.

Jej twarz nic nie wyrażała. W jednej chwili Nash był tutaj, rozmawiał z nią, w następnej - nie istniał. Typowy bogaty babsztyl.

- Pani Ivy... - Nash próbował odzyskać jej uwagę.

Z pewnością to słyszała, ale po prostu zignorowała go. A nawet więcej. Patrzyła, jakby go nie było, przez niego. Nie istniał. Nie był godny nawet uwagi, nawet zdawkowego: „Przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać”.

Kiedyś taki rażący afront doprowadziłby go do szału. Dziś - wzruszył tylko ramionami, wziął aparat, spojrzął przez okular, wykadrował państwa Ivy. Szef chciał materiał, to go będzie miał.

Używał filmu 400 ASA. Mógł użyć 1600 i robić niezłe zdjęcia nie przyciągając uwagi ludzi fleszem. Wszystko jedno, idealne zdjęcie nie musi być zawsze najlepsze. Lekko zamazane kontury nikomu nie zaszkodzą.

Nacisnął spust migawki. Dobrze. Miał zdjęcie Sary Ivy. Teraz należy w tym tłumie znaleźć Craya.

*Kiedy był miody, został kopnięty w głowę przez konia,
a teraz wierzy we wszystko, co piszą niedzielne gazety.*

George Ade

Rozdział drugi

Sara Ivy unosiła właśnie filiżankę z kawą do ust, kiedy Donovan rzucił gazetę na stół. Podskoczyła, oblewając się kawą. - O co ci znów chodzi?!

Strząsając gorący płyn z dłoni, spojrzała na gazetę. „Shoot the Moon”, lokalny brukowiec. Najgorsza szmata ze wszystkich możliwych. Na pierwszej stronie znajdowało się jej zdjęcie w sukni, którą miała na sobie poprzedniego wieczora na przyjęciu. Natomiast mężczyzną stojącym obok niej, ujmującym ją pod ramię, nie był Donovan, ale Cray. Podpis pod zdjęciem głosił: „Zona biznesmena, a zarazem początkującego polityka, odmówiła wywiadu. Czyżby miała coś do ukrycia?”

- Co robiłaś wczoraj z Crayem?

Donovan panował nad sobą, ale Sara wiedziała, że to nic nie oznacza.

- Nawet go nie widziałam - powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał pewnie. - To musi być jakiś fotomontaż.

- Zajrzyj do środka.

Nie zamierzała nawet tego dotykać, nie zamierzała dać się sprowokować.

- Wierzysz w to, co czytasz w takich szmatławcach jak ten? Donovan podniósł gazetę, niecierpliwie przerzucił kilka stron, aż wreszcie otworzył na właściwej, złożył i rzucił przed nią na stół.

W środku było drugie zdjęcie, na którym dwoje ludzi obejmowało się w namiętym uścisku. Twarzy nie było widać. To mógł być naprawdę każdy.

Pod zdjęciem umieszczono wierszyk:

Rozę czerwone są

A fioletowe bzy

Mężuś do biura mknie

Żonusia nudzi się.

Theresa Weir

Nie padło ani jedno nazwisko, ale jasno dano do zrozumienia, o kogo chodzi. Ale dlaczego?

Przypomniała sobie mężczyznę, który podszedł do niej na przyjęciu. Mężczyzna, który twierdził, że rozmawiał z nią przez telefon tydzień temu i umówił się na wywiad. Ta rozmowa telefoniczna, której nie mogła sobie przypomnieć. Teraz zrozumiała, że było to kłamstwo.

Już dawno powinna była przyzwycząć się do kłamstw, do okrucieństwa, ale ciągle ją to bolało, było dla niej szokiem, a zwłaszcza taka żywa niechęć ze strony kompletnie obcego człowieka.

Był przystojny, barczysty. Zauważyła go na długo przedtem, zanim podszedł do niej. Po pierwsze dlatego, że nie wyglądał tak jak wszyscy, po drugie ponieważ... - tak naprawdę sama nie wiedziała dlaczego. Gdy się zbliżył, szybko odwróciła głowę. Instynktownie czuła, że ich oczy nie powinny się spotkać. Rozmawiał z nią. Był miły. Jego zachowaniu nie można nic zarzucić, było dokładnie takie jak należy i wtedy...

Te szczerze, niebieskie oczy, tak niezależne i zdradzające duszę prawdziwie wolną. Wydał się jej atrakcyjny, w ten pociągający i niebezpieczny sposób, wobec którego natychmiast przybrała postawę obronną. Kiedyś Donovan też wydawał się jej atrakcyjny.

Stała przed oczami reakcja tego mężczyzny, gdy został zignorowany, ten błysk w oku. Przez ułamek sekundy zdawało się, że zaraz wybuchnie, ale po chwili po prostu uspokoił się. Gniew ustąpił miejsca uprzejmemu znudzeniu albo biernej akceptacji. Odmawiając wywiadu, zrobiła mu przysługę. Donovan nie lubił, gdy rozmawiała z innymi mężczyznami.

- Czy masz romans z Crayem? - zapytał Donovan.

Pytanie świadczyło o głębokim przekonaniu, że artykuł w gazecie nie powinien być dla niej zaskoczeniem.

Przyzwyczajona była do jego podejrzeń, urojeń, paranoi. Grała na zwłokę, zastanawiając się jednocześnie, co mogłoby go ułagodzić.

- Czy co mam?

- Wiesz dobrze co. Czy sypiasz z Russellem?

Chrypiał, wyczuwała w jego głosie rosnące napięcie. Czekał na odpowiedź, pochylił się do przodu opierając się rękoma na stole, jego twarz nabiegła krwią. Miał na sobie jeden ze swych dobrze skrojonych garniturów. Czarne włosy jeszcze mokre spod prysznic, zaczesane do tyłu. Czuła zapach drogiej, duszącej wody kolońskiej.

Często słyszała, jak inne kobiety mówiły: „Taki dżentelmen! Masz napra-

wdę szczęście". Po czym następowały porozumiewawcze uśmiechy: „Założę się, że jest świetny w łóżku”. „Da się wytrzymać...” Myśli, jedna za drugą, przelatowały jej przez głowę. Powinna była się ubrać. Dlaczego tego nie zrobiła? Czuła się bardziej bezbronna ubrana tylko w koszulę i szlafrok.

Myślała o tysiącach rzeczy, które mogłaby powiedzieć na swoją obronę. „Jak mogłabym mieć romans? Przecież prawie nigdy nie jestem sama”. Albo: „Z nikim nie mam ochoty na fizyczny związek. Po tobie myśl o seksie przyprawia mnie o mdłości”.

- Tak czy nie? - ryknął tracąc panowanie nad sobą.

- Nie!

Zbliżał się atak szaleństwa. Widziała to w jego oczach. Serce waliło jej jak oszalałe. Oddech miała urywany, płytki. Wstała. Zrobiła krok.

Kiedyś gdzieś w środku słyszała głos, który dodawał jej otuchy, wspierał ją, pchał do przodu i podtrzymywał na duchu, który jej mówił, że pewnego dnia wszystko się zmieni. - Teraz prawie już go nie słyszała. Przez lata nauczyła się nie myśleć. Wcale. O niczym.

Donovan podniósł rękę i uderzył ją w głowę. Cofając się, potknęła się i upadła na blat Krzyknęła. Kolejna słabość. Nie znosiła tego, że okazuje strach. Ale przedtem nie miała wiele okazji, żeby doświadczyć prawdziwego cierpienia. Jako dziecko nie była w stanie znieść jakiegokolwiek bólu. W rodzinie wręcz żartowano sobie z tego. Nawet taka błahostka jak skaleczony palec czy drzazga przemieniała ją w zabeczaną idiotkę. Nienawidziła się za to. I za wiele innych rzeczy.

Przed Donovanem nikt nie podniósł na nią ręki. Nigdy nie poznała prawdziwego bólu. Przez te wszystkie lata była naprawdę beksą. Powodem rozpaczki były zwykle popsute zabawki i drzazgi w palcu.

- Tylko nie złam znowu ręki - ostrzegł Donovan.

Jeszcze dzwoniło jej w uszach od uderzenia, ale wyprostowała się, zacisnęła usta i tylko skinęła głową. Nie zamierza. Kiedy ostatnim razem tak się stało, przez trzy dni nie puścił jej do lekarza. Nie zrosło się dobrze i teraz, gdy była wilgoć, czuła ból w kościach.

- Zdajesz sobie sprawę, co ludzie pomyślą, gdy to zobaczą?

Chwycił gazetę i zaczął ją nerwowo zwijać, aż zmienił ją w rulon, którym można zbić psa. Albo człowieka.

- Pomyślą, że ja cię nie zadowalam i że musisz szukać gdzie indziej, że nie potrafię zaspokoić swojej kobiety w łóżku. Uderzył gazetą o kant stołu.

Theresa Weir

Sara cofnęła się odruchowo. Uderzył po raz drugi. I znów. Za każdym razem cofała się.

- To nieprawda? - zapytał.

Potrząsnęła głową, pogardzając sobą za to, że nie potrafi stawić mu czoła. Ale przedtem buntowała się i teraz dobrze wiedziała, czym to grozi.

Odwróciła się. Mimo że wiedziała, iż to nie najlepszy pomysł, rzuciła się do ucieczki.

Udało jej się zrobić zaledwie kilka kroków, gdy złapał ją i rzucił na podłogę.

- Nigdy nie uciekaj ode mnie!

Jego głos był niski, zęby zaciśnięte z wściekłości. Uderzył ją w twarz, nie tak mocno, jakby mógł. Być może z powodu zbliżającej się aukcji, na której obydwójce mieli być gospodarzami. Niezbyt dobrze byłoby pokazać się z posiniaczoną żoną

Zdjął marynarkę i rzucił za siebie. Potem rozpiął spodnie i padł na nią. Był cięższy od niej o jakieś pięćdziesiąt kilo. Nigdy nie była dla niego partnerką. Nie tylko do walki, ale i pod żadnym innym względem. Kiedyś, przed laty, podrapała go po twarzy. Już nigdy tego nie zrobi.

Kilka minut później wziął ją przemocą. Ból.

Pochrzakując wykonywał jednostajne ruchy, gdy ona myślami starała się znaleźć gdzie indziej, gdzieś daleko stąd.

Farma jej ojca. Jakże jej nie znosiła! Jak bardzo chciałby się tam znów znaleźć...

Gdy skończył, chwycił ją za włosy i szarpnął, przyciągnął jej głowę blisko swojej twarzy, zaledwie kilka centymetrów, tak żeby mógł patrzeć jej prosto w oczy.

- Pytam po raz ostatni: czy masz romans? - znów się odezwał,, będąc jeszcze w niej.

Nie mogła wykrztusić słowa. Była zbyt przerażona, czuła się poniżona i upokorzona.

Szarpnął mocniej. Jej oczy napełniły się łzami.

- Nie! - krzyknęła.

- Bo jeśli tak, dowiem się o tym i zabiję was oboje. Mogła być tego pewna.

- Słyszysz mnie? Skinęła głową.

Tak, dobrze go słyszała.

Tak, wierzyła, że naprawdę to zrobi.

Kiedy ją wreszcie zostawił, długo stała pod prysznicem, ale nie mogła zmyć śladów Donovan'a ze swojego obolałego ciała.

Gdy tylko znalazła się w ciepłej wodzie, starała się nie myśleć o tym, co się stało, i o tym, jak wiele razy miało to miejsce, ani o tym, ile jeszcze razy to się stanie, ale nie mogła. **Jej** obecne życie wypełniał strach przed mężem. Na nic innego po prostu nie było już miejsca...

Ktoś, patrząc na to z boku, nie mógłby pewnie pojąć, w jaki sposób można się znaleźć w takiej sytuacji. Dlaczego nie stara się z tego wyrwać, uwolnić. Ale to nie było takie proste.

Jako dziecko, żyjąc w typowo wiejskiej społeczności Sigourney, w stanie Wisconsin, odznaczała się wyjątkową nieśmiałością. Ta nieśmiałość była prawdziwym przekleństwem. Nieśmiałość powoduje odgrodzenie się od wszystkiego, co nas otacza. Ludzie nieśmiali patrzą do wewnątrz, a nie na zewnątrz. Tak bardzo rozpamiętują swoje własne niepowodzenia, że bardzo często nie potrafią oceniać otaczających ich ludzi ani świata.

Sara była tak zamknięta w sobie, że nie przyjrzała się dobrze Donovanowi.

Jej rodzice nigdy nie mogli pojąć, skąd wzięte się ta nieśmiałość. Nikt inny w rodzinie nie był aż tak melancholijny. W porównaniu z nią ojciec wydawał się wręcz hałaśliwy. Matka i siostra natomiast uwielbiały towarzystwo i wśród ludzi czuły się jak ryby w wodzie. Sara jednak była odludkiem i dziwaczką, co stanowiło nieustający powód zmartwienia matki. Kłopoty sprawiał również jej wygląd. W opinii otoczenia ładna dziewczyna powinna mieć blond włosy, opaloną twarz, być dobrze zbudowana. Dziewczyną o której chłopcy mówiliby - grzeje w zimie, daje cień latem. Czasami Sara słyszała, jak kobiety komentują jej brak urody, bladość, prawie przezroczystość cery i ciemne smugi pod zbyt dużymi, zbyt głęboko osadzonymi oczami. W szkole, w klasie pani Austin, często siadała pod portretem Anny Frank w gazetce szkolnej i długo się weń wpatrywała. Myślała wtedy: to ja, to moje oczy. Nie spełniając obowiązujących kanonów urody i wdzięku była ciągle samotna. **Jej** ojcu zdawało się to nie przeszkadzać, choć czasami nazywał ją „Jaczauaem”. Sara dodałaby „brzydkim”... Kiedy inne dziewczęta chodziły na zakupy i do szkoły tańca, towarzyszem Sary został Franklin Hart Z czułością mierzwił włosy swojej młodszej córki i prosił ją o pomoc w codziennych obowiązkach.

Zamiast biegać na randki, Sara znajdowała radość w tworzeniu. Godzinami potrafiła siedzieć pochylona nad szkicownikiem. Z czasem pokochała delikatność akwareli, dokładność, wyrazistość ołówka i atramentu.

Akwarelami malowała pejzaże, pola falującego zboża pod błękitnym niebem. Ołówkiem i atramentem rysowała ludzi. To były cudowne, szczęśliwe czasy. Dni nie zmaconego niczym szczęścia.

Theresa Weir

Ale wszystko ma swój koniec. Umarła matka. Sara skończyła szkołę i wyprowadziła się. Niedaleko, do szkoły plastycznej. I tam spotkała Donovana...

Pewnego wieczora, wbrew swej woli, znalazła się na żeńskim przyjęciu, zorganizowanym przez członkinie koła studenckiego. Zauważyła go od razu. Jego wstrząsająco przystojna twarz przyciągała uwagę; miał w sobie coś takiego, że nie sposób było go nie zauważyć. Kątem oka dostrzegła, jak kilka razy spoglądał w jej kierunku. Szybko odwracała głowę, sądząc, że gdyby napotkał jej wzrok, mógłby pomyśleć, że jest zuchwałą. Uważała, że nie jest godna tego, żeby obdarzył ją choć spojrzeniem. Chwilę później uświadomiła sobie, że stoi obok niej i mówi. Do niej? Z pewnością nie. Głos był niski i dźwięczny. Jego brzmienia nie mogła porównać z niczym, co słyszała do tej pory. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Nie było nikogo. Obróciła się znowu.

Poruszał ustami. Uśmiechał się do niej. Sarze wydawało się, że bicie jej serca słychać mimo głośnej muzyki. Dłonie zaczęły jej się pocić. Zerknęła w kierunku drzwi. Nerwowo rozejrzała się po pokoju. A potem znów popatrzyła na niego. Ciągle się do niej uśmiechał, ale w tym uśmiechu było pytanie, jakby właśnie o coś zapytał i teraz czekał na odpowiedź. Może chciał wiedzieć, gdzie jest łazienka? A może chciał zadzwonić? Może po prostu kogoś szukał? Kogoś pięknie opalonego z włosami blond. Wpatrywała się w niego z nadzieją, że zdoła domyślić się tego pytania. Jej spojrzenie błędziło po pięknej męskiej twarzy, z doskonale sklepionym czołem i szlachetnym nosem, idealnie wykrojonymi ustami. Rumieniec oblał jej policzki. Naprawdę, był to najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała. Te doskonałe usta zapytały:

- Zatańczysz?

- Zatańczyć? - powtórzyła pytanie. O co mu chodzi?

- Taniec - powiedział jeszcze raz. - Czy zechciałabyś ze mną zatańczyć? - Mówiąc to, wskazał na nią, a potem na siebie.

Chciał zatańczyć? Z nią?!

Naprawdę pytał, czy miałaby ochotę wyjść z tego kąta, stanąć na środku sali i kręcić się bez sensu? Z nim? Ależ ona nie tańczy! To była jedna z tych upokarzających rzeczy, w które nigdy nie zamierzała się angażować publicznie. Nie jeździła na nartach ani na łyżwach. Nie rozmawiała z większą liczbą osób niż dwie. Nie śpiewała. W kościele ruszała tylko ustami.

Nie tańczyła.

Wziął ją za rękę. Jego palce były delikatne i ciepłe, intrygujące jak cała jego osoba.

Pociągnął ją w tłum, aż znaleźli się na parkiecie i stanęli naprzeciw siebie.

- Ale ja nie umiem tańczyć - wyszeptała trzęsącym się głosem, mając nadzieję, że ją usłyszy mimo grającej muzyki.

Co najdziwniejsze nie czuła się zmieszana. Była zbyt oszołomiona, żeby czuć cokolwiek.

Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. I znów poczuła delikatność jego dłoni, tak różnych od popękanych i stwardniałych rak ojca.

- Postaw swoje stopy na moich - poinstruował.

Spojrzała w dół na brązowe zamszowe buty z cieniutkimi sznurowadłami. Jedną ręką objął ją w pól i przyciągnął bliżej siebie.

W życiu są ci, co prowadzą, i ci, co podążają za nimi. I tacy jak Sara, którzy obserwują jednych i drugich. Ale teraz właśnie Sara zdała sobie sprawę, że uczestniczy w czymś, daje się prowadzić. Postawiła jedną stopę, potem drugą.

Muzyka nie była ani za szybka, ani za wolna. Pulsowała. A Sara razem z nią Ich ciała ściśle przylegały do siebie.

Czuła jego umięśnione uda, mocny tors i silne ramiona.

- Jak ci na imię? - wyszeptał.

- Sara.

Odpowiedziała jak zahipnotyzowana, usiłując zdać sobie sprawę z tego, co ten piękny mężczyzna z nią robi. Musi przygotować się na ten moment, kiedy taniec wreszcie się skończy, on odejdzie, a ona nigdy go już nie zobaczy. Nie była pewna, czy zdoła to znieść.

- Czy spotkasz się ze mną Saro? Jutro?

Na pewno nie przyjdzie. Powtarzała sobie, że na pewno nie przyjdzie, ale tak czy tak postanowiła się przygotować.

Po prostu na wszelki wypadek. Zaczęła godzinę wcześniej, przebierając się kilkakrotnie. Nigdy nie przykładła większej wagi do ubrania, zwykle bardziej zwracała uwagę na wygodę niż na modę. Teraz czuła, że nie ma się w co ubrać. Nic nie było odpowiednie na spokanie z Donovanem Ivym. Przyszedł.

Przyjechał punktualnie swoim wspaniałym samochodem, ubrany w rzeczy z najlepszych magazynów, co sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej zaniedbana i nie na miejscu. Zabrał ją do wykwintnej restauracji, gdzie elegancki kelner zaprowadził ich do stolika. Była tam i karta win, i świece, i serwetki z płótna.

Czuła się jak kłębek nerwów ze ściśniętym żołądkiem. Nie wyobrażała sobie, by mogła zjeść cokolwiek, a co dopiero rozmawiać z nim.

Theresa Weir

Może łyk wody jej pomoże? Podniosła szklanę do ust i uderzyła o zęby. Odstawiła szklanę. Zamówił wino. Nigdy nie piła, ale gdy tylko nalano wina, chwyciła kieliszek. Jednym haustem opróżniła go, a zaraz potem następny. Poczula, że ogarnia ją wreszcie spokój. Donovan mówił o sobie, a ona chciała słuchać wszystkiego, co miał do powiedzenia. Mieszkał na przedmieściach Chicago, ale zamierzał przenieść się do centrum, może nawet do domu w dzielnicy Gold Coast. Do Wisconsin pizyjechał na ślub kogoś z rodziny. Dowiedziała się, że pochodzi z zamożnej rodziny. Jego rodzice nalegali, aby ukończył college, ale szkoła go raczej nudziła. To nie było odpowiednie wyzwanie dla niego. Tak więc rzucił szkołę. Pochylił się nad stołem.

- Swój pierwszy milion zarobiłem po czterech latach od rzucenia szkoły. Sarę nigdy zbyt nie interesowały pieniądze, ale fakt, że osiągnął tak wiele w tak krótkim czasie, a w dodatku bez specjalnego wykształcenia, był niezwykły. Powiedziała mu to. A więc dostał to, czego chciał. Podziw.

W swojej nieśmiałości, w swoim ślepym zauroczeniu, nie dostrzegała znaków ostrzegawczych. A przecież pojawiały się. Po prostu nie zdawała sobie z nich sprawy. A może nie chciała zdawać sobie z nich sprawy...

Sara była prawdziwą marzycielką. Taką romantyczną idealistką Większość czasu spędzała nad książkami, gdzie wszystko kończy się prawdziwą, szczęśliwą miłością na zawsze. Czegóż innego mogłaby oczekiwać?

Miesiąc później Donovan oświadczył się jej.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że za niego wyjdiesz? - powiedział ojciec, gdy oznajmiła mu o propozycji Donovana. - Przecież nic nie wiesz o tym człowieku!

-.Wiem!

- On nie jest taki jak my.

- Rozumiem to dobrze.

Spojrzała na ojca w farmerkach i flanelowej koszuli. Wstydziła się jego stroju przed Donovanem.

Mogła powiedzieć ojcu, że kocha Donovana, a on ją, ale w jej rodzinie nie rozmawiało się o takich rzeczach jak miłość. Franklin Hart zacisnął zęby i postanowił być nieugięty.

- Nie możesz wyjść za niego. Ja na to nie pozwalam.

Zakaz? Czyżbyśmy żyli w ciemnym średniowieczu? Przecież miała już dwadzieścia dwa lata.

Ojciec Sary był zawsze przekonany, że córka poślubi miejscowego chłopca, a potem przejmą po nim farmę. Nie podlegało to nawet dyskusji. Nikt nigdy nie zapytał jej, czego ona chce.

- To może być dla ciebie niespodzianką - powiedziała - ale celem mojego życia nie jest spełnianie twoich marzeń, powtarzanie twojego stylu życia.

Chciał odebrać jej jedyną szansę na szczęście. Dobrze wiedziała, że jeżeli teraz nie ruszy w świat, może już nigdy nie będzie miała takiej możliwości.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, czego ja chcę? - zapytała. - No cóż, mogę ci powiedzieć, czego nie chcę. Nie chcę spędzić całego życia grzebiąc w ziemi, w miejscu, gdzie każdy kolejny dzień w niczym nie różni się od poprzedniego, gdzie każdy mijający rok nie różni się od nadchodzącego, gdzie się nic nie zmienia, bo po prostu nic się nie dzieje. Nie chcę zostać żoną farmera i zestarzeć się! Twarz ojca pociemniała.

- Nie mów do mnie w ten sposób!

- Mówię to, co czuję! Co jest w tym takiego przerażającego?

Widząc jego reakcję zrozumiała, że wszystko na nic. Był tek przywiązany do tradycji, że nigdy nie będzie w stanie spojrzeć na to z jej punktu widzenia. Wręcz nie chciał zrozumieć jej aspiracji. Dla niego była jedna odpowiedź, jedno rozwiązanie, jeden sposób na życie - jego własny.

Kiedyś Sara zapytała, dlaczego składa snopki siana w ustalonym porządku, zanim wrzuci je do stodoły.

Odpowiedział po prostu, że jego ojciec i dziadek tak właśnie robili, więc widocznie tak być^owinno. Koniec dyskusji. Jak można z czymś takim walczyć?

- Zamierzam poślubić Donovaną - powiedziała.

Trzęsąc się dłonią wskazał jej drzwi. Nagle poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Ojciec starzeje się. Kiedy to się stało? Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej?

- Dobrze, wyjdź za swojego bogatego chłopaka. Zamieszkać w mieście. Ale gdy raz przekroczysz próg tego domu, nigdy więcej nie wracaj. **Nawet** nie wzięła ze sobą żadnej walizki. Odeszła, tak jak stała. Odeszła, aby rozpocząć nowe życie jako żona Donovaną Ivy'ego. Dziesięć lat. Była z nim od dziesięciu lat.

Wystarczająco długo, aby spojrzeć na wszystko z dystansu. Wystarczająco długo, żeby zdać sobie sprawę, iż jest typową żoną wykorzystywaną, i to nieraz. Przez te ostatnie lata doświadczyła już chyba wszystkiego, co tylko możliwe w małżeństwie. Wprowadziła się do domu, z którego nie było ucieczki. Zawsze ją znalazł. I wtedy groził jej ojcu, siostrze i jej dzieciom.

Szybko zorientowała się, że bezpieczniej jest po prostu się z nim zgadzać, słuchać go, niż żyć w ciągłym lęku, zastanawiając się bez ustanku, skąd grozi jej niebezpieczeństwo.

Theresa Weir

Tak naprawdę straciła już wolę walki. Obwiniła siebie samą za swoją głupotę, zaślepienie. Nie zasługiwała na inne życie. Nigdy więcej nie wracaj.

Gdzieś w głębi serca miała nadzieję, że ojciec wreszcie się ugnie, będzie się chciał z nią zobaczyć, ale nie. Miesiąc po tym, jak się jej wyparł, otrzymała przesyłkę bez adresu zwrotnego. Gdy ją otworzyła, zobaczyła, że są tam jej skarby z dzieciństwa oraz wszystkie rzeczy, które kiedykolwiek podarowała ojcu.

Wyjęła wypchane zwierzątko - szarego kota z zupełnie wytartym futerkiem, bez oczu. Był z nią w dzieciństwie podczas wszystkich chorób: ospa wietrzna, zapalenie płuc i różyczka. Przytuliła zabawkę do siebie i rozplakała się. Płakała nad sobą, swoim ojcem, naiwnością, którą straciła.

Do czego służy brukowiec?

Zirytowany Czytelnik

Drogi Panie, a do czego służą pryszcze?

Harley Gillette, redaktor „Shoot the Moon”

Rozdział trzeci

Harley Gillette szedł korytarzem redakcji „Shoot the Moon”. Poszarpane szorty dyndały mu powyżej kolan, starte podeszwy skórzanych sandałów kłapały po podłodze, długie brązowe włosy leżały na plecach. Już po raz drugi w ciągu tego dnia zastanawiał się, czy nie powinien się ostrzyc. W końcu to już dwa lata, jak nożyczki ostami raz dotknęły jego włosów. Może czasami warto by wyglądać trochę bardziej jak biznesmen.

Harley zdawał sobie sprawę, że minie jeszcze dużo czasu, zanim naprawdę dojrzeje. ~<

Idąc myślał o tym, że „Tribune” uwieczniła swoje najślynniejsze strony na mosiężnych tablicach w budynku redakcji. „Tribune” ze swoją eklektyczną architekturą, ze smakiem uzupełnioną fontannami.

Natomiast pierwsze strony „Shoot the Moon” zostały wyryte w blokach surowego cementu. Redakcja gazety mieściła się w czteropiętrowym ceglany budynku przemysłowym, z ciekącym dachem. Biuro znajdowało się na trzecim piętrze. Fontannę zastępował poplamiony rdzą zlew i toaleta, której rączką do spuszczenia wody trzeba było dobrze szarpnąć.

Nie znajdziesz „Shoot the Moon” w żadnym z przewodników po Chicago, pomyślał Harley, kiedy z rozrzewnieniem powiódł wzrokiem po cementowych tablicach.

„ŻABA Z LUDZKĄ TWARZĄ - jest bardzo zdolna i bystra - mówią naukowcy”.

„LUDZKIE DZIECKO SPŁODZONE PRZEZ UFO - poza tajemniczą zdolnością czytania w myślach, mała Audrey jest zupełnie normalnym dzieckiem”.

„ZAGUBIONY WÓŁ ZNALAZŁ DROGĘ DO DOMU - Nie możemy go teraz wysłać na targ, jest członkiem rodziny - mówi żona farmera”.

Harley znalazł Nasha w zagraconym pokoju ze sprzętem, w pomieszczeniu, które pierwotnie było biurem Harleya, dopóki redakcja nie zajęła połowy

Theresa Weir

trzeciego piętra. Nash stał pochylony nad kserokopiarką, profesjonalista przy pracy. Z kąta pokoju dochodził jednostajny szum komputera.

Harley wolał używać czegoś, co nie emitowało szkodliwego promieniowania - na przykład jego maszyna do pisania Royal. Oczywiście, Nash nie był kimś, kto zawraca sobie głowę takimi głupstwami jak radiacja. Ale Harley był inny. Miał zaledwie dwadzieścia siedem lat, a już myślał jak starzec. Martwił się dziurą ozonową - a kto się nie martwił? - ale także rzeczami, które nie były tak' namacalne, jak na przykład dehumanizacja Ameryki.

I wszelkie zmiany. Wszystko zmienia się zbyt szybko. Kiedyś ktoś niegłupi powiedział: „Zachowuj stare zwyczaje”. Harley zgadzał się z tym. I starał się trzymać tradycji.

Jego życie i praca należały do ery komputerów, lecz Harley wciąż tęsknił za starymi, dobrymi czasami, które skończyły się na długo przed jego urodzeniem. Kiedy ludzie mieli dość czasu na to, aby usiąść w cieniu i porozmawiać. Martwił się, że Ameryka utraciła swoją świeżość.

Popołudniowe słońce przedzierało się przez uchylone żaluzje. Harley podszedł do okna i próbował je zamknąć.

Żaluzje uderzyły o framugę okna. Kurz wzbił się w powietrze, przypominając Harleyowi o jego astmie. Już czuł ten ból w płucach.

- Z tym radzą sobie tylko kobiety - odezwał się Nash zza jego pleców.

- Do cholery! - Harley nie mógł zamknąć okna, więc machnął ręką i szybko wyciągnął swój inhalator.

- O co ci chodzi? - powiedział, z trudem łapiąc oddech. - Gzy my jesteśmy na to za głupi?

- Myślę, że to coś w genach - odrzekł Nash i nacisnął guzik kopiarki. Najpierw rozległ się charakterystyczny warkot, a potem - błysk światła pod pokrywą. Tym razem papier nie uwiązał gdzieś w maszynie.

Nash uniósł odbitkę.

- Sukces gwarantowany - oświadczył, podając ją Harleyowi. - Co o tym myślisz?

Harley schował do kieszeni inhalator i spojrzał na zdjęcie. Klasyczny kolaż w stylu Nasha Audubona, zmontowany z co najmniej dwóch zdjęć, do artykułu na pierwszą stronę o chłopcu ze znamieniem w kształcie mapy Afryki.

Na zdjęciu był chłopiec, w wieku około dziesięciu lat, unoszący koszulkę do góry. Na jego wypiętym brzuszku była mapa Afryki, z widocznym nie tylko Nilem, ale i miastami, i portami.

Harley wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak, aż łzy spłynęły mu po policzkach, aż zaczął się krztusić. Kiedy wreszcie zapanował nad sobą, oddał zdjęcie Nashowi.

- Wspaniale - powiedział masując bolącą klatkę piersiową. - Jedno z twoich najlepszych.

- Też tak myślę.

Niektóre gazety, jak na przykład „World News”, tworzyły fotomontaże używając najbardziej zaawansowanych technologii komputerowych, jakie tylko wpadły im w ręce. Jeżeli tak będzie nadal, montaż fotograficzny stanie się kompletnie zapomnianą techniką. W „Shoot the Moon” postanowiono, że nie pozwolą umrzeć tej sztuce. „World News” po prostu nie umiał tego robić. Częścią całej zabawy było to, żeby robić zdjęcia, które wręcz ostentacyjnie są fałszywe. To była cała filozofia. Tu tkwiło sedno tego pomysłu. I jego piękno.

Ilekczo ktoś pytał Harleya, dlaczego założył tę gazetę, zawsze odpowiadał, że w jego zamyśle „Shoot the Moon” stanowił swego rodzaju odskocznnię od normalnego życia. Większość opisywanych tu historii była po prostu absurdalna z punktu widzenia zdrowego rozsądku. Jeśli ktokolwiek w nie wierzył, to z pewnością musiał być szurnięty. „Shoot the Moon” był parodią innych dzienników i większość czytelników była wystarczająco rozgarnięta, aby zdawać sobie z tego sprawę, wyczuć dowcip. Absolutnie nikt nie traktował tego poważnie.

Ale jednocześnie Harley czasami puszczał artykuł, kilka artykułów dotyczących lokalnych problemów, polityków czy prawdziwych sensacji. Zagadnień, które powinny być przemilczane. Historii, których inne, poważne gazety bały się nawet ruszyć. To była działka Nasha. Nazywała się „Z punktu widzenia szarego obywatela”, ale Harley często myślał o tym jako o niewidzialnym głosie sumienia. Nash był mistrzem w przyłapywaniu ludzi w najbardziej korrp-omitujących, idiotycznych sytuacjach. Tego typu jak na przykład: żona burmistrza wychodząca z toalety z pięcioma metrami papieru toaletowego przyczepionego do obcasa.

Główną rzeczą, która czyniła tę kolumnę tak atrakcyjną, był kompletny brak jakichkolwiek oporów ze strony Nasha. Ten facet po prostu niczego się nie bał. Harley czułby się zmieszany wdając się w takie historie. Bałby się, co mogą sobie pomyśleć opisywane tam osoby.

Kiedyś Nash umieścił rewelacyjny materiał o chicagowskim biznesmenie--oszuście. Następnego dnia zadzwonił telefon i anonimowy rozmówca groził podpaleniem jego domu. Nash na te pogróżki odpowiedział śmiechem i zaproponował również swoją żonę i dzieci jako zakładników.

Nie można zabrać komuś tego, czego nie posiada.

Harley patrzył na Nasha. Znow stał pochylony nad kopiarką, próbując dopasować zdjęcie do tekstu.

Surowa szkoła życia. To ona go ukształtowała, taka była opinia Harleya, Przecież nie jest stary, nie ma chyba czterdziestki. Ale twardy, twardy jak głaz.

Theresa War

Szczupły, bez grama tłuszczu. Rzadko się uśmiechał, nawet gdy sam powiedział coś tak śmiesznego, że inni pokładali się ze śmiechu.

Kiedy nie maltretował starej pomarańczowej kanapy w redakcji, mieszkał w samochodzie.

Harley, pochodzący z bardzo dobrego i zamożnego domu, nigdy nie znał nikogo, kto mieszkałby w samochodzie.

W ciągu ostatnich dwóch lat Nash zaszedł już całkiem daleko. Dziś wydawało się to nieprawdopodobne, ale kiedy Harley spotkał go po raz pierwszy, Nash mieszkał na ulicy.

Było to pod koniec zimy. I potwornie zimno. A najzimniej w Chicago jest wtedy, gdy wieje od jeziora Michigan. Temperatura około zera, ale gdy wieje zimny, przejmujący wiatr, wydaje się, jakby było minus czterdzieści. Nash wyglądał na chorego i siedział we wnęce drzwi. Harley wepchnął mu do kieszeni koszuli flanelowej kilka dolarów i powiedział, żeby kupił sobie coś ciepłego do zjedzenia. Ale zanim zdążył się odwrócić, Nash ryknął, rzucając mu pieniądze w twarz:

- Nie chcę twoich cholernych pieniędzy!

Harley spojrzał na niego i pomyślał, czy on sam, znajdując się w równie trudnym położeniu, potrafiłby odmówić. Czy miałby tyle godności, odwagi? Nie. Wziąłby pieniądze i uciekł.

- W takim razie co powiesz na pracę? - zapytał.

Nawet nie wiedział, kim jest ten człowiek. Równie dobrze mógł być handlarzem narkotyków, jak stręczycielem. Cholera, przecież mógł kogoś zabić. Mógł siedzieć w więzieniu. Nie masz nawet tych kilkuset dolarów, żeby zapłacić sekretarce, zostaw więc w spokoju tego... tego... kimkolwiek można by go nazwać.

- Praca? - spytał Nash nieufnie, pogardliwie wydymając usta. - Co miałbym robić? Nie rozprowadzam narkotyków ani nie interesują mnie agencje towarzyskie.

Co za ulga! Ale czy to prawda?

- Mówię o pracy dla mnie. - Harley wskazał na siebie. - Jestem młodym przedsiębiorcą

Nash odchylił głowę i roześmiał się, aż Harley zaczerwienił się po uszy. Młody przedsiębiorca! Co za głupota! Cóż za idiotyczne, aroganckie i pompatyczne określenie.

Nash zgiął się w eleganckim ukłonie, zamiatając ziemię brudną, wełnianą czapką. Ukłon jak z kostiumowych filmów, prawa noga wyciągnięta do tyłu.

- A, *bonjour*, panie Syfiarzu. I znów się roześmiał.

Facet był z pewnością obłąkany. Harley postanowił odwrócić się i odejść jak najszybciej. Jeszcze długo słyszał za sobą śmiech. Ale tej nocy nie mógł odpędzić od siebie myśli o tym człowieku z ulicy, nie mógł przestać myśleć, że przecież to by mógł być on sam. Ukryty pod warstwą brudu i pod brodą, facet prawdopodobnie był od niego starszy nie więcej niż dziesięć lat. Bezdomny. Bez pracy. Ciągłe zbyt dumny, aby brać pieniądze od obcych. Raptem Harley odkrył, że mimo woli podziwia go. Następnego dnia wrócił w to samo miejsce, ale tym razem znalazł tam starą kobietę, siedzącą obok wypchanego rupieciami po brzegi wózka z supermarketu. Spytał, czy nie widziała tego mężczyzny. Pokręciła głową i zamruczała coś pod nosem. Wyciągnął z kieszeni banknot pięciodolarowy, najwyższą sumę, jaką mógł przeznaczyć na ten cel, i podał kobiecie. Wyrwała mu go z ręki, obejrzała ze wszystkich stron i wepchnęła głęboko, gdzieś w takie zakamarki swojego odzienia, o których Harley nawet nie chciał myśleć.

Harley wracał jeszcze tam dwa razy. Za trzecim razem miał naprawdę szczęście, ponieważ spotkał tego człowieka.

- Panie Syfiarzu!

Tym razem w głosie nie było cienia kpiny. Facet wydawał się w jeszcze gorszym stanie niż poprzednio. Harley sądził, że Nash ma zapalenie płuc.

- Czy zastanawiałeś się nad pracą, którą ci proponowałem? Nim zdołał odpowiedzieć, Nash zaniósł się kaszlem.

- Nie chcę jałmużny.

- Umiesz czytać?

Wydawało się, że to pytanie w jakiś sposób go zainteresowało. Nie odpowiedział, ale jednak słuchał.

- Czy znasz ortografię? - pytał dalej Harley.

- Co za głupie pytanie?

- Przeliteruj słowo dżdżownica.

Nash przeliterował. Ale czy dobrze? Czy w tym słowie występuje dwa razy „z” z kropką? Harley nie był pewien.

Ortografia nigdy nie była jego mocną stroną. Ortografia i kobiety.

- Ostatecznie zawsze przechodzi to przez korektę - powiedział Harley. Nash uniósł brwi. Cień zainteresowania błysnął w jego oczach. A może to

była tylko gorączka? A może szaleństwo? Harley nie tracił czasu.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o gazecie „Shoot the Moon”?

- Słyszałem powiedzenie „z motyką na słońce”, ale nie miało to nic wspólnego z żadnym wydawnictwem.

- To pismo. Świeżo powstałe, ale myślę, że całkiem niedługo świat o nas usłyszy.

Theresa War

- Co za gazeta? Mam nadzieję, że to nie żadne pisemko oszołomów?

- Oczywiście, że nie.

- Nic typu „ratujmy wieloryby”? Nie znoszę nawiedzonych.

Jak na kogoś, kto nie ma nawet gdzie spać ani grosza przy duszy, strasznie się mądrzył.

- To dziennik. „Shoot the Moon” to dziennik.

Harley złapał się na tym, że zachowuje się jak własna matka. Mówi piskliwym głosem i wymachuje rękoma.

- Dziennik?

Po chwili twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech. I w ten sposób zatrudnił się u Harleya.

Harley odkrył, że Nash może robić korektę. Z pomocą słownika świetnie radził sobie z ortografią. Trochę później okazało się, że potrafi również napisać całkiem przyzwoite pół strony. Nie wspaniale może, ale całkiem dobre.

Potrafił nawet zrobić zdjęcie. Ale najlepiej potrafił z dwóch różnych zdjęć zrobić coś zupełnie nowego.

Kopalnia złota.

Harley znalazł kopalnię złota siedzącą pod drzwiami opuszczonej kamienicy na rogu Osiemdziesiątej Ósmej i Vine. To było niedługo po tym, jak wreszcie uwolnili się od długów. Nash kupił sobie używany samochód, ale odmówił znalezienia sobie jakiegoś mieszkania. Mówił, że dla niego jest to zbyt trwałe. Tak więc sypiał w biurze. W łazience na dole brał prysznic.

Harley wiedział, że pewnego dnia Nash wyprowadzi się bez słowa. Ale jak na razie ciągle mieszkał w redakcji.

A najbardziej niesłychane było to, że Harley nie wiedział o nim wiele więcej niż pierwszego dnia. Raz tylko popełnił błąd i spytał go, czy ma jakichś krewnych. Nash spojrział na niego dziwnie, tak jakby to pytanie uświadomiło mu okrutną rzeczywistość, i odpowiedział: nie. Ale jego oczy mówiły: nie pytaj o to więcej. Już nigdy.

I Harley już nigdy nie zapytał.

I mimo że Nash był dowcipny, że był to prawdopodobnie najdowcipniejszy facet, jakiego Harley kiedykolwiek spotkał, miał wrażenie, że Nash tak naprawdę nigdy się nie śmieje, że jego to wszystko nie dotyczy.

- Co powiesz na piwo w „Harpo”? - zapytał Harley, wiedząc dobrze, że jest to bezcelowe, a jednocześnie mając nadzieję, że Nash pójdzie.

Nash rzucił okiem na zegar wiszący na ścianie. Było po północy.

- No, nie wiem - odpowiedział. - Lepiej jeszcze raz sprawdzę wszystko.

- Nie poświęcaj się tak. Tootie może to zrobić rano. Nie odbieraj jej przyjemności, którą znajduje w babraniu się w takich rzeczach.

- No to idź. Może wpadnę tam później.

- Będę czekał - odpowiedział Harley.

Udał się do knajpy, a Nash wrócił do materiału o Afryce. Kiedy skończył, położył wszystko na biurku Tootie, tuż obok sterty papierów, ułożonych w idealnym porządku, i przepelnionej popielniczki. Napisał kilka słów, po czym przypomniał sobie zaproszenie Harleya.

Harley nie powinien narzekać na brak towarzystwa. Może jest za chudy, dziwny i źle ubrany, ale przyciąga kobiety jak niemowlę. Tootie twierdzi, że to z powodu jego wielkich ciemnych oczu. Nash sądził raczej, że przyczyna tkwi w tym, iż jest po prostu miły. Zbyt miły. Nash dobrze wiedział z własnego doświadczenia, że to do niczego nie prowadzi. Zwykle Nash nie chodził do knajp, ale przez kilka ostatnich dni, od kiedy zrobił materiał o państwie Ivy, czuł się trochę kiepsko. Po raz pierwszy, od kiedy pracował dla Harleya, czuł, że coś go dręczy.

Przekroczył termin i artykuł został wydrukowany, zanim zdążył go ostatecznie wygładzić.

To tak jak z listem wrzuconym do skrzynki. Kiedy usłyszysz, jak uderza o dno, twoją następną myślą jest, że chciałbyś mieć go z powrotem, cofnąć go. Ale już za późno. Może jedno czy dwa piwa to to, czego mu właśnie potrzeba, pomyślał gasząc światła. Zamknął drzwi, zszedł dwa piętra w dół, wyszedł na ulicę, po czym ruszył w kierunku baru. Cisza.

W jego głowie było zbyt cicho.

Zazwyczaj sam ze sobą prowadził nieustanny dialog. Bez przerwy. Gdy tylko przestawał, zaczynał myśleć, zastanawiać się. Słowa.

Całą głowę miał zapchaną słowami tak, że nie było już miejsca na nic innego. Żadnych myśli, żadnych wspomnień. Ale przecież tam były. Pojawiały się od czasu do czasu, w najmniej odpowiednich momentach. Dokuczały mu, nie dawały spokoju. Chciały wdrzeć się do jego głowy.

Nocne powietrze było naprawdę przyjemne. Zimne. Ożywcze.

Myśl o powietrzu.

Nadchodzi jesień. Deszcze października, zimny listopadowy wiatr, grudniowy śnieg.

Może nadszedł czas, aby się stąd ruszyć? Gdzieś, gdzie cieplej. Wciągnął głęboko powietrze i z rękami w kieszeniach ruszył w słabo oświetloną uliczkę.

Theresa Weir

Prawdą było, i zdawał sobie z tego sprawę, bez względu na inne rzeczy, do których nie chciał się przyznać, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnie, był dom. I przyjaciel. A Harley chciał być jego przyjacielem.

Znał dobrze takie życie, gdzie ludzie mieszkają w domach, mają żony, dzieci, przyjaciół. Czy to nie to tkwi gdzieś w jego podświadomości każdego dnia? Czy nie o tym śni każdej nocy?

W takim śnie wraca z pracy do domu. W garażu na tyłach zostawia samochód. Idzie ścieżką Ścieżka jest tak wąska, że ledwo starcza miejsca na stopy. Prawie jej nie widać. Gdy wreszcie dochodzi do tylnych drzwi, w jego rękę pojawia się klucz, dodatkowy, którego nie oddał agentowi handlu nieruchomości, kiedy sprzedawano dom. Wkłada go do zamka, przekręca, naciska klamkę. Drzwi otwierają się. Gromada obcych ludzi siedzi przy stole. Jego stole. Rodzina, dzieci. Makaron z serem. Kanapki z masłem orzechowym. Szklanki mleka. Wygodne krzesła.

Patrzą na niego z przerażeniem i wtedy nagle przypomina sobie, że już tu nie mieszka. Że dom został sprzedany. Nie wczoraj, ale wiele lat temu. Jąkając się przeprosza. Czasami upiera się, że coś zostawił. Biega po domu, próbując znaleźć to coś, sprawdzając pokój po pokoju, czuje się, jakby raptem widział to wszystko okiem kamery.

Szuka i szuka. Jak znaleźć, odszukać...

Ale co? Czego on tak szuka?

I wtedy wreszcie zaczyna zauważać zmiany, jakie zaszły, jakie wprowadzili nowi lokatorzy. Biegając nieprzytomnie po domu, domu, który już nie należy do niego, widzi piętno obcych ludzi. Inne meble, nowe dywany. Zabawki, mnóstwo zabawek porzucanych po podłodze. Czasami odsuwa zabawki na bok i szuka, wciąż szuka...

Sen zawsze kończy się tak samo. Nagle uświadamia sobie, że ci ludzie stoją za jego plecami, patrzą na niego z rosnącym zdumieniem. A on spostrzega nienormalność całej tej sytuacji. Dochodzi do niego, że było szaleństwem wdrzeć się do ich domu, ich życia, traktując je jak jakiś sztuczny wytwór. Wytwór wyobraźni.

W tym momencie zaczyna biec. Z powrotem przez jadalnię, mija rodzinę, przez tylne drzwi. Kiedy wreszcie znajduje się na zewnątrz, jest już ciemno. Wybiega w ciemność, pędzi jak szalony, byle dalej od tego miejsca. Gdy ogląda się przez ramię, widzi ich wszystkich, stojących na ganku, w kręgu żółtego światła. Mężczyzna zawsze wygląda jak on, kobieta jak jego była żona.

- Hej, ty!

Niespodziewane głosy przywróciły go do rzeczywistości. Do Chicago i nocy rozświetlonej neonami. Stanął jak wryty, myśląc, że może to Harley. Odwrócił się.

- Czy to ty jesteś Nash Audubon?

Trzech mężczyzn szło w jego kierunku. Trzech naprawdę wielkich facetów. To niedobry znak. To wcale nie jest dobry znak... Nash zaczął cofać się, krok po kroku.

- W życiu o nim nie słyszałem. Nagle obrócił się na pięcie i chciał biec.

Zawsze myślał o sobie jako o całkiem przyzwoitym biegaczu. Czyż nie zajął drugiego miejsca w biegu na sto metrów w szkole średniej? Czyż nie przebiega każdego ranka prawie trzech kilometrów? Ale tego wieczora szczęście mu nie sprzyjało.

Jeden z facetów schwycił go i rzucił na ziemię. Powietrze wyleciało z płuc ze świstem, jaki wydaje przedziurawiona piłka. Zanim zdążył wziąć głęboki wdech, w jego żebra trafił ostry koniec buta. Czyżby usłyszał chrzęst gruchotanych kości?

Gdy podźwignął się na nogi, otrzymał kilka zdrowych uderzeń, tak że o mało nie stracił przytomności. Nagle przeszył go ostry ból w boku. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

Niezliczone razy pięści zwały się na jego twarz i brzuch.

Czego oni chcą? Pieniędzy? A może to jest ich wieczorna rozrywka? Ten świat jest chory.

- Uważaj...- Uderzenie.

- ...o kim... Uderzenie.

- ...piszesz... Kolejne uderzenia.

Wreszcie go puścili. Upadł na ziemię. Dzięki Bogu...

Całe zdarzenie nie trwało dłużej niż minutę. Krew płynęła mu po twarzy, spływała na koszulę i, cholera, na kurtkę. Zalała mu oczy. Przetarł je palcami, próbując zobaczyć, co się dzieje.

Nie szukali portfela, nie grozili mu nożem, choć czuł się jak nim pokłuty. Każdy, nawet płytki oddech sprawiał mu potworny ból.

- Czyżby możecie mi wyjaśnić dla-dlaczego, ot tak, po prostu... - poczuł krew w ustach, wypluł - spraliście mnie na kwaśne jabłko?

Odezwał się największy.

- Pani Ivy, niestety, nie doceniła artykułu o niej. Od tej chwili masz ją zostawić w spokoju.

Sara Ivy? Więc o to cały czas im chodziło? Nasłala na niego goryli męża z powodu artykułu, który napisał. Zrobiła z niego idiotę. Jest tak samo bezwzględna jak jej mąż.

Theresa Weir

Nie wiedziała natomiast, że Nash nie jest facetem, który chowa głowę w piasek. Był wściekły. Naprawdę wściekły. Gdzieś w głębi duszy doznał uczucia, że w ciągu ostatnich kilku dni Sara Ivy w jakiś sposób poruszyła w nim głęboko skrywane emocje, których nie odczuwał od lat. Najpierw poczucie winy, teraz gniew.

Któryś kopnął go w bok.

- Daj jej spokój! Słyszysz?

- W porządku. Piekło.

Przeszedł przez najgorsze rzeczy, jakie mogą się przytrafić w życiu. Wyszedł z tego uodporniony na kolejne ciosy i bogatszy o bolesne doświadczenia. Czego mógł się jeszcze obawiać? Co miał do stracenia?

Zawsze miej pod ręką aparat gotowy do zdjęcia.

Podręcznik fotoreportera, str. 101

Rozdział czwarty

Zwinięty na boku, trzymając się za brzuch, Nash dawał sobie tylko pięć minut życia. Tyle trwałoby umieranie z pękniętą śledzioną, tak przynajmniej kiedyś słyszał.

Pięć minut później wciąż oddychał i był przytomny.

Zamierzał się podnieść. Nie zostawiając sobie czasu na zastanawianie się, jak bardzo może to być bolesne, przekreślił się na kolana i łokcie.

Ból. Przeszywający.

Szarpał nim przy każdym wdechu i wydechu.

Powinienem przestać oddychać - powtarzał sobie, czekając na ból, od którego straci przytomność.

Aby było mu jeszcze przyjemniej, zaczęło padać. Mrugający neon tworzył na wszystkim, co odbijało światło, bezustannie zmieniające się wzory. Na mokrym chodniku, potłuczonym szkle, rozlanym oleju samochodowym.

Krew.

Spływała mu po twarzy, kapiąc na bruk ulicy. Podniósł jedną rękę do twarzy i ostrożnie sprawdzał. Miał rozciętą twarz wzdłuż kości policzkowej. Głęboko rozciętą...

Przez dwa lata żył na najgorszych, najbardziej niebezpiecznych ulicach tego miasta i przez cały ten czas nikt nigdy nie podniósł na niego ręki. A przez dwa lata pracy dla Harleya nikt go nawet nie tknął. Oczywiście, otrzymywał przepisową porcję nieprzyjemnych listów, ohydnych telefonów i pogróżek. Ale nikt nigdy nie nasłał na niego żadnych zbirów.

Do czasów Sary Ivy.

Powoli nabrał powietrza w płuca i wypuścił.

Postanowił uważać, żeby ma przyszłość nie wciągać powietrza zbyt głęboko. Po czym wstał.

Krew z twarzy natychmiast zaczęła mu spływać po szyi. Wsiąkała w kołnierzyk koszuli, w kurtkę.

Zaczął iść z ręką przyciśniętą do boku. Jak zraniony pies wraca do domu,

Theresa Weir

skierował się do redakcji „Shoot the Moon”. Tam ruszył korytarzem obwieszonym rwóżłkłymi okładkami gazety. Zsunął kurtkę i porzucił ją na podłodze. W łazience uwolnił się od koszuli, której użył do ścierania krwi.

W świetle żarówki zwisającej z sufitu zobaczył, że jego lewy bok w okolicach żeber jest już sinofioletowy. Spojrzał w swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Prawe oko było spuchnięte, dolna warga nabrzmiała. Rozcięty policzek krwawił jak cholera. Wszystko przypominało przerażającą scenę morderstwa z filmu. Krew na podłodze, krwawe ślady na umywalce. Powinien wziąć prysznic. Odkręcił kurek, w kranie była tylko zimna woda. Woda rozbryzgiwała się w poplamionej rdzą umywalce. Oparłszy łokcie na lodowatej porcelanie, pochylił się i obmywał twarz, aż zaróżowiła się woda. Dźwięk. Zamarł. Jak klucz w zamku. Jakby otworzyły się drzwi.

Nash zakręcił wodę i nasłuchiwał, całą uwagę skupiając na tych dźwiękach.

Goryle Ivych?

Już nieraz zamierzał kupić rewolwer. Doszedł nawet do tego, że już miał wyjąć pieniądze z kieszeni, ale w momencie kiedy brał broń do ręki, nie mógł się zdobyć na jej zakup.

Rewolwery zostały stworzone do używania ich w takich właśnie sytuacjach. W tym momencie kawałek zimnej stali byłby bardzo uspokajający.

Ktoś wołał jego imię.

Harley?

Nash odetchnął głęboko z ulgą i obejrzał się. Zobaczył, jak po śladach krwi korytarzem w jego kierunku biegnie Harley.

- Na miłość boską! - wysapał Harley, gdy znalazł się dostatecznie blisko, żeby zobaczyć twarz Nasha. Wymachiwał rękoma. - Dzwoniłeś na 997? - Zrobił krok w kierunku gabinetu, potem cofnął się. - Potrzebujesz opaski uciskowej?

Nash parsknął stłumionym śmiechem, który zamarł mu na ustach. Ból przeszył jego bok.

- Tak, wokół szyi - odezwał się, kiedy mógł wreszcie mówić. - Ale to powierzchowne - dodał, próbując zachować spokój na widok przerażenia Harleya.

- Akurat! Wygląda na to, że trafili cię w tętnicę. Nash wrócił do łazienki. Harley poszedł za nim.

- Co się stało?

Nash nachylił twarz w kierunku światła i oglądał jej odbicie w brudnym lustrze.

- To, co przed sobą widzisz, to kurtuazja Sary Ivy.

- Ivy? Nie chrzań!

Nash zerwał garść papierowych ręczników.

- Czekaj - powiedział Harley. - Potrzyмай tak przez chwilę.

Wypadł z łazienki. Z okolic jego gabinetu dobiegł dźwięk inhalatora, dwa głębokie wdechy. Kilka sekund później wrócił z aparatem fotograficznym w ręce. - Możemy spróbować opchnąć to w „Moonie” - tłumaczył podnosząc aparat. Jego entuzjazm osłabł, kiedy skonfrontował to z możliwościami stworzenia z tego mocnej historii na

pierwszą stronę. - Bardzo niedobrze, że nie możemy pozwolić sobie na kolor. Robiłby większe wrażenie.

Harley kręcił się z kąta w kąt, ustawiając światło, sprawdzając wszystko.

- Spróbuj wyglądać trochę bardziej nieszczęśliwie.

- Ja jestem nieszczęśliwy.

- Ale nie wzbudzasz sympatii. Budzisz bardziej przerażenie niż cokolwiek innego.

Nash rzucił naburmuszony:

- Nie jestem aktorem.

- Udawaj, że masz okropną grypę i nie możesz w ogóle oddychać przez nos.

- Może być tak?

- Teraz jest już dużo lepiej, ale nie o to mi chodziło. Może to kwestia punktu widzenia. Siadaj tam na podłodze.

Nash zsunął się na podłogę, z jedną ręką zwisającą na zgiętym kolanie.

- Dobrze. O to chodzi! Teraz jest świetnie. O, tak.

Później Harley zaimprovizował ujęcie, gdzie Nash znów patrzył w lustro, tym razem jednak przyciskał do twarzy garść pełną sztywnych papierowych ręczników. Gdy spróbował zwolnić ucisk, krew połała mu się po szyi.

- Trzeba to zszyć - powiedział Harley.

- Tak uważasz?

- O, tak. Zdecydowanie.

- Może, gdy to ściągnę razem, o tak...

- Nie utrzyma się.

- Może jednak?

- Sam zobacz. Zresztą, co ja ci będę tłumaczył.

- Cp chcesz zrobić?

- Podrzucę cię na pogotowie.

Gdy byli prawie w drzwiach, zatrzymali się i popatrzyli na siebie, po czym zgodnym chórem powiedzieli:

- Aparat.

37

Theresa Weir

Nash czekał, oparty o ścianę, przyciskając papierowe ręczniki do twarzy, a Harley pobiegł z powrotem po aparat. **Trzy** godziny później, bogatszy o pięć szwów i nieco obrażeń duchowych, Nash wrócił do redakcji. Harley próbował przekonać go, aby poszedł z nim do domu, ale Nash twierdził, że ma robotę.

Teraz, leżąc na rozkładanej kanapie z telefonem na kolanach, wykręcił numer i czekał.

Po sześciu dzwonek usłyszał zaspany głos.

- Mason? Cześć, stary - powiedział Nash. - Potrzebuję kilku informacji.

- Audubon? Czy to ty? - spytał Mason, trochę już bardziej rozbudzony. W tle zaspany kobiecy głos pytał:

- Kto to jest, kochanie? Czy coś się stało?

Wyobraził sobie typową, milutką parę, w podwójnym małżeńskim łóżku. Nie zniżając głosu ani nie zasłaniając ręką słuchawki, Mason odpowiedział żonie:

- To tylko ten zwariowany Audubon. Śpij.

- Też się za tobą stęskniłem.

- Czy ty nigdy nie patrzysz na zegarek, kiedy do kogoś dzwonisz? - zapytał Mason. - Może w swoim życiu nie kierujesz się żadnymi zasadami ale ja tak. Wstaję rano. Spię w nocy. Tak robi większość ludzi.

- Nie jesteś bankierem, ale prywatnym detektywem. Telefony w środku nocy to normalne w twoim zawodzie - przypomniał mu Nash.

- Mam prawo do osobistego życia.

- Potrzebuję informacji - powtórzył Nash, zupełnie nie przestraszony reprimendą. Kiedyś obydwaj zaczęli od zera.

Mason rzucił zrezygnowanym tonem:

- To cię będzie kosztować.

- Dałem ci ostatnio cztery bilety na Blackhawks. Mam u ciebie kredyt.

- Okropne miejsca, nic nie było widać - powiedział Mason. - Te bilety były do niczego.

- Przesadzasz.

Nash zapomniał o kiepskiej jakości tych miejsc, w przeciwnym razie nie mówiłby o nich.

- Nie wciskaj kitu. Pewnie dostałeś bilety za darmo. Spróbuj wziąć dwoje dzieci na mecz hokejowy z biletami na miejsca stojące.

- Dobrze, już dobrze. Załatwię ci następne.

- Dokładnie to samo mówiłeś ostatnim razem.
- Tym razem naprawdę tak będzie.
- Czego chcesz?

38

- Wszystkiego, co uda ci się znaleźć na Sarę Ivy.
- Ivy? Żonę Donovana Ivy'ego?
- Tak.
- Czyżby ci podpadła?
- Nie bardziej niż inni.
- Masz rację.

Dwa dni później Nash czuł się na tyle lepiej, że mógł odwiedzić bibliotekę. Skierował się prosto do działu mikrofilmów, znalazł wykaz, o który mu chodziło, i dostał film. Wszystkie przeglądarki były zajęte, więc stanął przy drzwiach, czekając, aż zwolni się jakieś miejsce. Pierwszą osobą, na jaką spojrzął, był facet w garniturze, w średnim wieku. Mężczyzna zaledwie rzucił okiem na ekran, wyszarpnął film i szybko wyszedł.

Nash usiadł przed ekranem, załadował rolkę i zaczął kręcić gałką. Znalazł artykuł z działu lokalnego „Tribune”. Dom Ivy'ego. Opisany i obfotografowany. Bardzo zabawne. Ostentacja to pierwsze słowo, które przyszło mu do głowy. Ostentacja była drugim słowem, które mu się nasunęło. Zdjęcie zrobione od strony głównego wejścia. Widok podjazdu przywodził na myśl systemy alarmowe, diamentowe naszyjniki i dobermany. Lokajów. Lisy.

Rolls-Royce'a. Artykuł i zdjęcia wprowadzały czytelnika do środka rezydencji, gdzie schody były tak szerokie jak w *Przeminęło z wiatrem*, oczywiście z kandelabrami. W sypialni pana domu ogromne, masywne łóżce, replika mebla, który prawdopodobnie kiedyś kołysał do snu ciało jakiegoś króla. Obok sypialni -dwie łazienki, obie z bidetem, oraz garderoby i toalety. Wszystko olbrzymie. Dalej kuchnia. Francuski *maître de cuisine* czułby się tu jak w domu, była tu i spiżarnia, i piwniczka pełna wina. Potem solarium oraz jacuzzi, w którym spokojnie zmieściłoby się dwanaście osób. Na zewnątrz fontanny i mnóstwo gatunków różnych roślin. Ogród krajobrazowy. Kort tenisowy. Dom dla gości. Basen o nieregularnym kształcie. Zdjęcie basenu zrobiono w nocy, aby w pełni ukazać przepych podwodnego oświetlenia. Bardzo zabawne. Może mógłby zdobyć zdjęcia Sary Ivy i Craya, a potem wmontować je w zdjęcie z basenem. Zatyłować: „Nurkowanie w cementowej lagunie” czy coś w tym rodzaju.

Zrobił kopię zdjęcia basenu. Po czym cofnął film, szukając zdjęcia posiadłości zrobionego od strony bramy. Też je skopiował.

Przed powrotem do redakcji wstąpił do wypożyczalni kostiumów i wybrał sobie tani smoking. Dla Sary Ivy nic nie było zbyt luksusowe.

Theresa Weir

Srebrne sztucce postukiwały o porcelanę w sali bankietowej. Kelnerzy w pośpiechu sprząтали ze stołów. Obiad za dwieście dolarów od osoby dobiegał końca. Panie, przepaszając, wychodziły poprawić makijaż. Panowie gromadzili się w hallu na papierosa przed aukcją. Sara Ivy pozostała przy stole. Wraz z Donovanem zasiadali tam obok Adriana Woodhousa, prezesa Fundacji na Rzecz Walki z Analfabetyzmem, oraz obok jego żony, Margaret. Przy tym samym stole, naprzeciwko Sary, siedział Russell Cray. To był pomysł Donovana. Posadzić jego i żonę blisko siebie, mając nadzieję, że to położy kres wszystkim plotkom sprowokowanym przez artykuł w miejscowym dzienniku. Sara nic nie wiedziała o zamiarze położenia kresu plotkom, ale za to z pewnością zdawała sobie sprawę z wyjątkowo niezręcznej sytuacji dla wszystkich przy stole, z wyjątkiem Donovana. Nie można było tego wyczytać z wyrazu jego twarzy, ale Sara była pewna, że czerpie on perwersyjną przyjemność z wprawiania innych w zażenowanie.

Ubóstwiał tego rodzaju sytuacje. Elegancko ubrani ludzie powracali na swoje miejsca, zatrzymując się czasami, aby zamienić kilka słów ze znajomymi. Teraz miał nastąpić moment, kiedy oboje przedstawią Adriana Woodhousa, kolejny pomysł Donovana. Jak dobry, kochający mąż, za jakiego chciał publicznie uchodzić, pomógł jej wstać z krzesła. Razem weszli na podium, gdzie zajął miejsce obok niej. Posłał jej poufny, porozumiewawczy, pełen miłości uśmiech. Wyglądał dobrze i wiedział o tym. Razem wyglądali dobrze. Miał na sobie czarny smoking, a ona czarną organdykową suknię, którą on wybrał. Miała długie czarne rękawiczki, a na jej białej szyi, tuż nad wycięciem dekoltu, naszyjnik z diamentów. Przedstawienie. Nic więcej, po prostu przedstawienie.

Czuła się dotknięta tym, że Donovan w ogóle jest tutaj. Fundacja była jej pomysłem, czymś, w co wierzyła naprawdę, czymś, co mogło nadać sens, cel jej życiu. Ale raptem wkroczył w to Donovan i zamienił wszystko w cyrk, komercyjną szopkę na użytek mediów, a ku swej własnej chwale.

Odezwał się do mikrofonu.

- Wyglądasz dzisiaj pięknie, kochanie. - Powiedział to niskim głosem, który kiedyś przyprawiał ją o dreszcz podniecenia. W tej chwili przyprawiał ją jedynie o dreszcze.

- Dziękuję - odpowiedziała sztywno, wywołując cień niezadowolenia, który przemknął na moment po twarzy Donovana. Wszystkim się zdawało, że się przekomarzają.

Spojrzała na tłum eleganckich ludzi o miłych, wyczekujących twarzach. Wtedy zdała sobie sprawę, że większość obecnych na sali stanowią kobiety. Dzięki Donovanowi i jego wpływom dwa tysiące biletów zostało sprzedanych. Pan Woodhous był bardzo zadowolony.

Przez ostatnie lata Sara z przerażeniem obserwowała, jak wzrasta popularność jej męża. Osiągnął prawie pozycję pierwszego obywatela miasta.

Czy ktokolwiek z tych ludzi zebranych na sali przybył tu z powodu walki z analfabetyzmem? A może raczej przyszli zobaczyć Donovana?

- Zrobili państwo bardzo wiele dla naszej fundacji - powiedziała Sara do tłumu.

Rozległy się dyskretne oklaski.

- Jak już zdążyliście pewnie zobaczyć w programie, otrzymaliśmy wspaniałe dary na naszą aukcję. W sumie siedemdziesiąt dwa obiekty. Ale zanim rozpocznie się aukcja... - spojrzeniem ogarnęła tłum - chciałabym przedstawić państwu kogoś, kto bezpośrednio przyczynił się do naszego dzisiejszego spotkania...

Dłoń Donovana trzymała jej rękę. Mocno ścisnęła. Ostrzegęła. Tylko nic nie popsuj.

Zdała sobie sprawę, że to może być ten moment. Jej szansa na ukazanie wszystkim jego prawdziwej twarzy.

Mój mąż mnie bije. Mój mąż mnie gwałci. Czekali i czekali. Bała się. Wstydziła się.

Otworzyła usta i zamknęła je z powrotem. Spojrzała na Donovana. Przełknęła ślinę ze strachu, serce waliło jej "Jak oszalałe. Szybko odwróciła się w kierunku wyczekujących ludzi.

- Ja, hm.

Jestem tchórzem. Potwornym tchórzem...

- Kochanie, czy śniesz na jawie? - odezwał się Donovan głębokim i kpiącym tonem.

Sara czuła, jak pot z niej spływa. Jej elegancka organdy nową suknią cała się do niej lepiła.

- O, tak...

Donovan pochylił się do przodu, blisko mikrofonu. Jego białe zęby rozbłysły w uśmiechu.

- Myśli o ostatniej nocy.

Chichot przeszedł po mimie. Kobiety uśmiechały się rozkosznie, zupełnie jakby z nimi flirtował. Na ustach mężczyzn pojawiły się porozumiewawcze uśmiechy. Kiedy ucichły śmiechy, Sara wzięła głęboki oddech.

- Sprawia mi to ogromną przyjemność...

- Mówię wam, ona myśli o ostatniej nocy - wtrącił Donovan. Głośny śmiech.

Czyż oni nie widzą, jaki jest fałszywy? Czy nie widzą tego sztucznego uśmiechu? Jego nieszczerości, wręcz obłudy? Jak mogą się na to nabierać? Ale wtedy przypominała sobie, że i ona kiedyś dała się na to nabrać.

Theresa Weir

- Mam przyjemność przedstawić państwu prezesa Fundacji na Rzecz Walki z Analfabetyzmem, pana Adriana Woodhousa. Tchórz, tchórz. Adrian stanął przy niej.

- Dziękuję, moja droga.

Donovan sprowadził ją z podium, trzymając pod ramię. Tchórz. Tchórz.

Gdy doszli do stołu, nie usiadła. Zamiast tego wzięła torebkę.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Donovan.

Czy tylko ona jedna dostrzegła groźbę w jego głosie?

- Do toalety. Zaraz wracam. Tchórz. Tchórz.

Puścił ją. Ale mimo że jego ręka uwolniła ją oczy rzuciły jej wyraźne ostrzeżenie. Damska toaleta była pusta.

Ściągnęła rękawiczki, odkręciła kran, zimną wodą ochlapała płonące policzki.

Trzęsły jej się ręce, zacisnęła je w pięści, pragnąc, by wreszcie przestały drżeć.

Była tchórzem. Zasługiwała na to, co miała - na Donovana.

Wytarła ręce w rękawiczki, po czym otworzyła torebkę i zaczęła ją przeszukiwać. Szminka, chusteczka, pastylki miętowe, aż pod palcami wyczuła fiolkę z pigułkami, którą zawsze miała przy sobie. Nadal trzęsącymi się rękoma wrzuciła dwie tabletki do ust i zaczerpnęła zimnej wody do popicia. Schowała lekarstwo z powrotem do torebki.

Stała z zamkniętymi oczami, z rękoma opartymi na umywalce.

Nie chcę tam wracać. Nie chcę.

- Prywatne przyjęcie?

Zamrugła oczami. Poczowała skurcz w żołądku.

W lustrze odbijała się jej własna, śmiertelnie blada twarz. Zaraz za nią stał mężczyzna, którego już kiedyś spotkała.

Wtedy, w hotelu „Renesans”. Jak on ma na imię? Nash. Nash Audubon. Z bijącym sercem powoli odwróciła się.

Jego twarz! O mój Boże! Musiała się skrzywić czy coś takiego, ponieważ zapytał:

- Nie wyglądam najlepiej, prawda?

Podszedł bliżej, po czym wyjął fiolkę z lekarstwami z otwartej torebki i przeczytał:

- Darvon.

W jego głosie nie było słychać zaskoczenia.

Ubrany był w czarną marynarkę od smokingu oraz krawat. Ale zamiast

czarnych spodni miał na sobie potwornie sprane dzinsy. Zamiast wieczorowych butów - białe, przybrudzone adidas.

Obracał w dłoni fiolkę, aż jego wzrok padł na pomarańczową nalepkę ostrzegawczą Oczami przebiegł tekst. Popij te pigułki alkoholem, a z pewnością trafi cię szlag. Złapała buteleczkę z powrotem, wrzuciła ją do torebki i próbowała go odepchnąć. Zagroził jej przejście. Próbowała wyminąć go z lewej. Zrobił krok w jej stronę.

Próbowała wyminąć go z prawej.

Znow przesunął się w jej kierunku.

Miała świadomość, że powinna się bać, ale nie czuła strachu. Po Donovanie nic już nie było dla niej straszne.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Chciałem ci to pokazać. - Wskazał na swoje spuchnięte oko. - I to. Pięć szwów. - Wskazał na policzek.

Co to ma z nią wspólnego?

- Siedzisz sobie w swojej wieży z kości słoniowej i wydajesz rozkazy, nie interesując się zbytnio konsekwencjami. -

Wyciągnął ze spodni białą koszulę, szybko ją rozpiął, pokazując rozmiary sinych plam. Wskazując na siebie, powiedział: - Oto konsekwencje. Ja jestem jedną wielką konsekwencją Wtedy ją olśniło. Donovan. To zrobił Donovan. Ścisnęło jej się gardło. Nic nie mogła powiedzieć. Już straciła swoją szansę. Tchórz. Tchórz.

Poczuła, że jej oczy napęcznieją się łzami. Próbowała go wyminąć. I znow zablokował jej drogę, tym razem przyciskając ją do ściany. Uwięził ją całym ciałem, rękoma. Mogła wyczuć puls na jego szyi. Teraz bała się naprawdę. Odwróciła twarz, zmrużyła oczy, czekając na cios.

- Spójrz na mnie. - Potrząsnął nią - Dobrze mi się przyjrzyj.

Czuła ciepło jego nagiego, obitego brzucha, przyciśniętego do niej, torsu i dłoni na swoich ramionach.

Nagle poczuła, jak jego palce ujęły ją pod brodę, a potem znalazły się na jej gardle, gdzie puls bił jak oszalały. Odwrócił do siebie twarz Sary.

- Spójrz wreszcie na mnie! - powiedział zduszonym szeptem. Otworzyła oczy. Jego twarz była zaledwie kilka centymetrów od niej. Tak

blisko, że przed sobą miała już tylko jego tętnówki. Jego oczy były w kolorze najgłębszego błękitu, jaki kiedykolwiek widziała.

- Krwawię tak jak ty - powiedział. - Czuję ból tak samo jak ty. Ciągle myślał, że to ona stała za tym wszystkim, że były to jej rozkazy.

Theresa Weir

Cóż za wspaniały pomysł. Że ona może mieć taką władzę. Że ona mogłaby zrobić coś takiego. Mężczyźni są tacy krótkowzroczni.

Zdjął ręce z jej szyi, zamknęła znów oczy i skulona czekała na uderzenie.

Czekała bez skutku. Zamiast tego znów położył jej rękę na ramieniu. Ale nie był to bolesny uścisk, ale prawie przyjazny dotyk. - Zrobiłaś sobie wroga - powiedział do niej wręcz łagodnie. - Gdziekolwiek pójdziesz, cokolwiek zrobisz, będę to widział. Otworzyła oczy i uniosła brodę, trik, którego nauczyła się, żeby uspokoić drżenie ust. - Istnieje prawo, które broni mojej prywatności. Roześmiał się. - Ale bicie ludzi, żeby ich uciszyć, jest również niezgodne z prawem. Jak widać, zamierzał wsadzać nos w nie swoje sprawy. Wreszcie gdzieś popełni błąd i zostanie zabity. Musiała go ostrzec. - Mój mąż ma ogromną władzę - odezwała się. - Na twoim miejscu uważałabym. - Czy to pogrożka? - Tylko cię ostrzegam, że mój mąż nie żartuje. - A ty? Co z tobą w takim razie? - Ja także.

Skinął głową w kierunku sali bankietowej. Czarne włosy opadły mu na czoło.

- Ta szopka nie robi na mnie wrażenia. Ty i ludzie twojego pokroju... Nikt z was nie da złamanego grosza, by zwalczać analfabetyzm.

Patrzył na nią, w jego zuchwałych oczach widać było gniew.

- W moim świecie istnieją dwa typy ludzi, którzy muszą sobie znaleźć jakiś cel w życiu. Jedni mają puste życie i coś takiego daje im poczucie sensu..? Może nie jest aż tak krótkowzroczny... - Drudzy, którzy robią to tylko dla popularności. Żeby zdobyć wyborców. - Czy w takim razie nikt nie robi tego po prostu z potrzeby pomocy? - Nie tacy ludzie jak ty.

Nie trzymał jej już tak mocno. Wyglądało na to, że i złość go już opuściła. Jego oczy, w których nagle pojawiła się ciekawość, bacznie obserwowały jej twarz. Zmarszczka między tymi czarnymi brwiami wyrażała zaintrygowanie.

- Nie rozumiem cię - powiedział. - Czy to warto? Sypiać z kimś takim jak Donovan Ivy? W zamian za wygodne życie? Dla jacuzzi, Rollsa? -Dotknął diamentów na jej szyi. - Dla tej garści kamieni?

To bolało. Nawet z jego ust, obcego, było to bolesne. Nawet od kogoś, na kim jej przecież nie zależało.

Niesprawiedliwość tej oceny była jawną kpiną. Odczucia, które w sobie tłumiała, pojawiły się ze zdwojoną siłą

DLUGA KSIĘŻYCOWA NOC

Dlaczego słucha tego, co on mówi? Dlaczego ma ją obchodzić to, co on myśli? Reporter brukowca. Człowiek, który żyje z opowiadania kłamstw. Z ranienia ludzi.

Gdzieś bardzo głęboko eksplodował w niej gniew.

- Och, z pewnością warto! - odpowiedziała.

Mogła powiedzieć mu prawdę, ale przecież nie uwierzyłyby jej. Zamiast tego postanowiła grać, żeby go zranić najcelniej, jak umiała.

- Chcesz wiedzieć coś jeszcze? - zapytała. Uniósł pytająco brwi.

- Powiedziałam im, żeby cię zabili.

Na te słowa twarz mu pociemniała. Widziała, jak trawił to, co usłyszał. Przez moment myślała nawet, że może unieść swoją ciężką dłoń na jej gardło i wycisnąć z niej życie.

I wtedy zdała sobie sprawę, że byłoby jej wszystko jedno.

Kiedy okazało się, że nie zamierza jej udusić, podniosła brodę trochę wyżej.

- Daj mi przejść. Puścił ją.

Jeszcze czuła na sobie jego dłonie. Miała wrażenie, że została zbrukana. Splugawiona. I naprawdę była.

Odwrócił się i odszedł. ^ Sara odetchnęła głęboko, oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Ciągle trzęsła się w środku, gdy usłyszała ruch przy drzwiach, a w chwilę później dźwięk flesza i szum przewijanego filmu w aparacie.

Podstępna kanalia.

Czy istnieje fotografia, która nie jest manipulacją, światła i cienia?

Nash Audubon

Rozdział piąty

Mała, bardzo ciasną przestrzeń ciemni wypełniał metaliczny zapach wywoływaczy.

Nash ściągnął nadmiar wody z negatywów, a potem powiesił je, żeby wyschły.

- Te są świetne - powiedział Harley, przyczepiając ciężarki do końcówek filmów i oglądając wywołane klatki. - Ten na podłodze w łazience Jest w nim taki, no taki... Pomóż mi.

- Patos?

- O, tak. Patos. I te dwa, na których masz już szwy. Strasznie podoba mi się ten, na którym wyglądasz, jakbyś konał z bólu. To nawet wyszło na negatywie.

- Nie zapominaj, że ja faktycznie byłem umierający - mzymomniał mu Nash oschle.

Konwersacja na chwilę zamarła. Wpatrywali się w wiszące filmy. W końcu Harley odezwał się.

- Wiesz dobrze, że nie możemy tego wykorzystać.

Nash oparł rękę na biodrze. Nie był tchórzem, ale nie był przecież kompletnym idiotą. Nie mógłby zaszkodzić państwu Ivy, nawet gdyby był teraz martwy.

- Masz rację - dodał niechętnie. - Nie możemy ich wykorzystać W każdym razie nie teraz.

Harley skinął głową.

- A co to jest?

Wskazał palcem na film, na którym pomiędzy czarnymi, pustymi klatkami znalazła się jedna dobra.

Sara Ivy. Oparta o ścianę, z zamkniętymi oczyma. Z głową odchyloną do tyłu, w pozycji, w której wyglądała wyjątkowo bezbrinnie. Wyjątkowo niewinnie.

„Powiedziałam im, żeby cię zabili”.

W chwili gdy to usłyszał, uwierzył. Ale później, gdy cała złość z niego wyparowała, zaczął podejrzewać, że to wszystko jest szyte zbyt grubymi nićmi. Choć bardzo się starał, po prostu nie mógł uwierzyć, że mogła być tak bezlitosna. A jaki z tego wniosek? Że był głupi. Że zmiękł, stracił charakter.

Ciągle wpatrywał się w negatyw. Wszystko, co ciemne, było jasne. Jej suknia, jej włosy, oczy, usta. Czuł dziwną potrzebę ujżenia tego zdjęcia. Jak tylko negatyw wysechł, zrobił odbitkę.

- Zatrzymaj to - powiedział. - Też może się komuś przydać.

Trzy dni później Nash rozsiadł się przed komputerem, z nogami na biurku, klawiaturą na kolanach. Wprowadzał informacje, które na temat Sary wynalazł Mason i podawał mu je teraz przez telefon. Rozmawiali już od kilku minut i jak dotąd prywatny detektyw nie podał mu żadnej konkretnej informacji. Czy ta kobieta nie ma własnego życia? A może po prostu Mason stracił swój instynkt? - Kiedyś nosiła ubrania numer osiem, a teraz numer cztery.

- Co to znaczy, dó cholery? - pytał Nash, nie zwracając sobie głowy zapisaniem tego. Nie wpisywał żadnej bezwartościowej informacji. - Prosiłeś mnie, żebym znalazł, co ntrję, o Sarze Ivy. Mówię ci to, co wiem.

- Dobrze, już dobrze. - Nash nie zamierzał tracić jednego ze swych najlepszych źródeł informacji.

- Kiedyś zwykła jadać dzikie ilości lodów czekoladowych. Teraz wydaje się, że ma skłonność raczej do mocniejszych trunków. Nash jęknął.

- Powiedz mi wreszcie coś, czego nie wiem.

- Wypożycza filmy wideo. No wiesz, stare. Musicale i tak dalej. Nie ma nic gorszego niż musical, nie?

Nash zaśmiał się i przytaknął.

- Co jeszcze tam masz?

- Urodziny dziewiątego stycznia. Ma trzydzieści dwa lata.

- Nic nowego. Nie powiedziałaś mi jeszcze nic nowego.

- Daj mi szansę. Ma cztery plomby. Większość zakupów robi przez katalogi. Nash wydał z siebie dźwięk wyraźnie świadczący o tym, że jest już wyprowadzony z równowagi.

- W 1985 roku poroniła.

Nash gwałtownie się wyprostował.

- Wreszcie coś mamy.

Zaczął pisać przytrzymując słuchawkę ramieniem.

Theresa Weir

- Po tym kilkakrotnie była u lekarza i ciągle zażywa mocne środki przeciwbólowe i uspokajające. Ręka Nasha zawisała nad klawiaturą.
- I?...
- Wydaje się, że ma chyba pecha Kilka lat temu miała złamaną rękę. Kiedy indziej wstrząs mózgu. Nash pisał.
- Wychowała się na małej, dwieście akrów, farmie w Wisconsin. No wiesz, taka dziura zabita dechami. Ma jeszcze starszą siostrę.
- To wszystko mogłoby częściowo tłumaczyć, dlaczego znalazła się pod urokiem kogoś takiego jak Donovan - powiedział Nash i zapisał.
- Z rodziną nie ma kontaktu.
- Do luksusu człowiek szybko się przyzwyczaja - powiedział Nash, wciąż pamiętając, jak z nim ostatnio postąpiła.
- Może. - Pauza. - Nie ma przyjaciół. Żadnych.
- Co jeszcze?
- To wszystko.
- To wszystko?
- Przepraszam, ale nic więcej już nie udało mi się znaleźć.
- Podobno jesteś prywatnym detektywem.
- Co oznacza, że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie olewam zleceń. A teraz co z kilkoma porządnymi biletami na Blackhawks?
- Nie zasłużyłeś na żadne cholerne bilety!
- To ty nie zasługujesz na takiego przyjaciela jak ja. Przypomnij sobie, kto ci dał tego fałszywego ministra, który ograbiał biedne starsze panie? A co powiesz o panice, którą wywołała informacja o podłożonej pod mostem bombie?
- Zaraz pęknie mi serce.
- A wydaje ci się, że je masz?
- Idź do diabła!
- Pamiętaj, że znałem cię, gdy byłeś jeszcze niczym, klasycznym menelem mieszkającym na ulicy.
- Ciągle jestem niczym. Gdy byłem mały i moja mama pytała, kim chciałbym zostać, kiedy dorosnę, mówiłem, że chcę być menelem.

Mason parsknął śmiechem, wydając gardłowy rechot

- Jesteś wariat

- No, na razie, trzymaj się.

- Ty też.

Nash odwiesił słuchawkę i zapisał sobie, żeby odebrać cztery bilety na Blackhawks. Potem oparł się na obrotowym krześle, z rękami pod głową, i wpatrywał się w pobielony sufit

45

Teraz potrzebował tylko dobrego zdjęcia. Dobrego materiału. Teraz powinien wyjść wyzwaniu naprzeciw.

Nash nigdy nikogo nie śledził.

Zaparkował sto metrów dalej na ulicy, przy której mieszkali Sara i Donovan Ivy, mając nadzieję, że jego samochód nie wzbudzi zbyt dużego zainteresowania. Niewiele ludzi na Gold Coast jeździ czymś tak pięknym.

Dom i jego otoczenie wyglądało dokładnie tak jak na zdjęciu, które widział w bibliotece. Ale jak na razie nie było żadnych dobermanów.

Zwierzęta wprowadzają zamieszanie. Ludzie tacy jak Ivy pewnie nie chcą mieć nawet psa pilnującego domu. Ale nie chodziło o psa. Nash nie miał zbyt dużej ochoty zakradać się do środka. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było aresztowanie pod zarzutem włamania. O nie, wołał poczekać, aż ktoś będzie wchodził. Ale wyglądało na to, że dzisiejszej nocy znów traci czas, tak samo jak poprzedniej nocy, i jeszcze wcześniej.

Minęła północ. Wcześniej obserwował, jak idealna para wyszła razem, a potem wróciła. W tej chwili są pewnie na górze i robią te rzeczy. Z jakiegoś powodu myśl o niej w łóżku Donovana Ivy'ego drażniła go w sposób, nad którym nie chciał się zastanawiać.

O co chodzi? Przecież dla niego nie ma to żadnego znaczenia.

Odchylił siedzenie w samochodzie do tyłu, żeby zrobić więcej miejsca na nogi. Założył ręce na piersi, oparł głowę i zamknął oczy.

Sara Ivy siedziała na podłodze w łazience, z zamkniętymi oczami, z głową opartą o ścianę, z prawie pustą butelką dwunastoletniej whisky opartą o nogi. Ciągle miała na sobie wieczorową suknię wyszywaną perłami, z ciężkim od cekinów trenem, oraz diamentowe kolczyki tworzące komplet z naszyjnikiem.

Z sąsiedniej sypialni dochodził dźwięk równomiernego oddechu Donovana. Spał. Zawsze zasypiał głęboko po tym, jak upewnił się w swoich do niej prawach.

Powinna wziąć prysznic. Zmyć z siebie jego ślady. Ale tak naprawdę nigdy to jej się nie uda.

Przestań się nad sobą litować. Nie lituj się ciągle nad sobą. Jednak czuła się okropnie.

Mnie jest przykro. Tobie jest przykro. Nam jest przykro. Oblizła wargi. Poczowała smak soli. I Donovana. Wciąż czuła jego wodę kolońską. I pot.

Dziwka. Czuła się jak ostatnia dziwka.

Siedziała tak jeszcze przez kilka minut. Potem bardzo ostrożnie podniosła

Theresa Weir

się. Nie miała na sobie majtek. Ani w ogóle bielizny. Donovan już się o to postarał.

„Czy to warto? Sypiać z kimś takim jak Donovan Ivy w zamian za wygodne życie?” Nie, nie warto.

Dwie myśli pojawiły się jej w głowie. Nienawidzi siebie. Musi od tego uciec.

Podniosła butelkę do ust i wypła do końca zawartość, delikatnie postawiła opróżnioną butelkę na blacie. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze Na rozmazaną szminkę. Worki pod oczami.

„Nienawidzę cię”.

Pochyliła się za mocno do przodu i straciła równowagę. Chwyciła się marmurowego blatu, jednocześnie przewracając szklany flakon na perfumy

Nie rozbił się. Nie rozumiała, dlaczego nie spadł i nie roztrzaskał się na milion maleńkich kawałków.

Donovan...

Nasłuchiwała. Czy ten hałas przypadkiem go nie obudził?

Oddech. Z sypialni dochodził równomierny oddech.

Odetchnęła głęboko, odstawiła perfumy na miejsce, po czym wyszła z łazienki, do sypialni, gdzie rozciągnięty w poprzek łóżka leżał twarzą w dół Donovan. Nagi.

Był bardzo dumny ze swojego ciała. Miał na jego punkcie obsesję pracował nad nim każdego dnia.

Coś wymamrotał, mocniej objął poduszkę i znów zasnął głęboko. Wpatrywała się w niego z opuszczonymi ramionami. W **tej** chwili wolałaby, żeby nie żył. Nią sama chciała umrzeć.

Z nagłą jasnością myśli, która czasami pojawia się po zbyt dużej dawce alkoholu, zrozumiała, co powinna zrobić.

Ze spokojem i pewnością, której nie czuła od lat, zdjęła kolczyki i pozwo- hła im opasc na dywan. Upadły z cichym brzękiem. Potem naszyjnik. Odwróciła się i wyszła. Zeszła po schodach. Gdy na parterze wyłączyła system alarmowy, otworzyła drzwi wejściowe i wyszła z domu.

Szczekanie. Szczekanie psa.

Nie było to szczekanie typu: „zaraz-cię-zagryzę”, lecz raczej przeciągłe wycie do księżycy.

Chwilę później usłyszał to następny pies i zaczął wtórować.

Nash zbudził się na swoim stanowisku i powoli dotarło do niego, że nie

znajduje się w żadnym ze zwykłych miejsc do spania, jak rozkładana kanapa w redakcji czy samochód na parkingu. Stał na czatach.

Miał obserwować dom Ivy.

Powoli przeciągał się, gdy nagle ktoś w bieli wyszedł przez główną bramę. Sara Ivy.

W porządku. O to chodzi. To jest moment, na który czekał. W środku nocy wychodzi cichcem z domu na potajemne spotkanie.

Z bijącym sercem opadł z powrotem na siedzenie i zerkając ponad kierownicę czekał, aż ktoś po nią przyjedzie.

Ale nikt się nie pojawił.

Żadnego ruchu, samochodu. Ludzie przy zdrowych zmysłach od kilku godzin byli pogrążeni we śnie.

Szła ulicą. Bez wahania pojawiła się w pełnym świetle ulicznej latarni, a potem zniknęła w ciemności.

Nie ryzykując, że straci ją z oczu, czekał tak długo, jak się dało, po czym przekreślił klucz w stacyjce. Wydawało mu się, że ciszę rozdarł ryk silnika, który zazwyczaj pracował cicho. Nie zwróciła na to uwagi.

Była już dosyć daleko od niego, ale jej biała suknia migotała na tle ciemnej ulicy.

Zwolnił hamulec. Z wyłączonymi światłami, posuwał się powoli w dół ulicą, starając się unikać latarni. Ale i tak było to bez znaczenia. Była tak całkowicie pochłonięta swoim spotkaniem, że nawet się nie odwróciła.

W głębi duszy, podświadomie, oczekiwał od niej czegoś więcej. W tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że robi to samo co inne kobiety w takiej sytuacji. Ogarnęło go rozczarowanie.

Z kim miała się spotkać? Z Crayem? Z kimś innym?

Jechał dalej z oczami utkwionymi w Sarze Ivy. Sięgnął na tylne siedzenie po aparat. Włączył fleszt, żeby zdążyć się naładować.

Gdzie ona idzie, do cholery! Czyżby zamierzała dojść aż nad jezioro Michigan?

Patrzył, jak przecina bulwar.

Postanowił resztę drogi pokonać na piechotę, zahamował i wyłączył silnik. Chwycił aparat, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Rozejrzał się, cicho zamknął drzwi, po czym ruszył w kierunku, w którym poszła Sara Ivy. W zimnej wrześnie nocy jego stukające o chodnik buty wydawały przeraźliwy dźwięk.

Nagle przed nim pojawiły się światła nadjeżdżającego samochodu. Nash zatrzymał się w pół kroku i poczekał, aż samochód go minie. Wtedy przebiegł

Theresa Weir

przez jezdnię i ukrył się za drzewami. Miłorzęby - aż cud, że przetrwały w tym mieście, pomyślał niespodziewanie. Plaża. Spotykała się z kimś na plaży.

Pomyśl, cóż za wspaniała okazja, powtarzał sobie w duchu, próbując zapomnieć o rozczarowaniu. Starał się wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu dla materiału, który mu się właśnie kroił. Mógł mieć lepsze zdjęcie niż to, które mu wyszło z fotomontażu.

Rozejrzał się wokół, w poszukiwaniu samochodu, który mógłby należeć do jej przyjaciela czy kochanka.

Nic.

Wygląda na to, że ukochany się nie zjawił...

Mimo że świeciła tylko połówka księżycy, noc nie była taka ciemna, rozjaśniała ją luna nad miastem. Już nie ma nawet dziewiczej ciemności. Wszystko dawno zatraciło pierwotny urok. Czy jakieś miejsce na ziemi jest prawdziwie czyste i jeszcze nie tknięte? W głębi, w tle, było tylko czarne jezioro, wielkie i bezkresne jak ocean, na którym mieniły się srebrne refleksy. Sara Ivy szła w kierunku refleksów na wodzie. Podążała do celu, bez wahania, nie rozglądając się na boki, prosto przed siebie. Prosto do wody. Zaraz, co ona robi? - pomyślał. Widział, jak jej biała suknia wciąż się oddala. O co tu naprawdę chodzi? Dotarła na sam brzeg i szła dalej. Woda sięgnęła jej do kolan, po chwili była do ud, do pasa. Kąpiel w środku nocy? Krok za krokiem oddalała się od brzegu. Wciąż dalej i dalej. Wydawało mu się, że zaraz zawróci. Stał i czekał. Bez skutku. Przed nimi była tylko woda. Woda po horyzont. I wtedy zrozumiał, że nie przysłała tu na spotkanie z kochankiem. Chyba że tym kochankiem była śmierć...

Nagle zaczął biec, niemalże frunął. Zanim dotarł do wody, upuścił aparat. Nie zawracając sobie głowy rozwiązywaniem sznurówek, zrzucił buty. Ile już minęło czasu?

Stracił ją z oczu.

Tam! Dostrzegł błysk bieli na wodzie. Szybko rozpiął spodnie i gwałtownym ruchem je ściągnął. Rzucił się do wody, z trudem brnąc do przodu, walczył z jej oporem. Czuł, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Gdy woda sięgała mu do ud, zanurkował. Zimno, o Boże, jak zimno. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Zaczął płynąć kraulem, zagarniając wodę długimi rzutami ramion. Zeby zwiększyć prędkość, momentami płynął motylkiem. Teraz, gdy znalazł się już w wodzie, jego pole widzenia znacznie się skurczyło. Wzrok nie sięgał dalej niż kilka metrów, woda szczypała go w oczy. Próbował dostrzec Sarę, ale wokół było ciemno. Nie był pewien, czy płynie we

właściwym kierunku. Nawet gdyby była zaledwie kilka metrów od niego, mógł jej nie zauważyć. A przecież może być gdziekolwiek.

Tutaj! Przed nim z lewej strony błysnęło coś białego. Zaczął mocniej uderzać w wodę. Paliło go w płucach, bolały ramiona. Krzyknął, próbując zwrócić na siebie uwagę kobiety, zachłysnął się wodą zakrztusił się, ale dalej poruszał się w kierunku białej plamy, która znów znikła.

Wokół niego znowu zapanowała jednolita ciemność. Cholera!

Musnął coś palcami. Materiał? Chwycił - było to ciało zimne jak lód, oklejone nasiąkniętą wodą tkaniną.

Złapał materiał i nie puszczał. Szarpnął. Poczul, że stała się ciężka. Zaczęła iść na dno, ciągnąc go za sobą. Utopi się. Oboje się utopia. Nie bał się śmierci. Ale po prostu nigdy nie przypuszczał, że odbędzie się to w ten sposób. W jego stylu byłby raczej strzał z pistoletu.

Z jedną ręką zanurzoną ciągle w fałdach sukni, drugą ściskając jej ramię, wypłynął na powierzchnię. Wynurzył głowę i zaczerpnął życiodajnego powietrza.

Uderzała go, odpychała od siebie, próbując uwolnić się z uścisku.

Znów znaleźli się pod wodą. I znowu na powierzchni.

Czul, jak jej suknia owija mu się wokół nóg tak, że nie mógł się ruszyć.

- Puść mnie! - zawołała z płaczem, wyrywając się i okładając go pięściami, gdy próbował ich oboje utrzymać na "powierzchni.

Wreszcie ją puścił.

Natychmiast zniknęła po wodą po chwili wynurzyła się, ciężko łapiąc oddech, jednocześnie odsuwając się od niego.

Znowu ją schwycił.

- Co robisz? - krzyknęła.

Wszystko, co mógłby teraz powiedzieć, to banały. „Przecież tak naprawdę wcale nie chcesz się utopić. Będzie lepiej, nigdy nie jest tak źle, jak się wydaje”.

- Ciągle mam nadzieję na ten wywiad.

- Zostaw mnie!

Nie odezwał się więcej.

Jedynym sposobem, żeby samemu nie dać się utopić, to chwycić potencjalnego topielca pod brodę.

Przekręcił ją więc na plecy, ujął pod brodę i zaczął płynąć w kierunku brzegu, który teraz wydał się strasznie odległy.

Nie walczyła z nim długo.

Gdy tylko przestała się z nim szamotać, poczuł, że jest zupełnie wykończony. Sara nie dawała znaku życia. Była drobna, ale jej suknia została ozdobiona czymś w rodzaju haftu z koralików, które znacznie ją obciążały. To spowolniło ich tempo. Światła nabrzeża nie przybliżyły się ani trochę.

53

Theresa Weir

Nie myśl. Płyn dalej.

Płuca pękały mu z bólu. Nogi i ręce mdlały ze zmęczenia. Szwy na twarzy które nie powinny były się zamoczyć, paliły, jakby przypalano je rozgrzanym do czerwoności żelazem. Pomyślał, że już dłużej tego nie wytrzyma. W momencie kiedy wydawało mu się, że już nie da rady zrobić następnego ruchu, odzyskała przytomność i znów zaczęła się z nim szarpać. Obiema rękami odpychała jego ramię, próbując uwolnić się z uścisku. Wyrwała się. Nie da rady, nie da... Kolanami uderzył o piasek. Na chwiejnych nogach zrobił lalka kroków puścił ją i opadł na kolana. Z trudnością oddychał, paliło go w płucach, kiedy nagle doszło do niego, że Sara brnie przez wodę, krztusząc się i łykając więcej wody niż powietrza. Chwycił ją za suknię i powłókł aż na brzeg, gdzie ją upuścił na piasek a sam upadł obok. Mając ciągle pełne usta wody, krztusiła się i kaszłała.

Wreszcie padła bez ruchu obok niego, z policzkiem na piasku, włosami przyklejonymi do twarzy.

Było potwornie zimno.

To była jego pierwsza konkretna myśl, gdy usiłował uspokoić oddech. Leżąc obok niego nie wydawała żadnego dźwięku. Podczołgał się do niej i przewrócił ją na plecy. Odgarnął jej włosy z twarzy, piasek z lodowatego, alabastrowego policzka. Nagle zamarł. Otworzyła oczy.

Woda osiadła jej na rzęsach, tak że wydawały się bardzo ciężkie. Wpatrywała się w mego. Bez końca. Jak zahipnotyzowana. Miał dziwne uczucie, jakby patrzył w lustro. Widział swoje wielokrotne odbicie.

Wreszcie wyszeptała sinymi, drżącymi wargami.

- Dlaczego?

Żółte światło ulicznych latarni powodowało, że jej suknia stała się przezroczysta. Bardzo wyraźnie było widać, że pod suknią nie ma nic. Kompletnie nic. Widział ciemne obwódki sutków. I ciemny zarys między udami.

- Dlaczego?... - zapytała znowu.

Dlaczego wyciągnął ją z jeziora. To właśnie chciała wiedzieć.

- Powiedzmy - przerwał chwytając oddech - że nie lubię stać i patrzeć, jak ktoś popełnia samobójstwo.

- Co spowodowało - jej pierś unosiła się i opadała, kiedy i ona próbowała złapać oddech - że postanowiłeś... zająć się tym... osobiście?

Mógł udawać, że nie zrozumiał, o co chodzi, ale wiedział, że ma na myśli jego profesję. Ale kimże ona była, żeby go oceniać?

- Nie miałeś skrupułów... żeby zniszczyć czyjeś życie na papierze, więc dlaczego... miałbyś teraz próbować ocalić moje życie? - Zaczęła równomiernie oddychać. - Czyżbyś szukał jedynie tematów do swoich obrzydliwych artykułów?

Zabijał słowami. Czy rzeczywiście to robił? Czy tak to odbierała?

Oderwał od niej wzrok, aby upewnić się, że aparat leży tam, gdzie go porzucił, kilka metrów dalej, na piasku.

Spojrzał na nią znowu. Jej piersi, biodra, twarz. Ta twarz, tak słodka i pozornie niewinna.

Mógłby zrobić jej zdjęcie. Właśnie w tej chwili. Przez ułamek sekundy pragnął, aby była niewinna, aby była kimś innym. Ale pragnął również, by dla niego czas się cofnął, aby był taki jak kiedyś. Przez ułamek sekundy...

Złapał się na tym, że jej dotyka, przebiegając palcami w dół po policzku, brodzie, po szczupłej szyi.

Wyczuł puls. Położył dłoń na krtani. Przesunął ją niżej. Musiał dowiedzieć się, co ją pchnęło w odmęty jeziora.

- Co się stało? - zapytał. Musiał upewnić się, że nie ma z tym żadnego związku.

Myślał o jej dotychczasowym życiu, o tym, jak je traciła, żyjąc przy boku Ivy'ego, człowieka, dla którego nie była niczym więcej niż igraszką. Takie życie może być trudniejsze niż życie na ulicy. W końcu na ulicy jesteś sobą. Nie musisz z nikim rozmawiać, jeżeli nie chcesz.

Nagle zdał sobie sprawę, że mimo woli podziwiał ją. Mogła być równie dobrze niezwykle odważną jak i strasznie głupia. Ale śmierć...

- To takie ostateczne... nieodwołalne... - usłyszał, jak wypowiada to głośno.

Nieobecne spojrzenie mówiło, że skupiła się na czymś, co tkwiło głęboko w niej.

- Tak.

To jedno słowo zostało wypowiedziane z taką zimną i smutną tęsknotą, że aż ciarki przeszły mu po plecach.

- Co cię do tego popchnęło? - wyszeptał.

Niespodziewana szczerłość jego pytania wstrząsnęła nią, przywróciła do rzeczywistości. A rzeczywistość siedziała obok: Nash Audubon, reporter brukowca.

Jej oczy straciły nieobecny wyraz, potrząsnęła głową. Na jej twarzy widział ten sam wyraz zdecydowania, jak wtedy, gdy potraktowała go tak arogancko w hotelu „Renesans”.

Chwyciła i odepchnęła jego rękę, po czym rzuciła przez zaciśnięte zęby:

- Złamałam paznokieć.

Theresa War

Innymi słowy dała mu chyba wystarczająco jasno do zrozumienia, że to nie jego sprawa.

Roześmiał się, odsunął i usiadł z rękoma opartymi na kolanach.

Uniosła się nieco. Suknia kleiła jej się do ciała.. Sutki były naprężone z zimna. Przekręciła się na kolana, tyłem do niego. Pod mokrym materiałem widział wyraźny zarys pośladków.

Poczuł, jak twardnieje.

Podniosła się. Zrobiła kilka chwiejnych kroków i stanęła nad nim.

Uniósł głowę, aby na nią spojrzeć. O Boże, jaka była piękna!

Spojrzała na aparat, a potem z powrotem na niego. Podeszła, podniosła aparat i ruszyła w stronę wody.

Wyglądało na to, że naprawdę zamierza wrzucić go do jeziora.

Kiedy doszła na sam brzeg, zatrzymała się i z aparatem w wyciągniętej ręce nad wodą czekała na jego reakcję.

Wszystko, co był w tej chwili w stanie zrobić, to przyglądać się jej jak oniemiały.

Jak mokra chusteczka. Suknia owijała ją tak jak mokra chustka.

Wszystko go bolało. Dygotał. Jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

Kilka sekund później podeszła do niego. Patrząc spod ramienia, widział jej gołe stopy. Chciał wziąć w dłonie jedną z nich, otoczyć palcami jej kostkę, przesunąć dłonią po łydkach, kolanach, udach.

- Weź to. Uniósł głowę.

Stała nad nim na rozstawionych nogach, z aparatem w dłoni.

- Weź to - powtórzyła.

Miał ochotę wziąć... ją. Teraz. Na plaży. Powoli podniósł się i wyjął aparat z jej rąk.

- Zrób mi zdjęcie. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Czyż nie tego właśnie chcesz? Skina} głową

Cofnęła się o kilka kroków.

- W takim razie zrób to zdjęcie.

Spojrzał na aparat. Raptem wydał mu się jakiś obcy. Z jakiegoś powodu nie mógł sobie przypomnieć, jak należy się nim posługiwać. Dłonie mu drżały. Obejrzał dokładnie aparat, zauważył, że dioda lampy błyskowej pali się. Był gotowy do zdjęcia. Mimo woli podniósł aparat do twarzy. Złapał ją w kadr, ustawił przesłonę na automat, wyregulował ostrość. Zamglony obraz stał się ostry, krystalicznie czysty.

DŁUGA KSIĘŻYCOWA NOC

Za nią - czerń jeziora. Jej biała skóra. Ciemne oczy. Czarne włosy. Jej sutki... jej sutki. Ciemny zarys włosów między udami... Jej uda... Erotyczny anioł.

Nacisnął spust migawki. Flesz rozjaśnił noc i na moment go oślepił.

Kiedy znów mógł widzieć, już jej nie było. Znikła.

Odwrócił się, oczekując w głębi duszy, że zobaczy ją idącą po wodzie jak zjawę. Lecz nie, dostrzegł ją pomiędzy miłorzębami. Szła w kierunku domu, wracała, skąd przyszła. Z powrotem do rezydencji i basenu. Z powrotem do Donovana Ivy'ego.

Ludzkość z trudem znosi rzeczywistość.

T.S. Eliot

Rozdział szósty

Lodowata woda spowodowała, że wytrzeźwiała i w drodze powrotnej do domu była o wiele bardziej przytomna. Kiedy szła w stronę jeziora, nie była świadoma sytuacji, okolicy, niczego... Teraz czuła twardość chodnika pod bosymi stopami, jego nierówności kłuły w pięty. Nocne powietrze, opływające **jej** mokre ciało, powodowało gęsią skórę. Woda kapała z włosów na ramiona. Spływała z sukni w dół po nogach.

Zmiany nie były tylko natury fizycznej. Przedtem szła do wody bez jednej myśli, bez zastanowienia, z pustą głową jak oszołomiona, ciało poruszało się do przodu, mechanicznie. Teraz przez głowę przelatowały jej różne myśli
Samobójstwo.

Dobry pomysł.

Kto by przypuścił, że reporter z „Shoot the Moon” nagle zamieni się w rycerzyka.

Była przygotowana na śmierć. Chciała umrzeć. Wygląda na to, że nawet tego nie umie zrobić dobrze.

Lecz w tej chwili nie wszystkie jej myśli były ciemne i ponure. Gdzieś głęboko w środku pojawiło się coś, czego nie było wcześniej. Iskra. Jakby drgnienie jej dawnego JA.

Kiedy podała Nashowi Audubonowi aparat i zmusiła do zrobienia zdjęcia poczuła, że żyje. Była jakby odrodzona, nie doznawała **tego** już od dawna Ironia **jej** nie opuściła.

Nagle doszedł ją dźwięk nadjeżdżającego samochodu.

Nie odwróciła się. Nie spojrzała.

Samochód zwalniał, aż się z nią zrównał.

Czy to on?

- Proszę pani...

To nie on. Nie Nash Audubon. Powoli odwróciła głowę Wóz policyjny. Policjant. Jej serce zaczęło bić szybciej.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał. Od strony pasażera miał opuszczone okno, opierał się na sąsiednim siedzeniu, wyglądał z samochodu, wyciągając szyję.

Był młody. Troszkę niepewny. Nie bardzo wiedział, co ma z nią zrobić.

- Nie powinna pani sama spacerować tu po nocy. Proszę wsiąść do samochodu, odwiozę panią do domu.

Słyszała o mężczyznach, którzy udają policjantów, aby napadać na niczego nie podejrzewające kobiety. Ale ten samochód był wyraźnie oznakowany, na drzwiach miał emblematy policji i kratę za przednim siedzeniem.

Zatrzymała się. Samochód też. Policjant otworzył drzwi z prawej strony. Do domu. Do Donovan.

Tak, wróci do domu. Ale wróci tam po raz ostatni. Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi.

Automatycznie sterowane okno zamknęło się. Policjant wrzucił pierwszy bieg i zwolnił hamulec ręczny.

- Co to, pływaliśmy? - zapytał próbując nawiązać rozmowę.

- Tak.

- Plaże zamykane są o dziewiątej. - Jego głos był łagodny, spokojny, cierpliwy. ^

- Wiem.

Może ją zaaresztuje? Może zamknie w więzieniu? Może zostanie tam na bardzo długo? Zamknięta. Bezpieczna.

- Nie powinna pani pływać sama.

- Wiem.

Ale przecież nie była sama, nie na długo. Gdyby była sama, nie siedziałaby tu obok niego, w wozie policyjnym.

- Proszę tu skrócić - poprosiła.

Kiedy dotarli do czarnej bramy z kutej stali, zamykającej posiadłość Ivy'ch od strony południowej, powiedziała:

- To tutaj.

Zatrzymał się przed bramą.

- Donovan Ivy? - zapytał zaskoczony. - Pani dla niego pracuje? Już miała dłoń na klamce, gdy odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Wyszłam za niego.

Potem otworzyła drzwi i wysiadła.

- Proszę pamiętać, że nie wolno pływać po dziewiątej. I... - odchrząknął - pani Ivy, następnym razem, gdy będzie się pani wybierała popływać, proszę nie iść samej i proszę pamiętać, żeby wziąć ze sobą coś do okrycia.

Myślała, żeby mu powiedzieć, że zwykle nie biega na wpół goła. Że jest

Theresa Weir

miłą dziewczyną, skromną i raczej konserwatywną, ale byłby to zbyt duży wysiłek. I tak pewnie by jej nie uwierzył. Nie, miała o wiele ważniejsze sprawy do załatwienia niż pogawędka z policjantem... Policjantem - rzuciła okiem na jego plakietkę - policjantem Sherrardem. Przełknął ślinę, wydawało jej się, że się zaczerwienił.

- Powiniennem napisać raport, że wystawiła się pani na niebezpieczeństwo. Ale nie zrobię tego. Proszę, żeby się to więcej nie powtórzyło.

Skinęła głową, po czym podeszła do bramy. Wprowadziła kod. Brama powoli otworzyła się. Sara weszła do domu. **Donovan** obudził się z zimna. Błądził ręką po prześcieradle, próbując w ciemności odszukać żonę. Ale w pustym łóżku nikogo nie znalazł.

- Sara - mruknął, naciągając na siebie przykrycie. - Sara. Tym razem był już bardziej niecierpliwy i rozbudzony. Doszły do niego jakieś dźwięki. Nagle w sypialni zapaliło się światło. Zamrugął i unióś rękę, żeby zasłonić oczy. W drzwiach stała jego żona. Miała ciągle na sobie tę suknię co przedtem. Z tym, że teraz była mokra. Jej włosy też były mokre.

- Sara?

Stała wciąż w drzwiach, z ręką na wyłączniku.

Było w niej jednak coś dziwnego, niepokojącego, coś więcej niż tylko mokre ubranie i włosy.

Przyjrzał się jej dokładnie. Nie wyglądała na pijaną.

I wtedy nagle dotarło to do niego. Ten strach. Strach, który zawsze widział w jej oczach, gdzieś zniknął.

- Gdzie byłaś? - zapytał. - Pływałaś w basenie w ubraniu?

Przeszła obok niego do garderoby, tak jakby w ogóle się nie odezwał. Otworzyła szufladę i wyciągnęła parę majtek i koszulkę. Bieliznę.

Kiedy był w wieku około dziesięciu lat, przez krótki czas miał psa. Jak on się nazywał? Nie mógł sobie przypomnieć. Ale teraz to już nieważne. Ważne jednak jest to, jak Donovan go traktował. Gdy go wołał, pies do niego przychodził, czołgając się na brzuchu, ze strachu robił pod siebie. Wreszcie, kiedy doczołgał się do niego, Donovan kopał go.

Coś w zachowaniu tego psa, tak mu posłusznego mimo strachu, wywoływało w nim prawie seksualną przyjemność.

- Saro, podejdź tutaj.

Wyprostowała się i odwróciła do niego. I znów w jej oczach nie było widać ani śladu strachu.

- Odchodzę - powiedziała.

Minęła sekunda. I druga.

Roześmiał się głośno, odrzucając głowę do tyłu. Nie odejdzcie. Nie tak po prostu. Byłoby to niesprawiedliwe. A poza tym - przecież go kocha. Potrzebuje. I on jej potrzebuje. Od czasu do czasu. Odrzucił przykrycie tak, że mogła zobaczyć, jak bardzo jej potrzebuje. Jak wielki i twardy jest specjalnie dla niej. Przez kilka ostatnich lat nie pociągała go prawie wcale. Tak było do czasu, kiedy zaczęła się ta cała sprawa z Crayem. I teraz nie miał jej nigdy dość.

- Saro, chodź tutaj.

Patrzył na nią, czekając, aż strach pojawi się w jej oczach. Wpatrywała się w niego, przyciskając do piersi zwinięte ubranie.

- Nie.

Zabrzmiało to zdecydowanie, ale on wiedział lepiej. Teraz mógł już wyczuć jej strach. Cholera, prawie go czuł. Ta świadomość podniecała go jeszcze bardziej. Odwróciła się w stronę drzwi.

Polowanie się zaczęło. Lubił jej uległość i drzenie, lubił jej strach i płacz, ale najbardziej lubił polowanie. Był szybki. Zdążyła zaledwie zrobić dwa kroki, kiedy rzucił się do przodu, złapał ją, chwycił i przyciągnął do siebie, wbijając palce w jej ramię.

- Nigdy ode mnie nie odejdziesz! Podniósł rękę.

Odwróciła głowę. Poczuł, jak krew szybciej zaczęła krążyć mu w żyłach.

- Odchodzę - powtórzyła, usta jej drżały, oddech był przyspieszony. Słowa. Nic więcej, tylko słowa. Nigdy go nie zostawi. Nigdy jej na to nie pozwoli. Należy do niego.

Chwycił ją za włosy, owijając je sobie wokół dłoni. Szarpnął.

- Ty niewdzięczna dziwko! - chrapliwie rzucił przez zaciśnięte zęby. - Byłaś nikim, kiedy cię spotkałem. To ja dałem ci wszystko. Wszystko!

Szarpnął ją za włosy, aż łzy pociekły jej z oczu. W końcu mu ulegnie. Zawsze tak było.

- Odchodzę - powtórzyła po raz trzeci, jakby upewniając samą siebie, że naprawdę tak się stanie.

Cholera! Sama go prowokuje. Czy nie widzi tego, że sama go prowokuje? Nie wie, ile razy powstrzymywał się, aby nie zrobić z niej miazgi? Tyle razy zdołał tego nie zrobić...

Wpatrywał się w jej szare oczy, a jednocześnie powoli docierało do niego, że jego palce natknęły się w jej włosach na coś dziwnego.

Theresa Weir

Piasek.

We włosach. Na jej szyi. Piasek.

Wcale nie była na basenie.

Była na plaży. Z Crayem. Była na tej cholerniej plaży z Crayem. Złość eksplodowała. Pociemniało mu przed oczyma. Mięśnie szyi zeszywniały. Napięcie w nim rosło.

- Ty dziwko! - wrzasnął. - Ty głupia, niewdzięczna żmijo! Uderzył ją.

Upadła, uderzając głową o drzwi, które z hukiem walnęły o ścianę. Prawie natychmiast była z powrotem na nogach.

Wybiegła z pokoju. To doprowadziło Donovana do szału. Rzucił się za nią z rękoma wyciągniętymi przed siebie.

Słyszał, jak zbiega po schodach. Gonił ją nie zwracając nawet uwagi na schody przed nim. Mimo wściekłego zaślepienia zobaczył ją na parterze Z telefonem w ręku.

- Pomocy! Pomóście mi! Błagam!

Wyrwał jej słuchawkę z ręki i rzucił na widełki. Wtedy znów ją uderzył.

- Nie odejdziesz ode mnie! Nigdy ode mnie nie odejdziesz!

Stracił nad sobą panowanie, ale miał to gdzieś. Stracił panowanie i bardzo mu było z tym dobrze.

- Powiedz to. Powiedz, że nigdy nie odejdziesz ode mnie! Znów ją uderzył.

- Powiedz to!

Krwawiła. Na jej sukni pojawiła się czerwona plama.

Patrz, do czego mnie zmuszasz! Patrz, do czego mnie zmuszasz!

- Powiedz to!

I znów ją uderzył.

- Powiedz to!

Leżała na podłodze. Wydobywał się z niej jakiś dźwięk, stłumiony i niezrozumiały. Podobny do łkania. Podobny do dźwięków, jakie zwykł wydawać jego pies. Kopał ją.

- Powiedz to!

- Odejdę od ciebie... - wyszeptała, włosy zakrywały jej twaiz, plecy skulone. - Nigdy... nie... odejdę... od ciebie...

Jjsgo ręce i nogi drgnęły. Upadł na kolana i przyciągnął ją do siebie, biorąc

- Moja Sara. Moja mała Sara. - Głaskał ją po splątanych włosach. Jego

ręce były lepkie. - Tak bardzo mnie kochasz. Tak bardzo mnie kochasz. Słyszysz mnie? Sara? Sara?

W ciemni, w świetle czerwonej żarówki, Nash wpatrywał się w kuwetę z wywoływaczem. Delikatnie ją uniósł, zamieszał płyn i przyglądał się, jak powoli wyłania się Sara Ivy.

Nie mógł spać. Kiedy z powrotem włożył dzinsy, co nie było takie proste dla kogoś, kto miał na sobie mokre spodenki, wskoczył do samochodu i przyjechał prosto do redakcji wywołać film.

W jakiś sposób udało mu się świetnie ustawić aparat, chociaż był jak w transie. Zdjęcie było idealne. Ostrość też. Głębia taka, jak trzeba. I Sara Ivy...

Aparat uchwycił rzeczy, które jego oczy i wzburzony umysł przeoczyły. Delikatną doskonałość jej skóry. Mimo że zdjęcie wydobyło czarne cienie pod oczami, efekt był jednocześnie przerażający i pociągający.

Szcypcami wyjął zdjęcie z wywoływacza, poczekał, aż roztwór spłynie, przeniósł zdjęcie do wody, a po trzydziestu sekundach zanurzył je w utrwalaczu. Po minucie włączył górne światło.

Wpatrywał się w zdjęcie, odczuwając jakieś głębokie pragnienie. Ale jednocześnie czuł coś o wiele bardziej niepokojącego: w jakiś dziwny sposób udało się jej obudzić gdzieś w środku w nim ból, czułość, z którą już nigdy nie chciał mieć nic wspólnego. Gdy tak spoglądał na jej zdjęcie, czuł się nieodporny na przeciwności losu jak dziecko. Czuł się słaby jak człowiek. Po raz pierwszy od dwunastu lat bał się.

To było coś więcej, niż wydawać się mogło w pierwszej chwili. Bogate, szczęśliwe kobiety, mężatki, nie próbują się zabić. Och, tak, oczywiście, czasami aranżują samobójstwa, lecz zwykle są to po prostu głośne skandale, rozdmuchane w celu wzbudzenia zanikającego zainteresowania ich mężów. Ot tak, dla odrobiny romantyzmu...

Ale Sara Ivy naprawdę miała taki zamiar. Chciała Umrzeć. I była wściekła, że jej w tym przeszkodził. v

No, dobrze. Co się do cholery dzieje? Dlaczego wtrącił się w to?

Była mężatką.

Miała kłopoty.

Pragnął jej.

Nieważne, jakich argumentów używał, nie mógł zaprzeczyć temu, że jej pragnął.

Głęboko westchnął i potarł piekące oczy, próbując pozbyć się tych myśli. Przełożył zdjęcie do końcowej kąpieli, odkręcił bieżącą wodę i wyszedł z pokoja Zgasił światło i wziął ze sobą minutnik.

Theresa Weir

W biurze wyciągnął się na obszarpanej pomarańczowej sofie, nie zawracając sobie głowy rozkładaniem jej. Leżał tak w ciemności, kiedy zadzwonił minutnik. Wtedy wrócił do ciemni, zakręcił wodę, wyjął zdjęcie i włożył je do suszarki.

Było już prawie jasno, kiedy wrócił na kanapę.

Patrzył, jak przez zasunięte żaluzje wkrada się światło. Patrzył, jak ciemność zamienia się w szarość, patrzył, jak wstaje świt w Chicago. Wcale nie działał na niego kojąco i łagodnie, jak opisywał to Carl Sandburg, lecz wywoływał w nim jakiś nieokreślony ból, tęsknotę, której nie umiał dokładnie sprecyzować, ani do końca pojąć.

Nash jeszcze smacznie spał, kiedy dźwięk klucza w zamku przywrócił go do rzeczywistości. Wiedząc, że nie może to być nikt inny jak tylko Harley czy Tootie, przekręcił się na kanapie, próbując przyjąć wygodniejszą pozycję albo rozluźnić zeszytniały kark. Miał nadzieję na jeszcze kilka godzin snu.

Harley wszedł i nawet nie starał się być cicho. Rzucił z hukiem plik papierów na biurko i zapytał:

- Czy widziałeś już wiadomości?

Nash jęknął i przekręcił się na bok, z twarzą odwróconą do oparcia kanapy.

Stojący za nim Harley włączył telewizor.

- O rany, Harley. - Nash wsadził sobie poduszkę na głowę. - Daj mi spokój.

Ale nawet przez poduszkę słyszał, jak Harley przełącza kanały.

- Przycisz - jęknął. - Przycisz.

- Myślę, że chcesz to usłyszeć.

Znajomy głos spikerki lokalnego programu zatrąbił z odbiornika.

- A gdy przybyliśmy na miejsce, wypadek Sary Ivy, pobicie i przypuszczalny gwałt uświadomił mieszkańcom Gold Coast, że mogą obawiać się o swoje bezpieczeństwo i swoich bliskich. Nash zerwał się z sofy i usiadł, ze spuszczone nogami. - Co?! - wycharczał.

- Sara Ivy jest w ciężkim stanie - powiedział Harley, poukładał papiery i klapnął na rogu biurka. - To się stało dzisiaj nad ranem. Prawdopodobnie za dużo wypila i zapragnęła kąpieli. Wyszła sama z domu w środku nocy, poszła popływać nad jezioro Michigan, potem wróciła do domu. W drodze powrotnej ktoś ją napadł.

Nash przełknął, ale nie zrobiło mu się lepiej. Ciągle miał zaciśnięte gardło.

Skończyła się reklama. Spiker relacjonował wydarzenia, z grubsza pokry-

wało się to z tym, co opowiedział Harley. Po czym nastąpił fragment wywiadu na żywo z Donovanem Ivym.

Mikrofon wycelowany prosto w twarz.

- Panie Ivy, czy pan coś widział lub słyszał?

Ivy pokręcił głową, oszołomiony. Jego głos, kiedy go wreszcie z siebie wydobył, świadczył o szoku, jaki przeżył.

- Nie.

Wyglądał strasznie, był nie ogolony. W pogniecionej koszuli, oczy nabiegłe krwią.

- Moja żona... Ona jest niezwykłą kobietą. Udało jej się w jakiś sposób wrócić do domu, próbowała dzwonić na policję. Telefon spadł na podłogę.

- I to pan w rezultacie dzwonił?

- Połączenie zostało przerwane, więc ja spróbowałem.

Po raz pierwszy od dwunastu lat Nash miał uczucie, jakby miał się zaraz rozpląkać. Boże! Powinien to przewidzieć. Powinien odwieźć ją bezpiecznie do domu.

- Mam nadzieję, że udało się zarejestrować ten pierwszy telefon - powiedział reporter.

Minęła chwila i rozległ się nagrany głos Sary Ivy, pełen strachu i przerażenia: „Pomocy! Pomóżcie mi! Błagam!”

Nash trzęsącymi się rękoma przeczesał włosy.

- Boże!

- Policja podejrzewa, że motywem całego zajścia był gwałt. Czy pan przypuszcza, że pańska żona została zgwałcona?

Donovan Ivy nerwowo rozejrzał się wokół, jego twarz była pełna cierpienia.

- Jak oni mogą tak wypytywać tego faceta? - powiedział Harley. - i mówi się, że to my jesteśmy bez serca

- Ja., nie... wiem. - Donovan Ivy próbował wziąć się w garść. - Zdjęli odciski palców. Robią jakieś badania

- Co w takim razie z zeznaniem policjanta, który twierdzi, że widział pańską żonę tej nocy?

Wyglądało na to, że to pytanie zaskoczyło go, wstrząsnęło nim. - Nic o tym nie wiem.

- Jaki jest stan pańskiej żony?

- Śpiączka. Tak to nazywają.

- Rozumiem, że straciła dużo krwi.

- Proszę, błagam. Czy nie możemy mówić o czymś innym?

Pytania reporterów, tak bezlitosne, przypominały Nashowi pytania, które i jemu kiedyś stawiano.

Zacisnął powieki, odrzucając te wspomnienia. Atak. Gwałt. Krew.

Theresa Weir

Poczuł mrowienie w dłoniach. Zawrót głowy. Chyba zaraz zwymiotuje. Zaledwie zdawał sobie sprawę z obecności Harleya, którego głos wydobywał się jakby z głębokiej studni.

- To mu przyniesie trzydzieści tysięcy głosów wyborców. Cholera, nawet ja mógłbym teraz na niego głosować.

W głowie Nasha był zamęt. Wiesz, co myślę? - czuł narastający zawrót głowy. - Myślę, że on wszystko to zmyśla.

Tak właśnie myślę. To wszystko lipa.

Szum w głowie zamieniał się w huk.

- Hej, chłopie. - Głos Harleya dochodził do niego z samego dna tej studni. - Człowieku, co się z tobą dzieje?

Ogarniała go nicość. Gdzieś spadał. Spadał.

Nash próbował otworzyć oczy. Pokój wirował mu przed oczyma. Znow je zamknął. Próbował wstać, zatoczył się i z powrotem opadł na kanapę. Poczuł, jakby miał coś na twarzy. Na nosie i ustach. Torba. Jakaś cholerna papierowa torba. - Oddychaj - poinstruował go Harley. - Po prostu normalnie oddychaj. Nash odetchnął. Wciągnął powietrze i wypuścił je. Po chwili pokój zaczął wracać na miejsce.

Przez ten czas Harley wyłączył telewizor. Nash powoli przychodził do siebie, aż w końcu poczuł się na tyle dobrze, że sam mógł trzymać torbę.

Był zlany potem. Tak mokry, jakby wyszedł właśnie z jeziora Michigan.

- Dzięki - powiedział, kiedy wreszcie był w stanie oddychać bez torby. -Gdzie nauczyłeś się tej sztuczki?

Harley wzruszył ramionami.

- Bywa, że sam muszę od czasu do czasu robić sobie sztuczne oddychanie. Nash skinął głową. Oczywiście.

- Nie ma się czego wstydzić.

- Pewnie.

Na zewnątrz zatrąbił samochód. Inny mu odpowiedział.

- Nie bierz tak sobie do serca tej całej sprawy. To nie twoja wina.

- Nic nie rozumiesz - powiedział Nash. - Byłem z nią ostatniej nocy. Minęła chwila.

Nash zniecierpliwiał się.

- Nie patrz tak na mnie. Na litość boską, to nie ja na nią napadłem!

- Wiem, wiem. Ale lepiej nikogo o tym nie informuj, bo inaczej Ivy zwali całą winę na ciebie.

Nagle Nash zaczął opowiadać Harleyowi o tym, co się wydarzyło. Kiedy skończył, Harley powiedział:

DŁUGA KSIĘŻYCOWA NOC

- To nie była twoja wina. W takich okolicznościach wątpię, żeby miała ochotę zapraszać cię do domu, więc przestań się zadrećzać.

Ale Nash nie mógł przestać o niej myśleć. Spędził cały dzień przed telewizorem, czekając na nowe wiadomości.

W nocy siedział na swojej rozkładanej kanapie. W dłoniach ścisnął dwa zdjęcia Sary Ivy. Przyglądał się raz jednemu, raz drugiemu.

Na pierwszym złapał ją w momencie, kiedy myślała, że jest zupełnie sama. Plecami oparta o ścianę, z zamkniętymi oczyma, z głową odchylną do tyłu.

Roztrzęsiona.

A na zdjęciu z plaży...

Oślepiąco piękna. Nieodparta. Pełna seksu.

Oskarżał ją o życie w wieży z kości słoniowej, w tej wieży z kości słoniowej, z której próbowała uciec.

Atakowana.

Bitą.

Może nawet zgwałcona.

Ręce mu drżały. Upuścił zdjęcia. A potem, mając łokcie na kolanach, podparł rękami głowę. Boże! O Boże.

Oczy widzą tylko to, co rozum zdoła pojąć.

Robertson Davies

Rozdział siódmy

Następnego ranka Nash jadł placek z kurczakiem i pił letnią, rozpuszczalną herbatę, oglądając wiadomości.

Podawali nowe informacje dotyczące sprawy Sary Ivy.

- Chociaż wyniki testów w laboratorium wykazują jedynie odciski palców męża na ciele Sary Ivy, nie odrzuca się jeszcze podejrzenia gwałtu jako motywu napadu. W chwili obecnej, pomijając zeznanie pana Ivy, wszystko jest hipotezą i pozostanie nią, aż do czasu, kiedy pani Ivy odzyska świadomość. Wtedy dopiero, mamy nadzieję, będzie w stanie rzucić nowe światło na całe wydarzenie. Pomoże policji kontynuować dochodzenie, które aktualnie stanęło w martwym punkcie.

Potem nastąpił wywiad z lekarzem Sary. Wyjaśnił, że mamy tu do czynienia ze wstrząsem mózgu, obrażeniami wewnętrznymi, nie wykluczając wewnętrznego krwotoku. Musi zostać jeszcze w szpitalu, mimo że niebezpieczeństwo już minęło.

Obraz się zmienił. Na ekranie pojawiła się siedząca w studio spikerka, zadbana kobieta koło trzydziestki.

- Przez cały czas - odczytywała - Donovan Ivy odmawiał pielęgniarce i lekarzom, którzy nalegali, aby opuścił swoje miejsce przy łóżku żony na kilka godzin snu, którego potrzebuje jego wyczerpany organizm. Pozostał więc w pobliżu, zmęczony i niewyspany, trwając w swym czuwaniu. Kiedy proponowano, że ktoś go zastąpi, odpowiadał, że nie chce, by żona po przebudzeniu zobaczyła przy sobie kogoś obcego.

Prezenterka zebrała papiery, postukała nimi o biurko i powiedziała wprost do kamery.

- Jak widać jest jeszcze kilku porządných ludzi w tym kraju

Nash zdenerwowany wyłączył telewizor. Nawet fakt pobicia swojej żony Donovan Ivy był gotów wykorzystać jako darmową reklamę. Harley miał rację. To pozwoli mu zyskać mnóstwo nowych wyborców.

Szum.

W jej głowie. Głosy. Daleko.

Hałas. Głęboki, jednostajny głos, jakby dźwięk motoru, wydobywający się z piwnicy wielkiego budynku. Oczami wyobraźni widziała siebie w wielkim, przyprawiającym o dreszcze, metalowym tunelu.

Pod przymkniętymi powiekami pojawiały się obrazy jak w kalejdoskopie. Migające wzory zmieniały się wraz z dochodzącymi do niej dźwiękami, wydawały się z nimi związane.

Sara powoli otworzyła oczy.

Światło.

Biel. Oślepiająca. Zamknęła oczy.

Później. Spróbuj znowu później... **Trochę** później.

I znów nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Otworzyła oczy. Powieki były tak strasznie ciężkie. Tak potwornie ciężkie. Biel. Wszędzie.

Białe ściany. Biały sufit. Oślepiające białe światło.

- Kochanie. Głos Donovana.

Sufit kołysał się. Cały pokój wirował.

Próbowała sobie przypomnieć, przywołać, co się mogło stać. Za dużo wypła. Poszła nad jezioro Michigan.

Próbowała popełnić samobójstwo... On tam był. Wyciągnął ją z wody. Uratował jej życie. Ale co to za życie?

- Pani Ivy! Jak się pani **czuje?**

Próbowała trzymać oczy otwarte. Starła się skupić wzrok na postaci przed nią.

Doktor Westfall. Ich wzajemne stosunki były korzystne dla obydwu stron. Od niego dostawała wszystkie środki uspokajające, jakich tylko potrzebowała. W zamian **za** to był bardzo dobrze opłacany.

To on zajmował się nią gdy złamała rękę, a także potem, gdy poroniła. Był z nią w najgorszych chwilach, tak że momentami prawie zastępował jej ojca. Mógł być zbzikowanym, starym głupcem, a jego opiekuńczość czasami była nie do wytrzymania. Ale pomimo tego wszystkiego Sara czuła się naprawdę pod dobrą opieką. A to już było coś.

Bardzo dużo. Był wzruszający, czasami patetyczny, a czasem niekompetentny, ale była szczęśliwa, że go widzi.

- To dobrze, że znowu jesteś z nami - powiedział.

Theresa Weir

Jego delikatny, łagodny głos, trochę jak agenta ubezpieczeniowego lub pracownika zakładu pogrzebowego, spowodował, że się rozplakała. - No już, no już. - Pogłaskał ją po ręce. - Twój mąż bardzo się o ciebie martwił. Wszyscy bardzo martwiliśmy się o ciebie. Po czym zwrócił się do Donovanana:

- Zostawię was na chwilę samych.

Samych? Panika powróciła ze zdwojoną siłą Ogarnęła całe pomieszczenie. Nie zostawiajcie mnie z nim samej. Ale było za późno. Doktor Westfall już poszedł. Obok łóżka stał Donovan.

- Jak się czujesz? - Pochylił się, ostrożnie dotykając jej ramienia. - Tak się martwiłem. Kiedy znalazłem cię na stopniach przed domem, myślałem, że umrę z rozpacz. Co ja bym bez ciebie zrobił? Znalazł ją?

- Policja robi wszystko, co w ich mocy, żeby ująć tego potwora, który ci to zrobił.

Ująć potwora?

Znów usilnie próbowała sobie wszystko przypomnieć. Przypomniła sobie powrót do domu. Ktoś ją podwiózł.

Policjant Tak. Czuliła się tak bardzo odważna. Zamierzała powiedzieć Donovanowi, że odchodzi. Zrobiła to. A on ją pobił do nieprzytomności. Teraz próbuje wszystkim wmówić, że zrobił to ktoś inny.

Jest obłąkany.

To coś, o czym wiedziała od lat

O Boże! Jak trudno zebrać myśli!

Nie pozwoli na to. Tym razem nie będzie siedzieć cicho.

- Wyślę wiadomość do twojego ojca, żeby wiedział, że z tobą już wszystko w porządku. Jestem pewien, że całą historię zna z telewizji. A właściwie, dlaczego po prostu do niego nie zadzwonić? - Donovan podniósł telefon przy łóżku. - Jaka jest do niego numer?

Czekał. Kiedy nie odpowiadała, wykręcił jakiś numer, przyłożył słuchawkę do ucha i powiedział:

- Dzwonię do informacji.

Podał miasto, a następnie nazwisko jej ojca. Zanotował numer, po czym się rozłączył.

- Nie chcemy go przecież martwić? - zapytał, wybierając numer. - A swoją drogą, w jakim on teraz może być wieku?

Sądzę, że ma prawie siedemdziesiąt lat. Murowany kandydat na atak serca.

Serce w niej zamarło. Znów te błyski światła przed oczyma. Coraz trudniej było myśleć.

Czego on chce? Dlaczego to robi? Zamierza skrzywdzić ojca, jeżeli ona powie prawdę?

Tak. Właśnie tak.

Ze słuchawką przy uchu Donovan czekał, nasłuchiwał. Przysłonił słuchawkę ręką.

- A może sama wolisz z nim porozmawiać? Przyłożył słuchawkę do jej ucha.

- Halo? Halo?

Głęboki, spokojny głos. Głos jej ojca. Głos, którego nie słyszała od lat. Zacisnęła usta i pokręciła głową.

- Nie? - Donovan zapytał z udanym zdziwieniem i odłożył słuchawkę z powrotem na widelki, dokładnie w momencie, w którym do pokoju wszedł doktor Westfall.

- Co to? Znowu płaczemy?

- Jest rozdrażniona - wyjaśnił Donovan.

- Biedne maleństwo.

- Boli - powiedziała Sara, ledwie poruszając ustami. - Wszystko mnie boli.

- Dam ci coś, co uśmierzy ból.

Doktor Westfall zamówił morfinę. Kiedy pielęgniarka pojawiła się z lekarstwem, przekreślił Sarę na bok i wbił igłę w pośladek.

- Proszę bardzo - powiedział opuszczając jej koszulę nocną. - To ci powinno przynieść ulgę. ^

- Tak - wyszeptała, mając nadzieję, że stanie się to szybko.

W ciągu dwóch minut zaczęły jej drzeć końce palców. Język zdawał się bardzo ciężki. Sen nadchodził. A razem z nim ciemność. Błogosławiona, ogarniająca wszystko ciemność...

Kiedy następnym razem Sara otworzyła oczy, była sama. Ciągle bolała ją głowa. Wciąż widziała niewyraźnie. Ale na szczęście nie było Donovana. Raptem usłyszała kroki na korytarzu.

Szybko zamknęła oczy, mając nadzieję, że ktokolwiek to jest, da się nabrać, że śpi. Nasłuchiwała. Cisza. Nikogo.

Oszołomiona bólem, czując jeszcze działanie morfiny, sprawdzała, czy jest cała, unosząc wpierw ramię. Natrafiła na coś ręką.

- Hej, hej - wyszeptał męski głos. - Nie rób tego.

Poczuła dotyk dłoni, która delikatnie położyła jej rękę na łóżku wzdłuż ciała.

- Wyrwiesz sobie kroplówkę.

71

Theresa Weir

Powoli otwierała oczy. W ostrym świetle lampy zwisającej z sufitu stał Nash Audubon. Z jej zniekształconej przez narkotyki perspektywy wyglądał jak postać z innego świata, istota niezbyt realna.

Anioł.

Obraz był tak sprzeczny z tym, co o nim myślała, że aż poczuła niespodziewaną chęć do śmiechu. Zamiast tego zdobyła się tylko na uśmiech w głębi duszy.

- Jesteś... - usłyszała swój własny głos, podobny raczej do zgrzytu. Przełknęła, oblizując spierzchnięte wargi, po czym spróbowała znowu: - Jesteś aniołem. Jego marsowa mina zamieniła się w uśmiech, który zdawał się częścią światła, które go otaczało. I wtedy się roześmiał. Zabrzmiało to jak dudnienie wydobywające się gdzieś z głębi jego płuc, dźwięk niespodziewany, ale przyjemny.

- Czy... ja., jestem w... niebie? - zastanawiała się głośno.

Nash miał na sobie wytartą kurtkę dżinsową. Rozcięty policzek przyciągał wzrok. Jego włosy potargane były przez wiatr, jakby przyjechał tu na motocyklu albo samochodem z opuszczonymi szybami. Wyglądał jak uosobienie wolności.

- Jeżeli ty jesteś w niebie - powiedział - w takim razie ja źle trafiłem. Starła skupić się, znaleźć przyczynę, dla której jest w tym pokoju. Musiała

chyba dostać się do piekła. To by tłumaczyło wszystko.

- Są też... złe anioły - zaryzykowała. Znowu się roześmiał.

Ten dźwięk sprawił, że poczuła się lepiej.

Poczuła, że znowu zaczyna patrzeć na życie z ufnością. Tym razem na jej twarzy pojawił się uśmiech. Ból.

Przeszył jej głowę. Westchnęła ciężko i zacisnęła powieki. Żyła, czuła, że żyje.

- Gdzie cię boli?

Dotknął jej czoła. Przesunął palcami po skórze, jak czarodziej znajdując źródło bólu.

- Tutaj?

Prawie niezauważalnie skinęła głową. Gładził ją, ledwo muskając skórę. Jego dotyk był kojący, w jakiś sposób uśmierający ból. Wreszcie, kiedy odważyła się otworzyć oczy, zapytała:

- Jesteś tutaj, żeby dowiedzieć się, jak się to stało, czy tak? Zabrał rękę i spojrzał na nią spokojnie.

- Przyszedłem cię zobaczyć.

Zobaczyć ją?

„Nie bądź dla mnie miły. To tylko pogarsza sytuację. To pogarsza wszystko”.

W każdej innej sytuacji byłaby pewna, że to błąf. Przyjść, żeby ją zobaczyć? To po prostu śmieszne.

Zamiast tego mimo woli poczuła niepokój, gdzieś w środku, w ściśniętym gardle. To byłoby bardzo miłe, gdyby on naprawdę przyszedł, żeby ją zobaczyć. Zamknęła oczy.

„Nie płacz. Nie waż się przy nim płakać”.

Łza powoli spłynęła jej po policzku.

- Przepraszam - wyszeptał.

Ból, który czuła w głowie, w jakiś tajemniczy sposób odbijał się w jego głosie.

Dotknął jej dłoni, uniósł ją. Poczowała, że jego palce nie są tak stwardniałe jak u jej ojca, ale i nie tak miękkie jak u Donovana. Były mocne. Coś musnęło jej rękę. Coś miękkiego. Ciepłego. Delikatny dotyk. Dotyk wyrażający cześć, szacunek. Wargi Nasha Audubona.

- Przepraszam. - Oddechem pieścił kostki jej palców. Potem wyprostował się i powiedział: - Do widzenia, Saro.

Z powrotem położył jej rękę na łóżku. Usłyszała jeszcze jakieś dźwięki, a potem znów zapadła cisza.

Chwilę później, gdzieś na zewnątrz, z oddali dobiegły ją odgłosy kroków. Towarzyszył im głos Donovana:

- Nie było do mnie żadnego telefonu.

Mówił do kogoś na korytarzu, tonem, którego używał zawsze w rozmowie z kelnerami, kelnerkami, urzędnikami, swymi pracownikami.

- Bardzo przepraszam, panie Ivy.

- Następnym razem proszę sprawdzać dokładnie.

Nash siedział w biurze „Shoot the Moon” i oglądał znów wiadomości dotyczące wypadku Sary.

- Kiedy pani Ivy odzyskała przytomność, mogła powiedzieć tylko tyle, że nigdy przedtem nie widziała człowieka, który ją zaatakował. Mimo że trzy dni później w rowie niedaleko miejsca całego zajścia został znaleziony jakiś podejrzany samochód, a także mimo że państwo Ivy mają system alarmowy, nie odnaleziono żadnych śladów pozwalających na zidentyfikowanie sprawców napaści. Nie można nawet odnaleźć policjanta, który sam się zgłosił z oświadczeniem, że widział tej nocy panią Ivy. Powiedziano nam, że został przeniesiony do innego miasta. **Jak** na razie, pięć dni po brutalnym napadzie, pani

Theresa Weir

Ivy została zwolniona ze szpitala i obecnie przebywa w domu. - Komentator spojrział w kierunku kamery. - Domu, który kiedyś był jej schronieniem, rajem. Teraz już nie jest.

Relacja na żywo została przerwana i pokazywano zdjęcia nakręcone wcześniej tego dnia. I kiedy spiker znów opowiadał szczegóły napadu, na ekranie pokazywano Sarę opuszczającą szpital.

Nash podskoczył, chwycił kasetę wideo, włożył do magnetowidu i włączył nagrywanie.

Oczy z powrotem utkwili w ekranie.

Sara Ivy. Schodzi po schodach. Podtrzymywana ramieniem przez męża. Schudła. Nie powinna była stracić, na wadze. Sposób, w jaki szła, wyrażał nieprawdopodobne znużenie, wyglądała na pokonaną. Poddała się. To nie ta kobieta, którą widział na plaży, kobieta, która stała przed nim tak wyzywająco i żądała zdjęcia.

Jej oczy.

Jej oczy były ciemne, pełne bezgranicznej rozpacz. Wyglądała na bardzo smutną. Nie mógł znieść tego smutku. Co się z nim dzieje? Pamiętał czasy, kiedy ludzie byli w stanie wzruszyć go do głębi. Ale to było bardzo dawno, zanim życie zrobiło z niego tego, kim jest teraz.

Nash patrzył, jak Ivy zatrzymali się przy limuzynie, jak Donovan otwierał drzwi swojej żonie. Spojrzała na niego, potem gdzieś w dal.

I znów przyglądał się, jak wsiada do samochodu, jak Donovan wsiada za nią, jak odjeżdżają.

Kiedy relacja się skończyła, Nash zatrzymał nagrywanie, cofnął taśmę i obejrzał to raz jeszcze.

Coś go niepokoiło. Coś było nie w porządku. Coś więcej niż tylko jej smutek. Coś więcej niż niezdrowe cienie pod oczami.

Kiedy skończyła się taśma, znów ją odtworzył. I znów. Za każdym razem jego ręce mocniej się zaciskały. Ale mimo że wiele razy to obejrzał, nie mógł dojść, co go tak poruszyło, nie mógł dojść, co było nie w porządku, więc złożył to karb swego bezsensownego zauroczenia.

Mody to w końcu tylko sztucznie wywołane epidemie...

George Bernard Shaw

Rozdział ósmy

Sara szukała Nasha Audubona w książce telefonicznej Chicago, ale nie mogła znaleźć jego numeru. Zadzwoiła do informacji. Bez rezultatu.

Postanowiła zadzwonić do redakcji „Shoot the Moon”. Znalazła numer i wykrciła go.

A co będzie, jeśli on podniesie słuchawkę? Co wtedy powie? Czyżby zamierzała go o cokolwiek prosić?

Odezwał się nagrany męski głos, głos, którego nie znała. Raczej młody, z kalifornijskim akcentem. „Nie ma mniemtaj. Zostaw wiadomość”.

Odłożyła słuchawkę i chwilę później spróbowała znowu. Tym razem ktoś odpowiedział, ale nie był to Nash. To był ten głos z automatycznej sekretarki.

Postanowiła się nie odzywać.

- Jeżeli jesteś kolejnym gościem czepiającym się tego artykułu w „Moon” z ostatniego tygodnia...

Sara odczożaknęła i odezwała się:

- Ja... ja... szukam Nasha.

- Nasha? A po co? - głos zrobił się podejrzliwy. - Czy jesteś komornikiem? A może jego kuratorem?

- Nie, nic takiego.

- Chwileczkę.

Usłyszała stuknięcie, potem odgłos oddalających się kroków. Facet wołał Nasha. Chwilę później Nash podszedł do telefonu. Wstrzymała oddech.

- Hallo! - powtórzył z rosnącą irytacją.

- Mówi Sara Ivy - odezwała się wreszcie. Cisza.

- Zastanawiałam się... - Przełknęła i mocniej ścisnęła słuchawkę. - Chodzi mi o to zdjęcie, które zrobiłeś na plaży.

Theresa Weir

Nie mogła dopuścić, żeby **ta** rozmowa stała się dla niej krępująca. Mówiła szybko, bez zastanowienia.

- Chcę mieć negatywy. Zapłacę.

Sama wciągała siebie w pułapkę, wystawiając się na niebezpieczeństwo szantażu, ale nie miała pojęcia, co innego można zrobić w takiej sytuacji. Nie mogła pozwolić, aby zamieścił to zdjęcie w gazecie.

Czekała. Czekała **i** czekała. Tak długo, że myślała już, że połączenie zostało przerwane.

Wreszcie odezwał się:

- Nic z tego.

- Co, nie rozumiem?

- Zdjęcie. Nic z tego zdjęcia nie wyszło. Nie wiem, prawdopodobnie film się zamoczył, albo coś w tym rodzaju.

Osunęła się na najbliższe krzesło. Cała się trzęsła. Dzięki Bogu.

Niektóre kobiety piją, żeby zapomnieć o swoim życiu, inne sprzątają. Sara robiła jedno **i** drugie.

Przebierała w szafie, wśród mnóstwa rzeczy, z postanowieniem pozbycia się jednej czwartej swoich sukni wieczorowych. Większość z nich kupił jej Donovan. Miała przykazane, że nie może włożyć żadnej z nich więcej niż cztery razy, a tylko raz, jeżeli suknia była przeznaczona na tak wielką okazję jak aukcja.

Kiedyś słyszała o miejscu w Południowej Dzielnicy zwanym „Dwa Razy”, sprzedającym rzeczy używane.

Od kiedy Donovan zabronił jej prowadzić samochód, jak również korzystać z komunikacji miejskiej, musiała jeździć taksówką. Na początku ich małżeństwa miała do swojej dyspozycji samochód z szoferem, ale Donovan bardzo szybko zdecydował, że samochód za bardzo ułatwia jej opuszczanie domu, że daje jej zbyt wielką swobodę.

Gdy stanęli pod sklepem, kierowca, starszy mężczyzna, w którego taksówce wisiało zdjęcie wnuczki, był tak miły, że pomógł jej nosić pudła. Sara bardzo mu podziękowała **i** dała duży napiwek.

- A nie poszukuje pani przypadkiem pracy? - zażartowała właścicielka sklepu, wlokąc pudła Sary po brudnej drewnianej podłodze.

- A szuka pani kogoś?

Kobieta wyprostowała się, odgarniając z twarzy kręcone, siwiejące włosy.

- Szukam od lat. Nikt nie chce pracować jako ochotnik, bez wynagrodzenia, **a** zwłaszcza w tej części miasta.

- Może byłabym zainteresowana.

- Pani? - Kobieta parsknęła śmiechem. - To jest brudna robota, a klienci nie tacy jak w centrum.

Kilka lat temu Sara starała się o pracę w szkółce leśnej. W budynku czuć było wilgotną ziemię. Na półkach leżały nasiona. Mieli tam szklarnię pełną roślin. To pnyrwmięło jej dom.

Kiedy Donovan dowiedział się o tym, był wściekły, krzyczał, że nigdy jego żona nie będzie pracować, że nie potrzebuje zarabiać pieniędzy.

Ale praca wolontariuszki... Może na temat pracy wolontariuszki ma inne zdanie...

Tego wieczora siedziała przy obiedzie z duszą na ramieniu, czuła, jak ręka trzymająca widelec drży. Wreszcie opowiedziała Donovanowi o spotkaniu w „Dwa Razy”.

- Sklep z używanymi rzeczami?

Patrzył na nią przez stół, światło świec odbijało się na jego twarzy. Miał na sobie białą krochmaloną koszulę i sportowe spodnie khaki, kwintesencję męskiej elegancji - wszystko proste, a zarazem seksowne.

- Praca wolontariuszki?

Czuła przyspieszony puls. Miała wrażenie, że słycać, jak wali jej serce. Ostrożnie opuściła widelec i oparła go, nie o porcelanowy talerz, gdyż obawiała się, że w ten sposób może się zdradzić, ale na serwecie. Po czym położyła ręce na kolanach, by nie widziać drżenia.

- Tak.

- Dla bezdomnych? Przełknęła i skinęła potakująco.

Od powrotu ze szpitala Donovan był dla niej wyjątkowo miły. Nie tylko publicznie, oficjalnie, ale i prywatnie. I w dodatku, jak dotąd, nie żądał od niej spełniania obowiązków małżeńskich...

Ale wiedziała, że to tylko cisza przed burzą. Dla niego agresja była jednym ze sposobów wyładowania się. Im dłużej nie wybuchał, tym bardziej stawał się nieobliczalny.

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedział wreszcie.

Rozluźniła zaciśnięte dłonie, jeszcze czuła ślady po swoich paznokciach. Pozwolił!

W środku wszystko w niej tańczyło i śpiewało. Wolność! Codziennie będzie miała osiem godzin wolności.

- Ale nie w pełnym wymiarze godzin - dodał. - Nie wyglądałoby to dobrze.

Serce w niej zamarło. Czy tylko po to dawał jej coś, by zabrać to z powrotem?

- Popołudniami? - spytała. - Może od dwunastej do piątej?

Theresa Weir

Uniósł kieliszek z winem do ust, przybierając wyraz głębokiego zamyślenia.

- Piąta? To dosyć późno. Dni stają się coraz krótsze. Już **niedługo** o tej porze będzie ciemno.

- Nie jestem pewną czy w ogóle będą chcieli ze mną rozmawiać, jeżeli z miejsca zażądam krótszego dnia pracy.
Odstawił kieliszek.

- A o ilu w ogóle dniach rozmawiamy?

- No... nie wiem. Pięciu? - pięć dni w tygodniu byłoby idealnie. -Sześciu?

Wiedziała dobrze, że o siedmiu nawet nie ma co myśleć. Nawet jeżeli sklep byłby w niedzielę otwarty, Donovan nigdy nie pozwoliłby jej pracować w niedzielę. W niedzielę zawsze chodzili do kościoła. Razem.

- Trzy. Nie więcej niż trzy.

Uważała, żeby nie okazać rozczarowania. Trzy dni. Tylko trzy dni. Ale te trzy to lepiej niż nic.

Wytarła usta serwetką, udając, że skończyła jeść kolację, której nawet nie tknęła. Nie zamierzała mu okazywać, jak wiele dla niej znaczy, że może opuszczać dom, wiedząc dobrze, że gdyby zauważył najmniejszą oznakę radości z jej strony, zaraz by się z tego wycofał.

Położyła serwetkę na **talerzu**.

- Zobaczą, co powie właścicielka. Jeżeli nie będzie jej to odpowiadało, nie będę zawracać sobie tym głowy.

Potrzeby Marilyn były tak ogromne, że mogłaby wziąć każdego, na jakikolwiek wymiar godzin.

- Gdybym miała tyle, ile ty wydałaś na taksówkę, mogłabym spokojnie iść na emeryturę - powiedziała Marilyn do Sary po tygodnia

- Mój mąż nie chce, żebym prowadziła po mieście - powiedziała Sara, usprawiedliwiając Donovana, udając, że ma tak dobrego męża. Na szczęście, nie wymusił na niej, aby dojeżdżała tam limuzyną, uważając, że taksówka bardziej pasuje do „klas niższych”.

- To miło z jego strony. - Marilyn przeszukiwała plastikowy worek z pralni w nadziei na znalezienie skarpetki do pary. - Kiedy ja byłam mężatką, mój mąż nie zadbałby nawet o to, czy nie wracam do domu przez Cabrini Green.

- Nie masz nikogo? - spytała Sara z zazdrością

- Rozwiodłam się cztery lata temu i dobrze mi tak, jak jest.

- Masz dzieci?

- Wszystkie już dorosły. Mam córkę w szkole dla kosmetyczek i syna w marynarce.

To miło - odrzekła Sara ze smutnym uśmiechem.

- Teraz tak, ale nie miałam z nimi lekko. Picie. Palenie. Ciągły strach o to, czy uprawiają bezpieczny seks. Nastolatki są trudne pod każdym względem. Większość dzieciaków nie wie, czego chce, ani kim jest, nawet kiedy skończą osiemnaście lat Wydaje im się, że wiedzą już wszystko, ale to nieprawda.

- Byłam bardzo młoda, jak wyszłam za męża.

- No, czasami wszystko układa się dobrze.

- Chyba tak... nie wiem.

- Nie tak dobrze?

To miał być czas niczym nie związany z jej prawdziwym życiem. Gdy znajdowała się w sklepie, Sara chciała być kimś innym. Chciała zapomnieć o swoim życiu z Donovanem.

- Wszyscy mają jakieś problemy - powiedziała z uśmiechem. Marilyn skinęła głową.

Duży procent ofiarowywanych ubrań to były stroje wieczorowe, niezbyt odpowiednie dla wielu stałych klientów sklepu, którzy potrzebowali ubrań na zimę. Ale te stroje właściwie utrzymywały sklep. Kobiety, które słyszały o sukniach wieczorowych od najlepszych projektantów, sprzedawanych za bezcen, waliły tam drzwiami i oknami. Resztę klienteli stanowili bezdomni, którym dawano wybrane przez nich ubrania za darmo bądź, jeżeli ktoś okazywał się wyjątkowo dumny, dokonywał zakupu za niewielką sumę.

W bardzo krótkim czasie Marilyn zdecydowała, że może zostawiać Sarę samą w sklepie. Pracowała już dwa tygodnie, kiedy w sklepie pojawił się reporter z „Chicago Journal”.

- Musi pan poczekać, aż wróci Marilyn - powiedział Sara. Mężczyzna zrobił jej zdjęcie, a potem wyjaśnił:

- Zamierzam pisać o pani, nie o sklepie.

Pomyślała o Nashu Audubonie, jak udawał reportera z tej gazety.

- Pani mąż nie będzie zachwycony, jeżeli nie uda mi się zrobić tego materiału.

- Mój mąż?

W tym momencie doszło do Sary, że wywiad został zaaranżowany przez Donovana. Oczywiście. Cóż może robić lepsze wrażenie niż żona pracująca jako wolontariuszka?

- Gdzie w takim razie spotkamy się w przyszłym tygodniu? - spytała Sara, kiedy reporter zamknął notes. - Na aukcji charytatywnej u „Jeny Lewisa”? A może w „Habitat for Humanity”?

Roześmiał się. Zdawał się nie zauważać, że była wściekła.

Czyż to nie urocze? - wycedził Harley, składając gazetę, którą właśnie skończył czytać. Rzucił ją w kierunku Nasha, ten chwycił ją oburącz.

- Teraz żona tego pana handluje starzyzną w jednej z najbardziej niebezpiecznych części miasta. Zawsze wiedziałem, że to fajny facet.

Nash gwałtownie rozłożył gazetę i szybko znalazł artykuł wraz ze zdjęciami.

Harley jeszcze coś mówił, ale Nash już go nie słuchał. Był zbyt zajęty zapisywaniem adresu sklepu.

Sara chodziła po sklepie, tu coś prostując, tam dopinając, gdzie indziej wieszając, pilnując, czy wszystkie rzeczy są w porządku. Zimne, wilgotne, listopadowe powietrze wciskało się każdą szparą podłogi. Jej dzinsy zdawały się mokre, a nagie stopy lodowate. Powtarzała sobie w kółko, że powinna włożyć skarpetki. Ale ta nagła zmiana pogody była dla wszystkich niespodzianką. Dwa dni temu było jeszcze dwadzieścia stopni ciepła. Teraz, zaledwie kilka dni po Dniu Zmarłych, zapowiadali poranne przymrozki. Cała witryna była zaparowana. Przez zacieki mogła zobaczyć tylko kawałek szarego nieba i wyglądało na to, że zapowiadany w prognozie pogody śnieg właśnie zaczął prószyć. Śnieg.

Poczuła słabe, cichutkie drgnięcie. Życie?

Nagle dzwonek nad drzwiami zwrócił jej uwagę.

Mężczyzna. Ubrany w czarną wełnianą czapczkę z daszkiem. Owinięty szalikiem w obawie przed zimnem.

Strzepuje śnieg z ramion, odzianych w skórzaną kurtkę.

Była sama i nie mogła nic na to poradzić, że czuła się niezbyt pewnie. Tyle słyszała okropnych historii o tej dzielnicy. Niemniej jednak przecisnęła się przez stojaki z ubraniami w stronę frontu.

Sklep był kiepsko oświetlony. Dwa dni temu jaskrawa żarówka przepaliła się i nie została jeszcze wymieniona.

Teraz, mimo wczesnego popołudnia, niebo było tak zasłonięte chmurami, że w sklepie było prawie ciemno.

Mężczyzna ściągnął czapkę. Znajome, zmierzwiłone włosy.

Nash Audubon.

Sara zamarła, stojąc pomiędzy upchanymi wszędzie ubraniami.

Nie widziała go od pobytu w szpitalu A nawet czasami zastanawiała się, czy naprawdę go tam widziała. Miała w sobie taką ilość morfiny, że te pięć dni spędzone w szpitalu zlały jej się w jeden sen narkotyczny.

Strącał śnieg z czapki, otrzepując ją o nogę.

- Jesteś sama?

Mrużył oczy, wpatrując się w ciemność za mą. Odgarnęła włosy za uszy i zauważyła, że drżą jej ręce. Szybko je więc opuściła, zaciskając w pięści, a zaraz potem skrzyżowała je na piersiach. Darvon.

Starła się nie zażywać go podczas pracy. Zbyt ją otepiał, ale czasami było to od niej silniejsze. Czuła ból, napięcie w plecach i szyi, czuła, jak zbliża się migrena i po prostu musiała to zażyć.

Patrzyła, jak Nash wchodzi głębiej do wnętrza sklepu, wodząc wzrokiem po stojakach z ubraniami.

- Czy czegoś szukasz? - spytała. Spojrzał na nią, potem znowu na stojaki.

- Dresu. Szukam ubrania sportowego.

- Dresu?

Mieli ich tyle, że nie mogli się ich pozbyć. Marilyn właśnie niedawno narzekała na marnowanie miejsca na stojakach i rozważała, żeby je po prostu wywalić.

- Może być coś we wzorek - powiedział. - Albo w kratkę.

- Aha, we wzorek.

Dres we wzorki. W porządku. Poszła na tył sklepu.

- Tu można by coś znaleźć - powiedziała, próbując odepchnąć na bok ubrania. Podniósł się kurz. Kichnęła. I jeszcze raz.

- Na zdrowie.

- Dziękuję.

- Na zdrowie.

Ciągle czując łaskotanie w nosie, kontynuowała poszukiwania, tym razem ostrożniej popychając wieszaki na drążka. Wszystko, co oglądała, było naprawdę niegodne uwagi. Marilyn miała rację. Powinny wreszcie zrobić z tym porządek.

- Przepraszam, ale chyba nie uda mi się...

- Tutaj.

Nagle rzucił się do przodu, z okrzykiem radości.

Wcisnął z powrotem czapkę na głowę i zaczął wyciągać ciemnobrązowy dres ozdobiony białym wzorem. Zaczepił wieszak na pręcie, uwalniając w ten sposób obie ręce.

- A co powiesz na to? - Tym razem był to komplet kremowy, sprany. Obejrzał go, wreszcie powiesił obok brązowego.

Po czym znalazł granatowo-czerwoną kratę. Dłonią strząsnął pył z ramion, wciągając nosem stęchły zapach ubrań i potu sprzed wielu lat
Postanowiła, że gdy tylko on sobie pójdzie, zabierze się do sprzątania całego zaplecza.

81

- Co o tym myślisz?

Stał przed nią w rozkroku. Na każdym palcu miał zaczepiony wieszak, na których powiewały ubrania.

- No nie wiem...

Co jakiś czas przykładał do siebie jedno z ubrań. Zrobiła kilka kroków w stronę centrum sklepu, mając nadzieję, że pójdzie za nią - Możemy mieć coś jeszcze z przodu sklepu.

Nie ruszył się z miejsca, podziwiając dresy, biorąc do ręki raz jeden, raz drugi.

- Te cuda są niesamowite.

Niezmiernie trudno było go nakłonić do wyjścia z tego ciemnego kąta.

- Zamierzam je przymierzyć - oświadczył. - W ten sposób będziesz mogła pomóc mi wybrać.

Wziął do ręki ostatni komplet.

- Podoba mi się ten brązowy, ale ten w kratę jest nie do pobicia, nie uważasz?

Posłała mu niewyraźny uśmiech i zrobiła nieokreślony ruch dłonią.

- Przymierzalnia jest tam. - Wskazała małe boksy z błędnymi, plastikowymi zasłonkami łazienkowymi.

Jedną ręką trzymał dresy, a drugą usiłował zdjąć kurtkę.

- Proszę - powiedział podając jej. - Czy mogłabyś to powiesić? Wzięła kurtkę, ciągle jeszcze ciepłą od jego ciała i przewiesiła ją przez ramię. Wszedł do przymierzalni, kiedy zabrzmiał dzwonek nad drzwiami.

- No, dzisiaj będzie mróz - rozległ się głos starej kobiety, która wpadała tu średnio dwa razy w tygodniu.

Przychodziło tu wielu stałych klientów. Przychodzili na pogawędkę, przejrzeć nowy towar albo na gorącą kawę, którą Marilyn zawsze miała pod ręką.

- Masz coś nowego? - spytała kobieta, kiwając się na powykręcanych reumatyzmem nogach, przeciskając się przez zagracony sklep. Sara pamiętała, że kobieta ma na imię Ruthie i uwielbia stroje bardzo kolorowe i najlepiej lśniące.

- Wczoraj przysła bluzka z cekinami.

Poprzedniego dnia, gdy tylko Sara zauważyła bluzkę, odłożyła ją dla Ruthie. Teraz okrążyła szklaną ladę, powiesiła kurtkę Nasha na oparciu krzesła i zaczęła grzebać w kartonowym pudle, aż wyciągnęła z niego bluzkę.

Rozłożyła ją na ladzie. Cekiny błyszcząły nawet w ciemnym sklepie.

- Och!

Sara uśmiechnęła się słysząc okrzyk zachwyty. Patrzyła, jak kobieta powykręcanyimi palcami dotyka materiału.

- Czyż nie jest piękna? - spytała Ruthie. - Patrz, jak połyskuje w świetle.

- Tak myślałam, że ci się spodoba - powiedziała Sara. - Czy mam ją zapakować?

- Dziękuję ci, cukiereczku.

Sara nie miała pojęcia, co Ruthie robi z rzeczami, które wynosiła ze sklepu. Wiele z nich nawet nie pasowało na jej obszerną figurę.

- Czy nie wygląda to wspaniale?

Sara i Ruthie spojrzały na Nasha stojącego na szeroko rozstawionych nogach na środku sklepu, z rozłożonymi ramionami. Rękawy bluzy były za krótkie o dobre kilka centymetrów. Między białymi skarpetkami a brzegiem nogawki spodni widać było kilka centymetrów owłosionej łydki. Właściwie powinien wyglądać jak kompletny idiota i rzeczywiście tak wyglądał, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Ale nie tylko jak ostatni idiota. Trzeba przyznać, że był też godny podziwu. Ruthie nawet nie usiłowała tłumić swojej reakcji. Podparła się pod boki i wybuchnęła głośnym śmiechem. Wyła i piszczała.

- O co chodzi? - Nash popatrzył na nią z oburzeniem. - Może w brązowym nie jest mi do twarzy?

- Och nie! Jest wspaniały.

Ruthie pokręciła głową, trzęsła się ze śmiechu, łzy płynęły jej z oczu. Sara zasłoniła sobie usta dłonią, żeby nie parskać śmiechem.

- Chciałem wam oznajmić, że w zeszłym roku zostałem uznany za najlepiej ubranego mężczyznę w Chicago - powiedział, stojąc z rękami opartymi na biodrach. Potem cofnął się i schował z powrotem w przebieralni.

Sara i Ruthie popatrzyły na siebie. Uniosły brwi, wydeły policzki i wybuchnęły śmiechem.

- Ten facet jest świetny - powiedziała Ruthie wycierając oczy. - Po prostu słodki.

- Dzieci są słodkie - poinformowała ją Sara. - No, może jeszcze zwierzęta domowe.

Kobieta wzruszyła ramionami i chwyciła swoją torbę.

- Dorośli mężczyźni też mogą być całkiem milusi. Dziękuję, cukiereczku. - Mrugnęła porozumiewawczo do Sary, po czym chichocząc opuściła sklep. Nash znów się pojawił. Tym razem ubrany był w swoje własne ubranie, z czapką na bakier, włosy odgarnął z czoła. Rzucił rzeczy na ladę. - Biorę wszystkie.

- A co, zamierzasz znów pretendować do tytułu najlepiej ubranego mężczyzny? - spytała Sara, składając rzeczy Nasha. - Czasami suknia zdobi człowieka.

Kasa była przedmiotem prawie antycznym, z okrągłymi guzikami z kości słoniowej, połamanymi i pożółkłymi, i trzeba było sądnie pociągnąć za wajchę, żeby w ogóle zadziałała.

- Trzy dolary.

Zaczaj szukać w kieszeni dzinsów, aż wreszcie wydobyl zmietoszony banknot. Pracowicie go wygladzil i w koncu polozyl pieniadze na dloni Sary. Jeden dolar.

Po chwili wyciagnal kolejny banknot i powoli robil z nim to samo co z poprzednim. Wreszcie i ten nastepny polozyl Sarze na dloni, na dloni, ktora teraz lekko drzala.

Zanim dolozyl trzeci banknot, poczula, jak oblewa ja zimny pot Splywal jej po plecach mala struzka, wsiakajac w ubranie.

Wlozyla pieniadze do kasy. Zasunela szuflade i delikatnie otarte pot z czola.

Jej nerwy byly napiete. Potrzebowala czegoś, zeby sie uspokoic. Najlepiej zrobilby jej jakis proszek. Powinna...

Przechylil sie przez lade, chwycil ja za reke i trzymal w mocnym uscisku. Uscisku bardzo dobrze jej znanym.

- Zle sie czujesz?

Jego niebieskie oczy mialy ten sam wyraz jak tego wieczora w hotelu „Renesans”, kiedy wszystko, co mowil, bylo klamstwem.

Mogl ja wyciagnac z jeziora, mogl ja odwiedzic w szpitalu, ale nie mozna mu bylo ufac.

- Tu jest troche za goraco - powiedziala, wiedzac, ze powinna choc probowac uwolnic sie z jego uscisku.

Zlapal ja za druga reke i wzial w swoje dlonie.

- Jesteś lodowata.

Delikatnie rozcieral jej rece, szybko sie rozgrzaly.

Jej spojrzenie przenioslo sie z jego rak na guziki flanelowej koszuli, ominelo brode, usta, nos i zatrzymalo sie na oczach. Ujrzala to samo tlace sie swiatlo, ktore widziala juz owej nocy na plazy, kiedy stala przed nim bez wstydu i prawie zupełnie naga. Wyrwala dlonie.

Niespodziewanie jej rece uwolnily sie. Niespodziewanie puscił ja. Nie byla przyzwyczajona do tego, zeby mezczyzna sie o nia troszczyl. Zeby sila wyzsza sie nia zajmowala.

Wzburzona, odwrócila sie i wyciagnela plastikowa torebka z pudełka obok, majac swiadomosc, ze on przyglada sie kazdemu jej ruchowi. Patrzyl, jak sklada rzeczy. Kiedy nie mogla wlozyc ich do cienkiej torebki, przeznaczonej raczej na produkty spozywczne, chwycil brzegi woreczka, a ona wsunela do srodka zlozone ubrania.

Powiesil torebke na jednym palcu i podniosl ja z lady.

- Do widzenia, Saro. Skinela glowa.

Skierował się do drzwi, po czym przystanął i odwrócił się.

- Co zamierzałaś mi ofiarować, gdyby wyszło to zdjęcie? Teraz to był znów ten dawny Nash Audubon.

- Czy mówimy o szantażu?

- Jestem po prostu ciekaw. Jej palce skubały brzeg lady.

- Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz.

- Nie?

- Nie.

Nie widziała wyrazu jego twarzy, było widać tylko kontur postaci rysującej się w świetle okna, ale czuła na sobie jego wzrok. I wtedy padły te słowa.

- Nawet jeżeli to zdjęcie by wyszło - powiedział - nie dałbym go do gazety.

Chciałaby w to wierzyć, ale wiedziała swoje. Stał machając torbą.

- No, to trzymaj się.

- Ty też.

Chwilę po tym, jak wyszedł, przypomniała sobie o jego kurtce. Leżała na krześle. Złapała ją i wybiegła. Rozejrzała się po ulicy, ale nigdzie nie było nawet śladu po Nashu Audubonie.

Nash obejrzał się przez lewe ramię, po czym zwolnił Fairlane z hamulca. Silny podmuch wiatru z wywietrzników dmuchnął mu prosto w twarz, powietrze było raczej zimne niż ciepłe.

Myśli goniły jedna za drugą.

To nie było dobre miejsce dla niej.

Niezbyt bezpieczne.

Ale to nie jego sprawa.

Wydawać by się mogło, że jej mąż nie jest zbyt rozsądny, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej ostatni wypadek. Ale to nie jego...

Strasznie ostatnio schudła. Kiedy mówiła, jej głos drżał, a ręce się trzęsły. Ale to nie jego...

Żartowała z nim i uśmiechała się do niego. I znów ją zobaczy. Przecież miała jego kurtkę.

Co jest takiego w tobie Księżycu, że moje serce bije tak mocno.

Keats

Rozdział dziewiąty

Ika dni później Sara siedziała przy stole kuchennym, pijąc poranną kawę, kiedy Donovan w pośpiechu zawiązywał krawat. Po drodze do ekspresu zatrzymał się, położył jej ręce na ramionach i przycisnął usta do jej szyi, po czym poszedł dalej.

- To naprawdę był świetny pomysł, że się tam zatrudniłaś - powiedział, napełniając kubek kawą.

Był w dobrym humorze. Był w dobrym humorze od trzech dni. Ale jak długo to będzie jeszcze trwało? A kiedy to się skończy, czy znów wybuchnie? A przede wszystkim - dlaczego jest w tak dobrym humorze? Może kogoś ma? Miała taką nadzieję.

- Chyba to była zbyt pochopna decyzja, że pozwoliłem ci pracować tylko trzy dni w tygodniu.

Bardzo ostrożnie ukryła swoje podniecenie. Czyżby zamierzał pozwolić jej spędzać więcej czasu w sklepie?

Jak mało trzeba było teraz, aby ją uszczęśliwić, pomyślała w duchu. Przed laty praca w sklepie z używanymi rzeczami zdawałaby się nudna i niewdzięczna. Dziś - żyła tylko dla tych chwil, które spędzała w sklepie. Kiedy nie była w mieście, w sklepie, liczyła dni i godziny do chwili, kiedy będzie tam znowu. A kiedy wreszcie się tam znalazła, próbowała rozciągnąć każdą sekundę w nieskończoność, marząc, żeby nie umykały tak szybko.

Nie siadając nawet, Donovan rozejrzał się po blacie.

- Gdzie jest słodzik?

Serce w niej zamarło. Zapomniała odłożyć go na zwykłe miejsce, kiedy już sobie posłodziła.

- Tutaj.

Przesunęła pudełeczko w jego kierunku. Wziął pojemnik, otworzył i wrzucił kilka granulek do kawy. Mimo że nie miała ochoty na dżem, sięgnęła po słoik. Nie podnosząc głowy odezwała się.

- W piątki sklep jest dłużej otwarty. - Wzięła trochę dżemu na łyżeczkę i nałożyła sobie na talerzyk. - Jestem pewną że Marilyn nie wzgardziłaby dodatkową pomocą.

- Dziś wieczorem?

Sięgnęła po nóż i powoli rozsmarowywała dżem na grzance, której i tak prawdopodobnie nie zje.

- O której zamykacie?

- Koło dziewiątej. Zastanawiał się przez chwilę.

- Dziewiąta mówisz? To świetnie. Mam spotkanie w interesach, które pewnie potrwa do dziesiątej czy jedenastej.

Miała ochotę roześmiać się. Miała ochotę klaskać w ręce. Zamiast tego nadal trzymała opuszczoną głowę i rozsmarowywała dżem na zimnej grzance. Okazywanie mu uszcześliwienia nie byłoby wskazane.

Kiedy Donovan wyszedł z domu, Sara miała chęć jechać natychmiast do sklepu, ale zmusiła się do pozostania.

Donovan ma wszędzie swoich ludzi, i nie wyszłoby to jej na dobre, gdyby widziano, jak opuszcza dom zbyt wcześnie. Kto to wie, co on mógłby sobie wtedy pomyśleć?

W drodze do centrum gawędziła z kierowcą. Opowiadał jej o swojej rodzinie i o tym, jak chodził do szkoły wieczorowej. Kiedy dojechali na miejsce, dała mu o wiele za dużo pieniędzy i poprosiła, by zatrzymał resztę, a potem pobiegła do sklepu.

Rzut oka na Marilyn wystarczył, żeby radość Sary, do tej pory tak usilnie ukrywana, eksplodowała. Złapała starszą panią za obie ręce i podskakiwała jak nastolatka, której właśnie powiedziano, że może zostać jeszcze godzinę u koleżanki.

- Zostaję do dziewiątej! - zaanonsowała z entuzjazmem, obejmując Marilyn. - Czyż to nie cudowne? Mogę zostać aż do dziewiątej!

Marilyn roześmiała się.

- Uspokój się, dziewczyno. Gdzie możesz zostać aż do dziewiątej?

- Tutaj! Mogę zostać tutaj.

- Tutaj?! - Marilyn spojrzała na nią a na jej twarzy malowała się lekka obawa, czy ta dziewczyna jest aby przy zdrowych zmysłach.

Sara nie dbała o to, czy sprawia wrażenie kompletnej wariatki. Miała przed sobą wspaniałe dziewięć godzin wolności.

Przed wyjściem z redakcji w kierunku sklepu „Dwa Razy” Nash postanowił wziąć prysznic i ogolić się. Z ręcznikiem zawiązanym w pasie stał przed umywalką i szperał w szafce. Z butelki z wodą po goleniu, która wyglądała, jakby pochodziła z wykopalisk, wyjął pokryty kurzem ceramiczny

87

Theresa Weir

korek. Udało mu się wreszcie usunąć zardzewiałą zakrętkę. Podniósł butelkę do nosa, powąchał, skrzywił się okropnie, po czym wylał zawartość do zlewu. Będzie musiał wystąpić *au naturel*.

Potem wyciągnął skądś parę nożyczek i przyciął włosy po obu stronach głowy, wokół uszu. Tył zostawił tak, jak był, po pierwsze dlatego, że po prostu lubił długie włosy, po drugie, ponieważ nie sądził, żeby zdołał sam obciąć z tyłu cokolwiek.

Plan A. Będzie czarujący.

Minęło ryle czasu. Czy w ogóle jeszcze pamięta, co to znaczy być czarującym? Czy została w nim jeszcze odrobina jakiegoś czaru, uroku?

Skierował się z powrotem do biura. Włożył nowe spodenki, dzinsy, które nie były jeszcze tak strasznie znoszone, i niebieską płócienną koszulę. Miał nadzieję, że zagniecenia rozprasują się na nim.

Prawda była taka, że nie mógł już wytrzymać bez Sary. Próbował, ale okazało się, że myśli o niej w kółko jak zakochany nastolatek. Ciągłe wpatrywał się w oba zdjęcia, tak że był w stanie odtworzyć z pamięci każdy najmniejszy ich szczegół.

Ale to nie wystarczało. Chciał ją zobaczyć, rozmawiać z nią. Dotknąć jej.

Kiedy wszedł do sklepu, za ladą stała nie Sara, lecz świetnie trzymająca się kobieta o twardym spojrzeniu i kręconych włosach, sterczących na wszystkie strony. Miała na sobie czarny żakiet z dzianiny, wykończony białymi lamówkami.

- Czym mogę służyć? - spytała ostro.

- Ja... mhm... - Rozejrzał się po sklepie, ale nie znalazł tego, czego szukał. Sary nie było.

- Kilka dni temu zostawiłem tu swoją kurtkę - wybąkał niejasno, z wyraźnym roztargnieniem.

- A, to ty. Sara wspominała, że możesz wpaść i odebrać ją - Kobieta kołyszac się poszła na drugi koniec sklepu, deski zaskrzypiały. Schyliła się, potem wyprostowała, wróciła trzymając jego kurtkę w ręku.

Wziął ją

- Dziękuję.

Gdzie Sara? Przekładał kurtkę z ręki do ręki. Urządzenie grzewcze, wiszące pod sufitem, włączyło się. Powiew gorącego powietrza uderzył go w twarz. Plan B. Nadszedł czas na plan B. Ale czy istniał plan B?

Narzucił kurtkę na ramiona. Postawił kołnierz. Włożył ręce do kieszeni dzinsów. Tracił czas. Grał na zwłokę.

Wszystko niezgodnie z planem. Nic z tego nie wyszło.

Wyobraził sobie siebie, jak wchodzi do sklepu. Sara jest sama, jak przedtem. On jest czarujący. Wieczór mija, zanim się spostrzegą. Nagle nadchodzi pora zamknięcia sklepu. Wtedy on proponuje jej podwiezienie do domu. W drodze pyta, czy nie miałyby ochoty czegoś zjeść... Cofnął się.

- No cóż, dziękuję.

Gdy doszedł do progu, nacisnął klamkę, otworzył drzwi, odwrócił się i... niemal wpadł prosto na Sarę.

- Nash? - powiedziała bez tchu, patrząc na niego, kompletnie zaskoczona. Usta i policzki miała zaczerwienione od zimna. W lodowatym powietrzu jej oddech zamieniał się w parę. - Widzę, że odebrałaś swoją kurtkę - dodała.

Owinięta była w długi zielony wełniany płaszcz. Miała czerwone rękawiczki. Na dworze znów padał śnieg. Na jej ciemnych włosach połyskiwały płatki śniegu. W rękach trzymała ogromne tekturowe pudło z pizzą

Odsunął się na bok, ciągle trzymając otwarte drzwi. Tym razem przed nią. Wszedł z powrotem do sklepu.

- Przepraszam, Marilyn, ale nie mieli anchovies, więc wzięłam ż kielbasą. - Sara położyła pudełko na ladzie.

Ściągnęła rękawiczki, wepchnęła je do kieszeni, po czym zsunęła płaszcz.

- Zostaniesz na pizzy? - spytała Nasha, uświadamiając mu tym pytaniem, że stoi, jakby czekał na zaproszenie.

- Nie, ja...

- O, bez ceregieli - powiedziała Marilyn. - Co to za facet, co odmawia jedzenia?

- Ale ja naprawdę...

Marilyn już go nie słuchała. Rozdawała serwetki i papierowe talerzyki, rzucając je na stół z wprawą krupiera z Las Vegas.

Sara przez ten czas szperała pod ladą. Wreszcie znalazła to, czego szukała. Trzy plastikowe kubeczki. Ustawiła je na ladzie. **Jeden** przewracał się. Postawiła go z powrotem, przewracając inny.

- Są naelektryzowane - powiedziała śmiejąc się, machnęła ręką pozwalając im toczyć się po całej ladzie, gdy otwierała butelkę z colą. Nash podszedł bliżej. Wyglądało na to, że zostaje na pizzy.

- Ja będę je trzymał, a ty nalewaj.

Chwytał w dłoń jeden z kubków, czując lekkie kopnięcie.

I tak oto znalazł się na chwiejnym stołku, dzieląc się pizzą z Sarą Ivy i jej peszącą go koleżanką.

Sara była zupełnie inna. **Jak** dotąd widział ją chyba ze sześć razy i za każdym razem zaskakiwała go. Za każdym razem była inna, niż oczekiwał. Tego wieczora wydawała się pełna jakiegoś wewnętrznego podniecenia.

Promieniejąca. Oczy jej błyszczały, usta i policzki były czerwone, twarz spokojna, otwarta i przyjazna. Doszło do niego, że cały czas się jej przygląda, obserwuje ją. Jak pada jej światło na twarz. Sposób, w jaki się rusza. Sposób, w jaki gestykuje, gdy mówi. Delikatny zarys twarzy, kości policzkowych. Jej niezwykłą kruchość. Złapał się na tym, że myśli: „Uratowałem jej życie”. Ale nie była to z jego strony zarozumiałość, raczej jakby nadzieja.

Rozmawiali. Jedli. Jedli i rozmawiali. Marylin odeszła do klientów.

Rozmawiali o zimie. Oboje ją lubili.

Śnieg. Czy kiedykolwiek jeździł na nartach? Nie? Jeździł na biegówkach? To świetnie. Rozmawiali o Chicago. Sears Tower. Nigdy tam nie była? Chyba żartuje?

- Nie myślisz, że Chicago to tak naprawdę jedno wielkie bagno? - zapytał.

- Raczej to miasto grubych ryb...

Ubóstwiał El1 nocą. Nigdy nią nie jeździła? Nie mógł w to uwierzyć.

- Nigdy?

- Nigdy.

- A co w takim razie powiesz o „powstającej z grobu Mary”? Czy kiedykolwiek pojechałaś na Archer Street, żeby ją zobaczyć?

- Tego ducha? Nie. A ty?

- Oczywiście, wiele razy. Ostatniej jesieni robiłem o niej materiał.

- Czy rzeczywiście kiedykolwiek ją zobaczyłeś?

- No... nie.

Rozmawiali o kinach. Dowiedział się, że lubi musicale. Zamierzał powiedzieć, że też je lubi. Ale w końcu okazało się, że nie może kłamać.

- Nie znoszę ich - przyznał się, jego słowa zaskoczyły jego samego. - Chyba że *Rocky Horror*. Widziałem to chyba ze dwadzieścia razy.

- Nigdy tego nie oglądałam.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Stracona młodość. Uśmiechnęła się.

I on się uśmiechnął.

- Czas zamykać.

Głos Marilyn dotarł do nich z zupełnie innej części sklepu.

Jak ktoś wyrwany ze snu, Nash rozglądał się wokół, zastanawiając się, ile minęło czasu. Z trudem mógł uwierzyć w to, co zobaczył, kiedy jego wzrok padł na zegar wiszący na ścianie. Była dziewięta dziesięć.

91

Sara westchnęła, szybko wstała i zaczęła zbierać kubki i serwetki. W dwie minuty, z pomocą Nasha, lada była czysta.

- Co powiesz na podwiezienie? - zapytał, patrząc na nią, wrzucając resztki do worka ze śmieciami.

Wyprostował się powoli, serce bardzo dziwnie mu waliło. Czuł się jak kiedyś, gdy jako chłopiec nie wiedział, co ma zrobić z dziewczynką, która mu się bardzo podobała.

- Podwiezienie? - powtórzyła, jakby niezbyt dobrze usłyszała. Nagle zeszywniała. - Nie, nie. Nie sądzę, żeby był to dobry pomysł. W każdym razie dziękuję.

- Jesteś pewna? Skinęła głową.

- Mnie nie trzeba podwozić. Domek z kart runął.

Na krótki moment zapomniał o czymś bardzo istotnym. Sara Ivy jest mężatką.

Czy ty go kochasz?

Myślał o tej nocy, kiedy postanowił ją śledzić, siedział w samochodzie, patrzył przez okno, na migające światła.

Musi przerwać ten obłąd Tak jest Ostatni raz. Jak ostatni papieros. Ostami drink.

Ostatni rzut oka na miejsce, które opuszczasz na zawsze. Ostatni raz.

Pożegnał się z nią Wyszedł ze sklepu sam. Samotnie odjechał do redakcji. W drodze powrotnej włączył radio i odkręcił na cały regulator. Dźwięk wprawiał szyby w drżenie, głucho dudnił mu w środku.

Jeżeli nie będzie uważał, zacznie się zastanawiać. Jeżeli nie będzie uważał, zacznie czuć. Jeżeli nie będzie uważał, zakocha się. Za cholerę nie zamierza sobie na to pozwolić. Nie ma mowy.

Inteligentny człowiek nie popełnia małych błędów.

Goethe

Jeśli coś zawalić, to iść na całość.

Nash Audubon

Rozdział dziesiąty

I znów nadszedł piątek. Za każdym razem, kiedy dzwonił dzwonek przy drzwiach, Sara z nadzieją unosiła głowę. Powtarzała sobie, że ostatnim razem, kiedy tu był, przyszedł przecież tylko po kurtkę.

Nie przyjdzie. Znów dzwonek. Sara podniosła głowę. Nash.

Miał na sobie swoją brązową skórzaną kurtkę i wytarte dżinsy. Czarny T-shirt. I coś zrobił z włosami. Nie zauważyła tego ostatnim razem. Przy uszach były krótsze, a z tyłu dłuższe. Ale tak jej się podobało. Rozcięcie na policzku zagoiło się i pozostała tylko czerwona szrama. Pewnie zostanie mu już na zawsze blizna, ale nie powinna go oszpecić.

- Cześć.

Właśnie zamierzała powiesić koszulę flanelową na wieszaku. Teraz stała i trzymała kurczowo wieszak obiema rękami.

- Cześć.

Rozglądał się wokoło, z rękami głęboko w kieszeniach, kiwając się na piętach.

Rozległ się dzwonek telefonu. Podskoczyła.

- Przepraszam.

A po chwili zawołała do Marilyn na zaplecze:

- Odbiorę!

Podbiegła, żeby wreszcie odpowiedzieć na trzeci dzwonek. Ktoś chciał wiedzieć, czy sklep jest otwarty.

- Pracowity wieczór? - zapytał, kiedy odwiesiła słuchawkę.

- Trochę.

Odchrząknął, rozejrzał się wokół, a potem znowu spojrzął na nią.

- Zastanawiam się... czy nie miałybyś ochoty...

W tym momencie włączył się grzejnik i zagłuszył dalsze jego słowa.

- Co mówisz?

- Przyjęcie - powiedział. - Może poszłabyś na przyjęcie?

Przyjęcie? Miliony różnych myśli przebiegło jej przez głowę. Przyjęcie? Nie przepadała za przyjęciami. A poza tym, na jakie przyjęcia chodzi Nash Audubon? To nie ma znaczenia. Z przyjemnością pójdzie z nim gdziekolwiek.

- Nie będę mogła. - Odwróciła się i powoli wieszała koszulę na wieszaku. Stała i nerwowo starała się ją wygładzić.

- Dlaczego?

W tym momencie pojawiła się Marilyn.

- No właśnie, dlaczego? Mam męża. Boję się. Nie mogę.

- Pracuję.

Marilyn włożyła ołówek za ucho.

- Nie przejmuj się. Poradzę sobie sama w sklepie. Przedtem sobie radziłam.

Po co Marilyn próbuje umożliwić niemożliwe?

- Nie będę tam nikogo znała - powiedziała cicho zawstydzona.

- Jeśli nie będzie ci się podobać, pójdziemy sobie stamtąd - powiedział Nash. - Powiedz tylko, a pójdziemy gdzieś indziej. A jak będziesz chciała, odwiozę cię do domu.

Przyjęcie. Z Nashem Audubonem. Niebezpieczne. Potwornie niebezpieczny pomysł.

I nie do pomyślenia. Nie ma mowy.

Sara dała znak Marilyn i obie kobiety znikły na zapleczu sklepu. Nachyliły się do siebie.

- Marilyn, to jest po prostu niemożliwe, żebym ja z nim gdzieś poszła - wyszeptała Sara, kiedy tylko znalazły się poza zasięgiem słuchu.

Marilyn wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie?

- Ty się pytasz, dlaczego nie?! Mam męża! Oto dlaczego.

- Co jest złego w tym, że pójdziesz gdzieś z przyjacielem? Z przyjacielem, który zupełnie przypadkowo jest facetem? A jeżeli ja bym ciebie zaprosiła na przyjęcie, poszłabyś, nieprawdaż? To, że jesteś mężatką nie byłoby przeszkodą w takim przypadku, prawda?

- O, to jest różnica.

- Ja nie widzę żadnej różnicy. Posłuchaj, dziewczyno. Jeżeli uważasz, że najlepszym sposobem spędzenia dziewięciu godzin jest kręcenie się po sklepie, wśród śmierdzących ciuchów, w najgorszej części miasta, to rzeczywiście powinnaś się stąd wydostać i iść na to przyjęcie.

95

Theresa Weir

Sara przez chwilę zastanawiała się nad tym, co jej powiedziała Marylin, i powoli odwróciła się. Podeszła do lady. Znalazła Nasha niedbale rozpartego na ladzie, bezmyślnie wodzącego wzrokiem po sklepie. Gdy tylko ją zobaczył, wyprostował się. Na jego twarzy było widać napięcie.

- A więc...

- Ale muszę być z powrotem w domu o dziesiątej.

Rozluźnił się i powoli jego twarz rozjaśnił uśmiech, uśmiech zadowolenia, który zaparł jej dech w piersiach.

Zanim Sara zdążyłaby zmienić decyzję, Marylin chwyciła jej płaszcz, pomogła jej go włożyć i niemal wypchnęła ją za drzwi. - Do zobaczenia w poniedziałek - powiedziała. A potem dodała ciszej, tak aby dotarło to tylko do uszu

Sary: - Będę cię kryć. **Nie** było gdzie usiąść.

Sara stała przed otwartymi drzwiami zielonego samochodu Nasha i patrzyła na siedzenie albo raczej na górę rzeczy, pod którą powinno znajdować się siedzenie.

- Poczekaj chwilę.

Zgarnął ubrania, papiery, stare magazyny, gazety i wszystkie pozostałe rzeczy. Rzucił je na tylne siedzenie. Cmoknął z niesmakiem i pokręcił głową.

- Ta gosposia robi się coraz bardziej leniwa.

Wyciągnął skądś flanelową koszulę i przetaił nią siedzenie, a następnie zgiął się wpół i zaprosił do samochodu.

- *Entrez-vous.*

Co ona robi? Zastanawiała się przez cały czas, kiedy samochód jechał wzdłuż ulicy. Co się stanie, gdy do sklepu zadzwoni Donovan, co się stanie, gdy odkryje, że wyszła, i to nie sama, ale z Nashem...

Nash ostro skręcał, ruszał z piskiem opon, wyprzedzał inne samochody, słowem - prowadził jak taksówkarz.

- Muszę jeszcze wstąpić na chwilę do redakcji - powiedział.

Poczuła ukłucie, jego słowa przypomniały jej coś, o czym wołała nie pamiętać - jaki jest jego zawód.

W redakcji została uraczona oprowadzaniem.

Kiedy tylko minął drzwi, Nash złapał z wieszaka czapkę z emblematem Blackhawks, wcisnął ją na głowę i pociągnął Sarę w głąb korytarza.

- A oto mamy gabinet Harleya. - Popchnął drzwi, ukazując pokój jak z pudełeczka. Pnące rośliny, na biurku stara maszyna do pisania Royal. Za nią

porządnie ułożone papiery. Dwie przegródki: sprawy do załatwienia i sprawy załatwione. Ta pierwsza była prawie pusta, za to ta druga pełna. Nakrecony zegarek głośno tykał.

- Harley ma obsesję na punkcie elektroniki - wyjaśnił Nash. - Pisz wszystko na maszynie do pisania, a potem ktoś musi to za niego wklepywać w komputer.

Nash zgasił światło i zamknął drzwi.

- A to jest biuro Tootie. - Otworzył kolejne drzwi. - Dziś Tootie pracuje do późna, ponieważ jutro bierze sobie dzień wolny. Pomachaj Tootie.

Kobieta siedząca za biurkiem, prawie kompletnie niewidoczna zza góry papierów, była starsza i pomarszczona. Siedziała zgarbiona przed komputerem, z papierosem zwisającym z kącika ust. Wpatrywała się w ekran mrużąc oczy od dymu.

Sara pomachała jej.

Tootie odmachnęła.

- Czy nie uważasz, że Tootie i Harley są dla siebie stworzeni? - powiedział Nash i zamknął drzwi. - Ona myśli, że palenie to lekarstwo.

- Wszystko słyszałam! - krzyknęła Tootie. Jak tylko skończyła mówić, zaniósł się suchym kaszlem palacza.

- Aha, i myśli, że ma wciąż trzydzieści dwa lata.

- I to - kaszel - też słyszałam! Mam-osiemdziesiąt dwa lata, ty mądralo! Poszli korytarzem w kierunku, z którego przyszli.

- A to jest - otworzył kolejne drzwi - mój pokój.

Z ręką na jej plecach delikatnie wepchnął Sarę do środka.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła, była nędzna pomarańczowa kanapa. Nie widziała czegoś takiego od chyba dwudziestu lat. Drugą rzeczą było wrażenie, jakie sprawiało to pomieszczenie. Zaniedbane. Ponure. Nie chodzi o bałagan w takim znaczeniu jak u Tootie, ale... była to tymczasowość. Puste ściany. W kącie stała mała kuchenka mikrofalowa. Obok niej ekspres do kawy i blat zawalony jedzeniem w puszcze. Tuńczyk, zupa. Nic, co by się mogło popsuć. Nic, o co można by się martwić.

Pociągnął ją w głąb pokoju, w kierunku biurka zasłanego papierami. Na środku biurka stał komputer. Włączył go.

Maszyna zaszumiała, a potem wydała serię różnorodnych dźwięków, zanim pojawił się obraz.

Ruszył myszą potem ją nacisnął.

- Tutaj nic nie drukujemy - wytłumaczył, pochylając się do przodu i patrząc w ekran. - Wszystko nagrywa się na dyskietki i idzie do drukarni na Sto Trzydziestą Ósmą - Nacisnął jeszcze kilka razy. Pokazały się artykuły jak w gazecie. - To idzie do następnego numeru, nad czym obecnie pracuję. Historia grupy nazywającej się Anonimowi Biegacze. Nie mogą przestać biegać.

98

Theresa Weit

- Aż tak źle?

- Tylko dla biegacza. A oto następny, który nazywam: „Życie jest gówno warte, a w dodatku na koniec się umiera”.

Sara spojrzała na ekran i przeczytała:

„Kolejny pies wyskoczył z okna mieszkania na dwudziestym piętrze. -Była taka słodka, powiedział załamany właściciel. - Nigdy nie sprawiała kłopotów”.

- Och - powiedziała Sara, w jej głosie dało się słyszeć cień uśmiechu -to takie smutne.

Nash wzruszył ramionami.

- My nie produkujemy informacji, my je tylko podajemy do publicznej wiadomości.

Wyłączył komputer. Wyprostował się.

- Prawie bym zapomniał. - Przeszedł przez pokój, podszedł do szafki, którą otworzył i wyjął z niej torbę. - Przyczyna, dla której tutaj przyszliśmy.

Torba na zakupy. Bardzo podobna do tej, jaką dała mu w sklepie. Właściwie dokładnie ta sama. Zaczął w niej grzebać i wyciągnął dresy.

- Który z nich chcesz włożyć? - zapytał. - Harley wziął brązowy, więc został tylko kremowy i w kratkę.

- Czy robisz z tego jakiś nowy materiał? - zapytała. - Anonimowi sportowcy, na przykład?

- To na przyjęcie. - Nash zrzucił swoją skórzaną kurtkę i zamiast niej włożył na siebie kratkę. Już w sklepie dres wyglądał okropnie. Ale przynajmniej wtedy był uprasowany. Teraz był cały wygnieciony, co, jak widać, kompletnie Nashowi nie przeszkadzało.

Podniósł kremowy komplet i podał jej. - To jest trochę mniejsze. Wzięła ubranie. Czy on chciał, żeby je włożyła?

Trzymała je przed sobą. Oglądała ze wszystkich stron. Nie wyglądało na brudne.

- Na końcu korytarza jest łazienka. Z lustrem. Nie takim dużym, ale zawsze.

- Co to za przyjęcie? Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Bal przebierańców w kręgielni.

Sara grała w kręgle raz w życiu podczas urodzin jej wychowawczyni w szkole. Miała wtedy dziesięć lat i była w wieku, kiedy wyolbrzymia się rzeczy wprawiające w zakłopotanie. Wszystko, co zapamiętała z tamtego

wieczoru, to było jedno wielkie upokorzenie. Zamierzyła się, żeby rzucić kulą, a wtedy kula wypadła jej z ręki i potoczyła się na ludzi siedzących za nią. Wszystko, co się stało potem, było zamazane, zostało wyrzucone ze świadomości w sposób, w jaki czasami wstrząsające wydarzenia blokują pamięć.

Kiedy przybyli na Lakeside Lanes, wszyscy już świetnie się bawili.

Miejsce miało atmosferę knajpy, z przyćmionym światłem, plakatami reklamującymi piwo i mgłą dymu papierosowego. Kule, rzucone przez ludzi ubranych w kolorowe dresy, turlały się w dół po wypolerowanych drewnianych torach, roztrącając kęgle. Sara i Nash podeszli do lady przy wejściu i poprosili o buty do gry w kęgle łysego, z wielkim brzuchem faceta w wykrochmalonej koszuli.

- Na przyjęcie Gillette'a - powiedział do niego Nash.

Facet postawił na ladzie dwie pary butów, nie obdarzając ich strojów nawet spojrzeniem.

Wzięli buty i minąwszy dywany przy wejściu, znaleźli miejsce do siedzenia.

Kęgielnie nigdy się nie zmienia, pomyślała Sara, siadając na pomarańczowym plastikowym krześle.

Usiłowała wcisnąć stopę do buta, który z upływem lat stracił swoją miękkość. Sznurówka była porwana i pozwiązywane, podeszwy twarde i nierówne.

- I co, pasują? - zapytał Nash, który już włożył buty i gotów był ruszać dalej.

- Jak z drewna. Zaśmiał się.

- Prawdziwy luksus.

Potem nadszedł czas na wybranie kul.

- Jak ciężkimi zwykle grasz? - zapytał.

Stali na wprost drewnianego podajnika, pełnego czarnych, matowych kul.

- Nie mam pojęcia.

Włożyła palce do otworów jednej z kul i próbowała ją podnieść. Ani drgnęła. Spróbowała następną. Tym razem otwory były zbyt oddalone od siebie. - Masz. - Jedną ręką sprawdzał wagę kuli. - Spróbuj tej.

- Chyba będzie dobra.

- Jeżeli będzie za lekka, nie odniesiesz zbyt wielkich sukcesów.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli sobie zawracać tym głowę. Znaleźli pusty tor.

- No, to zrobmy kilka próbnych rzutów - powiedział Nash, kładąc kulę w metalowy rowek, po czym usiadł na specjalnym miejscu dla liczącego punkty.

Theresa Weir

To oznaczało, że Sara ma rzucać pierwsza.

Kręciła kulę, poszukując otworów na palce. Wreszcie znalazła. Włożyła palce.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek grałaś w kręgle? - zapytał Nash podejrzliwie.

- Raz w życiu. Kiedy byłam mała. Poderwał się z krzesła i podszedł do niej.

- Mieszkasz w Chicago, ale nigdy nie byłaś w Sears Tower ani nigdy nie przejechałaś się El. A teraz mi mówisz, że grałaś w kręgle tylko raz w życiu? - Pokręcił głową, a ona zastanawiała się, czy sobie z niej kpi. Minęło tak wiele czasu, od kiedy ktoś się z nią przekomarzał, że już nie była pewna. Podtrzymując kulę jedną ręką, drugą układał jej dłoń. - Tego palca nie wkłada się do tego otworu, ale tamten - tak. Teraz lepiej?

- Dzięki. Poradzę sobie.

- Nigdy nie mów, że sobie nie poradzisz.

Sara weszła na stanowisko rzutu, czy miejsce rzutu, czy jak się to nazywa. Ostatnią rzeczą, na którą miałaby ochotę, to stworzyć sytuację, kiedy mężczyzna obejmuje ramieniem kobietę, aby jej pokazać, co i jak powinna zrobić.

Och, nigdy nie grałaś w bilard, mała kobietko? Ani w minigolfa?

Spojrzała na lewo, żeby zobaczyć, jak inni to robią. Złączyła stopy. Uniosła kulę, podpierając ją obiema rękami i... poczuła, jak zsuwają się jej spodnie. Lewą ręką chwyciła za pasek i trzymała. Teraz trzymając kulę jedną ręką, wycelowała. Rzuciła na tor. Kula od razu zbczyła w prawo, jak metal przyciągany przez magnes.

Do niczego.

- Hej - zawołał Nash z krzesła sędziego. - Trzymaj wszystko.

- Właśnie to robię. W tym tkwi problem.

Wstał, odpiął kurtkę, potem pasek, wyciągnął go ze spodni i podał jej.

Sara chciała zapiąć sama ten pasek, ale w końcu musiała skorzystać z jego pomocy. Trzymała spodnie, gdy Nash obwiązywał je paskiem, zostawiając kilka centymetrów materiału wystającego u góry. Zakończył zawiązując w talii.

- To powinno pomóc.

- A ja zawsze myślałam, że dres ma coś wspólnego z wygodą - powiedziała Sara.

- Tak było, zanim nastały sztuczne tworzywa. Ich oczy się spotkały.

Nie mogła od niego oderwać wzroku. Serce jej waliło. Przez ułamek sekundy rzeczywistość nie istniała. A tymczasem kule toczyły się z łoskotem. Ludzie pokrzykiwali i śmiali się.

Uśmiechnął się i poczuła, jak łagodne ciepło rozlewa się jej po ciele. Ale to ciepło bardzo szybko zostało zastąpione przez strach. To nie powinno było się wydarzyć.

- Nie powinnam była tu przychodzić. - Usłyszała, jak mówi sama do siebie przez zaciśnięte gardło.

- Ależ oczywiście, że powinnaś.

Nagle zobaczyła cień, gdzieś na dnie jego oczu. Świadomość, jakby i on obserwował wszystko z boku, jakby, przez ułamek sekundy, patrzył na nich z dystansu i nagle poczuł ukłucie niepewności, jakby i on zastanawiał się, dokąd to wszystko prowadzi... Odwróciła wzrok i szybko rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy. Młody mężczyzna z długimi włosami, chyba najpiękniejszymi, jakie Sara kiedykolwiek widziała, szedł w ich kierunku. A na sobie miał coś, co wyglądało jak brązowy dres, który Nash nabył w „Dwa Razy”. Z tym, że ubranie zostało trochę zmodyfikowane. Spodnie obcięto i zamieniono na szorty, zostały też podwiniete nad opalonymi kolanami. Poza tym miał na nogach białe skarpetki i skórzane sandały.

- To mój szef - powiedział Nash, podążając za jej spojrzeniem.

Ten chłopiec o uroczej twarzy to był Harley Gillette, właściciel niesławnego „Shoot the Moon”. Sól w oku miasta Chicago. Kiedy Harley do nich podszedł, Nash przedstawił ich sobie. Harley uśmiechnął się anielsko i potrząsnął jej dłonią

- Cieszę się, że przyszedłaś. I świetnie, że zaciągnęłaś tu Nasha. Obawiałem się, że może się nie zjawić. Porządne przyjęcie nie może się odbyć bez ubiegłorocznego najlepiej ubranego faceta. Przecież musi namaścić następcę.

Ktoś zawołał go po imieniu. Harley obejrzał się, pomachał i odwrócił znowu do Sary.

- Próbowałem rozmawiać z właścicielem tego przybytku, żeby pozwolił nam użyć żywej kuli, ale ciągle odmawia.

- Żywa kula? - spytała Sara.

- Wkłada się na głowę hełm i turla się po torze.

- Bardzo zabawne - powiedziała sucho Sara.

- Też tak myślę. - Przeszepował z nogi na nogę. Jaki on jest nieśmiały, pomyślała Sara zaintrygowana.

- No więc - dodał wzruszając ramionami - w sąsiednim pomieszczeniu znajdziecie mnóstwo jedzenia i najróżniejsze rzeczy do picia. No i grajcie tak długo, jak tylko chcecie.

Tak więc grali.

Z głośników pod sufitem dudniła muzyka rockowa, ludzie przewracali kręgle, śmiali się i nawoływali. Po prostu wszyscy świetnie się bawili. Pośród tego chaosu i wrzawy Nash dał jej kilka wskazówek, ale nie wprost.

Były to raczej sugestie czy uwagi, co, jego zdaniem, pomogłoby jej poczuć się pewniej.

Wszystko toczyło się zbyt szybko, prawie nie było czasu na zastanowienie się. Gdy tylko Sara skończyła rzucać i siadła, znów była jej kolej. Po kilku kolejkach nauczyła się już, że jeżeli stoi trochę na prawo, może odebrać kulę z lewej rynny. A jeżeli przesunie się jeszcze trochę w prawo, może czasami zbić nawet kilka kregli.

Po piętnastu minutach gry miała podwinięte rękawy i włosy związane kawałkiem sznurka.

Na drewnianej podłodze były namalowane czerwone strzałki, i kiedy stała na oznaczonym miejscu rzutu, a następnie zrobiła trzy kroki, a potem puściła kulę, czasami udawało się jej przewrócić całkiem sporo kregli.

I nagle w trzeciej grze uderzyła we wszystkie kule naraz! Czerwone światło w kształcie korony rozbłysło nad torem. Zaczęła krzyczeć i klaskać, i podskakiwać w swoich za dużych butach i w za dużym dresie.

I kiedy tak się cieszyła, Nash ciągle siedział na sędziowskim krzeselku, śmiejąc się do niej, aż serce zaczęło bić jej mocniej.

- Miałaś szczęście, że pożyczyłem ci swój pasek - powiedział Nash, a jego błyszczące oczy śmiały się.

Usiadła na okrągłym plastikowym krzeselku za nim i wzięła długopis. Gdy nadeszła jego kolej, Nash stanął na swojej pozycji. Kiedy pochylił się, aby ująć kulę, niespodziewany powiew rozwiął mu włosy. Rękawy jego bluzy były o kilka centymetrów za krótkie i odsłaniały nagie ramiona aż do łokcia.

Przyjął pozycję. Za krótkie nogawki. Białe skarpetki nad biało-niebieskimi butami. Stał, stopy razem, plecy proste, kula trzymana oburącz. Wycelował. Wziął zamach. Puścił kulę. Kula poszła prosto, ale w ostatniej chwili zmieniła kierunek i skręciła w lewo. Zahaczyła o narożne kregle, przewracając trzy.

- Nash ma dzisiaj zły dzień.

Głos dochodził z za jej pleców. Odwróciła się i zobaczyła pochylonego nad sobą Harleya, który przyglądał się tabeli wyników. Jego lśniąco włosy opadały na stolik.

- A normalnie gra lepiej?

- O wiele lepiej.

Jej wcześniejsze podejrzenia powróciły. Czego on od niej chce? Dlaczego jest teki miły?

- W talom razie celowo źle gra.

- Hm, miałbym pewne wątpliwości. Nie jest aż tak rycerski. Powiedziałbym raczej, że to ty sprawiasz, że się tak denerwuje.

Harley uśmiechnął się tym swoim słodkim uśmiechem, poklepał jej dłoń

i wyprostował się. Dwie minuty później opierał się o ladę szatni z mikrofonem w ręku.

- Przez następne dwie kolejki każdy pcha kulę lewą ręką - ogłosił. Po pięciu minutach:

- Przez następne dwie kolejki każdy pcha kulę obiema rękami. A potem trzeba było to robić stojąc tyłem.

Kiedy się wreszcie skończyło, Sarę wszystko bolało ze śmiechu.

- Nie mam pojęcia, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam - wy sapiała, próbując złapać oddech.

- Zbliżyła się czarodziejska godzina - ogłosił Harley. - Czas, kiedy korona przejdzie w ręce nowego króla. Zatem głosujmy. Czarodziejska godzina? Oczy Sary powędrowały na ścianę w poszukiwaniu zegara. Wreszcie dostrzegły go na końcu sali, obok pierwszego toru. Była dziewiąta pięćdziesiąt pięć.

O Boże.

O Boże!

Chwyła torebkę, zrobiła dwa kroki i przypomniała sobie o butach. Usiadła na najbliższym krześle i zaczęła nerwowo rozsuptywać sznurowadła. Bezskuteczne.

- Masz już dosyć?

Nash ukucnął przy niej.

- Muszę iść. - Sara nerwowo usiłowała rozwiązać sznurowadła. - Muszę iść. Delikatnie odsunął jej rękę i spokojnie rozplątał supeł, który zdążyła już zrobić.

Szybko zrzuciła buty, wkładając swoje pantofle, złapała torebkę i płaszcz, i pobiegła w stronę drzwi.

Rozglądała się nerwowo po ulicy w poszukiwaniu taksówki, kiedy Nash wybiegł za nią.

- Co ty wyprawiasz?

- Taksówka - wydusiła z siebie bez tchu. Ruszyła ciemną ulicą z nadzieją, że natknie się na postój.

- Zawiozę cię.

Nic nie rozumiał. Musiała odjechać. Musiała odjechać w tym momencie i ani minuty później.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami. A potem silnik. Chwilę później obok niej był Nash, oparty na sąsiednim siedzeniu, otwierał drzwi.

- Wsiadaj.

Wskoczyła i szybko zamknęła drzwi. Skreślił, koła zapiszczały.

- Twoje buty! - powiedziała widząc, że ciągle ma na nogach buty z kręgielni.

Theresa Weir

- Wielka kradzież butów do gry w kręgle. Gdy nawet się nie uśmiechnęła, dodał szybko:

- Tak bardzo chciałbym zachować je na pamiątkę, ale oddam później.

- O mój Boże.

- Co znowu?

- Moje ubranie.

Odwróciła się. Uklękła, przechyliła się przez siedzenie i wyciągnęła zza niego torbę ze swymi rzeczami.

- Gdzieś się zatrzymam.

- Nie ma mowy! Jedź dalej.

Ściągnęła kurtkę i rzuciła ją do tyłu. Obróciła się na siedzeniu. Sięgnęła do paska. Szarpała supeł.

- Cholera! - Dalej zawzięcie szarpała, nie chciał się rozwiązać. - Nie mogę tego rozsupłać! Nie, nie zatrzymuj się. Nie zatrzymuj się!

Z jedną ręką na kierownicy Nash próbował jej pomóc. Samochód zaczął zjeżdżać na pobocze. Uderzyła go po rękach.

- Po prostu jedź. Jedź.

Wreszcie udało się jej. Nie rozpinając spodni ani nie zdejmując paska, ściągnęła buty, aż zsunęła całe spodnie. Potem chwyciła dzinsy, wywróciła je na prawą stronę i wciągała po kolei na każdą nogę. Próbowwała stać, ze stopami na podłodze, ramionami wsparta na oparciu siedzenia. Potem zapięła guzik, suwak i włożyła swoje buty.

- Chryste, co się stanie, jeżeli wrócisz do domu później? Nie dostaniesz kolacji?

- Po prostu jedź.

- Tak jest, proszę pani. Co tylko pani rozkaże.

Skręcili na Lakeview Boulevard Jeszcze chwila i będzie w domu. Kolejny zakręt i znaleźli się na ulicy, przy której mieszkała.

- Zatrzymaj samochód. Jechał dalej.

- Stop! Zatrzymaj się! Nacisnął hamulec.

- Twój dom jest dwa bloki dalej.

- Chcę tu wysiąść.

- Nie zamierzam wypuścić cię o tyle wcześniej. Zwłaszcza po tym, co ci się stało kilka tygodni temu.

Chwyciła torebkę, płaszcz i otworzyła drzwiczki. Zniknęła kobieta, z którą grał w kęgle i która dzieliła się z nim pizzą. Znow była zimną bogatą damulką z innego świata. I wtedy dotarło do niego. Ona po prostu się nim bawiła. Nagle wszystko zobaczył. Wyraźnie. Po raz pierwszy od czasu, kiedy

106

wyciągnął ją z jeziora. On tu kręci się wokół niej przez wiele dni, ba - tygodni, a ona po prostu się nim bawi.

Co za ulga.

Co za cholerna ulga.

Teraz może grać w tę grę. Już wiedział jak. Zrozumiał zasady. Mógł ją mieć. Będzie ją miał, to pewne.

Tyle czasu poświęcił na podchody. Na bzdury typu: „poznajmy się”. Usiłował ją oczarować.

Oboje są dorośli. Oboje dobrze wiedzą, o co tu chodzi.

- Skończmy z tym - powiedział, a jego prawa ręka powędrowała za głowę. - Chcę ciebie. Budzę się pragnąc ciebie i zasypiam z taką myślą.

Nie czekając na jej reakcję pochylił się do przodu, otworzył schowek, pogrzebał w nim w poszukiwaniu wizytówki, tym razem prawdziwej, i podał jej.

- Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebować... no wiesz, męskiego towarzystwa, wiesz, gdzie mnie można znaleźć.

Nie mógł widzieć jej twarzy. Wszystko, co zauważył, to to, że nie poruszyła się. Potem wyprostowała się i trzasnęła drzwiami.

Kiedy patrzył, jak biegnie ulicą uśmiechał się. Był to obojętny uśmiech, uśmiech pozbawiony emocji.

Czy przyjdzie?

Po tym, jak postawił sprawę jasno? Mało prawdopodobne. Cholernie mało prawdopodobne.

Zbliża się do Ziemi, bardziej niż powinna i przyprawia ludzi o szaleństwo.

Szekspir

Rozdział jedenasty

Kiedy Sara weszła do domu, Donovan jeszcze nie było. Biegała po domu, ściągając rzeczy z siebie. Na górze rzuciła ubranie do kosza na brudną bieliznę, szybko wciągnęła na siebie piżamę i wskoczyła do łóżka. Godzinę później zjawił się Donovan.

Udawiała, że śpi, kiedy wślizgnął się do łóżka obok niej. Pachniał tanimi perfumami i whisky. Nawet jej nie dotknął. Nie powiedział ani słowa.

Dzięki Bogu, powtarzała sobie w duchu, próbując zachować spokojny oddech. Dzięki Bogu.

Sara nie interesowała się gotowaniem ani urządzaniem domu, nie zajmowała się też ogrodem. Dlaczego miałyby to robić? Miejsce, w którym mieszkali, albo raczej gdzie spali i jedli, nie było źródłem ani szczęścia, ani bezpieczeństwa. Dom to był teren Donovan, nie jej. To było miejsce na pokaz, a nie prawdziwy dom.

Niemniej jednak zapełniała swoje dni, dzieląc czas między sklep i Fundację. Brała udział w spotkaniach, starała się zdobywać pieniądze i chociaż była wśród wielu różnych ludzi, cały czas odnosiła się do nich z dystansem. Nigdy nie starała się z nikim zaprzyjaźnić. Nigdy nie zapraszali z Donovanem nikogo na kolację ani nie składali rewizyt.

Ale nieważne, jak bardzo starała się być zajęta, niestosowne wyznanie Nasha ciągle do niej wracało: „Chcę ciebie. Budzę się pragnąc ciebie i zasypiam z taką myślą”. Jego słowa zarazem przeraziły ją i wstrząsnęły. Ale to, co powiedział później, podziałało na nią jak kubeł zimnej wody.

„Wiesz, gdzie można mnie znaleźć”.

Co za chamstwo!

Nienawidziła go.

104

Bóg jeden wiedział, jak bardzo.

To wszystko była intryga. Jedna wielka intryga. Jego wizyta w szpitalu. W sklepie. Przyjęcie w kregielni. Zapraszał ją tylko w nadziei, że wieczór spędzony razem zakończy się w łóżku.

Powinna była wiedzieć, że bycie miłym nie przychodzi tak łatwo komuś takiemu jak on. Nie był miły bezinteresownie. Przez cały czas zastanawiała się, czego on może od niej chcieć, podejrzewając, że to jakaś kolejna plugawa historia do jego nędznej gazety. Nigdy nawet nie przyszło jej na myśl, że tym, czego chciał, była ona sama. Nigdy nie przypuszczała, że to, czego chciał, to był seks.

Seks.

Do tego wszystko się sprowadzało. Mężczyźni używali go, żeby dominować. Zdobywać. Panować.

„Wiesz, gdzie można mnie znaleźć”.

Cholera, sprowadził ją do poziomu swoich niskich potrzeb. I na koniec ciężko ją znieważył, tak jak tylko ktoś taki jak Nash Audubon może obrazić kobietę.

Jego twarz była taka pewna, emanowało z niej takie zadowolenie z siebie. „Wiesz, gdzie można mnie znaleźć”. Co za czelność!

Co za tupet! **Dni** mijały.

Z czasem Sara zauważyła, że jej wściekłość na Nasha znika. Coraz częściej łapała się na myśli o tym, że Nash jej pożąda. A co dziwniejsze, ta myśl sprawiała[^] że czuła się dobrze, trochę silniejsza w świecie, gdzie nie miała żadnej władzy.

Czasami chciała wyciągnąć jego wizytówkę. Mimo że zapamiętała już bardzo dobrze jego adres i numer telefonu, chciała na nią spojrzeć. Dotykałaby palcami wypukłego druku, podziwiając prostotę pisma.

Nigdy tam nie pójdzie.

Oczywiście, nigdy tam nie pójdzie. Ale nie mogła przestać o tym myśleć. Jak by to było? Być z nim?

Pewnie przyjąłby pozę supermena, macho. Pewnie by ją przerażał. Nie chciała już być przerażona. Nie, na pewno tam nie pójdzie.

Chciała, żeby przyszedł, wpadł na chwilę do sklepu. Gdzieś w środku czekała na to. Gdzieś w środku miała nadzieję.

109

Theresa Weir

Ale nie przyszedł.

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, w drodze powrotnej do domu, wzięła taksówkę i kazała się zawieźć do redakcji „Shoot the Moon”. Na trzecim piętrze paliło się światło w kilku oknach. Który to był jego pokój? Narożny? Z zewnątrz bardzo trudno to określić.

Kierowca zapytał, czy chce, żeby stanął.

- Nie.

Podala mu adres domu, który dzieliła z Donovanem. Opadła na siedzenie. Taksówka poruszała się w ciemności, mijala udekorowane witryny sklepów, sznury girland i świąteczne światełka. Wiozła Sarę do domu.

Nie pożądała Nasha, powtarzała sobie w kolko. Pożądanie nie miało tu nic do rzeczy. Tak czy owak, Donovan zabił w niej wszelkie pożądanie. Seks był dla niej czymś, co wzbudzało strach, przerażenie, coś, co wzbudzało w niej obrzydzenie.

W takim razie dlaczego często łapała się na tym, **że** myśli o tym, **iż** jest z Nashem? Właśnie w ten sposób.

Może dlatego, **że** to on zaczął o tym mówić. Może dlatego, **że** oświadczając, **że jej** pragnie, spowodował, **że** zaczęła o tym myśleć. A może dlatego, **że** miała nadzieję, **iż** dotknięcie kogoś innego wymaże skazę po Donovanie.

Jej myśli i uczucia były sprzeczne z jakakolwiek logiką.

Powoli zaczęła zdawać sobie sprawę, **że** nie jest w stanie dłużej się opierać.

Musiała go zobaczyć. Rozmawiać z nim. Być z nim. Pewnego dnia stwierdziła, **że** wygrał. Była gotowa na zawarcie tej transakcji. Seks za jego towarzystwo.

W piątek przed Bożym Narodzeniem Sara zamierzała zrealizować swój plan, nawet jeżeli był śmieszny.

- Muszę zrobić jeszcze trochę zakupów przed świętami - powiedziała do Marilyn.

Całe popołudnie serwowały grzane wino jabłkowe i pączki swoim stałym klientom, a teraz zrobiło się pusto.

- Weź sobie wolny wieczór - nalegała Marilyn, właśnie tak jak Sara przypuszczała.

Sara odchrząknęła.

- Gdyby dzwonił Donovan, powiesz mu, że robię zakupy?

- Oczywiście, kochanie. Ale uWażaj na siebie. Marilyn nie da się wykiwać.

Taksówkarz wypuścił ją przed redakcją „Shoot the Moon”.

- Czy mam zaczekać? - zapytał spojrzawszy na rozpadające się magazyny.

Sara zapłacała.

- To nie będzie potrzebne.

Kiedy wysiadła z taksówki, wilgotne, przenikliwe powietrze zaparło jej dech w piersi. Wiatr targał jej włosy, szczypał w oczy.

Stała na rogu ulicy, trzymając kurczowo kołnierz wełnianego płaszcza, patrząc, jak znikają czerwone światła taksówki.

- To szaleństwo - mówiła sama do siebie. A potem powtarzała sobie to, co zawsze, gdy miała do czynienia z czymś niezwykle trudnym. Żyła z Donovanem Ivy. Co jeszcze mogłoby ją przerazić?

Odwróciła się i stanęła przed czteropiętrowym budynkiem z cegły. To tutaj. Teraz nie było już ucieczki.

„Wiesz, gdzie można mnie znaleźć”.

Ruszyła pustym, nierównym chodnikiem w kierunku zardzewiałych metalowych drzwi. Zapukała. Stała i czekała.

Cisza.

I znów zapukała. ^

Przeszła za róg budynku, pod zimny wiatr, smagający jej nie osłonięte ręce i twarz. Z głową odchyłoną do tyłu rjrzyglądała się oknom na trzecim piętrze i zobaczyła światło. Ale przecież równie dobrze mogli zostawić je na całą noc.

Dlaczego jednak nie poprosiła kierowcy, żeby zaczekał? Jeżeli Nasha nie ma w redakcji, co ona teraz zrobi? W jaki sposób w tej dzielnicy złapie taksówkę? W tej dzielnicy nie było taksówek...

Znów podeszła do drzwi. Szarpała za klamkę. Pchała ramieniem. Walila pięściami. Po czym odwróciła się tyłem do drzwi, założyła ręce i zaczęła rozglądać się wokoło.

Ruch nie był zbyt duży. Kilka samochodów jechało ulicą. Jeden nawet zwolnił, ale zaraz odjechał.

Chwilę później zastukała znowu.

Usłyszała, jak za nią zwalnia samochód. Rzuciła okiem przez ramię. Ten sam, który ją tu przywiózł.

Poczuła, że ogarnia ją strach. Dokładnie w momencie, gdy postanowiła stąd odejść, drzwi magazynu powoli otworzyły się. Stał tam Nash. Prawie nagi, miał na sobie tylko szare krótkie spodenki. Mokre włosy. Na końcach zbierały się kropelki wody, które kapały mu na ramiona.

- Sara? Jego głos.

W tym momencie wzbudzał w niej poczucie zarazem ulgi i strachu. Wyglądało na to, że jest zaskoczony. I zaintrygowany. A może nawet mile zaskoczony. Miała nadzieję, że jest mile zaskoczony.

Wciągnął ją do środka. Drzwi zamknęły się za nią automatycznie.

- Właśnie brałem prysznic. - Wskazał gdzieś za siebie, w górę. - Wydawało mi się, że słyszę pukanie.

Przedtem raz widziała go częściowo rozebranego, ale to było na plaży i wtedy nie bardzo zwracała sobie tym głowę. Tego wieczoru, z powodu, dla którego tu przyszła, jej zmysły były wyczulone na wszelkie objawy seksualności, zmysłowości.

Nie był potężnym facetem. Nie typ kulturysty. Zupełnie inny niż Donovan. Ale był dobrze zbudowany. Mocny. Jego skóra, pod którą widniał wyraźny zarys mięśni, miała delikatny połysk.

Uniósł ręce i odgarnął z twarzy mokre włosy, odsłaniając ciemne trójkąty ujęte w siatkę mięśni.

Zamierzała nie bawić się w ciuciubabkę i po prostu powiedzieć, po co tu przyszła. Ale zamiast tego stała i skubała pasek torebki, zmuszając się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Czy ty wciąż... - Przełknęła, nie mogła prawie oddychać. - Czy wciąż mnie pragniesz?

Ręce mu opadły. Stał tak przez chwilę, a w jego głębokich niebieskich oczach malowało się zaskoczenie. Zrobił krok w jej kierunku. Bez słowa ujął jej rękę w rękawiczce. Odwrócił się i pociągnął ją za sobą, po schodach, aż do swego pokoju.

Kiedy znalazła się już w środku, zawahała się i zatrzymała się blisko zamkniętych drzwi. Nash w tym czasie grzebał w torbie z czystymi rzeczami, aż wyciągnął biały podkoszulek. Wyprostował się i powoli wkładał najpierw jedną rękę, potem drugą. Naciągnął koszulkę przez głowę i obciągnął w dół. Mokre włosy zostawiały plamy.

Serce jej waliło, zastanawiała się, dlaczego się ubiera.

Patrzyła, jak idzie bosy przez pokój. Z blatu wziął puszkę z Coca-Colą.

- Napijesz się czegoś? - zapytał.

Zwilżyła językiem suche wargi i pokręciła przecząco głową. Dlaczego on to tak przeciąga? Jeżeli się nie pośpieszy, ona straci nad sobą panowanie.

Żeby ukryć swoje zdenerwowanie, zajęła się swoimi rękawiczkami. Ściągnęła je, wepchnęła do kieszeni. Potem rozpięła płaszcz i zsunęła go z ramion. Rozglądała się, gdzie by go można powiesić, kiedy podskoczył do niej Nash i zabrał płaszcz. Podeszedł do szafy, wynalazł jakiś wieszak i powiesił go na

nim. Kiedy odwrócił się do niej, płaszcz bezszelestnie zsunął się z wieszaka i upadł na podłogę. Nawet nie zwróciła na to uwagi.

Jej spojrzenie powędrowało w kierunku elektronicznego zegarka, który stał na biurku. Ósma zero trzy. Nash spojrzał w tę samą stronę i gdy podniosła wzrok, ich spojrzenia się spotkały.

- Nie mamy zbyt wiele czasu. - Zdała sobie sprawę, że wypowiada to, oczym oboje myśleli.

To pobudziło go do działania. Złapał poduszki z sofy i rzucił je na podłogę. Potem rozłożył ją w dwuosobowe łóżko. Metal skrzypiał i zgrzytał. Białe prześcieradło. Czyste. Dwie podłużne fałdki, gdzie było złożone. Uniósł palec do góry, jakby coś sobie przypomniał.

- Wino. Chyba mam tu gdzieś butelkę wina.

Nie oczekiwała jakichś specjalnych wstępów. Nie tego chciała, ale może łyk wina dobrze jej zrobi.

Podbiegł do jednej z szafek i wyjął z niej dwa papierowe kubki i zieloną butelkę z winem.

Podał jej pusty kubeczek, drugi chwycił w zęby, w ten sposób uwalniając obie ręce, aby otworzyć butelkę. Nalał jej, potem sobie.

- Wesółych świąt

- Wesółych świąt.

Kubek był papierowy. Musiała bardzo uważać, żeby go nie zgnieść. Wypiła jeden łyk. Nie takie złe. Słodkie i ciepłe. Rozgrzewające. Czowała, jak ciepło rozlewa się po całym ciele. Wypiła jeszcze jeden łyk. Przeszedł przez pokój i zamknął drzwi. Dobry pomysł.

- Zgasić światło? - Jego dłoń zatrzymała się na wyłączniku.

- Tak.

To oczywiste.

Bała się. Bała się śmiertelnie. Zgasił światło.

Na podłodze i na kanapie uliczne światła przedzierały się przez żaluzje i układały się we wzory. Za jasno. Powinno być dużo ciemniej.

- Czy nie można ich szczelniej zasunąć? - zapytała.

Podszedł do okna, krótko walczył z żaluzjami, potem wzruszył ramionami i dał sobie spokój.

Odstawiła swój kubek na zawalone biurko i też podeszła do okna. Chwyciła za drążki i mocno pociągnęła. Żaluzje zasunęły się. Zostaw to. Weź płaszcz i idź stąd.

Odwróciła się.

- Nic o tobie nie wiem - mówiła w ciemność, rękę przesuwała po blacie biurka w poszukiwaniu kubka. Znalazła go. Teraz ona zwlekała. - Możesz na przykład być żonaty.

- Nie jestem.

- Ale ja jestem mężatką. Na chwilę zapadła cisza.

- I tobie to nie przeszkadza? Seks z zamężną kobietą? Roześmiał się.

Jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Wystarczająco, żeby zauważyć jego cień oparty o skraj biurka. Jego głos przeciął ciemność. Ostry, bez emocji. Słowa padały powoli, co nadawało im szczególne znaczenie.

- Niektórzy mówią, że nie mam... sumienia. Jeżeli przedtem bała się, teraz była przerażona.

O tak, w to mogła uwierzyć, że ludzie tak o nim myślą. Ale czy ona sama w to wierzy?

- Saro, dlaczego tu przyszedłeś?

Jego głos był tak opanowany. Tak spokojny, kiedy ona cała w środku trzęsła się. Łyknęła następny haust wina. Skończyło się. Odstawiła pusty kubek na pełne papierów biurko.

- Nie wiem.

W głosie Sary można było wyczuć lekkie drżenie, ale nie sądziła, żeby to zauważył. Nie znał jej aż tak dobrze. Wcale jej nie znał. O -Nuda?

- Nie.

Nie zamierzała mu powiedzieć, że bez przerwy myślała o nim, że nie mogła przestać o nim myśleć. Nie mogła mu dać tej satysfakcji. - No cóż... tak. Myślę, że i nuda miała coś z tym wspólnego.

- Tak też myślałem.

W jego głosie było słycać prawie ulgę.

Zegarek na biurku wydał z siebie cichy dźwięk, jarzył się zielonymi cyferkami. Odliczał czas, czas, który szybko uciekał. - To było coś, co musiałam zrobić.

- Masz na myśli obsesję?

- Nie wiem... Może...

- Ja znam ten rodzaj obsesji.

Wstał. Podszedł do niej. Nalał jej jeszcze winą po czym uniósł butelkę do ust i pociągnął długi łyk.

Piła wino jak lekarstwo. Kiedy skończyła, odstawiła pusty kubek i zaczęła się rozbierać.

Nash pociągnął następny łyk kiepskiego trunku, wzdrygnął się, zakręcił butelkę i spojrzał na Sarę, która właśnie ściągała przez głowę sweter. Upuściła go na podłogę.

Nie odrywając od niej oczu, odstawił butelkę na bok. Jak często przez dwa ostatnie tygodnie myślał o niej? De razy kusilo go, żeby podjechać do sklepu czy na jej ulicę i w ostatniej chwili powstrzymywał się?

A teraz ona tu jest.

Stoi przed nim. Rozbiera się. Sprawia wrażenie, jakby to było coś zwyczajnego, coś, co robi codziennie, jakby to była jakaś umowa.

Pragnął jej. O Boże, jak jej pragnął. Przecież sam to sprowokował, ale nagle wydało mu się, że to wszystko idzie w złym kierunku.

- Czy ciągle mnie pragniesz? - wyszeptała.

Jęknął cicho. Czy nie o tym marzył co dzień? Co noc?

Za nim zegarek oznajmił upływanie kolejnych piętnastu minut.

Ósma trzydzieści.

Zamierzał właśnie okazać się wielkoduszny i zasugerować, że może nie jest to najlepszy pomysł, gdy nagle odpięła stanik i upuściła go na podłogę.

Jego oczy zdążyły już przyzwyczaić się do ciemności. I mimo iż myślała, że udało jej się domknąć żaluzje, wyraźnie widział zarys jej piersi, ciemne otoczki wokół sutek.

Natychmiastowa erekcja. Krew pulsowała w żyłach. Był sztywny i twardy.

Chwilę potem na podłogę upadły jej dzinsy.

A później majtki.

Jej jasna skóra połyskiwała w półmroku. Wyraźnie widział ciemny trójkąt między udami.

Pochyliła się nad łóżkiem i położyła na plecach. Ciemne włosy rozrzucone w nieładzie na poduszce, piersi uniesione ku górze, żebra rysujące się pod skórą. Płaski brzuch. Kości biodrowe.

- Szybko.

Jej głos był ochrypły i napięty. Natarczywy.

Zawsze bardzo lubił grę wstępną. Lubiał patrzeć, jak kobieta dochodzi do granicy wytrzymałości, doprowadzać ją do rozkoszy rękami, ustami, językiem, zanim się w niej zagłębił. Nie było nic bardziej erotycznie podniecającego niż kobieta dochodząca do szczytu, gdy jej smakował. Chciał być tam, w samym środku jej naprężonego ciała, gdy nią będą targaly kolejne wstrząsy...

Ale Sara nie chciała nic więcej ponad sam akt.

Ściągnął koszulkę, potem, pomimo chwilowych trudności z powodu erekcji, zsunął z bioder spodenki i upuścił je na podłogę.

Na nagim, rozpalonym ciele poczuł zimne powietrze.

Dwie wąskie strużki światła padały na nią, odsłaniając tylko niektóre partie ciała. Szyja, sutki, biodra.

III

I wtedy zauważył, że nie zdjęła skarpetek.

Uśmiechnął się. Jednym kolaniem ukląkł na materacu i ujął jej stopę. Drugą ręką powoli przesunął w dół po jej nodze, od kolana po kostkę. Zsunął skarpetki, po czym oparł jej bosą stopę na swoim udzie. Przebiegł palcami po jej łydkach, kolanach. Po czym, chwytając obręcz za kostki, przesunął je z ud na biodra.

Myślał, że natychmiast się otworzy, ale nie. Położył dłonie na jej kolanach.

- Sara? Rozsunęła nogi.

Odwróciła twarz na bok. Widział jej napiętą szyję. Rozchylone usta.

- Szybko - wyszeptała bez tchu - szybko.

Pochylił się nad nią. Pocałował w brzuch, po czym przesunął się coraz wyżej, aż jej piersi przylegały do niego, jej brzuch był pod nim, koniuszkiem członka delikatnie ją naciskał.

Krew uderzyła mu do głowy, ale mimo to jakiś nieznośny głos w środku mówił, że wcale się z nią nie kocha. Nie miał pojęcia, o co tu chodzi, ale z pewnością nie kochali się. Nawet się nie pocałowali.

Wykorzystywała go?

Czuł małe dłonie na swoich pośladkach, palce biegające po całym jego ciele, kiedy nagliła go, żeby ją wziął.

Czuł pot na skroniach. I wrzącą krew w żyłach.

I co z tego? I co z tego, że go wykorzystuje?

Cały był zlany potem. Czuł, że już nie wytrzyma ani chwili dłużej. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Pchnął. Długo. Silnie.

i nic.

Nic z tego.

Siła pchnięcia targnęła jej ciałem.

Oddychając coraz szybciej, uniósł biodra i próbował pomóc sobie ręką. Przesunął dłoń między ciemnym trójkątem jej włosów i wsunął w nią palec. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Pchnął raz jeszcze, tym razem głębiej. I znów nic.

Była kompletnie sucha. Sucha jak pustynia.

Uniósł się na łokciach, z kolanami między jej udami, z przyciśniętym do niej brzuchem. Ciężko dyszał. Wzrokiem szukał jej twarzy. Przesunęli się na tyle, że struga światła oświetlała jej delikatne rysy. I wtedy zobaczył, że miała zaciśnięte powieki.

O co tu chodzi?

Gdy księżyc jest w pełni, rozsadek znika.

Rozdział dwunasty

Była zupełnie sucha, zamiast być miękka, wilgotna i gorąca. Leżała z zaciśniętymi zębami, sztywna i spięta, nieczuła na jego pieśczoć.

- Nie przerywaj.

- Nie możesz oczekiwać, że wedrę się tam... siłą

- To nie ma znaczenia. Zerwał się.

- Jezu, to niemożliwe. - Usiadł, tyłem do niej, z nogami spuszczone na podłogę, podparł się. Nerwowo przeczesywał palcami włosy, pocierał brodę. -Jezu.

Był cały mokry. Oddech miał krótki, przerywany. Serce waliło mu jak oszalałe.

Siedział tak przez kilka minut, czekał, aż krew przestanie mu wrzeć, w pokoju narastała przerażająca cisza. Gdzieś na zewnątrz, kilka domów dalej, wyły syreny alarmowe, po chwili ucichły.

Nic nie rozumiał. O co jej chodzi? Co to za gra? To było zbyt oczywiste, że wcale nie chce się z nim kochać, ale się do tego zmusza.

Jego wzrok padł na upuszczone na podłogę spodenki. Podniósł je i wciągnął. Stojąc rozglądał się w ciemności w poszukiwaniu podkoszulka.

Znalazł. Włożył. Odwrócił się i powiedział:

- Nie mam pojęcia, o co tu dó cholery... Urwał.

Leżała na boku, twarzą do okna, z ręką pod głową, z podwiniętymi kolanami, otwartymi oczami, wpatrzonymi gdzieś w przestrzeń. Płakała bezgłośnie.

O Boże.

Był człowiekiem bez serca, bez sumienia, ale w tej chwili poczuł ból nie do wytrzymania. Ból ściskający gardło i przeszywający na wskroś. Ból, który dobrze znał, ale nigdy nie chciał doświadczyć go powtórnie.

- Saro...

Opadł obok niej na materac, który się gwałtownie ugiął, zatrzeszczały sprężyny. Przysunął się do niej, ręka zawisła mu nad jej nagim biodrem, aż wreszcie opadła na ramię. Sara była zimna jak lód.

Spod materaca wyciągnął wełniany koc. Okrył ją. Taka drobna postać, a taki wielki koc.

Po raz pierwszy w życiu nie miał pojęcia, co robić. Nie odzywał się. Po prostu nie wiedział, co mógłby powiedzieć w takiej chwili. Westchnęła ciężko. Dźwięk wypełnił ciszę panującą w pokoju, pogłębiając nieznośny ciężar w jego piersi. I wtedy odezwała się. Bardzo cicho. W jej głosie nie było żadnych emocji, wyrażał całkowitą rezygnację.

Wypowiadała słowa ze straszliwym wysiłkiem.

- Myślałam, że mogę być kimś innym. Chociaż na krótką chwilę.

Nie miał pojęcia, co zrobić, ale poczuł, że bierze ją w ramiona. Trzymał ją delikatnie kołysząc. Wdychał jej zapach. Głaskał jej włosy, odgarniając z czoła jedwabiste loki. Gdzieś, w środku, instynktownie wiedział, że to jest prawdziwa Sara Ivy. Nie ta błyszcząca w towarzystwie, ze swoimi drogimi strojami i biżuterią, nie ta pewna siebie kobieta, która go kiedyś potraktowała tak obcesowo. I wtedy, ta kobieta na plaży, to też ona. Sara Ivy. Odważna. Prowokująca. Pełna seksu. Tamta doprowadzała go szaleństwa. Ta... złamała mu serce. Czas płynął. Zegarek na biurku znów zadzwonił znajomo. Dziewiąta. Sara uniosła głowę i odezwała się wreszcie.

- Muszę iść.

Nie odrywając od niej wzroku, pozwolił jej wysunąć się z jego ramion. Jej ciało pozostawiło po sobie ciepły, nieuchwytny ślad. Stała owinięta szczelnie kocem.

- Nie patrz na mnie, gdy będę się ubierać.

Widział jej nagie ciało. Miał zdjęcie, w które wpatrywał się niemal codziennie, to zdjęcie, o którym skłamał, że nie istnieje.

Odwrócił się. Podeszedł do okna. Palcem rozsunał żaluzje. Zazgrzytały, wygięły się, tworząc szparę, przez którą mógł obserwować ulicę.

Grudniowa pełnia księżyca. Nisko na niebie. Mgła, jakby nadchodziła burza.

- Nie odchodź - powiedział cicho, nie odwracając się.

- Muszę.

- Dlaczego? - Nie chciał nawet myśleć o jej powrocie do Donovan - Jeżeli małżeństwo by cię satysfakcjonowało, nie przyszłabyś tutaj.

Nic nie powiedziała. Nie potwierdziła, ale i nie zaprzeczyła.

Nie mógł tego pojąć. Dlaczego kobieta tkwi w małżeństwie, które jest nieudane? Niektóre kobiety robią to dla dzieci, ale przecież ona ich nie miała.

Pozostawały pieniądze.

Z zasady unikał zbyt intymnych rozmów, ale tym razem chciał, żeby odezwała się do niego, żeby wszystko mu wytłumaczyła.

Nie chciał zapalać światła, nie chciał, by poraziła ich sześćdziesięciowatowa żarówka. Odsłonił żaluzje wpuszczając trochę światła z ulicy. Słyszał, jak się krząta, cichy stukot jej butów, kiedy chodziła po pokoju.

Odwrócił się.

Była już ubrana i miała na sobie nawet płaszcz. Miał wrażenie, że ubranie dodało jej pewności siebie. Coś znowu z tego chłodu, powściągliwości. Podeszła do telefonu i zadzwoniła po taksówkę. Opanowała go złość... a może obawa - A co się stanie, jeżeli wrócisz później do domu? - zapytał, a w jego głosie słychać było sarkazm. - Nie dostaniesz kieszonkowego? Patrzyła na niego bez słowa. Przez kilka ostatnich lat był z siebie dumny, bo miał wrażenie, że wie o prawdziwym życiu więcej niż inni. To była zarozumiałość. Nagle prawda nigdy przedtem nie wydawała się tak oczywista. Kiedy tak stała przed nim i wpatrywała się w niego, cała jego pewność siebie gdzieś znikła i przez moment poczuł zwątpienie. Przez chwilę wyobraził sobie, że stoi nad ziejącą przepaścią, gotów spaść tam na oślep. - Tak - odpowiedziała z uśmiechem, który świadczył o tym, że drwi sama z siebie.

Pamiętał dobrze, że ta kobieta próbowała popełnić samobójstwo.

- Nie da mi kieszonkowego.

Omijali problem, omijali to, co się wydarzyło pomiędzy nimi. Albo raczej się nie wydarzyło... Nash czuł się kompletnie zdezorientowany.

- Nie rozumiem - powiedział. Chciał konkretnej odpowiedzi. - Dlaczego tu przyszłaś? Po co? Żeby zrobić na złość Donovanowi?

Po czym inna myśl przyszła mu do głowy, myśl, która bardziej pasowała do jego pierwszego wyobrażenia o Sarze Ivy.

- A może po prostu próbowałaś się poniżyć, może chciałaś sobie udowodnić, że się na to nie zdobędziesz?

Odwróciła się, jej niedawno odzyskane opanowanie gdzieś znikło.

- Ja., ja... - Przelknęła. Zacisnęła usta - Miałam zamiar dokonać wymiany. - Ledwie słyszał jej głos. - Przynajmniej myślałam, że mi się

to uda. - Wzruszyła ramionami i zaśmiała się nerwowo. Złożyła ręce. - Po prostu seks nie jest chyba czymś, czym warto się ze mną wymieniać. Może gdybyśmy znaleźli coś innego, cokolwiek, może wtedy by się nam udało.

- O czym ty mówisz?

- Seks. To był twój warunek spotkania, prawda? Zakręciło mu się w głowie.

Co się z nim działo? Jak doszło do tego, że stał się taki okrutny?

Był czas, kiedy był jeszcze bardziej naiwny niż Harley. Był czas, kiedy też był porządnym facetem. I wtedy został skrzywdzony. I właśnie wtedy zrozumiał, że musi być twardy albo... zjedzą go żywcem. Ale to... O Boże.

- Muszę już iść.

Słowa dotarły do niego jak z oddali.

- Po-poczekaj. - Trzęsąc się, chwycił sweter i w biegu włożył buty. -Odprowadzę cię.

Zeszli po schodach, potem w dół korytarzem.

Na dworze księżyc był zupełnie niewidoczny. Płatki śniegu opadały powoli na ziemię. Naprawdę wielkie - wyglądały jak strzępki papieru. Było zupełnie bezwietrznie.

Sara podniosła głowę.

- Śnieg - W jej głosie było coś z dziecka.

Patrzył, jak wilgotne płatki całują jej szyję, włosy, rzęsy. Gdy znów spojrzała na niego, uśmiechnęła się. Nie był to ten drwiący grymas, jaki widział wcześniej, ale miękki, łagodny, prawdziwy uśmiech.

Mur, który go otaczał, bariera, nad którą pracował tak ciężko i tak starannie ją budował, runęła.

I w tym momencie zrozumiał, że nic nie może się równać z tą chwilą, ani przedtem, ani potem.

Nigdy już nie będzie w stanie spojrzeć na świat z taką samą obojętnością, z takim dystansem, kompletnie bez emocji, których tak trudno było się wyzbyć.

Przecież się nie kochali, ich ciała nie połączyły się, ale coś jednak się wydarzyło. W jakiś magiczny sposób poruszyła to, co od tak dawna starał się w sobie zagłuszyć.

On, który przysięgał sobie już nigdy więcej nikogo nie pokochać, patrzył na nią z poczuciem bezsilności. Patrzył, jak płatki śniegu bez przerwy spadają jej na twarz, włosy, osiadają na rzęsach.

Błogosławieństwo.

Zrobił jeden niepewny krok, potem drugi.

Od czasu tej nocy na plaży wiedział, że musi ją mieć, pragnął jej. Ale w tym momencie wszystko się nagle zmieniło.

Teraz chciał więcej...

Stanął przed nią. Bardzo powoli ich twarze zbliżały się ku sobie. Na jego - pojawił się uśmiech. W jej oczach - pytanie.

Delikatnie ujął jej twarz - jej zimne policzki w jego ciepłych dłoniach, czuł jak mieszają się ich oddechy. Opuścił głowę patrząc, jak zamyka oczy, jak podnosi swoją głowę ku niemu.

Zamknął oczy. I wtedy czuł już tylko miękkie wargi.

Dłonie zniknęły w gąszczu jej włosów. Objęła go za szyję.

Przyciągnął ją do siebie, całą w tym obszernym płaszczu. Usta Nasha napierały coraz mocniej. Rozchyliła wargi.

Gdy ich języki się spotkały, serce mu waliło, ciało pulsowało.

Zatrąbił klakson.

Rzeczywistość.

Przerwał nagle pocałunek, ale przytulał ją nadal. Zamrugwała oczami. Wyglądała zarazem na lekko oszołomioną i zdezorientowaną.

- Muszę cię przeprosić za to, co powiedziałem tej nocy, po przyjęciu Harleya. - Głos mu drżał, słowa przychodziły z trudnością. - Czasami zdarza mi się mówić różne rzeczy, których wcale nie myślę, ot tak, po prostu... no bo... jestem idiotą.

Dotknął palcem jej warg.

- Proszę, wpadaj do mnie, kiedy tyUaTchcesz. Możemy w coś zagrać albo oglądać telewizję. A może lubisz patrzeć w niebo? Mam krzesła ogrodowe na dachu redakcji.

Klakson.

Drgnęła, obejrzała się przez ramię, potem znowu spojrzała na niego.

- Muszę iść.

Chciał wymusić na niej obietnicę. Chciał, żeby powiedziała, że wróci, że ją znowu zobaczy. Zwolnił uścisk i ruszyła pędem do taksówki.

Pobiegł za nią i gdy tylko wsiadła, zamknął za nią drzwi. Gdy samochód odjeżdżał, widział, jak patrzyła na niego przez szybę.

Uniosła rękę i pomachała mu.

Patos. To ulubione słówko Harleya pojawiło się nie wiadomo skąd i w tym momencie nabrało właściwego znaczenia.

Podniósł rękę i powoli, jakby ociągając się, powtórzył jej gest
Jak to możliwe, że taki prosty gest boli tak bardzo? Jak może być w nim
tyle słodczy i bólu zarazem?

Kiedy wrócił redakcji, nie umiał znaleźć sobie miejsca. Wziął do ręki kubek, którego używała Sara. Zamierzał go wyrzucić, kiedy raptem wstrzymał się. Odstawił go z powrotem.

117

Butelkę wina schował do szatki. Włączył telewizor. Dziesięć minut później złapał się na tym, że bezmyślnie gapi się w ekran, więc go wyłączył.

Czuł się pusty, jakby pozbawiony czegoś. Czuł tylko ból, samotność, jakiej nie zaznał od lat.

Godzinę później chwycił słuchawkę i wykrecił numer informacji. Potem zadzwonił do byłego szwagra.

- Cześć, Mart. Co słychać? - odezwał się Nash, jak tylko rozpoznał głos w słuchawce.

- Christian? Mój Boże!

Nie zaskoczyło go zdziwienie w głosie Matta.

- Skąd dzwonicz?

- Z Atlanty. - Odpowiedź padła bez zastanowienia. Kłamstwo dla wszystkich było użyteczne.

- Miło cię węszcie usłyszeć.

- Czy masz numer telefonu Maureen?

- Maureen? - Przyjacielski ton nagle zniknął. - Maureen wyszła powtórnie za mąż wiele lat temu - powiedział Matt ostrożnym, nieufnym głosem.

Matt był porządny facetem. Nash nie winił go za to, że próbuje osłonić swoją siostrę.

- Wiem.

- Ma dwoje dzieci. - Teraz w głosie dała się słyszeć nuta sympatii.

- Dziewczynki? - z trudem zapytał Nash.

- Dziewczynkę i chłopca.

Żadnych imion czy wieku. Nic konkretnego. To dobrze. Nash nie chciał nic wiedzieć o jej nowym życiu.

- Christian, ona jest szczęśliwa. Po co odgrzebywać stare sprawy?

On i Matt polowali razem, razem chodzili na mecze piłki nożnej. Razem naprawiali dach pewnej zimnej, burzliwej, styczniowej nocy. Kiedyś, gdy wszystko było zwyczajne, gdy życie znaczyło życie, a okropności zdarzały się tylko nieznanym.

- Hej, mówisz do faceta, który pomógł ci instalować kanalizację - powiedział Nash. - Do faceta, który zawiózł cię na pogotowie, kiedy spadłeś z dachu. - Głos mu spoważniał. - Chcę tylko z nią porozmawiać. Chciałbym jej powiedzieć... że u mnie wszystko w porządku. Ze nie mam do niej żalu, o nic.

Cisza. Nash wiedział, co Matt myśli sobie teraz.

- Matt - powiedział cicho - nie zwariowałem.

- To już skończone. Zamknij ten rozdział. Teraz Nash zamilkł. Po czym powiedział cicho:

- Nikt nie chce tego bardziej niż ja. To właśnie próbuję zrobić. Zamknąć ten rozdział.

Matt dał mu numer.

Odłożywszy słuchawkę, Nash siedział i wpatrywał się w ciemność. Po dwudziestu minutach znów wykręcił numer w Seattle, który dał mu Matt. Sygnał.

Odsunął słuchawkę i już miał ją położyć na widelkach, gdy powstrzymał się i podniósł ją z powrotem do ucha.

-Halo! Halo? Maureen.

Wszystkie te lata gdzieś znikły.

- Witaj, Maureen - powiedział cicho. Długa pauzą po czym padło:

- Christian? Christian, to ty?

- Tak. To ja.

- Gdzie jesteś?

- Myślę, że lepiej, jeżeli nie będziesz wiedziała. Co u ciebie?

- Wszystko w porządku.

Dwoje obcych ludzi. Dwoje obcych ludzi, którzy kiedyś byli sobie bliscy, którzy kiedyś dzielili życie. Nie wiedział, co powiedzieć, nie wiedział, dlaczego wydawało mu się to tak ważne, żeby się do niej odezwać, po tylu latach. Była kimś innym. Tak jak i on.

- Cieszę się, że wreszcie zadzwoniłeś - powiedziała. - Zastanawiałam się... Martwiłam się...

- Słyszałem, że znów wyszłaś za męża.

- Mamy dwoje dzieci. Dziewczynkę i chłopca. Mój mąż jest lekarzem. Nash przełknął ślinę.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

Potem nastąpiła cisza, żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

- Christian, a co u ciebie?

- W porządku.

- Wiesz, moje życie musiało toczyć się dalej. Mam nadzieję, że rozumiesz?

- Wiem o tym. Właśnie to ci chciałem powiedzieć. Nie mam do ciebie żalu, że się ze mną rozwiodłaś. Czekać na kogoś dwanaście lat to za dużo. A poza tym i tak nie byłoby już tak jak dawniej. Nie moglibyśmy zapomnieć o tym, co się stało z naszym życiem.

- Nie... nie moglibyśmy. Cieszę się, że to rozumiesz. Kiedy cię wypuszczali, chciałam przyjechać, ale mój mąż uważał, że to niedobry pomysł. Właśnie urodziłam dziecko...

119

Nash przypomniał sobie, kiedy go wypuszczali z więzienia. Szary zimowy dzień. Odwieziono go na dworzec, dano bilet do Chicago oraz trzysta dolarów i zostawiono samemu sobie. Nie był to najmiłszy dzień w jego życiu.

- I później też próbowałam cię znaleźć.

- Nie ma sprawy. - Wziął głęboki oddech, teraz było mu już łatwiej. - Nie chciałem, żeby mnie odnaleziono.

Nie było zresztą tak trudno zniknąć...

- Maureen?

- Słucham.

- Chodzi o to, co było kiedyś między nami. Było dobrze?

Usłyszał, jak odetchnęła głęboko. Żałował, że nie może cofnąć tego, co powiedział. Zrobił jej przykrość. Nie miał zamiaru sprawiać jej przykrości.

- Tak - powiedziała łamiącym się głosem. - Było dobrze. Było prawie idealnie...

Odetchnął z ulgą. Tak właśnie myślał, tak to pamiętał. Ale czasami pamięć jest zawodna.

- Masz choinkę? - zapytał, wiedząc, że będzie czuł się pewniej mówiąc o konkretach. - Pamiętam, że zawsze chciałaś mieć prawdziwe drzewko. - Tak. - To pytanie pozwoliło jej wziąć się w garść. - Pamiętam, jak lubiłeś Boże Narodzenie. Cieszyłeś się jak dziecko. Uśmiechnął się.

- Pamiętasz naszą pierwszą Wigilię? Kiedy spaliśmy pod choinką?

- Byliśmy bardzo młodzi.

Wspomnienia potrafią być bezlitosne. Mało brakowało, a przekroczyłyby granicę, której nie chciał przekraczać.

- Tak, bardzo. No cóż, muszę już kończyć.

- Poczekaj... -Tak?

- Jest coś, co chciałabym ci powiedzieć. Czekał.

- Kiedyś powiedziałam ci, że to, co wtedy zrobiłeś, było złe. Że zamieniłeś nasze życie w koszmar, że po tym wszystko stało się już nie do zniesienia. - Głos jej się łamał. - Przepraszam, byłam taka wściekła. Wszystko odrzuciłeś, nawet mnie. I to w momencie, kiedy najbardziej cię potrzebowałam.

Puściły nerwy. Wylała z siebie cały ból, strach, gniew, poczucie winy.

- Nienawidziłam cię za to. Nienawidziłam cię za to, że mnie porzuciłeś. Ale teraz wiem, że to ja się myliłam. Wiem, że to mnie nie tłumaczy, ale byłam zrozpaczona. - Jej głos był na granicy szloch. - Nasza mała córeczka.

Zamordowana. W taki sposób. Ucichła. Doszło do niego, że płacze. Słyszał, jak wyciera nos. Czekał, nasłuchiwał.

- Chcę ci powiedzieć, że zrobiłeś to, co trzeba - powiedziała, kiedy wreszcie mogła kontynuować. Teraz wydawała się spokojna, od czasu do czasu pociągała nosem. - Słyszysz mnie? Zrobiłeś to, co należało. Nie powinieneś być pójść do więzienia, ale powinieneś dostać jakiś medal albo co.

- Nie rób ze mnie kogoś, kim nie jestem. - Jego głos był głęboki, gardłowy. - Medale daje się bohaterom.

- Tak - powiedziała, po płaczu nie zostało ani śladu. - Tak, wiem. Posłuchaj, Christian, wszystko zatrzymałam. Jej ubranka. Rysunki szkolne. Akt urodzenia z odciskami małych stopek. Kiedy będziesz w stanie... Gdybyś kiedykolwiek czegokolwiek potrzebował...

Udało mu się jakoś pożegnać. Nawet odłożył słuchawkę. I gdy leżała już na widełkach, oparł głowę na ramionach i po raz pierwszy od dwunastu lat rozplakał się.

Ja, obcy i przerażony, w świecie, którego nie stworzyłem.

A.E. Housraan

Rozdział trzynasty

Rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach. Ktoś wszedł. Ciężkie szklane drzwi zamknęły się. Chłodne powietrze, wpuszczone do sklepu przez Nasha Audubona, natychmiast wypełniło całe pomieszczenie.

Stał w drzwiach, skulony z zimna.

Czwarta trzydzieści.

Zbliżał się czas zamykania sklepu.

Było już prawie ciemno.

Za nim pomarańczowa kula zachodzącego słońca odbijała refleksy na rysunkach lodu na szybie.

Sara nie sądziła, że go jeszcze kiedyś zobaczy. Powtarzała sobie, że tak będzie lepiej. Ale gdyby wiedziała, że przyjdzie, mogłaby się przygotować, zastanowić się, co powinna powiedzieć. To jego nagłe zjawienie zmieszało ją. Minęło dziewięć dni od czasu, jak tak okropnie wygłupiała się u niego w redakcji. Z każdym mijającym dniem wspomnienie tego wieczoru stawało się coraz bardziej upokarzające. Chciała wymazać je z pamięci, ale tkwiło tam ciągle.

Patrzyła, jak zdjął wełnianą czapkę, odgarnął długie włosy, a potem znowu włożył ją na głowę.

Gdy szedł, buty skrzypiały na podrapanej, matowej drewnianej podłodze.

Powoli uśmiechnął się, choć był to raczej niezbyt wyraźny uśmiech.

- Cześć.

- Cześć. Serdeczność.

Cień serdeczności przemknął przez to krótkie powitanie. Dwoje obcych ludzi, którzy kiedyś dzielili łóżko, których nagie ciała zetknęły się.

- Może chcesz, żeby odwieźć cię do domu? - spytał cicho. Nie kuś mnie. Proszę, nie kuś.

122

- Nie mogę.

- Czy zawsze tak odpowiadasz? Po prostu: nie mogę?

Prawie zawsze, pomyślała, czując niechęć do samej siebie. Spojrzała na zaciśnięte dłonie.

- Nie mogę.

Jej głos był głuchy.

Podszedł bliżej, tak blisko, że czuła mróz bijący jeszcze od jego ubrania. Popatrzył jej w oczy i poczuła, że ogarnia ją jakaś dziwna słabość.

Wziął ją za rękę. Twardymi palcami delikatnie muskał jej białe dłonie.

Dlaczego tu przyszedł? Przecież dała mu jasno do zrozumienia, że nie może ofiarować mu tego, czego od niej oczekuje.

- No, chodź. Nie daj się prosić - wyszeptał. Prosił jak małe dziecko. Serce zabiło jej mocniej.

- Nie mogę - powtórzyła, ale tym razem nie brzmiało to przekonywająco.

- Na dworze jest bardzo zimno - tłumaczył. - Byłem w pobliżu i pomyślałem sobie, że możesz mieć kłopoty z taksówką.

Wzruszył przy tym ramionami i obejrzał się za siebie, wskazując świat na zewnątrz.

Tak bardzo bała się zobaczyć go znowu. I raptem stoi przed nią jakby nic się nie stało, ułatwiając jej wszystko. ~*

Czekał, aż zamknie sklep. Chodził za nią i pytał, czy nie może jej w czymś pomóc.

On, który całował ją tak jak nikt nigdy przedtem. Z czułością, jakąś dziwną mocą, magicznym żarem.

Nie. Niczego nie mogła być pewna. Ani tej mocy, ani tym bardziej czułości.

Wzięła pieniądze z kasy, schowała w sejfie na zapleczu, wyłączyła ogrzewanie, światła i skierowała się do drzwi frontowych, gdzie czekał na nią Nash.

Podał jej płaszcz, podniósł kołnierz i owinął szczelnie szalikiem.

- A rękawiczki? - zapytał.

- Zapomniałam.

Zostawiła je w sklepie, ale była za bardzo zdenerwowana, żeby po nie wracać.

- A czapka?

Pokręciła przecząco głową. Też została w sklepie... Ściągnął swoje szare wełniane nakrycie głowy.

- Siedemdziesiąt procent ciepła z organizmu ucieka przez głowę

- powiedział, wkładając jej czapkę. Jeszcze ją poprawił i byli gotowi do wyjścia.

Wyciągnęła z kieszeni klucz.

Chciał go od niej wziąć, ale wyrwała nagle rękę.

- Nie staraj się być taki miły! - powiedziała, czując, że zaraz się rozplacze.

Uniósł ręce i cofnął się.

- Dobrze, już dobrze.

Chciała włożyć klucz do zamka. Włożyła odwrotnie. Wreszcie go odwróciła i wreszcie jej się udało. Przekręciła klucz, modląc się w duchu, żeby ten okropny zamek się nie zaciął. Jej modlitwy zostały wysłuchane i w chwilę później chowała klucz do kieszeni. Szli ulicą obok siebie.

Kilka minut później siedziała skulona w zagraconym samochodzie Nasha, nos szczypał ją z zimna i już nie czuła zmarzniętych palców rąk i nóg. Nash przekręcił kluczyk i nacisnął pedał gazu. I nic.

Spróbował jeszcze raz. I znowu nic. Silnik nawet nie drgnął.

- Zamierzałem kupić nowy akumulator. Otworzył drzwi i wysiadł.

Przez zamrzniętą szybę nie widziała zbyt dobrze, ale słyszała, jak podnosi maskę. Słyszała, jak pod nią grzebie, a potem, jak ją zamyka. Usiłowała zdrapać paznokciem lód z szyby.

Nash otworzył drzwi, usiadł i spróbował znowu.

Robiło się późno. Musiała wracać. Musiała znaleźć się w domu, zanim wróci Donovan.

- Lepiej złapię taksówkę.

Właśnie otwierała drzwi, gdy zatrzymała ją ręka Nasha.

- Pojedźmy Elem.

Nawet z takiej odległości słysząc było turkot kolejki.

- A co będzie z samochodem?

- Przez te kilka godzin nic mu się nie stanie. Potem naładuję akumulator i już.

- Jednak myślę, że po prostu pojedę taksówką - powiedziała sinymi wargami.

- Nic nie może się równać z jazdą Elem wieczorem.

- Tak słyszałam. - Szczękała zębami z zimna, drżał jej głos. - T-to pewnie dlatego l-ludzie przy zdrowych zmysłach nią n-nie jeżdżą.

El był niebezpiecznym miejscem, zwłaszcza wieczorem, przynajmniej tak zawsze słyszała.

- To jedna z tych rzeczy, których powinno się unikać - powiedziała. - Tak jak ciemnych ulic.

- Zaraz, przecież nie proponuję ci rzucania się na tory. Proponuję jazdę nocną kolejką. Niezapomniane przeżycia, daję głowę.

Złapała się na tym, że miała na końcu języka odpowiedź: „nie mogę”. Nie odezwała się, dając mu czas na znalezienie kolejnego powodu do jazdy Elem.

- Jest szybszy niż taksówka - wysuwał kolejne argumenty. - I nie utknie w korku.

Przekonał ją.

W chwilę później biegli ulicą do najbliższej stacji. Gdy tak czekali na peronie wśród mimu ludzi wracających z pracy, Nash odwrócił się do niej, tak że stali naprzeciwko siebie.

- Masz - powiedział. - Włóż ręce pod moją kurtkę.

Nie była w stanie. Nie mogła nawet wyciągnąć ręki w jego kierunku, a co dopiero go dotknąć.

W półmroku stacji byli po prostu dwojgiem ludzi wśród wielu innych. Wzjął jej zmarznięte ręce i wsunął je pod kurtkę, tak że objęły go w pasie.

Był naprawdę gorący, parzył jak rozgrzany do czerwoności piec. Pachniał skórą, wełną i... świeżym powietrzem. Na szyi czuła jego ciepły oddech, a obejmujące ją ramiona były mocne. Po prostu bezpieczne.

Stojąc gdzieś na jakiejś stacji w środku Chicago, w ciemności, w zimny wieczór, gdzieś, gdzie nigdy nie znalazłaby się z własnej woli, czuła się zupełnie bezpieczna.

Wagonik wjechał na stację. Drzwi się otworzyły. Ludzie szybko wchodzili do środka.

Udało im się znaleźć miejsce przy oknie.

Drzwi się zamknęły.

Wagonik lekko szarpnął, potem powoli ruszył. Sztuczne światło wewnątrz nadawało wszystkiemu zieloną poświatę. Plastikowym siedzeniom, graffiti, zmęczonym twarzom. Po podłodze wały się śmiecie, papierowe kubki, papierki, pomięte gazety. Napisy na ścianach.

„Jezus nas zbawi”, „Proszę nie pluć na podłogę”, „Wegetarianie nie jedzą swoich zwierząt domowych”, „Miłość to tylko sześcioliterowe słowo”.

Na zewnątrz migotały światła Chicago. Dochodził do nich miarowy stukot.

Sara widziała to miasto z zupełnie nowej perspektywy. Z wysokości dwóch pięter nad ziemią. Okolice, które za dnia były obskurne i wręcz odpychające, teraz, w blasku światła, wydawały się kompletnie inne.

Ocknęło się w niej to, co, wiele lat temu, umarło z jej własnej woli. Poczucie arcyzmu. Widok z okienka wagonu był czarowny. Poezja, kino, wszystko razem, nierealne. Sceny zmieniały się w zawrotnym tempie. Budynek przybliżał się i oddalał. Blisko.

Daleko.

Blisko.

Daleko.

Prostokąty światła. Kuchnia. Ludzie. Życie.

Wabash Avenue skąpana w fioletowym świetle. Wrigley Building - cały złoty.

- Chicago - powiedział Nash, jakby czytając w jej myślach - wspaniałe miasto. Miasto z charakterem. Z historią Czy wiesz, że zamek błyskawiczny został wynaleziony w Chicago?

- A Twinkies?

- Cracker Jack.

- I wrotki!

- Farba w sprayu.

- Flipery.

- Flipery?

- Jasne!

Podróż okazała się za krótka. Kiedy wagonik zaczął zwalniać, Sara wstała, Nash zrobił ruch, jakby zamierzał z nią wysiąść. - Zostań. - Położyła mu rękę na ramieniu.

- Odprowadzę cię do domu, a potem złapię powrotną kolejkę.

- Nie, proszę. - W głosie Sary była jakaś desperacja. Wagonik stanął. Otworzyły się drzwi.

- Do widzenia. - Wysiadła. Nash za nią. Drzwi się zamknęły, kolejka odjechała. Prócz nich na stacji nie było nikogo więcej. Ta dzielnica nie jeździła Elem. - Nie zamierzam puścić cię samej do domu. Ten szaleniec może tu gdzieś być. Co by sobie pomyślał, gdyby znał jej odrażający sekret Że ona żyje z tym szaleńcem. Że dzieli z nim łóżko.

- Och, tamto wydarzyło się w środku nocy. - Udawała, że historyjka, którą Donovan karmił prasę, była prawdą.

Miała nadzieję, że to brzmi wystarczająco przekonująco. Za nic nie chciała, żeby Nash wiedział o tych wszystkich brudach, które czały się za drzwiami rezydencji państwa Ivy. Niech myśli sobie cokolwiek, ale niech nie zna prawdy.

- A poza tym patrole policji zostały wzmocnione. Proszę... - W jej oczach była prośba. - Sąsiedzi. Nie mogę. Włożył ręce do kieszeni. Spojrzał gdzieś w bok, w ulicę prowadzącą do jej domu. Potem znów na nią. Zaciśnął wargi i skinął głową. Dziękuję.

Odetchnęła z ulgą, a potem przypomniała sobie o jego czapce. Zdjęła ją i podała mu.

- Zatrzymaj ją.

- Nie mogę.

Uśmiechnął się słysząc znów te słowa. Sara też uśmiechnęła się do niego.

- Naprawdę - nadal wyciągała rękę z czapką w jego kierunku - nie mogę.

To coś, co działo się między nimi, to było coś więcej niż tylko jego pożądanie i jej pragnienie jego towarzystwa. Coś, co chciały kiedyś bliżej poznać, ale wiedziała, że nie wolno jej. Może w innym życiu...

Powtarzała sobie w duchu, że powinna teraz powiedzieć, że nie mogą się więcej zobaczyć, ale miała zaciśnięte gardło. Nie była w stanie tego z siebie wydusić. Pojawił się pociąg. Zatrzymał się. Nie sięgając po czapkę, Nash posłał jej szeroki uśmiech i wskoczył do ostatniego-wagonu tuż przed zamknięciem drzwi.

Kolejka powoli ruszała, a Sara patrzyła, jak Nash podchodzi do tylnego okna. I wydawało się jej, że widzi w nim uniesioną rękę. Gdy tylko przekroczyła próg domu, już czekał na nią Donovan.

- Gdzie byłaś?

- W pracy.

- Spóźniłaś się.

Próbowała zachować spokój. Popatrzyła na zegar stojący na kominku.

- Dziesięć minut. To wszystko. Przyszedł klient, dokładnie w momencie, jak zamykałam. Nie wychodził i zrobiło się późno.

Kłamstwa, kłamstwa. Donovan uczynił z niej mistrzynię kłamstwa.

- Skąd wzięłaś tę czapkę?

- Ze sklepu.

Zdarł ją z głowy Sary i rzucił na podłogę.

- Nigdy nie noś czyichś rzeczy! Słyszysz? Nigdy! Ja ci daję ubrania. Nowe! Kiedy zdejmowała płaszcz i wieszała go w szafie, próbowała zachowywać się naturalnie. Chciała podnieść czapkę Nasha, ale nie odważyła się. Później to zrobi.

- Chcesz drinka? - zapytała.

Nie tak łatwo było go zbić z tropu.

- A cóż to za spóźniony klient? - Jego oczy wyrażały wściekłość, która powodowała, że nogi się pod nią ugięły. - Czy widzisz się z kimś?

Co za ironia, że przez te wszystkie lata jego bezpodstawnych podejrzeń nigdy nie spojrzała nawet na żadnego mężczyznę. Aż do tej pory.

- Oczywiście, że nie - powiedziała ściągając buty. Podeszła do barku, sięgnęła po pojemnik z lodem i skierowała się do kuchni. - Przyniosę trochę lodu i zaraz będę z powrotem.

Poszedł za nią do kuchni.

- A co by było, gdybym ci powiedział, że cię śledziłem?

Śledzić?! O jakże była naiwna! To było dokładnie w jego stylu. Tylko problem polegał na tym, że i tym razem mógł kłamać. Serce biło jej jak oszalałe, kiedy stała przed lodówką i nacisnęła przycisk do lodu. Kostki lodu spadały do pojemnika. Cisza. Wyznanie prawdy wcale by jej nie uratowało. Jediną szansą było kłamać i jeszcze raz kłamać, w nadziei, że i on kłamie.

- W takim razie muszę powiedzieć, że chyba jesteś zadowolony - mówiła beznamiętnym głosem. - Wobec tego chyba wiesz, że nie spotykałam się z nikim.

Ominęła go, podeszła do barku, jej stopy ginęły w białym, puszystym dywanie. Wyciągnęła dwie szklanki, wrzuciła kilka kostek lodu, a na koniec naląła do nich whisky.

Podążyła do Donovanowi, a ręce jej tak drżały, że słychać było, jak lód stuka oszkło.

Chwycił szklankę i jednym haustem wychylił zawartość. Odstawił ją i wpatrywał się w Sarę. Widziała, jak krew pulsuje mu w skroniach. Zaciskał zęby. Powoli wypija swoją whisky.

Lata spędzone z Donovanem nauczyły ją szybkiego reagowania w takich sytuacjach. Przyszła jej do głowy pewna myśl, która mogła ją teraz uratować.

- Myślałam ostatnio o tym, że może powinnam przestać pracować w sklepie. - Starła się mówić zwyczajnym tonem, mając nadzieję, że te słowa bardziej go uspokoją, niż rozwścieczą. - Nie lubię, gdy nie ma mnie w domu, kiedy wracasz. Oczy mu się zwęziły, a jej serce zaczęło walić jeszcze szybciej.

Podszedł do baru, nappełnił znów swoją szklankę, a potem jej. Wychylił. Sara zrobiła to samo.

A potem podszedł do niej i stanął naprzeciw. Podniósł rękę. Stała bez ruchu.

Dotknął jej włosów. Kiedy doszedł do miejsca, gdzie były związane, szarpnął, zrywając gumkę.

Położył rękę na szyi. Powoli masował jej krtań kciukiem, nacisnął mocniej.

Opuścił głowę i dotknął wilgotnymi wargami jej szyi za uchem. Polizał. Dawał jej jasno do zrozumienia, czego od niej chce.

Zacisnęła powieki.

Jego usta wędrowały z miejsca na miejsce. Wreszcie zadowolony uniósł głowę.

- Jutro zostajesz w domu. Na dobre. Chcę, żebyś od jutra została w domu. Teraz będziesz się mną zajmować.

Przełknęła. Skinęła głową.

Wyprostował się, ręce wciąż trzymał jej na ramionach. Otworzyła oczy tylko po to, żeby zobaczyć, jak się w nią wpatruje.

- Chyba nie płaczesz? - zapytał podejrzliwie.

- Płaczę, ponieważ jestem szczęśliwa - powiedziała, zastanawiając się jednocześnie, czy będzie na tyle próżny, żeby w to uwierzyć.

Wciąż jeszcze czuła w nim napięcie. Zaczaj powoli pieścił jej piersi, po chwili zmarszczył brwi z dezaprobatą i wyciągnął znów temat, na który sprzeczała się już wiele razy.

- Wiesz, w Chicago jest mnóstwo dobrych chirurgów, którzy mogą ci powiększyć biust.

Ponieważ w tym momencie jej jedynym celem było uspokoić go, po raz pierwszy odpowiedziała:

- Pomyślę o tym. To go ucieszyło.

Dotykał jej włosów i krzywił się z niesmakiem, jakby to było coś w kiepskim gatunku.

- I może trochę rozjaśnisz włosy i zmienisz makijaż. Przy niewielkim wysiłku możesz być całkiem atrakcyjna.

Przycisnął usta do jej warg, po czym lekko ją popchnął.

- No, idź na górę, załóż jakąś seksowną sukienkę. Wychodzimy. Życie wracało do normy.

Po tym pokazie siły wrócą do domu i nastąpi pora na poniżający seks. A potem on spokojnie zapadnie w sen, a ona jeszcze długo nie będzie mogła zasnąć.

Poszli do kabaretu. Był tam komik z Nowego Jorku, którego nazwisko wydawało się Sarze całkiem znajome, ale nie przywiązywała do tego wagi. Donovan zamówił dla nich stolik przy scenie. Utrzymywał kelnerów w nieustannym ruchu, zamawiając drinka za drinkiem.

Było tłoczno, hałaśliwie, a komik był wyjątkowo wulgarny. W pewnym

Theresa Weir

momencie Sara nachyliła się do Donovana i zaproponowała, żeby wyszli, ale machnął tylko ręką. On bawił się świetnie, rycząc ze śmiechu z kolejnych dowcipów.

Mniej więcej w połowie przedstawienia wziął ją na kolana. Na sali było mnóstwo fotografów, którzy robili zdjęcia aktorowi. Błyskały flesze. Sara usiłowała odwrócić głowę.

Przed nimi z aparatem w ręce stał Nash.

Donovan widocznie wyczuł jej napięcie, ponieważ wzrokiem podążył za jej spojrzeniem.

Nie odrywając oczu od Nasha, przesunął rękę po obcisłej sukni Sary i powoli ścisnął jej pierś. Chciał, żeby zrobił im zdjęcie.

Po chwili, która zdawała się wiecznością Nash opuścił powoli aparat i zniknął w tłumie.

Ciemna strona księżycy...

Rozdział czternasty

Znowu zaczęła pić. Znowu była pijana.

Nie było to takie sobie picie. Nie, doszła do takiego momentu, do którego dąży każdy prawdziwy alkoholik czy narkoman, ale rzadko komu udaje się osiągnąć taki stan. Ten stan godny pozazdroszczenia, kiedy alkohol rozjaśnia myśli.

Ruchy Sary były precyzyjne, a jej umysł jasny. A mimo to była w stanie ciągłego oszołomienia. Błogosławione, błogie oszołomienie.

Stała w sypialni, patrząc przez zakratowane okna na świat Donovana rozciągający się poniżej.

Kiedyś, wcześniej, ogrodnik przyciął krzewy, które rosły wzdłuż czarnego metalowego ogrodzenia otaczającego posiadłość. Ktoś inny założył nowe latarnie ciągnące się po obu stronach drogi prowadzącej do domu.

Teraz basen był pusty. Na wiosnę znowu zostanie napełniony, ale nikt nie będzie w nim pływał. Był tylko dla ozdoby, jak zresztą wszystko tutaj.

Niedługo po tym, jak wyszła za Donovana, pragnęła mieć dzieci. Wyobrażała sobie, że zabiera je w różne ciekawe miejsca. Na plażę, na pikniki, lekcje pływania, lekcje muzyki, różnorakie atrakcje w szkole.

Miałaby wilgotne pocałunki i pluszowe misie, i małe ciała do przytulania.

I nagle to poronienie.

Próbowała przekonać siebie samą że tak jest lepiej. Powtarzała sobie, że jej motywy były egoistyczne. Szukała kogoś, kim mogłaby się opiekować i kochać, kogoś, kto w zamian za to kochałby i ją

Nie chciała myśleć o Donovanie i o tym strasznym okrucieństwie, jakim byłoby wydanie na świat dziecka. Na jego świat.

Tak jest lepiej. Wszystko, co się stało - jest lepiej. Ale często, bardzo często wyobrażała sobie to dziecko, którego,, nigdy nie miała, to dziecko, które straciła...

Gdzieś za nią rozległ się dzwonek.

Sara powoli odwróciła się od okna, by spojrzeć na dzwoniący telefon. To pewnie Donovan. Dzwoni, żeby sprawdzić, czy żona jest na swoim miejscu, tam gdzie być powinna. Odbierz, odbierz.

Kiedy telefon zadzwonił już po raz szósty, podniosła słuchawkę do ucha. Chwila ciszy, wreszcie:

- Halo?

- Sara? Nash.

Nawet mimo połowy butelki bourbona, którą miała we krwi, dźwięk jego głosu spowodował, że serce jej drgnęło. W jakiś sposób ten głos przedarł się przez ciemność, zamroczenie.

- Byłem w sklepie. Marilyn powiedziała mi, że już tam nie pracujesz.

- Tak, skończyłam z tym.

- Dlaczego?

Bo się bałam. O siebie, o ciebie.

Głęboki wdech, przygotowanie do kłamstwa.

- Już miałam tego dosyć.

Chciała dorzucić jakieś zdanie, które uzasadniałoby tę decyzję z punktu widzenia jej pozycji społecznej, że ludzie z jej sfery nie są w stanie zbyt długo przebywać w szarym świecie. Na przykład nuda.

Ale nic z tego.

- Czy mógłbym cię zobaczyć? Czy możemy się gdzieś spotkać? Położyła rękę na drżących ustach. Zamrugła oczami i uniosła je do góry, a potem zamknęła. Myślała o jeździe kolejką O przyjęciu w kręgielni. O przebraniach.

A ón lubi leżeć na dachu i obserwować gwiazdy.

O Boże. Było to coś więcej niż tylko te miejsca, do których ją zabrał, a nawet więcej niż wolność, której pozwolił jej zakosztować. To było coś w nim. W nim. Nie wiedziała sama, czy zdołałaby rozpoznać miłość, gdyby się z nią zetknęła, ale była straszliwie przerażona, że to może być właśnie to, co czuła do Nasha.

- Saro?

Znów wzięła głęboki oddech. Stała tam skuloną nie mogła się ruszyć, gdy wreszcie to powiedziała.

- Nie mogę.

- Ojciec Harleya ma mały domek na północ od Michigan. - Nash mówił szybko, jakby sądził, że Sara może w każdej chwili odłożyć słuchawkę. - Daje mi czasami z niego korzystać. Wyjedź ze mną na weekend.

Wyjedź ze mną na weekend. Dobry Boże!

- Moglibyśmy wyjechać w piątek, a w niedzielę już bylibyśmy z powrotem. Powiedz... - tu nastąpiła krótka pauza - powiedz mu, że jedziesz odwiedzić krewnych.

- Nie mogę. To już koniec.

- Powiedz mu, że twoja siostra właśnie urodziła dziecko. Powiedz mu, że jedziesz na urodzinowe przyjęcie twojego ojca, które będzie niespodzianką. Powiedz mu, że twoja najlepsza przyjaciółka właśnie wychodzi za mąż.

Cokolwiek. Powiedz mu cokolwiek.

To, co proponował, tylko przypominało jej, jak mało o niej wiedział. I jaki mały, ograniczony jest jej świat.

Więzienie, które sama sobie stworzyła. Co dla wielu ludzi było proste, dla niej było wprost niemożliwe. Nie miała przyjaciół. Nie miała rodziny.

Wyjedź ze mną na weekend.

Równie dobrze mógłby ją prosić, żeby za niego wyszła. Albo żeby pofrunęła na księżyc.

Raptem zobaczyła przez okno, że coś się porusza. To otwierała się automatyczna brama. Czarna limuzyna Donovana pojawiła się na podjeździe.

Sara nerwowo chwyciła słuchawkę w obie ręce.

- Muszę już kończyć.

- Ale ja tak łatwo nie zrezygnuję.

- Muszę kończyć!

- Ale chociaż zastanowisz się nad tym? Powiedz mi, że choć o tym pomyślisz!

-Tak.

Cokolwiek, żeby mogła wreszcie położyć słuchawkę i upewnić się, że nie zadzwoni ponownie, jak tylko skończy z nim rozmawiać.

- Zastanowię się.

Trzask odkładanej słuchawki. Na zewnątrz limuzyna zniknęła w garażu. Chwilę później Sara usłyszała kroki Donovana na schodach. Słyszała, jak wchodził do hallu.

Był wyczulony na jej każdy ruch. Znał lepiej jej reakcje niż ona sama. Znał ją na wylot. Nie miała przed nim tajemnic, znał każdą jej myśl.

Musiała coś zrobić, żeby tym razem do tego nie doszło. Musiała wyglądać na zajętą, bo inaczej mógłby podejrzewać... Musiała...

Pobiegła do łazienki i zamknęła drzwi. Tak cicho, żeby nie usłyszał. Ale nie przekreśliła zamka. Nauczyła się nigdy nie używać zamka. Nie mogła mieć żadnych sekretów, żadnej prywatności.

Odkręciła wodę. Włożyła ręce pod strumień wody. Gorąca. Za gorąca.

W tym momencie drzwi się otworzyły.

W drzwiach stanął Donovan, a na jego twarzy malował się gniew.

141

- Z kim rozmawiałaś?

- Z nikim. - Szybko oddychała, zresztą serce wciąż jej waliło. - Z nikim. W środku cała się trzęsła, wiedząc dobrze, że kilkakrotne zaprzeczanie tylko potwierdza jego podejrzenia.

- Widziałem cię. W oknie. Kiedy szedłem w kierunku domu Zakreśliła wodę. Wzięła ręcznik i zdawało się, że jest bardzo zajęta wycieraniem rąk.

- To był radca prawny, to wszystko - powiedziała.

Powiesiła ręcznik na drążku. Złożyła go tak, żeby monogram, litera I opleciona zielonym bluszczem, był widoczny. Wyprostowała go. I jeszcze odrobinę.

- Kłamiesz!

Złapał ją za rękę tak, że znalazła się tuż przed nim. A potem złapał ją za drugą rękę.

- Z-kim-roz-ma-wia-łaś?! - każdej sylabie towarzyszyło wstrząśnięcie. Zbliżyła się, myślała tą częścią mózgu, która ciągle jeszcze była w stanie oceniać rzeczy z bezpiecznego dystansu.

Nawet nie usiłowała odwrócić głowy, patrzyła prosto w jego ogarnięte szaleństwem oczy.

- Z nikim! Ciągle nią potrząsał.

- Czy to był Cray? Jeżeli to on, zabiję go.

- Nie, to nie był Cray!

Dlaczego w kółko usiłuje wciągnąć w to Craya?

- Może powinienem do niego zadzwonić? Może powinienem mu powiedzieć, żeby wpadł? Może moglibyśmy urządzić sobie uroczy wieczór we trójkę?

Przycisnęła rękę do skurczonego żołądka i chwyciła się marmurowego blatu.

- Nie mam ochoty go widzieć.

Puścił jej rękę, a potem ją popchnął. I znowu ją pchnął.

Po czym uderzył ją w policzek, otwartą dłonią tak żeby nie zostawiać śladów. Bił ją po twarzy, po rękach, po głowie, aż dzwoniło jej w uszach.

Z jakimś dziwnym poczuciem wewnętrznego spokoju czuła się, jakby obserwowała całą scenę gdzieś z boku.

A potem, w jakimś słabym odruchu samoobrony, uniosła zgiętą rękę, żeby uchronić się od jego rąk.

Ale ten ruch, zdawało się, że doprowadził go do granic ostateczności.

Odwrócił się, tym razem z zaciśniętą pięścią, skierowaną prosto w jej twarz. Zamknęła oczy i próbowała uchylić się od ciosu. Poczowała uderzenie w szczękę, a siła uderzenia pchnęła ją do tyłu, tak że głową uderzyła o marmurowy blat.

143

Pokój zakołysał się, zrobiło jej się ciemno przed oczami.

Nie mogę zemdleć. Nie mogę.

To była jej ostatnia myśl, zanim wszystko znikło.

Kiedy otworzyła oczy, w łazience było ciemno. Podłoga była zimna i twarda. Leżała nasłuchując. Cisza. Była sama. Powoli spróbowała usiąść, plecami oparta o wannę. Pomieszczenie ciągle tańczyło jej przed oczyma. W żołądku - kamień.

Udało się jej wstać, podeszła do sedesu i zwymiotowała. Potem, połykając się, doszła do łóżka i padła na nie.

Musisz przestać tyle pić.

Słowa Donovana powoli dotarły do półprzytomnego umysłu Sary.

- Chodź, pomogę ci.

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Nad nią stał Donovan z nocną koszulą w ręku.

Pomógł jej zdjąć ubranie i włożyć koszulę. Potem położył ją do łóżka.

- Zadzwoń do doktora Westfalia - powiedział, gdy była już ułożona. Taka sytuacja była jej dobrze znana. To był etap, który zawsze nadchodził

po pobiciu. Nigdy nie czuł się skruszony, ale zawsze był troskliwy i traktował ją jak dziecko, chorą wymagającą opieki. Przez jakiś czas była bezpieczna.

Kiedy lekarz dojeżdżał do bramy, Donovan czekał przy domofonie i nacisnął guzik, który otwierał bramę automatycznie.

- Przepraszam, że wyciągam pana z domu - mówił Donovan, wpuszczając doktora i prowadząc go na górę do sypialni.

- Znowu pije?

- Kiedy wróciłem do domu po pracy, leżała nieprzytomna na podłodze w łazience. Musiała upaść i uderzyć się w głowę.

Doktor ją badał.

- Przypuszczam, że mamy do czynienia z lekkim wstrząsem. Byłoby wskazane prześwietlenie.

- Nie sądzę, żeby było to konieczne.

- To zależy od ciebie.

Doktor ujął ją pod brodę i skierował jej twarz do światła.

- Potłuczona szczęka. Pewnie stało się to, gdy upadłaś - powiedział do Sary.

Poklepał ją po ojcowsku.

- Przeżyjesz.

Donovan wiedział, że Sara nic nie powie. A poza tym zawsze mógł temu staremu zamknąć usta pieniędzmi. Westfall był głupi, a głupkami łatwo pokierować.

Zszedł z doktorem na dół, ale przedtem upewnił się, czy zostawił otwarte drzwi, tak żeby Sara mogła słyszeć ich rozmowę.

- To takie smutne patrzeć, jak ktoś tak uroczy boryka się z takimi problemami - powiedział doktor Westfall. - Pańska żona potrzebuje pomocy. Czy myślał pan kiedyś o jakimś ośrodku? Są przecież miejsca bardzo luksusowe, a zapewniające dyskrecję.

Donovan skinął głową i zagryzł dolną wargę.

- Ale obawiam się, że ona tego nie wytrzyma.

- Rozmawialiśmy już kiedyś o takich domach.

Donovan chwycił się oburącz za głowę i zduszonym głosem powiedział:

- Nie chcę nawet myśleć o tym, że mogłaby znaleźć się w takim miejscu.

- To może być jedyne wyjście. Obawiam się, że pewnego dnia może sobie naprawdę zrobić krzywdę...

Donovan rozłożył ręce.

- Myślałem, że już jest lepiej. Miała pracę. Mniej piła. Ale raptem zrezygnowała z pracy i z powrotem w to wpadła.

Czuję się okropnie, że nie zauważyłem tego od razu. Powinienem być zauważyć.

- Niech pan się nie wini za to, co się stało. Trudno przewidzieć takie rzeczy. - Doktor włożył płaszcz. - Musi nadal brać valium i darvon. Donovan skinął głową, potem odprowadził doktora do drzwi, dziękując mu za przybycie. Idąc na górę po schodach, myślał o Sarze i uśmiechał się do siebie. Wiedział dobrze, jak postępować ze swoją żoną. Jeżeli ciągle straszenie tym starym nie wystarczy, będzie musiał ją gdzieś umieścić. Skoro ma po swojej stronie dobrego lekarza, pozbycie się jej nie będzie trudne. I oczywiście zawsze może ją ukarać, chociaż wydaje się, jakby już uodporniła się na ból. Nigdy nie planował, że ją pobije. To był zawsze przypadek.

Kochał ją. I nie zamierzał z nikim się nią dzielić. To takie proste.

Wszedł na górę. Wydawała się taka mała i bezbronna w wielkim łóżku. Usiadł obok niej i wziął ją w ramiona.

- Moje słodkie kochanie. Damy sobie z tym radę. Kocham cię. Wiesz, że cię kocham.

Jego żona nie odezwała się ani słowem. Nie podniosła nawet ręki, żeby go objąć. Zamiast tego opierała się bezwładnie o niego jak szmaciana lalka.

Poczuł cień złości, że siedzi tak bez ruchu, ale udało mu się uspokoić. Po prostu była zbyt wycieńczona, aby reagować na cokolwiek, powtarzał sobie.

Leżąc w łóżku, Sara słyszała, jak pod prysznicem leje się woda, jak Donovan nuci coś pod nosem. Kilka minut później wkroczył do pokoju, jego nagie ciało było suche i opalone.

Usiadł obok niej na łóżku.

- Jak się dzisiaj czujesz? - zapytał głaszcząc ją po głowie.

Od wizyty doktora Westfalia minęły cztery dni. Przez ten cały czas Donovan przynosił jej kwiaty i posiłki do łóżka.

- Tak sobie myślałem, że może byśmy wypili dzisiaj wieczorem jakiegoś szampana. - Dalej bawił się jej włosami. - Może nawet wzięlibyśmy jacuzzi. Nie robiliśmy tego już od tak dawna. Nie. I od ponad dwóch miesięcy nie kochali się. Im więcej mijało czasu, tym bardziej myśl o seksie z Donovanem stawała się odpychająca. Obraz - on na niej, w niej, był wstrętny. Wołała raczej być bita. Kiedy dłuższą chwilę nie odpowiadała, zmarszczył się.

- Czyżbyś miała okres?

Pokusa, żeby skłamać, była ogromna.

To było z pewnością wyjście. Ale jeżeli nie - gdy dojdzie do tego, że sam odkryje, że to kłamstwo, będzie jeszcze gorzej. Miała głowę odwróconą, tak że nie widział jej twarzy, Ciagle nie mogła się zdecydować, w obawie, że gdy się odezwie, głos będzie drżał.

- Po prostu migrena, to wszystko - wykrztusiła wreszcie. Skrzywił się.

Ból głowy był zawsze jej kolejnym wytłumaczeniem.

- Weź coś na to.

- Dobrze.

Twarz mu się rozluźniła. Podniósł się, podszedł do lustra wiszącego na całą długość ściany i spojrzał na swoje odbicie. Jego mięśnie nie wyglądały naturalnie, jego całe ciało miało w sobie coś sztucznego, obrzydliwego.

Nie miał owłosienia, oczywiście oprócz pach i krocza. Jakiś czas temu zaczął namaszczać czymś swoje ciało. To było mniej więcej wtedy, kiedy zaczął zanikać jego pociąg seksualny do niej. Miała nadzieję, że ma kogoś.

Na jego twarzy malowało się zadowolenie z własnego wyglądu. Zaczął się

Theresa Weir

ubierać. Jego ruchy były powolne, jakby świadomie się przed nią popisywał, a nawet jakby starał się ją uwodzić. Gdy włożył koszulę, a potem krawat, znów podszedł do łóżka. Małymi kolistymi ruchami zaczął masować jej ramiona, szyję, skronie.

- Biedactwo. Odpoczywaj sobie dzisiaj, a wieczorem tatuś sprawi, że dziecinka poczuje się lepiej.

Pocałował ją w czoło, wziął marynarkę z krzesła i nucąc pod nosem zszedł na dół.

Gdy tylko wyszedł, Sara zaczęła pić. Trzy godziny później sięgnęła po telefon.

Podczas pełni księżyca...

Rozdział piętnasty

Dzwonek. Coś dzwoni. Ktoś do drzwi? Budzik? Telefon.

Ponieważ musiał przygotować wszystko na czas do drukarni, Nash nie spał prawie całą noc. Teraz próbował uchylić ciężkie powieki. Leżąc na plecach na niskim łóżku, szukał po omacku telefonu na podłodze. Wreszcie dotknął ręką sznura od telefonu. Szarpnął, aż ściągnął słuchawkę z widełek. Pociągnął ją do siebie, podniósł i przyłożył do ucha.

- Tak? - zapytał chrapliwym głosem.

Początkowo myślał, że to głuchy telefon, ale wreszcie ktoś się odezwał.

- Pojadę. Sara. Usiadł.

- Co?!

- Pojadę - powiedziała. - Do tego domu. Z tobą

Zanim zdążył odpowiedzieć cokolwiek, umówiła się z nim w Silver Spur Tap na English Avenue. Po czym odłożyła słuchawkę.

W Północnej Dzielnicy był potworny korek. Nash jechał Silver Spur, mając nadzieję, że będzie na niego czekać na zewnątrz. Ale nie miał szczęścia.

W końcu znalazł miejsce do parkowania i poszedł w stronę baru.

To było jedno z tych miejsc, wyższych niż szerszych, wciśniętych pomiędzy narożny sklep a siłownię.

Zanim otworzył drzwi, już usłyszał muzykę. Stary, klasyczny blues. W środku było szaro od papierosowego dymu.

Od razu ją jednak zauważył.

Siedziała prawie w samym końcu baru, wsparta na łokciach, ze szklanką przy ustach, obojętna na otoczenie.

Ta obojętność spowodowała, że dokładniej się jej przyjrzał.

Była trochę dziwnie ubrana. Miała na sobie swój zielony płaszcz, co było całkiem w porządku, ale pod nim... Płaszcz był rozpięty, a raczej rozchełstany, ukazując coś, co wyglądało na różową sukienkę do kolan. Pod nią miała czarne leginsy, które kończyły się tuż nad nagą kostką. Wysokie obcasy jej wsuwanych pantofli zaczepiła o dolny szczebel barowego stołka. Na głowie natomiast miała jego czapkę, zsuniętą do tyłu, na bakier.

Patrzył, jak dopija swojego drinka, jak ktoś, kto robi już to od bardzo dawna. Patrzył, jak odstawia pustą szklankę. Jej ruchy były ostrożne i powolne. Zaczął się zastanawiać, kiedy nagle doszło do niego, że nie zadzwoniła po niego dlatego, że chciała go zobaczyć. Zadzwoniła, ponieważ była pijana.

To był upadek.

Uciekaj.

Ty głupcze. Odwróć się i natychmiast stąd uciekaj. Nawet się nie ruszył. Ludzie potracali go, chcąc wcisnąć się do środka. Patrzył, jak zamawia kolejnego drinka. Barman napełnił szklankę i postawił przed nią. Nash niechętnie ruszył w jej kierunku, podeszwy jego butów skrzypiały co krok. Wiszący w powietrzu zapach piwa drażnił jego nozdrza.

- Ty naprawdę powinnaś znaleźć sobie jakieś hobby - powiedział siadając obok niej na pustym stołku.

Roześmiała się, nawet nie odrywając wzroku od szklanki. Niskim, gardłowym śmiechem. Po czym odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz. Miała spuchnięty policzek, czerwone usta, na wpół uchylone powieki.

- Ty - powiedziała - to ty możesz być moim hobby.

Powinien poczuć się co najmniej dotknięty, ale zamiast tego był zaintrygowany. Odwrócił się. To wszystko kiepsko wyglądało. Tak smutno. Kiedy jest pełnia, chce ci się wyć. Zapytała go, czy też chce się napić. Zaprzeczył.

Skończyła swoją szklankę, zamówiła pół litra bourbona na drogę, po czym zsunęła się ze stołka i poprowadziła go przez zatłoczony bar w kierunku wyjścia.

- Samochód jest dwa domy dalej - powiedział, gdy tylko znaleźli się na zewnątrz. Uniósł rękę w kierunku parkingu.

Szła obok niego, z rękami schowanymi w kieszeniach rozpiętego płaszcza, a zielony pasek podrygiwał na lodowatym wietrze. Każdemu byłoby zimno. Ktoś inny próbowałby przynajmniej starać się nie szcekać tak przeraźliwie zębami. Jej już było wszystko jedno.

- Czekaj.

Zatrzymał ją. Odwrócił twarzą do siebie.

Stała bez słowa, wpatrując się w niego, kiedy walczył z jej guzikami od płaszcza. Znacznie by ułatwiła mu sprawę, gdyby wyjęła ręce z kieszeni, ale nie zrobiła tego. Był to płaszcz dwurzędowy. Nie udało mu się z guzikiem wewnętrznym, ale w końcu zapiał dwa zewnętrzne.

- Teraz dobrze.

Wziął ją pod łokieć i prowadził w kierunku samochodu.

Wszystko było na swoim miejscu, koła i tak dalej. Dekle ukradziono mu już dawno temu, tak więc o nie przynajmniej nie musiał się martwić. Wyciągnął klucz z kieszeni dżinsów i przekreślił go w zamku. Normalnie nie otwierał drzwi przed kobietami, ale pomyślał sobie, że w tej sytuacji chyba powinien. Ale wsiadła bez jego pomocy.

W duchu wzruszył ramionami, okrążył samochód, otworzył drzwi ze swojej strony i siadł na miejscu kierowcy.

Włączył silnik i nacisnął pedał gazu. Skierował samochód na jezdnię i tak oto ruszyli w drogę.

- Masz szczęście, że naprawiłem ogrzewanie - powiedział, włączając je na pełny regulator.

Rzuciła jego szarą czapkę na tylne siedzenie.

- Bo ja w ogóle mam szczęście. W czepku urodzona.

Opadła na oparcie i z kolanem zgiętym na półce przed sobą zaczęła grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu bourbona.

- Od urodzenia nie mogę pozbyć się tego czepka... Odkręciła zakrętkę i podniosła butelkę do ust.

- Niech zgadnę. Jesteś znakomitym kierowcą Mam rację?

Jeszcze niżej osunęła się na siedzeniu, pociągnęła kolejny długi łyk, zamknęła butelkę i z powrotem wsunęła ją do kieszeni. To wszystko szło nie tak, jak sobie zaplanował. To nie była ta Sara, o której marzył. Była zupełnie obcą zaskakująca. - A może po prostu powinienem odwieźć cię prosto do domu? - zapytał ruszając spod świateł.

- Proponowałeś weekend, no to jedźmy na weekend.

- Co powiesz na kawę? Coś do jedzenia?

- Nie chcę stracić tego rozkosznego szumu w głowie.

- Szumu? A co powiesz na huk? Łoskot pociągu? Walenie młotkiem? Cholerny ryk odrzutowca?

- Zamknij się i jedź.

- Jeżeli nie chcesz wracać do domu, to możemy zatrzymać się gdziekolwiek i wynająć pokój na godzinę. Zresztą jesteś zbyt pijana, żeby zauważyć, gdzie jesteś. Plaża czy motel, co za różnica?

- To jest jeszcze bardziej romantyczne, niż sobie wyobrażałam.
- A co powiesz na to, żebym cię wysadził pod kliniką dla alkoholików? Co ty na to? Masz dziś nastrój na małe odtruwanie?
- Jedź.
- A może małe cudzołóstwo? Bez reakcji.
- A co powiesz na zmianę tonu? Czy w ogóle wiesz, czym to się je? Nie odpowiadała. Mówił więc sam do siebie. Pojechali 1-80 na wschód, okrążając jezioro Michigan. Chciała zatrzymać się na siusiu w Gary, w Indiana. Powiedział, żeby wybiła to sobie z głowy. Miał jeszcze ochotę trochę pożyć. Kiedy tylko dojechali do Michigan, zatrzymali się dwa razy. Po raz pierwszy, żeby wziąć benzynę i olej, za drugim razem, żeby kupić jeszcze jakieś trunki. Jak to możliwe, żeby ktoś tak niewielki mógł wlać w siebie tyle alkoholu. Jej wątroba musi być chyba rozmiarów co najmniej Kalifornii.
- Nash czytał kiedyś o Trumanie Capote, który był tak pijany, że trzeba go było wynieść z samolotu. Opis wbił mu się w pamięć. Był tak wyrazisty, tak dokładny. Dziś, po piętnastu latach, wreszcie mógł go spożytkować.
- Zanim dotarli do chaty Harleya, Sara osiągnęła odpowiedni poziom alkoholu we krwi.
- Nash także pomyślał, że ma już dosyć.
- Zatrzymał samochód, wyłączył silnik i wpatrywał się w drewnianą chatę. W zasięgu wzroku nie było żadnego innego domu czy choćby drogi. Nie było ani ulicznych latarni, ani słupów wysokiego napięcia. Śladu życia. Na ziemi leżał nieskazitelnie biały śnieg. Warstwa gruba chyba na dwadzieścia centymetrów. Śnieg nie tknięty przez spaliny ani nie udeptany przez ludzi. Przykrywał smołowany dach chaty. Leżał na skrzypiących, kołyszących się gałęziach ogromnych, wznoszących się nad domem sosen. W oddali, przez bezlistny zagajnik, iskrzył się lód na jeziorze Michigan. Był prawie trzysta kilometrów od Kanady, trzydzieści od autostrady i prawie sto od najbliższego miasta. Z Sarą Ivy. I nie mógł przestać myśleć, że jest chyba straszną głupotą wieść taki szmat drogi kogoś, kto jest zbyt pijany, żeby w ogóle zwrócić uwagę na to, gdzie się znajduje.
- Potem inna myśl przyszła mu do głowy, trochę bardziej optymistyczna. Może ten wyjazd jednak coś zmieni. Może weekend z Sarą Ivy spowoduje, że raz na zawsze przestanie o niej myśleć. Raz na zawsze.
- No chodź, Truman. - Potrząsnął ją za ramię, próbując obudzić ją z pijackiego otepienia.
- Nie przezywaj mnie - powiedziała, waląc ręką w drzwi, wreszcie odnalazła klamkę. Naciskała, próbowała popchnąć ramieniem.

Bez rezultatu, drzwi nie ustępowały. Pochylił się i spokojnie je otworzył.

- Moim zdaniem działają całkiem nieźle.

Pchnęła drzwi i... wypadła na ziemię, prosto w śnieg. Westchnął i wysiadł, zatraskując drzwi. Okrążył samochód, podszedł, żeby jej pomóc.

Kłęcząca podparta na rękach, cała w śniegu, płaszcz włókł się za nią, a opróżniona do połowy butelka bourbona wypadła na ziemię. Klęknął i chciał pomóc jej wstać. Krzyknęła, by dał spokój. Puścił ją.

Próbowała podnieść się na nogi. Najpierw do góry poszła jej pupa, a w końcu reszta ciała. Wreszcie udało jej się wyprostować, stała przed nim na chwiejnych nogach.

Płaszcz znów się rozpiął. Jej czarne leginsy były całe oblepione śniegiem, a kolana mokre. Buty, te jej śmieszne buty, były całe pełne śniegu. Gołe kostki zaczerwienione z zimna. I teraz dopiero doszło do niego, że jej dziwacznie wyglądająca sukienka przypomina górę od pizamy.

Nie miał pojęcia, skąd wziął mu się ten śmiech. Zjawił się niespodziewanie. Myślał, że nie ma już w nim ani krzty spontaniczności, ale oto nagle się roześmiał. Śmiechem, co zapiera dech w piersi. Takim, od którego aż boli brzuch. Ciągłe się śmiał, kiedy nagle wielka śnieżka walnęła go prosto w twarz. Zachłysnął się. Przełknął śnieg. Zaczął kaszleć i krztusić się. Pełną dłońią zagarnął śnieg i odrzucił. Zrobił krok, zaczepił nogą o wystający korzeń i padł jak długi. Grad kul spadł na niego.

- Nie śmieję się ze mnie! - krzyczała. - Nie waż się śmiać ze mnie! Śmiał się ciągle.

- Przestań!

Padła na kolana, obiema rękami zagarnęła śnieg i rzuciła w niego, trafiając prosto w twarz.

Temperatura była z pewnością poniżej zera. Było mu mokro, zimno i wszędzie miał pełno śniegu. Miał dość.

Skoczył na równe nogi. Bez wahania, zanim miała czas znów sięgnąć po śnieg, zaatakował, przewracając ją na ziemię. I raptem jego ciało znalazło się na niej.

Sara znów zagarnęła śnieg i próbowała wetrzeć mu go w twarz. Potrząsnął głową, strząsając śnieg, po czym chwycił jej obie ręce i przycisnął je do ziemi, nad głową.

Uniósł się trochę i objął ją spojrzeniem.

- Czy ty masz na sobie piżamę?

Rozpuszczony śnieg kapał mu z włosów, wprost na nią. Jej odpowiedź była wyzywająca:

- Czy dziennikarze brukowca jedzą obsiustiany śnieg? Znów się roześmiał.

- To mój ulubiony.

Zamrugnęła oczami, po czym spojrzała na siebie, a na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie, kiedy do niej doszło, co ma na sobie.

- Tak, śpię w tym.

- Tak też myślałem.

Oboje oddychali ciężko. W tej temperaturze ich pomieszane oddechy zamieniały się w kłęby pary. To było jakieś szaleństwo. Umierał z zimna.

I jej pewnie też zaczynało być zimno. Ale kiedy jest pełnia księżycy...

- Jesteś szaloną kobietą - powiedział.

Bardzo powoli opuścił głowę, uwalniając jej rękę. Oparł się na łokciach.

Poczuła dotyk wilgotnych warg.

Lodowatych.

Zimnych.

Jak śnieg.

Jego zimny nos.

Ciepły język.

Otoczyła go ramionami, ręce na plecach, przyciskała go do siebie.

Delikatnie poruszał wargami, pieszcząc jej usta i język.

Nagle poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Jak twardnieje. Tak bardzo pragnął znaleźć się w niej...

Jęknęła i zaczęła rozpinać jego kurtkę. Próbował ją mocniej objąć, wsuwając jej ręce pod plecy, gdy palcami zarył w śnieg.

Przez moment zapomniał, gdzie się znajduje, zapomniał, że leżą na ziemi, że ma śnieg pod koszulą w butach i w... majtkach.

Puścił ją.

Wstał i zajął się otrzepywaniem ze śniegu. Kiedy się obejrzał, ciągle leżała. Patrzyła na niego, policzki miała czerwone, jak zresztą i usta, i nos.

- Wstań. Wejdźmy do środka - powiedział, a jego ciało wrywało się ku niej. Nie chciał sobie pozwolić na myślenie o tym.

Wyglądało na to, że kompletnie nie przejmuje się jego pożądaniem. Nie ruszyła się.

- Zrobię orła - powiedziała.

154

- Co? - Próbował poprawić sobie spodnie.

- Orła.

Prostymi rękami i nogami zaczęła przesuwać po śniegu, potem zatrzymała się, usiadła i obejrzała za siebie. Widocznie nie była zadowolona z rezultatu, bo położyła się znowu i powtórzyła to raz jeszcze.

- No - powiedziała bez tchu - też spróbuj.

- Nie.

- No, nie daj się prosić. Nie wejdę do środka, dopóki ty też nie spróbujesz. Jezusie Nazareński.

Rzucił się na śnieg obok niej. W tym momencie pomyślał, że gdyby wylądował na brzuchu, łatwiej ukryłby swój problem. A zamiast tego leżał na plecach i rozgarniał śnieg rękami i nogami tak, że wzbijały się tumany. Był cały kompletnie zmarznięty.

Dziękuję Ci, że mnie stworzyłeś tak cudownie.

Psalm 139, wiersz 14

Rozdział szesnasty

Gdy wchodziła po schodach, dwa razy potknęła się, ale nawet chyba tego nie zauważyła. Kiedy znaleźli się wreszcie na ganku, Nash oparł ją o ścianę, a sam starał się otworzyć drzwi. Potem trzymając rękę na jej ramieniu skierował ją do środka. Zamknął drzwi i włączył światło. Puścił ją, przeszedł przez pokój do włącznika ogrzewania. Po czym klapnął ciężko na drewnianej ławie obok grzejnika.

Zamknął oczy i oparł głowę o ścianę. Na dole, w piwnicy, włączył się generator.

Wytrąciło go to z odrętwienia.

Usłyszał jej kroki.

- Łazienka jest tam - powiedział nie otwierając oczu, słysząc ruch za plecami.

Jej upicie się zmieniało całą sytuację. Pomyślał, że tak na dobrą sprawę powinien teraz odwrócić się na pięcie i wyjść.

Zdażył prawie już zasnąć, gdy poczuł coś w okolicy kolan. Otworzył oczy i zobaczył, jak klęczy przed nim, masując jego uda. W górę i w dół. Czuł jej ręce mimo dzinsów i te ręce naprawdę były zimne.

On zresztą też. I nieważne, czy o tym wiedziała, czy nie, ona też była zimna i tylko fakt, że jej krew zawierała znaczny procent alkoholu, sprawiał, że już była rozluźniona.

Z jednej strony czując irytację, a z drugiej czułość, wstał i podniósł ją z klęczek. Objęła go w pasie i lekko się kołysząc, nachyliła się, jakby oczekując pocałunku. To była propozycja, której nie mógł odrzucić.

Trzymając Sarę w ramionach, pochylił się nad nią aż dotknął jej ust.

Zimno.

Wtuliła się w niego, jej dłonie niespokojnie wędrowały po jego plecach, a jednocześnie, gdzie tylko go dotknęła, czuł lodowaty chłód.

Osunął rękę na jej pośladki, przyciągając ją do siebie. Rozchyliła usta. Dotknął językiem jej zębów.

146

Lodowate.

Nie zamierzał przerywać, a jednak odsunął się trochę, ciągle obejmując ją w pasie. Odchylił głowę.

- Trzeba wziąć gorący prysznic.

W łazience włączył elektryczny grzejnik wiszący na ścianie. Zbliżyła się do źródła ciepła.

- Dobrze się zapowiada.

Po czym odwróciła się do niego i położyła mu ręce na piersi. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, wsunął jej ręce pod ubranie i dotarł do talii. Palce zaczepił o pas legginsów i muskając jej uda, zsunął je powoli.

Nie miała nic pod spodem. Jęknął, zamknął oczy i znów je otworzył.

Wpatrywała się w niego.

- Dotknij mnie.

Powoli posuwał się do przodu, tak że Sara w końcu dotknęła plecami ściany. Wsunął nogę między jej uda i podniósł ją. Zaczęła ciężko oddychać i objęła go ramionami, żeby nie stracić równowagi. Zamykała i otwierała oczy. Puls jak szalony drgał jej na szyi. Padające z góry światło grało na jej twarzy, czarne rzęsy rzucały cień na policzki, pogłębiając cienie pod oczami. Szarość przymglona namiętnością.

Zawahał się. Odwróciła do niego głowę, w jej oczach było pytanie. Wtedy zauważył ranę na policzku.

- Jak to się stało? - zapytał dotykając jej szczęki palcem.

Odwróciła wzrok. Uniosła drżącą rękę do twarzy. Głos nie brzmiał pewnie.

- Byłam pijana - powiedziała, nagle zdając się całkiem przytomna, jakby ten temat przywrócił ją do rzeczywistości.

Coraz bardziej czuł się w to wszystko wplątany. Nie chciał interesować się tym, co ona robi ze swoim życiem. Ale obchodziło go to. I nie mógł się powstrzymać, nie mógł tego zignorować.

- Sara, Sara...

Ubóstwiał wypowiadać jej imię. Było dla niego jak powiew świeżego powietrza.

- Co sprawia, że sama się niszczysz? - wyszeptał, dotykając ustami pulsującego punktu na jej szyi. - Pozwól sobie pomóc. Tak bardzo chciałbym ci pomóc.

Zesztywniała.

- Myślę... myślę, że...

Powoli unosił i opuszczał nogę. Przez materiał spodni czuł jej gorącą wilgoć.

- Co myślisz? - zapytał ochryplym głosem.

- Myślę... Że jestem już gotowa, żeby wziąć prysznic. Sama.

Czy było jego przeznaczeniem być torturowanym przez tę kobietę bez końca? Czy to ją podniecało, że doprowadzała go do granic wytrzymałości, tylko po to, żeby go odepchnąć?

Opuścił nogę na ziemię.

Założyła niesforny lok za ucho, a gdy to robiła, Nash zauważył, że jej ręka drży. Jego całe zdenerwowanie gdzieś się ulotniło. Zostawił ją samą.

Trzęsącymi rękoma zamknęła drzwi od łazienki.

Pytanie Nasha dotyczące jej skaleczenia otrzeźwiło ją. To nie był jedyny ślad. Na wewnętrznej stronie obu przedramion miała dwa nieduże sińce, w kształcie odcisków palców. Tych nie będzie już mogła wytłumaczyć upadkiem...

Poczekaj, aż będzie naprawdę ciemno. W ciemności nie będzie mógł zauważyć śladów pobicia.

Serce jej ciągle waliło, gdy wchodziła pod prysznic. Puściła ciepłą wodę. Stała, woda spływała jej po twarzy, włosach, po całym ciele, rozluźniając ją, usypiając.

Dziesięć minut później wyszła z łazienki boso, z ręcznikiem na włosach. Nagie ciało pod koszulą.

Nash siedział na kanapie, tyłem do niej, z butelką piwa między nogami.

- Włączyłem piec elektryczny na górze - powiedział, nawet nie odwracając się do niej.

Spojrzała za siebie i po drewnianych schodach weszła do małego, przytulnego pokoiku o pochyłym suficie, z małym oknem i z wielkim, białym, żelaznym łóżkiem, wyglądającym jak zabytek. Na dworze było już ciemno.

Zgasiła światło, wymacała w ciemności regulator piecyka i skrzyła go tak, że nic prócz słabego płomyka nie oświetlało pokoju. Słyszała odgłosy prysznica dochodzące z dołu.

Saro...

Leżała na boku, z poduszką pod głową na twarzy czuła ciepło ognia. Spać, tak strasznie chciało jej się spać. Nie była już pijana, ale jeszcze niezupełnie trzeźwa. Powtórzył jej imię.

Ale jej ciało opanowała już taka ociężałość, że nie chciało jej się ruszyć. Poczowała, jak zsuwa jej ręcznik z głowy.

Mokre włosy spadły jej na twarz. Łóżko ugięło się. Doszło do niej, że znalazł się tuż obok. Potem dotyk u nasady włosów i delikatne pociągnięcie.

Grzebień.

Rozczesywał jej włosy.

Ciepło, senność, alkohol ciągle krążący w żyłach, to wszystko sprawiło, że scena ta wydawała się jak ze snu pełnego erotycznych marzeń.

Kiedy była mała, lubiła, gdy szczotkowano jej włosy. Godzinami potrafiły czesać się na zmianę z siostrą. To sprawiało im przyjemność. Było to jakieś takie kojące.

Ale to? To... Nigdy w życiu żaden mężczyzna nie rozczesywał jej włosów. To było zarazem niewinne i erotyczne, pełne jakiejś nie znanej jej dotąd słodyczy. Chciała natychmiast się mu wyrwać, ale i przeciągnąć to w nieskończoność.

Przekręciła się na plecy, jej głowa wylądowała mu na kolanach. Z ledwością sobie przypominała wszystkie te wydarzenia, które ich do tego doprowadziły. Ogromna samotność i nieprzeparta potrzeba zobaczenia go, rozmowy z nim. Jakiś telefon...

To nie powinno tak być... To nie tak...

W słabym świetle twarz Nasha wydawała się niewidoczna.

Odezwał się.

- Jesteś taka piękna.

Tak chciała mu wierzyć. Jego głos brzmiał tak prawdziwie, jakby naprawdę w to wierzył, ale ona wiedziała lepiej. ^

Głaskał ją po nodze, muskał jej nagie udo.

- Czy zawsze biegasz bez bielizny? - zapytał z lekką ironią czającą się w głosie.

- Zapomniałam - powiedziała, całą uwagę skupiając na jego rękach. Jedna z nich wylądowała na jej brzuchu. Jego palce niespiesznie wsuwały się między tę jedwabistą gęstwinę loków.

- W ten sposób unikasz problemu z czystą bielizną, tak?

- Tak - wyszeptała bez tchu.

- To miało być śmieszne. Możesz się śmiać.

- Ja się nie śmieję.

- Wszyscy się śmieją.

Opuścił głowę. Czują jego oddech na szyi. A potem bardzo powoli dotknął jej warg. Delikatnie. Tylko muśnięcie.

Koniuszkiem języka obrysował kontur jej ust. Było w tym coś niezwykle kuszącego.

Ręce Sary leżące dotąd bezwładnie na łóżku nagle objęły go, przyciągając bliżej. Pod palcami czuła grę mięśni pod koszulką.

Jego język wsunął się głęboko w jej usta, a palcami dotknął wilgotności między szczupłymi udami. W tym momencie przestała zastanawiać się, czy jest to słuszne, czy nie. Tylko ten jeden raz, powtarzała sobie. Nie myśl, co będzie później.

160

Głęboki wdech pozwolił mu sięgnąć głębiej językiem. Wyrężyła się, a jego palce dotykały jej coraz mocnej.

Oboje z trudnością oddychali, gdy nagle wyprostował się.

- Nie musimy tego robić - powiedział bez tchu. Wyczuła, że Nash ledwo nad sobą panuje.

- Chcę tego.

I była to prawda.

Tym razem było inaczej. Nie obawiała się niczego. Teraz to już nie był żaden układ.

Zaczaj gwałtownie szukać brzegu jej koszuli. Usiadła, podniosła ręce tak, że bez trudu mógł od razu ściągnąć ją przez głowę. Rozciągnęła się, napięte ciało, płaski brzuch. Wstał i szybko pozbył się ubrania.

Leżała na łóżku, patrzyła na niego, aż stanął przed nią zupełnie nagi, na jego ciele odbijał się ogień na zmianę z cieniem. Był umięśniony, szerokie ramiona, wąskie biodra.

- Masz włosy na piersi. - Jej głos był dziwnie ochryply.

- Jeśli ci się to nie podoba, nie patrz.

- Podoba mi się, to bardzo seksowne.

- W porządku.

Podszedł i położył się na niej. Jego skóra była gorąca i jedwabista w dotyku, a mięśnie twarde. Delikatnie pocałował ją rozchyłonymi ustami. Ssał jej wargi, język.

- Szaleję za tobą - wyszeptał, przesuwając się niżej, całując jej szyję, potem piersi.

Usta miał wilgotne i gorące, a gdy wziął do ust brodawki, jęknęła i wygięła się w łuk. Kąsał jej sztywne sutki.

- Jesteś taka słodka, taka słodka.

Ona, która nigdy przedtem nie zaznała rozkoszy pod dotknięciem mężczyzny, teraz wiła się, omdlewała i lkała. Była gorąca. Napięta. Wypełniona rozkoszą i bólem. Była kimś innym. Kimś bez żadnych zobowiązań. Kimś bez przyszłości i bez przeszłości.

To dało jej poczucie wolności, które pozwoliło jej posunąć się tak daleko, jak tylko Sara Ivy potrafiła.

Drapała jego ramiona. Szarpała prześcieradło. Miotła się pod nim.

Zsunął się jeszcze niżej. Ręce wsunął pod nią, objął pośladki. Uniósł do góry. Czowała gorący oddech, włosy łaskoczące wewnątrz jej ud i wtedy dotknął jej ustami.

Język Nasha wszedł w nią, zanurzał się coraz głębiej, obracał się z niezwykłą zręcznością. Czowała jego oddech, zęby, wargi. Kąsanie. Lizanie. Ssanie. Doprowadzał ją do granic wytrzymałości.

Coś nie tak.

To było zbyt dobre.

Coś... za...

Słodysz.

Ból.

Z trudem oddychała, cała była zlna potem. W głowie pustka. Ból.

- Nash!

W jej głosie było błaganie. Ale już za późno. Opadała odpływała, gdzieś się zapadała.

- Przestań, przestań... Zamarła na moment.

Drżał każdy mięsień jej ciała. Krzyknęła. Z rozkoszy. Ze strachu.

Słabość ogarnęła nogi i ręce Sary. Gdy wreszcie mogła się ruszyć, podczołgała się w górę łóżka, podkuliła kolana i chwyciła poduszkę. Przytuliła ją do siebie.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Leżał podparty na rękach i kolanach i ciężko dyszał, jakby właśnie skończył jakiś szaleńczy bieg. Był zaskoczony i zdumiony tym, jak reagowała na jego pieszczoty.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała. Wyraz jego oczu złagodniał.

- Przepraszam.

Spojrzał na nią z taką czułością, że myślała, że serce jej pęknie.

Kiedy tak na nią patrzył, czekał, doszło do niej, że jej własne ciało ją zaskakuje. Sposób, w jaki narastało w niej pożądanie, jak twardniały jej sutki. Ciągle czuła dotknięcie jego dłoni na ciele. Wciąż czuła płomień, pulsowanie między nogami.

Przysunął się bliżej. Sięgnął i chwycił róg poduszki. Lekko szarpnął. Tak słabo, aby nie wyciągnąć jej z uścisku. Sama musiała mu ją oddać.

Puściła poduszkę, tak że upadła obok. Teraz Sara siedziała przed nim naga, oświetlona tylko płomieniem.

- Sara. - Gdy mówił, w jego głosie było coś takiego, że przeszył ją dreszcz rozkoszy. - Chciałbym być w środku.

Te proste słowa, wypowiedziane drżącym głosem, pełnym namiętności, rozpały ją. Czuła jego pożądanie. Chciała, żeby znalazł się w niej.

- Ale nie zrobisz tego znowu? - zapytała osuwając się na łóżko, gdy on pochylał się nad nią.

- Nie pieścić cię ustami? Skinęła głową.

- Nie, dopóki sama tego nie zechcesz.

Opadł na nią. Z zaskoczeniem stwierdziła, że jest cały mokry i drżący. Łagodne dotknięcie jego ciała spowodowało, że zbyt długo tłumione pożądanie wybuchło gwałtownym płomieniem.

Rozluźniła nogi.

I otworzyła je przed nim. W geście zaproszenia. Poczwała, jak przebiegł po nim dreszcz. Jego biodrami targnął wstrząs. Jęknął.

- Sara, Sara. Przepraszam.

Jednym ruchem znalazł się w środku, wypełnił ją. Czwała jak się w niej zagłębia. Odnalazł jej usta. I zaczął się poruszać. Nie miała pojęcia, dlaczego przeprosza ją za coś tak cudownego.

- Przepraszam? Za co?...

Ich ciała były mokre i śliskie. Gdzieś w głowie zaświtała jej myśl, że powinna być zaskoczona. Nic nie bolało, poruszał się w niej tak łatwo.

- Chciałem - uśmiechnął się lekko, łapiąc powietrze - żeby to było powoli. Poruszał się coraz szybciej. Czwała jego oddech na twarzy, ich ciała ocierały się o siebie.

Znów szumiało jej w głowie i znów ten słodki, przejmujący ból. Znów pojawiło się to uczucie, teraz już znajome, to uczucie, które wywołał wcześniej ustami. Pchnięcie. Za każdym razem głębiej. Aż całym jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. - Sara - wyszeptał chrapliwie - słodka, słodka Sara.

Mogła krzyknąć, jęczeć. Nic nie pamiętała. Mogła go mocno obejmować, kiedy oboje dochodzili do szczytu.

Wiedziała tylko, że przez moment, przez kilka magicznych chwil, po raz pierwszy w jej nieudanym życiu, doznała pełnego zaspokojenia.

Współczynnik X - wymamrotał chwilę później, leżąc wciąż na niej.

- Co?

- Współczynnik X. Oznacza moment, kiedy wszystko sprzęga się razem, bez najmniejszego opóźnienia. Dla pilota jest to kwestia życia lub śmierci.

Zsunął się z niej i poczuła chłód. Zanim zaczęło jej być smutno, **przyciągnął** ją do siebie. Sięgnął po jej rękę, podniósł do ust i całował jej drobne palce. To jeszcze bardziej pograżało ją w smutka W rozpacz.

- To wszystko tylko przypadek - wyszeptała.

Nash obudził się na brzuchu, na plecach czuł ciepło ciała leżącego na nim. Czuł miękki ciężar jej piersi, długie nogi po jego obu stronach. Na pośladkach pulsujący żar.

Zesztywniał.

Przysunęła się bliżej i delikatnie kąsała go w ucho.

Wstrzymał oddech. Szybko odwrócił się, nie zdejmując Sary z siebie, dłonie ciągle trzymał jej na udach. Podniósł głowę i pocałował ją. Długo, namiętnie. Jego ręce błądziły po szczupłym ciele, po ramionach, plecach, pośladkach i znów udach.

- Pozwól mi znów cię pieścić - poprosił.

- To mnie przeraża.

- Dlaczego?

- Jesteś za dobry.

- Za dobry?

- Nie panuję nad sobą. Nie lubię tego.

- Ale właśnie o to chodzi.

- No, nie wiem...

Wiedział, że będzie jej się to podobać, wiedział dobrze, jak wielką może dać jej rozkosz, jeżeli tylko mu na to pozwoli.

- Jeżeli będziesz chciała, żebym przestał, przestanę.

Przekreśliła się, teraz miała głowę na poduszce. Zaczął całować jej twarz, piersi.

- Ale ja nie wiem, co mam robić.

- Nie musisz nic robić. Daj ręce. - Wziął je, uniósł nad głowę i zaczeplił palce o pręt łóżka. - Po prostu tak trzymaj.

Ta pozycja wygięła ją w łuk i podała mu pełne, różowe piersi. Ujął je w dłonie, jakby ważył. Powoli zaczął masować kulistymi ruchami. Pod dłonią czuł jej twardniejące sutki. Nadal gładził ją, przesuwając się w dół na żebra. Obiema rękami delikatnie ją uniósł. Podniósł i opuścił. I znowu. Potem zsunął się na dół.

Dotknął ustami jej pępka, brzucha, i niżej... aż dotarł do gorącego, pulsującego jądra.

Poczuł, jak przebiega przez nią dreszcz.

Nie chciał się od niej oderwać, ale pamiętał o danej obietnicy.

Podniósł głowę.

- Wszystko w porządku? - zapytał, jego oddech był nierówny jak bicie jego serca.

- Tak - padła szeptem odpowiedź. Słodkie westchnienie. Pocałował ją.
Leciutko poruszyła biodrami. Znak. Gdzieś z głębi wyrwał jej się jęk. Znow ją pocałował. Tym razem nie oderwał już ust. Językiem błądził po zakamarkach jej ciała.

153

Theresa Weir

Wyprężyla się. Wydawała pomruki zadowolenia, co potęgowało tylko jego pożądanie. Wygięła się w jego kierunku, przysuwając się jeszcze bliżej. Dłonie gwałtownie błędziły po jego ciele.

- Pragnę cię - wyszeptała zatapiając mu dłonie we włosach. Kołysała się pod nim, jakby nie rozumiała do końca pożądania pulsującego jej w żyłach. -Chcę cię dotykać.

Nie odrywając się od niej, obrócił się tak, że gdy tylko zechciała, mogła go dotknąć. Wziął ją ustami. Lizał. Ssał. Raptem poczuł na biodrach ręce. Przyciągnęła go do siebie. Bardzo blisko poczuł jej delikatny oddech. Jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. I następny. Dotknęła go ustami. Jęknął, gdy w tym samym momencie usłyszał jej krzyk. Wygięła się pod wpływem jego pieszczoty. I znów, i znów...

Nadzieja jest jak echo, coraz bardziej odległa.

Carl Sandburg

Rozdział siedemnasty

Nash leżał w szarym świetle zimowego poranka, które wypełniło pokój ponurym, ale i jakimś przyjemnym cieniem. Patrząc przez małe okienko widział, jak pada śnieg, dużymi, ciężkimi płatkami.

Leżał tak i prawie nie oddychał, bo ciemna głowa spoczywała na jego piersi. Czuł słodki ciężar, którego wcale nie miał zamiaru się pozbyć. Znów odezwały się dawno zapomniane emocje, tęsknota za czymś nieosiągalnym.

Owinięta była białym prześcieradłem. Przez noc koce zsunęły się na podłogę, niepotrzebne.

Spędzili razem noc, ale nie znał jej lepiej, niż kiedy ją ujrzał za pierwszym razem, stojąc wśród tłumu eleganckich ludzi w hotelu „Renesans”.

Wtedy miał tylko jedno, może dziwne, pragnienie. Chciał zawinąć ją szczelnie w koc i... zabrać gdzieś, gdzie jest ciepło. Bezpiecznie.

W zamyśleniu potarł brodę. Starał się nie ruszać, żeby jej nie obudzić. Pójdzie na dół i zrobi kawę. Czy ona lubi kawę? A co z jedzeniem? Czy lubi jeść? Czy ona w ogóle coś je?

Nic o niej nie wiedział.

No, pomijając, że za dużo pije.

I że ma męża.

I że próbowała popełnić samobójstwo. I że to on ją powstrzymał. Wstał z łóżka.

Przekreśliła się na bok i przesunęła w kierunku wygrzanego miejsca po nim. Kolana ugięte, jedna ręka zgięta pod poduszką druga na wierzchu.

Patrząc na nią, wkładał szare spodnie od dresu i biały podkoszulek. Nawet w tak słabym świetle widział skaleczenie wzdłuż brody, cienie pod oczami.

Widział to. Ból. Udrękę.

Chciał jej pomóc.

Ale kimże on był, żeby znać odpowiedzi na wszystkie pytania, znać wszystkie rozwiązania? Też pędził przez życie, tyle że w przeciwnym kierunku.

ku... I dobrze wiedział, że często jedynym, najlepszym wyjściem jest zapomnieć o tym wszystkim.

Zszedł na dół i zaczął robić kawę.

Kiedy woda sączyła się przez filtr, Nash zajrzał do lodówki i znalazł tam pudełko zamrożonych jajek. Ojciec Harleya zawsze był przygotowany na każdą ewentualność.

Nash rozmroził paczkę w mikrofalówce, przez ten czas rozpuścił masło na patelni. Wbił jajka do kubka, zamieszał, a potem wylał zawartość na skwierczącą patelnię.

Nie miał w zwyczaju wybiegać myślą w przyszłość, ale złapał się na tym, że zastanawia się nad ich powrotem. Nie chciał, żeby wracała.

A zwłaszcza nie chciał, żeby wracała właśnie do niego, do Ivy'ego.

To co w takim razie proponujesz? Że chciałbyś, żeby odeszła z tobą?

Nie, nie. Próbował sobie wmówić, że tego nie chce. Boże, nie.

Ale jej powrót do Donovana...

Właśnie robił grzanki, kiedy usłyszał na górze jakiś ruch.

Serce zabiło mu mocniej.

Na schodach rozległ się odgłos kroków.

Biegła.

Grzanki były gotowe. Chwycił obie i rzucił na talerz, a potem sięgnął po nóż do masła.

Sara mignęła mu w drzwiach, cień jej różowej koszuli. Trzasnęły drzwi od łazienki i chwilę później już była z powrotem, czarne legginsy na swoim miejscu, pod koszulą.

- Muszę wracać - powiedziała bez tchu. Biegała w kółko, wkładając buty.

- Myślałem, że wracamy jutro.

- Muszę wracać teraz, już.

Była najbardziej zmienną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Raz nieśmiała, prawie zawstydzona, chwilę potem zepsuta i rozkapryszona jak dziecko.

- Najpierw usiądź i coś zjedz.

- Nie ma czasu.

Wybiegła z kuchni. Wróciła za chwilę z płaszczem w ręku. Zarzuciła go na siebie, w popłochu zapinając guziki.

Stała w drzwiach w oczekiwaniu.

- Czy wyglądałaś dziś na zewnątrz?

Szybko rzuciła okiem przez ramię, potem znów na niego. Jej spojrzenie wyrażało pytanie.

- Pada śnieg - tłumaczył jak dziecku. Niecierpliwie wzruszyła ramionami.

- Nie obchodzi mnie, co się dzieje za oknem. Ja wychodzę. Jajecznicą była gotowa. Wyłączył gaz i zdjął patelnię z palnika.

169

- Co proponujesz? - Oparł się niedbale o blat kuchenny. - Psi zaprzęg?

- Bardzo zabawne.

I raptem poczuł, że został zraniony. Coś takiego boli naprawdę.

Wyobrażał sobie bardzo romantyczny poranek. Wspólne uroczne śniadanko, a później może i prysznic. Myślał nawet, żeby spróbować porozmawiać z nią, żeby nie wracała do Donovana.

Co za pech.

Kiedy coś się nie uda, wszystko się naprawdę wali. Spędzili razem noc. Była z nim. A teraz nie może się doczekać, żeby stąd uciec.

Co za ironią że właśnie on musiał sobie znaleźć kobietę, która tak by go raniła. Gdyby była kimś innym, byłby bardziej niż szczęśliwy pozbywając się jej. Cholera, miałby już przygotowany samochód i gotów byłby ruszać, zanim zdążyłaby wstać.

Zasługiwał na to. Naprawdę.

Myślał właśnie, jakim jest naiwnym głupkiem, gdy dotarł do niego dźwięk uruchamianego silnika. Cholera!

Jak burza wypadł z kuchni, przez salon, otworzył drzwi akurat w momencie, gdy jego samochód wyjeżdżał w kierunku autostrady. Przypomniał sobie, że jest boso, więc z powrotem przebiegł przez ganek, dopadł drzwi i znalazł się w domu. Znalazł buty, chwycił kurtkę i wybiegł na zewnątrz.

Światła cofania. Zatrzymał się na ganku. Słyszał znajomy dźwięk silnika pracującego na wysokich obrotach, gdy próbowała ruszyć samochód raz w przód, raz w tył. Koła kręciły się w miejscu.

Cisza.

I tak był zaskoczony, że aż tyle jej się udało.

Zapiał kurtkę, wepchnął ręce do kieszeni i patrzył. Odczuwał jakąś szczególną satysfakcję z rezultatu jej małej próby ucieczki, nawet jeżeli to oznaczało, że jego samochód kompletnie ugrzązł.

Zgasł silnik.

Słyszał kolejne zgrzyty, kiedy próbowała go znów uruchomić. Kiedy silnik nie był w pełni rozgrzany, bardzo łatwo się zalewał.

Gdy sytuacja się nie zmieniała, wysiadła i stanęła wpatrując się w samochód.

Wyjął ręce z kieszeni i złożył je w sarkastycznym geście. Zaczął klaskać. Podniosła głowę i nawet mimo dzielącej ich odległości mógł zobaczyć błysk w jej spojrzeniu. Pogroziła mu pięścią.

Przestał klaskać, ale za to zaczął się śmiać. Śmiał się głośno, tak że mogła go słyszeć. Trzasnęła drzwiami, odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku, przedzierając się przez głęboki śnieg. Westchnął. Podparł się pod biodra. Czy ma czas, żeby wrócić do domu i włożyć skarpetki? Nie podobał mu się pomysł brożenia w śniegu bez skarpet. Mimo różnych potknięć i trudności posuwała się do przodu. Powinien mieć przewagę, ponieważ biegł co rano, był odpowiednio ubrany na tę pogodę, nie wlał w siebie dzikich ilości alkoholu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, zjadł coś, a ona była po prostu zdesperowana. Przedzierała się przez drzewa jak ranny łoś. Wstrzymał na chwilę pościg, zwinął ręce i podniósł do ust

- Truman!

Nie zwolniła ani trochę.

Ale nagle zaczęła piąć się ku górze. Już nie podążała w kierunku autostrady. Zamiast tego skręciła i poszła w kierunku jeziora, przedzierając się na ślepo przez las. Ledwo trzymała się na nogach. Potykała się. Upadała i znów wstawiała. Za każdym razem podnosiła się i szła dalej. Kiedy weszła na wzniesienie, z którego zobaczyła jezioro, zatrzymała się. Stojąc w odległości prawie stu metrów widział, jak się zachwiała.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Płatał płaszcz wokół nóg.

Drżącą rękę podniosła do twarzy, jakby chciała odgarnąć włosy. Obejrzała się za siebie, na drogę, którą pokonała, i z powrotem zwróciła się w kierunku jeziora.

Patrzył, jak upada, pada na kolana, poddaje się.

Bez ustanku szedł w jej kierunku. Czasami biegł, czasem szedł, w tym momencie niechętnie myśląc o spotkaniu z nią ale jednocześnie chciał się upewnić, że z nią wszystko w porządku. Mimo że dobrze wiedział, że nie jest..

Kiedy wreszcie do niej dotarł, spojrzał na nią i serce mu zamarło.

- Zgubiłaś but.

Podążyła za jego przerażonym spojrzeniem. Jej bosa stopa była na wpół zakopana w śniegu. Powoli uniosła twarz. Była mokra od łez i wyglądała tak nieszczęśliwie, że zrobiło mu się jej żal.

- Widzę, że dotarłaś do celu.

Jego ubraniem szarpał zimny wiatr. Przed nimi rozciągało się jezioro Michigan pokryte krą.

- Prawda, jak tu przepięknie? - zapytała przez zamarznięte usta.

- Widzę, że dotarłaś do celu - powtórzył.

Wydała cichy jęk, pokręciła głową jakby to już nie miało znaczenia. Jakby było za późno.

W odległości kilku metrów zauważył jej but Podniósł go, wytrzepał z niego śnieg i schował do kieszeni. Potem uklęknął obok niej, oparł jej bosą stopę na swoim udzie. Otrzepał śnieg i zaczął masować ten lodowaty kawałek ciała, próbując go rozgrzać.

Wydawało się, że Sara nie czuje bólu ani zimna.

- Co ja zrobiłam? - szeptała jakby sama do siebie. - Co ja zrobiłam? Gardło miał tak ściśnięte, że wydawało mu się, że nie wydusi ani słowa.

- Ludzie popełniają błędy - wymamrotał. - Jeżeli on cię kocha... jeżeli ty kochasz jego...

W odpowiedzi usłyszał zduszone łkanie.

Nie był w stanie spojrzeć na nią kucnął podpierając się rękoma.

- Wskakuj. -Co?

- Przecież nie możesz iść bosą przez śnieg. No, chodź.

Ostrożnie oparła mu się na plecach. Zanim zdążyła zmienić decyzję, wstał, biorąc jej nogi pod pachy. Jej ramiona szybko objęły go za szyję. Szedł w kierunku chaty niosąc na barana Sarę Ivy.

Doświadczenie to coś, co pozwala ci rozpoznać błąd, gdy popełniasz go po raz drugi.

Franklin P. Jones

Rozdział osiemnasty

Sara siedziała na kanapie, miała podwinięte leginsy, a stopy trzymała w misce z letnią wodą.

- Masz cholerne szczęście, że nie spędziłaś na tym mrozie więcej czasu i że temperatura nie spadła aż tak nisko - powiedział Nash. - Dzięki temu nie skończyło się to odmrożeniem.

Wyjęła stopy z wody i zaczęła je wycierać. Nash wyrwał jej ręcznik z rąk, klęknął przed nią i zaczął energicznie masować jej stopy.

- Chciałbym ci uświadomić, że nie zrobiłbym tego dla byle kogo.

Gdy stopy miała już i wysuszone, i rozgrzane, krew mocniej krążyła jej w żyłach, zwinęła się w rogu kanapy z kołdrą na ramionach. Nash wyszedł z miską i ręcznikiem. Po chwili wrócił z dwoma talerzami.

- Nie jestem głodna.

Postawił przed nią talerz na stole.

- Posiadasz coś takiego jak przewód pokarmowy? A może jesteś na diecie płynnej?

- Bardzo zabawne. Spojrzała na talerz.

Odgrzewana jajecznica. Wilgotne grzanki. Czują jak na ten widok robi jej się niedobrze.

- Jedz, albo nakarmię cię siłą

Siadł na krześle, naprzeciwko niej, sięgnął po swój widelec i talerz i zaczął jeść.

Włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach. Nie ogolony. Wydawał się szorstki. I budził zaufanie.

Żałowała, że nie zna go lepiej. Żałowała, że w ogóle się spotkali. Złapała się na tym, że wyobraża sobie, jak by to było budzić się obok niego każdego ranka.

Podniósł głowę i zobaczył, że nie je. Wycelował w nią widelec.

- Ja wcale nie żartowałem z tym karmieniem.

160

Zupełnie nie była głodna, ale wzięła talerz. Dotknęła widelcem jajecznicę. Podniosła odrobinę do ust i jeszcze.

- To się nie powinno stać - powiedziała przetykając.

- Co? -Ty.I ja.

- To ty zadzwoniłaś, nie pamiętasz?

- Ale to był twój pomysł. A poza tym, kiedy dzwoniłam, byłam trochę... - urwała. Nie miała ochoty wypowiadać tego głośno.

- Kiedy mieszkałem w tym domu, zawsze uderzałem się w głowę o strop, gdy schodziłem do piwnicy - powiedział. Natychmiast podjęła temat.

- Niech zgadnę. Wreszcie nauczyłeś się schylać?

- Nie, po prostu przestałem chodzić do piwnicy.

- Czy to nie przesada?

- Może. - Podniósł się. - Jeszcze?

Spojrzała na swój talerz i stwierdziła z zaskoczeniem, że jest pusty.

- Nie, dziękuję.

Zebrał brudne talerze i skierował się do kuchni. Kilka minut później znalazła go przy zlewie, po łokcie w płynie do mycia naczyń.

Wzięła ścierkę i zaczęła wycierać. ^

Jakby związani milczącą umową, nie wspominali więcej poprzedniej nocy ani paniki Sary tego ranka.

Nash coś opowiadał. Zwykła rozmowa podczas zmywania. Chwila odprężenia przy normalnych czynnościach, pośród zamieszania i stresów. Opowiadał, że chata należy do ojca Harleya.

- Jego staruszek to James Gillette.

- Ten magnat prasowy?

- Właśnie. Nie rozumiała.

- Jak ktoś, kto miał od dzieciństwa do czynienia z prasą, może stworzyć coś takiego jak „Shoot me Moon“?

- Harley ma własne zdanie na temat mediów. On ich nie znosi. Miał propozycję objęcia wielkiej gazety w Springfield, ale ją odrzucił.

- Żeby robić taki brukowiec. - Nie wiadomo, czy było to pytanie, czy stwierdzenie.

- Każdy dokonuje w życiu jakichś wyborów. Skończyli zmywać.

Wybór. Wiedziała wszystko o dokonywaniu wyborów. Nash wypuścił wodę ze zlewu, wytarł ręce, po czym chwycił kurtkę, zarzucił ją na ramiona i postawił kołnierz.

175

- Idę w stronę autostrady sprawdzić, czy nie znajdę kogoś z samochodem terenowym lub czymkolwiek innym, co może wyciągnąć nasz samochód z tego śniegu.

Chciała go zatrzymać. Chciała mu powiedzieć, żeby został i zamknął drzwi odgradzające ich od świata. Ale od Donovana nie było ucieczki. I każdy moment, jaki Nash z nią spędzał, był coraz bardziej niebezpieczny. Dla niego. I dla jej ojca, jej rodziny.

- Ty tu poczekaj i sprawdź, czy wyłączyliśmy wszystko: ogrzewanie i tak dalej, czy zamknięte są wszystkie drzwi. Nash stanął w drzwiach, z ręką na klamce.

Będę to pamiętać. Upłynie wiele lat i będę to pamiętać. Ty będziesz gdzieś daleko stąd, a ja będę stać w oknie w domu Donovana i o tym pamiętać. I to doda mi sił - myślała Sara.

Wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Cień uśmiechu przeniknął mu przez twarz, potem potrząsnął głową, jakby chciał się go pozbyć, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Ale czy rzeczywiście coś się stało? Po czym otworzył drzwi i wyszedł. Zimne powietrze zaparło jej dech w piersiach, przeszło ją na wskroś.

W drodze do autostrady zatrzymał się przy zakopanym samochodzie. Ciągle jeszcze śmierdział benzyną. Jeszcze godzina, a mógłby ruszyć.

Wrzucił swoją zniszczoną torbę na tylne siedzenie i pomaszerował.

Śnieg padał bez przerwy, zasypując poprzednie ślady. To byłby taki dobry dzień, żeby się nigdzie nie ruszać, zostać w domu i kochać się przed kominkiem...

Marzenia.

Na autostradzie mijały go setki samochodów, obryzgując brudnym, stopniałym śniegiem. W końcu przerdzewiały terenowy pikap z wielkimi oponami śnieżnymi zjechał na pobocze. Od strony pasażera otworzyły się drzwi.

Za kierownicą siedział chłopak zaledwie siedemnastoletni, ubrany w brązowe, drelichowe ubranie robocze, zielone buty i wełnianą czapkę. Ryk Steve Tylera z „Aerosmith” ogłuszył Nasha.

- Podwieźć cię?

Nash wskoczył do środka. Stan podłogi tego samochodu świadczył o tym, że był on wykorzystywany do prac na fermie. Gorące powietrze wiejące z wywietrzników przynosiło zapach krowiego nawozu. Nash był kompletnym mieszczuchem i z takimi zapachami miał do czynienia tylko kilka razy w życiu.

- Masz szczęście, bo osobą którą właśnie podwoziłem, wysiadła przy 1-80 - powiedział chłopak, wyraźnie lubiący taką okropną pogodę. - Te opady śniegu spowodowane są mikroklimatem wokół jeziora. Zanim się spostrzeżesz,

wszędzie jest biało. W jednym momencie świeci słońce i jezdnia jest sucha, a już chwilę potem samochody wpadają w poślizg. Nazywam się Danny.

- Nash.

- Jesteś gdzieś stąd?

- Z Chicago.

- Chicago? Człowieku, ja tam wolę trzymać się od tego miasta z daleka.

- Wszędzie może dziś być niebezpiecznie. Widziałeś film *Delh/erancel* Danny zaśmiał się.

Gawędzili. Danny opowiedział Nashowi, że próbuje zdecydować, co by chciał robić w życia

- Sam ciągle się nad tym zastanawiam - powiedział Nash.

Dotarli wreszcie do samochodu Nasha i okazało się, że okna są już odśnieżone, a Sara siedzi w środku, za kierownicą.

- Żona? - spytał Danny. Nash westchnął ciężko.

- Niestety, nie.

- Dziewczyna?

- Nawet nie to.

- Mógłbyś być moim ojcem, a nie wiesz, co robić z własnym życiem, masz kobietę, która nie jest ani twoją żoną ani dziewczyną, ale patrzysz na nią jak ktoś, kto widzi przed sobą na środku pustyni ostatnią szklanekę wody, którą ktoś właśnie zamierza wylać na ziemię. Czy rzeczywiście tak to po nim widać? Czy jest z nim aż tak źle? Przecież miał nadzieję, że po tej ostatniej nocy przestanie o niej rozmyślać. A zamiast tego stała mu się bliższa, niż była kiedykolwiek. Poznał miękkość jej dotyku. Poznał jej zapach, jej smak. Poznał to uczucie, jak ich ciała się łączą. I wiedział, że kocha kogoś innego. Męża. Całkiem normalne, że żona kocha własnego męża. Spod góry jakichś ciuchów i śmieci leżących na siedzeniu Danny wyciągnął parę roboczych rękawic. Rzucił je w kierunku Nasha.

- Jak widzę, masz większe kłopoty niż ja. Nash włożył rękawice i zaśmiał się.

- Jesteś po prostu osioł i tyle. Danny wskazał brodą platformę pikapa.

- Tam, z tyłu, jest łańcuch holowniczy. Zawrócę, a ty zaczep go do samochodu.

Nash znalazł łańcuch zakopany pod wiązką siana. Wyciągnął go, metal zadzwonił o puste metalowe skrzynki.

Kiedy Danny manewrował ciężarówką, Nash kucnął pod samochodem. Śnieg wpadł mu pod ubranie. Jednym końcem zaczepił łańcuch o przednią oś. Kiedy Danny już się ustawił, drugi koniec zaczepił o hak pikapa.

Przyłożył do ust zwinięte dłonie.

- Uruchom samochód! Silnik został zapalony.

- Wrzuć jedynkę!

Sara skinęła głową i szarpnęła dźwignią skrzyni biegów.

Danny posuwał się powoli do przodu, aż łańcuch był napięty. Dodał trochę gazu, i jeszcze więcej.

Szarpnęło i Fairlane ruszył do przodu. Samochód delikatnie posuwał się za ciężarówką

Danny zatrzymał się, potem lekko cofnął, żeby poluznić łańcuch. Wskoczył z samochodu i odczepił swój koniec od haka, kiedy Nash odczepił drugi koniec od Forda.

- Dzięki - powiedział Nash, podając Danny'emu ciężki, ubłocony łańcuch i rękawice.

- Nie powinieneś mieć żadnych kłopotów, jeżeli pojedziesz po moich śladach.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz w Chicago, wpadnij, to cię oprowadzę.

- Trzymaj się.

Nash usiłował dokładnie otrzepać się ze śniegu, potem siadł za kierownicą, a Sara przesunęła się na miejsce pasażera.

Godzinę później wyjechali ze śnieżycy nad jeziorem i wjechali na suchą nawierzchnię.

Minęły dwie godziny i już objeżdżali centrum drogą prowadzącą do dzielnicy, w której mieszkała Sara.

W połowie ulicy poprosiła go, żeby zatrzymał samochód. Nacisnął hamulec. He już razy odgrywali ten scenariusz?

Trzy? Cztery?

Czekał.

- To się nie może powtórzyć - powiedziała. - Nie dzwoń do mnie. Żadnego pożegnania, choćby „do widzenia” czy „przepraszam”. „Było

świetnie, ale każde z nas ma swoje życie”. Po prostu: „Nie dzwoń do mnie”. Chłopiec na posyłki. Miała ochotę, dostała to, czego chciała, i tyle. Koniec, kropka.

Z trudem przełknął ślinę. Patrzył przed siebie, na ulicę, która prowadziła do jej domu.

- Nie ma sprawy.

- Jeżeli dowiesz się, że gdzieś pracuję, nie przychodź tam.

Miał dość Chicago. Zimno. Pada śnieg. Wiatr. Może gdzieś się przeniesie. Może pojedzie na południe.

- A gdybyś zechciała raptem popływać w jeziorze Michigan? - zapytał.

Nie, nie starał się czegokolwiek jej utrudniać. Po prostu chciał się upewnić. Wyglądało na to, że się zastanawia. A potem rzuciła: - Zostaw mnie.

Nacisnęła klamkę w drzwiach. Drzwi skrzypnęły. W takim razie idź już. Po prostu idź do cholery. Ale nie wysiadła. Zamiast tego zamknęła nawet drzwi.

- Przyznaj, że tak naprawdę nigdy za mną nie przepadałeś - powiedziała. Wiedział dobrze, o co jej chodzi, do czego dąży. Chce pozbyć się poczucia winy, że go wykorzystała. Wykorzystała i tyle.

Już miał powiedzieć, że szaleje za nią że nie potrafi o niczym innym myśleć, że może naprawdę zakochał się w niej. Zamierzał zranić ją tak jak ona rani jego. Ale zdał sobie sprawę, że nie potrafi tego zrobić.

- Nie - powiedział nie patrząc na nią. Postanowił uwolnić ją od siebie. -Nigdy za tobą nie przepadałem.

- To wszystko była gra?

Gra. Czy właśnie tego chciała?

- Założyłem się z kimś. - Pogratulował sobie refleksu. Był z siebie dumny, że natychmiast umiał znaleźć się w tej sytuacji. Cholernie dumny...

Słyszał, jak odetchnęła głęboko.

- Zakład?

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę. Wiedział, że mu się przygląda. Czuł na sobie jej ciężki wzrok.

- Żeby zobaczyć, czy można przelecieć żonę Donovana Ivy'ego? Wszystko w środku skręcało mu się z bólu, zaprzeczało tym słowom. Bał się, że gdy otworzy usta, nie będzie w stanie dłużej kłamać. Odwrócił głowę i znowu spojrzał na nią. Zrozumiał, jak łatwo może spowodować, żeby go znienawidziła. Jak potwornie łatwo.

- Ty to powiedziałaś, nie ja. Cofnęła się.

Patrzył na nią mimo że sprawiało mu to ból. Wreszcie przemówił. I, Bogu dzięki, głos brzmiał całkiem naturalnie.

Trochę ochryple, ale nie powinna tego zauważyć. Przecież nie zna go aż tak dobrze.

- Są różne rodzaje zakładów - powiedział, z pełną świadomością torturując i ją i siebie.

Przełknęła ślinę. Oblizwała spiechrnięte wargi.

- Różne rodzaje?

Nienawidził siebie za to, że ułatwia jej odejście, powrót do człowieka, którego kocha.

- To zależy od rodzaju seksu. Wpatrywała się w niego.

- Od seksu?

Temat, który cały dzień omijali. Jej obawy. Jej zaufanie. Jej reakcja. Tak cudowna i wzruszająca.

- O tak. Może być stosunek tradycyjny, czyli jakby to nazwał profesjonalista - kopulacja.

Bicie serca.

- Taki typowy, codzienny, małżeński sposób. Bicie serca. Bicie serca.

- Następnie... seks oralny.

Bicie serca. Bicie serca. Bicie serca.

- No, i wreszcie obustronny seks oralny.

W jej ciemnych oczach coś pojawiło się i znikło. Pomyślał o kamieniu rzuconym w wodę, jak zatacza coraz większe kręgi.

- Pieniądze. - Jej głos brzmiał oschle, nie było w nim krzty emocji. Po prostu beznamiętne stwierdzenie.

To zabolalo najbardziej. To, że nie była zupełnie zaskoczona. Że nie oczekiwała po nim niczego innego.

- To robi z ciebie prostytutkę - dodała.

Przełknął to, chciał dalej kontynuować tę grę. Z jednej strony jakby się nawet cieszył, że sprawy przyjęły taki obrót Z drugiej - był po prostu oszołomiony tym wszystkim.

- Tak. Myślę, że tak.

Gdy tak patrzył jak zahipnotyzowany, jak porażony tą całą przedziwną sytuacją nagle pobladła.

Proszę, masz, czego chciałaś, teraz jesteś wolna. Ale nie czuł żadnej satysfakcji. Tylko okropny ból.

Usłyszał coś, co zabrzmiało jak stłumione łkanie. Na oślep szukała klamki. Gdy wreszcie ją znalazła, pchnęła drzwi i pobiegła w stronę domu.

Nash starał się oddychać równomiernie. Musiał się uspokoić. Dojść do siebie.

Wreszcie włączył silnik, zawrócił na środku ulicy i odjechał z piskiem opon.

Piećło nie jest rajem, a dom domem.

E. E. Cummings

Rozdział dziewiętnasty

Sara weszła do domu. Oszołomiona, poruszała się jak automat. Próbowwała się zmobilizować. Zamknęła drzwi.

Stała tak, oparta o framugę, oczy zamknięte, głowa odchylona do tyłu, obie ręce na klamce.

Nash.

Nie myśl o nim. Wcale o nim nie myśl.

Ale nie mogła się powstrzymać. Poświęciła tyle, żeby tylko z nim być, a w rezultacie okazało się, że to wszystko na nic, tylko przyniosło jej taki wstyd. ^

Nie myśl o nim.

Po chwili powoli zaczęła do niej dochodzić panująca w domu cisza. Jest bezpieczna. Jak na razie.

Donovana nie ma w domu. Może nie wrócił nawet z podróży służbowej. Tak!

Schwyciła się tej myśli i trzymała kurczowo. Tak! Tak!

Może nawet on wcale nie zorientował się, że jej nie było.

Może...

- Sara?

Strach zacisnął jej gardło, gdy dotarł do niej głos męża gdzieś z okolic kuchni.

W jakim wieku jest teraz twój ojciec? Czy twoja siostra ma dzieci? Czy chodzą do szkoły? Czy wracają same do domu?

Zmusiła się do zrobienia kroku. Potem następnego.

To jego groźby spowodowały, że była tak do niego „przywiązana”. Ale stopniowo, ku jej rozpacz, przyczyną był też narastający brak wiary w siebie. Zasługiwała na to, co ją spotykało.

Nie będzie tak źle. Przeszła to już wiele razy. Setki razy. Przeżyje to raz

181

jeszcze. Za dwie godziny będzie po wszystkim i Donovan znów będzie ją traktował jak dziecko. Będzie jej mówił, jak strasznie ją kocha.

A tak naprawdę, czy ból fizyczny jest gorszy od bólu, jaki sprawiły jej słowa Nasha?

Boże.

Nie myśl o tym. Nie myśl o tym.

- Sara?

Nie ma wyjścia.

Głos Donovana dochodził z łazienki, z gorącej wanny, wędrował przez kuchnię.

Jak ktoś idący za trumną szła powoli w kierunku tego głosu. Korytarzem, przez kuchnię.

Drzwi do łazienki były uchylone. W powietrzu było czuć zapach soli do kąpieli i ciężką wilgoć. Przez drzwi było widać Donovana leżącego w wannie. Może nic nie wiedział. Może nic go to nie obchodziło.

- Czy zapomniałaś o naszej randce? - zapytał.

Jej spojrzenie powoli powędrowało od jego twarzy do butelki z szampanem stojącej obok, a potem z powrotem.

Czekał na nią.

Obok wiaderka pełnego lodu stały dwa kieliszki.

Przełknęła ślinę. Poczula, jak jej ciało staje się ciężkie jak ołów.

- No chodź, kochanie. Zdejmij płaszcz.

Z właściwą; sobie finezją odkręcił drut, przytrzymał korek, żeby nie wystrzelił. Otworzył delikatnie butelkę i nalał.

Uniósł rękę z kieliszkiem w jej kierunku.

Nie mogła się ruszyć.

Żadna siła nie mogła jej ruszyć z miejsca.

Czekał z wyciągniętą ręką

Rusz się. Graj swoją rolę.

Może wszystko będzie w porządku.

Może nie zrani mnie tak mocno.

W jakiś sposób udało jej się zapanować nad nogami. Przesunęła się kawałek do przodu, szurając butami po podłodze.

- Czy zapomniałaś o naszej randce?

Podał jej kieliszek. Płyn rozchlapał się jej na rękę. Uniósł swój. Na zdrowie.

Jego oczy nabiegłe krwią Na jego zwykle gładko ogolonej twarzy teraz widniał kilkudniowy zarost Nawet klatka piersiowa nie była wygolona.

Nie odrywając od niej oczu, podniósł kieliszek do ust, wychylając zawartość jednym haustem.

183

Uniosła szkło do ust, ale udało jej się tylko zwilżyć wargi.

- Zdejmij płaszcz. Rozkaz.

Mając płaszcz na sobie czuła się pewniej i jakby bezpieczniej.

- Zdejmij płaszcz.

Zsunęła go z ramion. Przewiesiła przez oparcie białego krzesła ogrodowego-

Oczy mu błysnęły na widok jej ubrania, różowej koszuli nocnej, i zrozumiała, że popełniła błąd.

- Resztę też.

Nie była w stanie tego zrobić. Nie mogła mu pozwolić, żeby jej dotknął. By ją skrzywdził. Uciekaj.

Musiał ją zdradzić wyraz twarzy. Zawsze umiał bezbłędnie z niej wszystko wyczytać, nieważne, jak bardzo starała się to ukryć.

Mięśnie napięły się jej w nagłym porywie ucieczki, ale w tym samym momencie poczuła uderzenie ręki Donovana, jego palce zacisnęły się na jej kostkach.

Krzyknął i przewrócił ją. Poczowała, jak leci w dół, uderzyła o coś biodrem tak silnie, aż zadzwoniły jej zęby. I nagle znalazła się w wannie, koszula wypełniona powietrzem osiadła na wodzie*jak balon.

Donovan wbił palce w jej ramię.

- Ty dziwko - wycedził przez zaciśnięte zęby - ty śmierdzącą kłamliwa dziwko.

I znów nadchodził ten atak szaleństwa.

- Nie bij mnie - błagała drżącymi ustami, z przerażenia łzy spływały jej po policzkach. - Nie bij mnie - powtarzała, nienawidząc się za to żebranie o łaskę, za to, że nie była w stanie znieść tego z godnością.

W tej chwili nienawidziła siebie.

Pociągnął ją do wanny. Poczowała, jak ogarnia ją woda. Na powierzchni pojawiły się bąbelki powietrza. Szarpała się.

Zanurzył ją głębiej. Widziała go nad powierzchnią, szaleństwo wykrzywiło jego rysy. Coś krzyczał, ale nie mogła go już usłyszeć.

Może tak będzie lepiej...

Wyciągnął ją

Zachłysnęła się, zaczęła się krztusić, plując wodą. Znów ją zanurzył. I znów wyciągnął. Powietrze.

Życiodajne powietrze.

Z trudnością oddychała, wypluwała wodę. Gwałtownie łapała powietrze.

- Kto to, Sara? Kto? Ciężko dyszała, ból w płucach.

- Z kim byłaś? - powtarzał w kółko. - Powiedz mi, a może wtedy pozwolę umrzeć ci całkiem szybko. Kto?

I znów pod wodę.

Próbowała się uwolnić, ale nie miała siły. Szarpnęła się, robiąc ostatnią próbę uwolnienia się. Kolanem uderzyła go w krocze. Puścił ją.

Uniosła głowę nad powierzchnię wody, ciężko łapiąc powietrze. Nie zastanawiając się ani chwili stanęła o własnych siłach i próbowała wydostać się z wanny. Już była prawie na zewnątrz, kiedy poczuła szarpnięcie.

Donovan chwycił ją z tyłu za koszulę. Kołnierzyk wrzynał jej się w gardło.

Zaczęła wymachiwać rękami i raptem palcami wyczuła butelkę szampana. Złapała za szyjkę i z rozmachem uderzyła go w twarz.

Zawył i puścił ją. Upadła na podłogę. Wstała, podpierając się rękoma. Zaczęła uciekać, boso. Buty ciągle pływały w wannie.

Za sobą usłyszała ryk.

Biegł za nią.

Przez kuchnię.

Korytarzem.

Tuż za nią tupot nóg.

Rozwścieczony, ciężki oddech tuż za nią.

Chwyciła się poręczy.

Powodowana śmiertelnym przerażeniem wbiegła po schodach.

Zaćmienie słońca...

Rozdział dwudziesty

Nash zbierał rzeczy i wpychał je do torby podróżnej. Podeszedł do zawałonego regału, otworzył go i zaczął grzebać w upchanych papierach, artykułach do gazety, zdjęciach.

Niczego nie potrzebował. Nic nie miało teraz znaczenia, dla...

Sara.

Na plaży.

W nieświadomym geście przejechał palcem po gładkiej powierzchni zdjęcia.

Zapomnij o niej. Nawet o niej nie myśl.

Ale nie mógł przestać wpatrywać się w to zdjęcie. Wszystko: ziemią niebo i postać tworzyły jedną całość. W jakiś sposób w tę jedną ósmą sekundy, kiedy przesłona była otwarta, połączyły się. Fotografia tchnęła erotyzmem w najczystszy znaczeniu tego słowa, w sposób duchowy.

I jej twarz... ta twarz... Niczym nie zmacony spokój i uśmiech, który bardziej można było wyczuć niż zobaczyć.

Te oczy. Te ogromne, smutne oczy...

I jakby paliło go w ręce, upuścił je. Był kompletnym idiotą. Powinien dostać nagrodę. Nagrodę dla idiotów.

Mruknął coś pod nosem, co być może było wyrazem niesmaku dla samego siebie, odwrócił się i sięgnął po stertę płyt kompaktowych.

Wszystkie znalazły się w torbie. Większość to alternatywny rock, pierwsze nagrania młodych zespołów, które teraz zdążyły się już skomercjalizować albo po prostu się rozpadły.

Nigdy już nie będzie w Chicago tak jak przedtem.

Może pojedzie gdzieś, gdzie jest ciepło. Tropikalnie, daleko od czarnego, brudnego śniegu. Daleko od taksówek z szalonymi kierowcami. Daleko od drapaczy chmur, które przyprawiają go o klaustrofobię.

Na południe. Znaleźć pracę gdzieś przy hamburgerach w jakiejś obskurnej knajpcie. Pracować nocami, a za dnia leżeć na plaży. Życ na plaży. Może

i można się nabawić od tego raka skóry, ale z pewnością słońce ma moc uzdrawiającą. Harley.

Będzie za nim tęsknić. Okropnie.

Zbyt się zbliżyli do siebie, oto, co się stało. Próbował temu zapobiec, ale z kimś takim jak Harley to nie było łatwo. Zanim zdałeś sobie z tego sprawę, już był w twoim sercu.

Nash spojrział na górę kaset wideo. Sprawdzał pudełka. *Godzilla, Godzilla kontra King Kong, Hard copy, Inwazja zabójczych pomidorów, Duch i Pan Kurczak*

Sara Ivy.

Nie mógł się od niej uwolnić. A może źle postępuje? Nash uśmiechnął się z dezaprobatą. Może powinien otoczyć się wszystkim, co przypomina mu Sarę Ivy, mieć dość i w ten sposób uwolnić się od niej.

Włączył telewizor i magnetowid, włożył taśmę, nacisnął „play”, po czym ulokował się na kanapie, z nogami wyciągniętymi przed siebie i rękami złożonymi na brzuchu.

Jej wyjście ze szpitala.

To było to. Tego właśnie potrzebował.

Kamerą zbliżenie. Kredowobiała twarz, ogromne, ciemne oczy. Jak u dziecka. O Jezu. Jak on mógł nawet pomyśleć, żeby zrobić coś takiego? Przysunął się bliżej.

Głos zza kamery opowiadał o napastniku. Jak to prawdopodobnie nigdy nie zostanie odnaleziony, jak Donovan Ivy dbał o swoją żonę, jak ciężko został doświadczony przez los.

Czy to było jego zmartwienie? Przecież to jego nie dotyczy. A jednak dał się w to wciągnąć. Jak mógł sobie na to pozwolić, żeby zakochać się w żonie innego mężczyzny? A zwłaszcza w kobiecie, która ma tak oddanego męża.

Patrzył, jak para schodzi po schodach szpitala, jak Donovan otwiera żonie drzwi limuzyny. Swojej żonie. Coś do niej mówi. Podniosła głowę, a potem szybko odwróciła wzrok.

Odwróciła głowę.

O co tu?...

Nash skoczył na równe nogi i cofnął kasetę. Moment, gdy Sara i Donovan stoją w drzwiach szpitala. Jeszcze raz popatrzył, jak schodzą po schodach. Jak Donovan otwiera drzwi samochodu. Jak patrzy na niego.

A potem się odwraca. Odwraca.

Jeszcze raz cofnął, znalazł to miejsce, którego szukał, i nacisnął „stop-klatkę”.

Obraz był niewyraźny i drgał. Za słaby sprzęt. Nie mógł nic na to poradzić.

Wyjął kasetę i pobiegł do biura Harleya. Tam znów podłączył telewizor i magnetowid, włożył kasetę, wcisnął „play”, a następnie „stop-klatkę”. Tym razem, na odtwarzaczu lepszej jakości, obraz był czysty, zatrzymana w ułamku sekundy scena była ostra jak zdjęcie. Wyraz twarzy, emocją dobrze widoczna, zanim została ukryta. Strach.

Na twarz Sary.

Nie tylko strach, ale przerażenie.

Nagle opuściły go wszystkie siły. Kolana się pod nim ugięły, osunął się na najbliższe krzesło. Nie był w stanie oderwać wzroku od ekranu. Przeważenie.

Ona nie kocha swojego męża. Ona śmiertelnie się go boi. Krew z wolna zaczęła dopływać mu do mózgu, umysł zaczął pracować. Powoli wszystko zaczęło składać się w jedną całość. Napastnik.

Przyczyną dla której nigdy nie będą w stanie odnaleźć tego napastnika, było to, że nie istniał nikt teki.

Prawdziwym sprawcą był Donovan Ivy. Zaczął wszystko kojarzyć. Akta leczenia Sary. Złamania. Rana na policzku. Policjant, który akurat został przeniesiony. Łapówka?

Jej stan tego ranka nie wypływał z faktu, że była szalenie zakochana w swoim mężu i że obawiała się, że odkryje jej chwilę zapomnienia. O nie, owszem, bała się, że on dowie się o tym, to prawda. Ale nie dlatego, że tak strasznie kochała. Dlatego, że on mógł ją za to ukarać, skrzywdzić.

Jezu Chryste!

Nash złapał się za głowę. Potem wstał, wyłączył telewizor. Chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Stopniowo dochodziło do niego, co powinien zrobić. Odzyskiwał równowagę.

Nie zatrzymując się nawet, zbiegał po kilka stopni. Kiedy dotarł na parter, ruszył biegiem. Chwilę później był już na zewnątrz, leciał jak szalony w kierunku garażu i swojego samochodu.

Trzęsącymi się rękami wyłowił kluczyki z kieszeni dzinsów, a potem usiłował otworzyć zamek.

- Tracę czas - mówił sam do siebie. - Tracę czas.

Spróbował raz jeszcze. Wreszcie trafił.

Szybko otworzył drzwi, wskoczył do środka i przekręcił klucz w stacyjce. Kilka sekund później opony Fairlane'a pisały przy każdym zakręceniu czteropiętrowego garażu.

Było późne popołudnie. Ruch na Michigan Avenue był potworny i nie do

uniknięcia. Tak jak zawsze o tej porze. Nacisnął klakson. Nic nie drgnęło. Próbował wyprzedzić samochód przed nim. Kobieta siedząca za kierownicą nawet nie zareagowała. Normalnie nie darowałby tego, ale teraz był zbyt pochłonięty czymś innym. - No, ruszajcie.

Czekał, aż zapali się zielone światło. Modlił się w duchu, żeby tym razem zdołał przejechać. Zielone. Żółte. Czerwone. Cholera.

Przed sobą miał ciągle trzy samochody. Ruszajcie.

Znów zmieniły się światła. Ruszył ostro do przodu, ale zaraz został zatrzymany na kolejnych światłach.

Minęła chyba godziną kiedy wreszcie wjechał na jej ulicę.

Podjeżdżając do bramy zaciągnął hamulec, opuścił okno i nacisnął guzik domofonu.

Bez odpowiedzi.

Znów nacisnął domofon.

Przemknęło mu przez głowę, żeby wjechać po prostu w bramę samochodem, ale dobrze wiedział, że nic by to nie dało. Najwyżej roztrzaskałby się o nią.

Wyłączył silnik, wysiadł i jeszcze raz przycisnął guzik. Tak na wszelki wypadek.

Potem chwycił się metalowej bramy i zaczął się po niej wspinać.

W cieniu księżyca...

Rozdział dwudziesty pierwszy

Sara siedziała zwinięta na podłodze, z policzkiem opartym o zamknięte drzwi sypialni.

Donovan wbiegł za nią na górę. Krzyczał, żeby otworzyła drzwi. Kiedy nie zrobiła tego, odszedł.

Ile minęło już czasu od tego momentu? Ile minut? Ile godzin? Czy był ciągle w domu?

Powinna wstać, powinna się stąd wydostać, ale...

Była taka zmęczona. Walką. Przegrywaniem.

Życiem.

Jakiś dźwięk.

Na schodach.

Donovan.

Wrócił.

Przycisnęła trzęsące się ręce do ust. Wstrzymała oddech. Boże, Boże. Nie zrobię już tego nigdy więcej, nie wytrzymam tego.

I wtedy usłyszała. Wybuch. Jakby kilka centymetrów od jej głowy. Odrzuciło ją do tyłu. Okolice klamki były jedną wielką dziurą wokoło pełno kawałków drewna. Z dywanu wzbił się obłok pyłu, by za chwilę osiąść.

Zanim w pełni zrozumiała co się stało, drzwi otworzyły się z hukiem, walnęły o ścianę, aż zatrzęsł się cały pokój.

W drzwiach stał Donovan z pistoletem w ręku. Z jednej strony twarzy miał zaschniętą krew. Świeża kapłała mu z nosa. Oczy miał przesłonięte wściekłością i nienawiścią.

Ogłuszona wystrzałem Sara podniosła się, jak tylko potrafiła najszybciej, odwróciła się i pobiegła do łazienki. Gdy była już wewnątrz, całym ciałem starała się przytrzymać zamknięte drzwi.

Nie było to wystarczająco szybko. Nie była wystarczająco silna. Nigdy nie była wystarczająco silna.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Znowu upadła na podłogę, między wannę a toaletę. Donovan powoli szedł w jej kierunku, spokojnym, miarowym krokiem, delektując się jej strachem. Poruszył ustami, ale nie usłyszała niczego prócz przerażającego ryku. Znowu się odezwał. Moje. To było tak, jakby oglądała niemy film. Spodziewała się niemal, że zobaczy ramkę z tekstem. Szalona myśl. Histeryczna. Tym razem nie da się zastraszyć. Musi stanąć z nim twarzą w twarz, z szeroko otwartymi oczami, z podniesionym czołem. Wspierając się jedną ręką o zimną porcelanę wanny, drugą o ścianę, podniosła się i stanęła oczekując najgorszego. Znowu poruszył ustami. Kocham cię. Wzięła głęboki oddech. - Nie kocham cię. Nigdy cię nie kochałam. To była prawda. Kiedyś, dawno zakochała się w kimś, za kogo go wzięła. I nawet to nie była prawdziwa miłość, ale zaślepienie. Sea Czekwała, jakie wrażenie wywrą jej słowa. Zacisnął szczęki. Podniósł pistolet, celując lufą najpierw w jej brzuch, potem wyżej... Usta mu drżały. Lufa unosiła się do góry i zatrzymała na poziomie głowy. Bogu dzięki. Tylko zrób to porządnie. I szybko. Czekala. Powtarzała sobie, że wszystko się skończy w ułamku sekundy. Przeważenie zmroziło jej krew, serce biło jak szalone, oddech miała urywany. Ale, pomimo strachu, nie bała się. Od lat była przygotowywana na śmierć. Luft pistoletu zachwiała się. Oczy Donovana wyrażały roztargnienie. Wyglądało, jakby nasłuchiwał czegoś dochodzącego z zewnątrz. Odwrócił się. Wyszedł. Sara osunęła się po ścianie. Nagle odzyskała słuch. W całym domu rozlegało się wycie systemu alarmowego. Ktoś się włamał? Ktoś walił w drzwi wejściowe.

Krzyczał.

- Sara! Nash.

O Boże.

Co on tu robi? Nic z tego nie była w stanie zrozumieć.

192

Nie mogła zebrać myśli, nie mogła się ruszyć. Z dołu dochodził nieustanny łomot.

- Sara!

Jego głos. Rozpaczliwy. Zdesperowany.

Alarm ucichł.

Donovan.

Na dole.

Ma pistolet.

I teraz już wie, z kim była.

Nagle błysnęła jej myśl, która dodała jej siły. Oderwała się od ściany i wybiegła z łazienki, przez sypialnię, na dół po schodach.

Donovan stał w drzwiach z pistoletem w dłoni. Przed nim Nash.

Sara nie chciała, by ktokolwiek inny był w to wmieszany. Nie chciała, żeby Nashowi coś się stało.

Dlaczego tu przyszedłeś? Tak bardzo próbowałam cię przed tym ochronić.

Zanim zdołała się powstrzymać, zanim zdążyła się zorientować, z jej gardła wyrwał się krzyk. Przerżenia. I wstyda

Nie chciała, by Nash poznał jej ohydną tajemnicę.

Donovan odwrócił się.

- To on?

To on. On.

- Tak czy nie? - powtórzył.

Nigdy nie uda się jej go okłamać. Ale tym razem musi spróbować. Musi jej to się udać, ze względu na Nasha.

- O-on tu przyszedł na wywiad - wyjąkała. - Zapomniałam o tym zupełnie, dopiero teraz sobie przypomniałam.

Zmusiła się, żeby spojrzeć na Nasha.

- To nie jest najlepszy moment. Niech pan lepiej wyjdzie. Donovan wierzchem dłoni zaczął wycierać krew z twarzy.

- Saro, jesteś taka blada. Co ty opowiadasz? To dobry moment. Wyśmienity.

Donovan uniósł pistolet, wycelował lufę w pierś Nasha, zmuszając go tym gestem do wejścia do środka.

Kiedy znajdzie się już w środku, nie będzie dla niego ucieczki. Próbowała złapać jego wzrok. Spójrz na mnie! Spójrz na mnie! Spojrzał. Nie wchodź dalej, tylko uciekaj. Uciekaj! Przekroczył próg. Nie! On cię zabije. Zabije cię!

Donovan z idealnym spokojem podniósł słuchawkę telefonu stojącego

w korytarzu, wykręcił numer ochrony i powiedział, że alarm włączył się przez przypadek.

- Kompletnie zapomniałem, że był włączony - powiedział śmiejąc się. Potem odwiesił słuchawkę.

Jak mógł być tak spokojny? Tak przytomny? Nash zrobił krok w jej kierunku.

- Nic ci nie jest?

Nic do mnie nie mów. Nie patrz na mnie.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przewróciła się na schody, próbując złapać równowagę obiema rękami chwyciła się drewnianych sztachet poręczy.

Nash zrobił następny krok w jej kierunku. Zatrzymał się. Między nimi stał Donovan.

- Strasznie przepraszam - mówiła do Nasha, akcentując każde słowo. Usta jej drżały. - To nie powinno się wydarzyć.

To ostatnie zdanie doprowadziło Donovana do szału.

Na czole nabrzmiały mu żyły. W kącikach ust pojawiła się ślina.

Z rykiem odwrócił się i zamachnął. Pierwsze uderzenie spadło jej na twarz. Cios odrzucił jej głowę do tyłu. Upadła na schody, w pierwszym odruchu zacisnęła powieki.

Usłyszała krzyk.

Odgłosy walki, szamotaniny. Huk. Potem zapadła cisza. Bała się otworzyć oczy, nie zniosłaby widoku... Czyjaś dłoń złapała ją za rękę.

Drgnęła i próbowała się wyrwać, ale uścisk był mocny. Silny, a zarazem delikatny. -Saro! Nash.

Szloch wyrwał jej się z piersi. Ulga, że żyje, ale i wstyd, że musi spojrzeć mu w oczy.

- Ńo, chodź. Wyośmy się stąd. Ciągłe oszołomiona pokręciła głową.

- Nie mogę.

Jakżeby mogła iść gdzieś z nim? On też był jej wrogiem. Znów pokręciła głową. Próbowała uwolnić się z jego uścisku.

- Puść mnie! Puść mnie!

- Saro, posłuchaj mnie. Nie było żadnego zakładu. Kłamałem. Czy mnie słyszysz? Kłamałem!

Co takiego?

- Nie było żadnego zakładu.

Podniósł ją. Ledwo trzymała się na nogach. Zebrała wszystkie siły, by zejść po schodach.

Prawie potknęła się o swojego męża.

Leżał na podłodze, a wokół niego kawałki jednej z antycznych waz.

- Czy o-on nie żyje? - Nie była w stanie powstrzymać nadziei w głosie.

- Nie, ale kiedy dojdzie do siebie, będzie naprawdę wściekły. Byli już prawie przy drzwiach, kiedy Nash zatrzymał się.

- Brama - powiedział. - Czy możesz ją otworzyć?

Trwało to chwilę, aż zrozumiała, o co mu chodzi. Potem zauważyła jego samochód po drugiej stronie ogrodzenia. Wystukała serię numerów i brama powoli zaczęła się otwierać. Pobiegli drogą. Nash musiał ją prawie za sobą ciągnąć.

Otworzył drzwi auta, wepchnął ją do środka, potem wskoczył sam.

- Trzymaj.

Nagle w dłoniach Sary pojawił się pistolet Donovana. Zimny. Ciężki. Wpatrywała się w broń. W pierwszym odruchu chciała go upuścić, chwilę później wyrzucić przez okno.

Silnik włączony, wsteczny bieg.

- Wrzuć ten pistolet pod siedzenie, zrób coś z nim.

Wycofali się, potem ruszyli ostro do przodu, zakręcili z wyciem opon. Z trudnością zachowując równowagę, Sara wsunęła pistolet pod siedzenie.

Opadła na oparcie, oczy miała zamknięte, serce waliło jej jak oszalałe.

Pędzili ulicą. W drodze wpadła w star* na granicy snu i jawy. W tym momencie naprawdę wydawało jej się, że gdzieś lecą, że unieśli się nad ziemią i krążą nad Chicago.

Raptem podmuch powietrza uderzył ją w twarz i trochę otrzeźwił.

Wstrząsnęły nią dreszcze. Raptem dotarł do niej głos Nasha jakby z odległości setek kilometrów.

- Zatrzymamy się w redakcji i znajdziemy dla ciebie coś suchego do ubrania.

Coś suchego? Zapomniała, że wszystko, co ma na sobie, jest kompletnie przemoczone. Zmęczenie. Była taka zmęczona. Bezpieczna.

Jak to jest, że zawsze jesteś kompletnie przemoczona a ja zawsze próbuję cię rozgrzać?

Lekkim głosem Nash wyraźnie sobie z niej żartował. Sara siedziała na kanapie, wpatrując się bezmyślnie w pęknięcie w ścianie. Pomógł jej włożyć swoje spodnie i sweter, który sięgał jej prawie do kolan,

a rękawy zwisały. Bez bielizny, majtek czy stanika. Tylko jego rzeczy na jej nagim ciele.

Ręce Nasha poruszały się sprawnie, jakby wykonywały dobrze wyuczone czynności.

Była mu za to wdzięczna. Wdzięczna, powtarzała sobie w duchu, bo nie okazał ani cienia czułości, która mogłaby ją rozkleić.

Chociaż jednocześnie bardzo pragnęła tej czułości.

Godzinę temu oczekiwała śmierci. Teraz siedzi z jedynym mężczyzną, który potrafił sprawić, iż czuła, że żyje.

Mężczyzną który dotknął ją do żywego.

Zakład.

Było to kłamstwo czy też nie? Tak czy owak raniło boleśnie. Niezależnie od tego, jaka była prawda, chciał ją zranić.

- Czekaj, podnieś się.

Wziął ją za ręce i pomógł wstać. Uniósł trochę jej sweter.

- Przytrzymaj go. Trzymała.

Przełożył skórzany pasek przez szlufki spodni, zapiął go, po czym opuścił sweter.

- Przecież nie chcemy, żebyś wyglądała nieporządnie. Sara usiadła znowu.

- Nie, nie chcemy. Podwinął jej rękawy.

- Wyglądasz jak pajac.

- Pajac?

- No, wiesz. Doktor Seuss.

Doktor Seuss. Jako dziecko ubóstwiała doktora Seusa. *Kot w kapeluszu. Jedna ryba, dwie ryby...* Potrząsnęła głową.

- Zawsze uważałem, że to jest jedna z lepszych jego historyjek. Podał jej skarpety.

Wzięła je i trzymała. Wpatrywała się w nie, niepewną co ma z nimi zrobić. Wełna. Szara. Gruba. Wełna.

Na stopach. To się wkłada na nogi. Podniosła je i powąchała.

- Przysięgam, prałem je.

Wełna. Ubóstwiała ten zapach. To był taki kojący zapach. Ciepły i przytulny. Zapach, który kojarzył się z innym światem, z innym życiem. Przytuliła skarpety do policzka. Drapią. Prawdziwa wełna. Nash coś mruknął. Takie nerwowe chrząknięcie.

- No tak, cóż. - Siadł na kanapie obok niej. Podniósł jej nogę, postawił na swoim kolanie. Po czym wyjął jej z rąk skarpetki.

- To są skarpety - powiedział machając nimi przed nią - i wkłada się je na nogi.

Skupiają się na parze wełnianych skarpet, gdy o wiele ważniejsze rzeczy są pomijane milczeniem, odsuwane na nie wiadomo kiedy, na czas, w którym będzie mogła sobie z nimi poradzić.

Szaleniec wyprowadzony z równowagi, do którego musi wrócić.

Zakład Nasha - prawda czy fałsz. To wszystko, co była w stanie ogarnąć umysłem.

Rozcierał jej stopy, próbując je rozgrzać. Potem, jakby była małym dzieckiem, pomógł jej włożyć skarpetki.

Potrzebowała czułości, ale teraz nie potrafiła jej znieść. Nie w tym momencie. Łzy popłynęły jej po policzkach.

Nie chciała, żeby to zauważył. Opuściła nogi, wstała podeszła do okna. Palcami uchyliła żaluzje.

- Ciemno... - Głos jej drżał, mówiła przez ściśnięte gardło. Nagle poczuła, że z niewyspania boli ją całe ciało.

- Czasami robi się ciemno.

- Tak... Jest zupełnie jasno, a kiedy spojrzysz w okno następnym razem, jest już ciemno. **<

- Słońce wschodzi, słońce zachodzi.

- Tak.

- Mmm... Cisza.

Nic nie ma do powiedzenia.

I wtedy zadał pytanie, którego zawsze się obawiała.

- Czy kiedykolwiek mówiłaś komuś o tym?

- Czy lubisz, jak się wydłuża dzień? Wiesz, niektórzy tego nie lubią.

- Czy kiedykolwiek o tym komuś mówiłaś?

- Bardzo lubię długie letnie wieczory, kiedy jest jasno do dziewiątej. I wtedy, dokładnie o zmierzchu, pojawiają się świetliki. Zawsze zastanawiałam się, czy świecą również za dnia, tylko że my tego nie widzimy. Czy kiedykolwiek o tym myślałaś? - Saro...

Nagle z trzaskiem puściła żaluzje.

- Próbowałam. Nic nie pomagało. Rozumiesz? Przestałam. Czuję że stanął za nią. Zastanawiał się.

- A ja? - powiedział cicho. - Mnie mogłaś o tym powiedzieć.

Troska w jego głosie była taka przekonująca... Ale dobrze pamiętała o tym zakładzie.

Przeszła przez pokój. Plan. Musi coś wymyślić.

- A więc jesteś fanem doktora Seussa? - zapytała, nie słysząc nawet swoich słów, chcąc tylko odwrócić jego uwagę od poprzedniego pytania.

- Kiedyś czytałem to... - Przerwał. - Nieważne.

- Nie, nie, opowiedz mi. Kiedyś czytałeś to... - Urwała. W jednej chwili zapomniała, co chciała powiedzieć.

W otwartej szufladzie zapchanego regału leżało zdjęcie. Jej zdjęcie. Zrobione na plaży.

Powoli, jakby nie mając władzy nad swoim ciałem, ujęła zdjęcie.

Wyglądała na nim tak, jakby była kompletnie naga. Ale to było coś więcej. Suknia była przemoczona i przezroczysta, oklejała ją szczelnie jak wilgotna serwetka. Odwróciła się, trzymając ciągle zdjęcie.

- Tobie? Powiedzieć tobie? - zapytała. - Po co? Żeby mogła przeczytać o tym następnego dnia w gazecie? Czy zachowałeś to do takiej właśnie historyjki? A może masz wobec tego inne plany? Czy piszesz artykuł o swoim zakładzie? To zdjęcie będzie świetnie do tego pasować.

- Nie, o Boże, nie. Nie było żadnego zakładu. Przysięgam.

Jeżeli ona nie wypadła zbyt przekonująco w swojej roli, nie można było tego powiedzieć o nim. To, co mówił, brzmiało szczerze, wyraz jego twarzy świadczył o tym, że naprawdę czuje się zmieszany.

Pomimo że teraz dobrze wiedziała o wszystkim, miał czelność przekonywać ją żeby mu uwierzyła, zaufała, żeby nie był dla niej kimś obcym. Jaka była głupia.

- Zatrzymałem je dlatego... Nie wiem. Po prostu nie byłem w stanie nawet pomyśleć o tym, żeby je zniszczyć.

Ona nie miała takich skrupułów. Kiedy stał tak patrząc na nią z przerażeniem, na jego oczach podarła zdjęcie na kawałeczki.

Patrzył, jak pozwala kawałkom sfrunąć na podłogę.

Potem skierowała się wprost do drzwi. Musi wyjść. I to natychmiast.

W ułamku sekundy znalazł się przy drzwiach, zamknął je i przytrzymał ręką. Jego twarz nie była ani uśmiechnięta, ani miła.

- Uratowałem twój tyłek. Cholera, zapomniałaś już o tym?

- Nigdy cię o to nie prosiłam.

- A co by było, gdybym nie przyszedł? Co byś teraz robifa? Spędzałaabyś uroczy wieczorek w domu słuchając, jak mężulek recytuje wiersze? - zapytał złośliwie.

Oburącz chwyciła kłamekę. Nacisnęła. Pociągnęła.

- Puść mnie! Daj mi stąd wyjść!

Zdusił w sobie wściekłość i złapał ją za ramiona. Oddychała ciężko, odchyliła się do tyłu. Wzdrygnęła się. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Opuścił ręce.

199

- Sara...

Jego głos wyrażał tę samą rozpacz, jaką słyszała, kiedy walił w drzwi ich domu, kiedy tam krzyczał.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził.

Zdała sobie sprawę, że to prawda. Jej reakcja to był po prostu odruch, nic innego.

Był może od niej większy, silniejszy, ale ona nigdy się go nie bała. Od samego początku dyskutowała z nim jak równy z równym, wiedząc, że on jej nie skrzywdzi, nie podniesie na nią ręki.

- Przepraszam. - Potarł oczy wierzchem dłoni. - Przepraszam. To tylko... Boże, Saro. Nie chciałem tego powiedzieć. Wcale tak nie myślę.

Dla niej stanął oko w oko z Donovanem. Dla niej przedzierał się przez ogrodzenie, włamał się do twierdzy szaleńca.

Robił orła na śniegu

Odwrócił się. Oparł się jedną ręką o drzwi, pochylił głowę.

- Nie odchodź - wyszeptał.

W jego głosie było coś, czego nie słyszała nigdy przedtem - pokora. Złożyła ręce.

- Ja naprawdę muszę wrócić. Odwrócił się twarzą do niej.

- Ale dlaczego?

- On jest moim mężem.

- Który właśnie kompletnie oszalał.

- Wiem, jak należy z nim postępować. Uniósł brwi ze zdziwieniem.

- No, w większości wypadków. Nash z trudem przełknął ślinę.

- Ty go kochasz?

Roześmiała się, ale nie było w tym krzty rozbawienia.

- Ja go nienawidzę.

Opuścił ręce i uśmiechnął się. Temat się wyczerpał. Przynajmniej na razie.

- Oboje ledwo trzymamy się na nogach. Zostań tu dzisiaj na noc, a jutro zastanowimy się, co robić dalej. Spij na kanapie, ja zdrzemnę się na podłodze. Nie wracaj tam. Po prostu zostań.

Droga Redakcjo „ Shoot the Moon ”: Czy Księżyc jest naprawdę okrągły?

Sceptyk z Boise

Drogi Sceptyku:

Nie, jest płaski, dokładnie tak samo jak Ziemia.

H.G., Prezes i Fundator Stowarzyszenia Upowszechniania Wielkich Kpin

Rozdział dwudziesty drugi

Sara została.

Nash miał ochotę śpiewać i tańczyć z radości.

Kiedy rozkładał kanapę, ledwo trzymała się na nogach, chwiała się, zamykały jej się oczy. Padła na łóżko, nie zwracając uwagi, że jest ciągle ubrana. Skuliła się, z poduszką pod głową. Zasnęła natychmiast.

Nash upewnił się, że wszystko jest pozamykane. W drodze powrotnej do pokoju obejrzał pistolet, który zabrali Donovanowi. Magnum 357. Zostało pięć kul. Od lat nie miał broni w ręku.

Nie przepadał za nią. Cofnął się pamięcią o kilka lat. Ta scena stanęła przed nim jak żywą. Widział ją wyraźniej niż wtedy, kiedy w rym uczestniczył. To było jak oglądanie kasety wideo z czegoś, w czym brałeś udział, tylko że tym razem zauważasz wszystkie te drobiazgi, które w całym zamieszaniu pierwotnie przeoczyłeś.

W tamtym momencie skupił się tylko na jednej jedynej rzeczy - zabiciu człowieka, który zabił jego córkę. Teraz, po latach, widział też ludzi stojących po obu stronach schodów prowadzących do sądu. Mężczyźni. Kobiety.

Dziennikarze. Fotoreporterzy.

Zrobił to, co musiał zrobić. Miał szczęście, że udało mu się za pierwszym strzałem, że ten pierwszy był od razu śmiertelny. Jako broń wybrał sobie pistolet Beretta. Facet, od którego go pożyczył, zapewniał, że to rozwali człowiekowi głowę z odległości ponad dwudziestu metrów. Przesadzał, ale pistolet wykonał swoje zadanie, spełnił to, czego Nash od niego oczekiwał.

We wspomnieniach widział wyraz twarzy świadków całego zdarzenia, kiedy krew spryskała ich ubrania, a zwłaszcza tę kobietę, prerażenie na twarzy, kiedy jej biała bluzka została zbryzgana krwią.

Pojawił się kolejny obraz. Twarz jego córki. Ból wybuchł ze zdwojoną siłą. Z piersi wyrwał mu się jęk rozpaczony i odłożył pistolet na biurko.

Spojrzał na Sarę, mając cichą nadzieję, że nie będzie jeszcze spała, że będzie mógł z nią porozmawiać, przytulić się do niej. Ale oddech miała równomierny, leżała z ręką pod poduszką.

Zgasił światło i opadł na jedyne wygodne krzesło w pokoju. Ułożył się jak mógł tylko najwygodniej, wyciągnął nogi i zaczął wpatrywać się w ciemność, wsłuchiwać w łagodny, jednostajny oddech Sary.

Jakoś udało mu się powstrzymać ją przed powrotem do Donovana Ivy'ego. Komar. Brzęczy nad uchem. W kółko brzęczy i brzęczy. Coś śmierdzi. Dym.

Alarm przeciwpożarowy.

Nash zerwał się na równe nogi, zaskoczony, że spał na krześle.

Poza cholernie denerwującym rykiem alarmu słyszał jakiś daleki huk. Światła ulicznych latarni wdzierały się przez uchylone żaluzje. Wszystko zdawało się szare i zamglone jak na starej fotografii. Podbiegł do materaca, gdzie spała Sara, i zaczął ją potrząsać. Mruknęła coś przez sen i nakryła się razem z głową

- Saro. - Potrząsał nią bez przerwy. - Pali się! Wstawaj.

Nie czekając na jej reakcję, dopadł drzwi i dotknął klamki. Jeszcze zimna.

Otworzył. Dym wdarł się natychmiast ogromną chmurą, szczypał go w oczy. Poniżej, z okolic pierwszego piętra, dolatywały odgłosy pękającego szkła. Kiedy pożar dojdzie do chemikaliów zgromadzonych w laboratorium fotograficznym, cały budynek stanie w ogniu.

Nash, krztusząc się dymem, natychmiast zamknął drzwi.

Poczuł na plecach rękę Sary. Usiłował się uspokoić, głęboko oddychał, żeby pozbyć się dymu. Alarm ciągle był.

Nash przestał się dusić, ale paliło go w płucach, a oczy szczypały.

Zdał sobie sprawę, że aby się stąd wydostać, muszą znaleźć się w biurze Harleya. Stamtąd jest wyjście ewakuacyjne.

Muszą więc przedrzeć się przez ten dym.

Bez chwili namysłu ściągnął podkoszulek i podał go. Zmoczył kawałek w resztkę wody sodowej i podał go Sarze.

- Przyłóż to do twarzy.

Po czym ujął ją za rękę i mocno ścisnął.

- No, a teraz weź głęboki oddech - powiedział - i pędzimy do biura Harleya.

Poczuł, jak Sara zaciska palce na jego dłoni.

- Gotowa?

Skinęła głową bez słowa.

Otworzył drzwi.

Gorąco buchnęło im w twarz, jak z monstrualnego pieca. Dym szczypał w oczy.

Budynek jakby ożył. Ryczał. Sapał. Patrząc przez dym w stronę schodów widział, jak płomienie liżą ściany, pełzają po podłodze. Gdzieś niżej coś huknęło. Trzymając Sarę mocno za rękę, Nash wskoczył prosto w gęsty, czarny dym. Zamknął oczy - i tak by nic nie zobaczył. Teraz wszystko zależało od jego zmysłu orientacji. Każdy krok mógł być ostatni, najmniejszy błąd mógł wysłać ich na śmierć. Sara potknęła się i o mało jej nie puścił. Złapał ją jeszcze mocniej, prawie włókł za sobą. Poruszał się do przodu, ale czuł, że stracił orientację, w którym miejscu dokładnie się znajdują. Upuścił gdzieś szmatę, którą miał przy ustach. Teraz wolną ręką macał ściany, błędził palcami po pęknięciach i drewnianych ramach. Gdzie są te drzwi? Gdzie te cholerne drzwi? Czyżby już je minęli? Budynek, w którym mieszkał od dwóch lat, stał się nagle obcy, nieznan, jak jakieś przypadkowe miejsce.

Jego palce natrafiły na framugę. Zawadził o coś ramieniem - zrobiona na drutach zasłonką którą Teorie wydziergała dla swojego siostrzeńca. Tootie, dobra stara Tootie. Tootie i jej druty. Tootie i jej alarmy przeciwpożarowe.

Nash pchnął drzwi i wpadli do środka. Paliło ich w płucach. Zatrzasnął drzwi. Łapał gwałtownie powietrze, które w tym pomieszczeniu też nie było wolne od dymu, ale bez porównania lepsze niż na korytarzu.

Podbiegł do najbliższego okna, odsłonił żaluzje. Do pokoju wpadło światło z ulicy.

Przekreślił klamkę, pchnął.

Okno ani drgnęło.

Ostatnio było tu malowanie.

Ktoś zamalował to na amen.

Pchnął jeszcze raz. I jeszcze.

- Odsuń się!

Podniósł krzesło i uderzył nim w okno, tłukąc szkło. Siła uderzenia wstrząsnęła jego ciałem.

Nogą krzesła oczyścił kawałki szkła które zostały w ramie.

- Chodź!

Wziął ją za rękę i pomógł przejść przez okno na schody pożarowe, biegnące po ścianie na zewnątrz budynku.

Podążył za nią jak mógł najszybciej.

Zbiegali w dół, oboje bez butów. Zatrzymali się na ostatniej platformie. Sara patrzyła na ziemię oddaloną od niej ponad trzy metry. Gdzieś w oddali słuchać było syreny wozów strażackich.

- Poczekam tu na straż pożarną. Zaraz przyjadą. Będą mieli drabinę.

- Nie ma czasu.

Sara znów spojrzała w dół.

- Ty pierwszy.

Chwyił się metalowego szczebla i zsunął. Kiedy zwisał kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, puścił się i wylądował na chodniku. Machał do niej, żeby zrobiła to samo.

Przykucnęła gotując się do skoku, jednocześnie ciągle trzymając się poręczy. Nash machał rękami.

- Skacz.

Pokręciła głową i jeszcze mocniej chwyciła się poręczy.

- Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz.

- Nie!

- Skacz. Złapię cię.

Gdzieś za nią rozległ się jakiś wybuch. Poleciały szyby.

Zamiast delikatnie się zsunąć, żeby być jak najbliżej ziemi, po prostu nagle krzyknęła i skoczyła. Jak spadochroniarz z samolotu.

Usiłował ją złapać, ale przewróciła go na ziemię. Padł bez tchu, uderzając z całej siły o chodnik, Sara na nim.

Próbował się roześmiać, ale zamiast tego z jego gardła wydobył się duszący kaszel. Czuł, jak z płonącego budynku wali gorąco.

- Mówiłeś, że mnie złapiesz. Całą twarz miała pokrytą sadzą

- Ale... nie powiedziałem... - próbował zaczerpnąć powietrza - żebyś użyła mnie jako poduszki powietrznej.

Sara wstała, jak mogła najszybciej, złapała go za rękę i pociągnęła.

- Szybko!

Uniósł się na kolana, wreszcie wstał. Trzymając się za ręce biegli chodnikiem. Ból w płucach nie ustępował.

Za nimi seria kolejnych wybuchów wstrząsnęła budynkiem, szyby pękały, szkło leciało na ulicę.

Wpadli za róg, ciężko dysząc, oparli się plecami o ceglany mur.

Powietrze zadrżało od kolejnego wybuchu. Eksplozja rozdarła noc tak, że Nash poczuł ten wibrujący dźwięk w piersiach.

Dziennik: Podaje kłamstwa jako prawdę. Brukowiec: Podaje kłamstwa jako kłamstwa.

Harley Gilette

Rozdział dwudziesty trzeci

Harley wziął dwa głębokie wdechy z inhalatora, potem wskoczył do swojego szarego sportowego samochodu i ruszył szosą z wyjąłym silnikiem, nie zwracając sobie głowy włączeniem antyradarów.

Kiedy telefon zadzwonił z informacją że „Shoot the Moon” się pali, pierwszą rzeczą, o której pomyślał, było: co z Nashem. Ale zapewniono go, że obydwójgu - dwóm osobom! - nic się nie stało.

Zbliżał się do redakcji i już czuł swąd. Nie zwykły, przyjemny dym jak z ogniska, ale gryzący, czarny smog.

Pachniało to przypalonym mlekiem albo spaloną gumą.

Przed nim wozy strażackie zablokowały ulicę, nacisnął więc hamulec i resztę drogi pokonał biegiem.

Kiedy był mały, spalił się dom w sąsiedztwie, ale zdążył tylko zobaczyć to, co zostało - wypalone, czarne ruiny. Nie widział żywego ognia, płomieni. Ani takiego dymu.

To... to było coś przerażającego, wzbudzającego grozę.

Z rękami w kieszeniach kurtki, skulony, z włosami targanymi przez wiatr, stał tam i wpatrywał się w to, co zostało z jego firmy.

Przypomniał sobie słowa ciotki Tootie, zanoszącej się kaszlem nad niedopałkiem papierosa bez filtra, trzymanego między poślizniętymi palcami: „To miejsce aż prosi się o pożar”.

Była jedyną osobą uporczywie domagającą się założenia alarmu przeciwpożarowego, naprawy schodów awaryjnych.

Ktoś uścisnął jego ramię.

- Strasznie mi przykro, stary.

Harley powoli oderwał wzrok od dogasającego budynku. Nash. Stał tam z twarzą w sadzy, miał na sobie tylko dżinsy, a na gołe plecy zarzucony ciemnozielony wełniany koc.

- Cóż za rozkosz dla prawdziwego piromana. - Starał się, żeby jego głos

brzmiał lekko, ale tak naprawdę czuł się okropnie. Jakby zaraz miał upaść i zanieść się płaczem.

- Zawsze chciałeś wzbudzać sensację. Sensacja...

Harleya powoli zaczęło ogarniać załamanie.

- Tyle zrobiłem, żeby mieć własną firmę - mówił. - Obawiam się, że muszę wziąć tę pracę u mojego ojca.

- Zaczniemy od początku - powiedział Nash. Od początku...

Harley nie był pewien. Może nie był stworzony do uprawiania dziennikarstwa zawodowo. Oczywiście popularność „Shoot the Moon” stale rosła, ale nie wystarczająco szybko. Harley pragnął gwałtownego sukcesu. Sławy. Sensacji...

Nagle uświadomił sobie coś, czego próbował nie zauważać już od dłuższego czasu.

To wszystko szło nie tak. Gdzieś po drodze stracił kierunek.

Widział, co się dzieje, ale nie chciał sobie z tego zdawać sprawy. „Shoot the Moon” zmieniło się w to wszystko, czego nienawidził. Polityka. Kłamstwa.

A w dodatku, żeby to zrealizować, Wciągnął w to przyjaciela. To było najgorsze ze wszystkiego. Wykorzystał jego gorycz, gniew i odwagę.

Przez ten cały czas niszczył swoje własne marzenia.

Ludzie zawsze myślą że muszą wywalczyć sławę za wszelką cenę, po trupach, robią wokół siebie wielkie halo, skandale, sensacje, nie patrząc, czy kogoś po drodze skrzywdzą.

Harley nie pragnął sławy albo raczej tak sobie wmawiał. Nie chciał nigdy, by „Shoot the Moon” był dziennikiem informacyjnym. Nie chciał mieć na nic wpływu.

Rozrywka, to był jego cel, główne założenie. Nic więcej.

Raptem poczuł dotyk małej, lodowatej dłoni.

- Strasznie mi przykro, Harley.

Sara Ivy. Ta druga osoba w budynku. Wyglądała podobnie jak Nash. Miała sine usta, podbite oczy.

A jednak z tym wszystkim niezwykle piękna. To nie była kwestia wdzięku, ale klasy. Widział teraz, że Nash naprawdę mógł stracić dla niej głowę, czy była mężatką, czy nie.

Jej drobnym ciałem wstrząsnął dreszcz, a potem następny.

- Hej, hej.

Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął klucze. Podał je Nashowi.

- Wy dwoje idźcie lepiej do mnie do domu. Weź mój samochód. Stoi tam za rogiem. Jeszcze ciepły.
- Tak myślisz? - zapytał. Jego twarz wyrażała wahanie. - A co z tobą?
- Pokręcę się tutaj jeszcze trochę, a potem przyjadę. Nash podał mu kluczyki od swojego samochodu.
- Jest w garażu, tam gdzie zwykle.

Harley skinął głową, a Nash jeszcze raz go uściśnął.

- Do zobaczenia.

Kiedy odjechali, Harley rozmawiał z policjantami i strażakami. Udzielił też wywiadu jakiejś stacji telewizyjnej, która myślała, że „Shoot the Moon” to osiedle domów komunalnych. Przybyli tutaj licząc na tragedię. Jak sępy... Dwie godziny później, kiedy ugaszono wreszcie ogień i nie stwierdzono zagrożeń w okolicznych budynkach, Harley skierował się do garażu.

Z odnalezieniem samochodu Nasha nie miał większych problemów. Był zaparkowany na swoim zwykłym miejscu, ale nie był w zwykłym stanie...

- Matko święta!

Harley powoli obszedł samochód, a raczej to, co z niego zostało. Stary Fairlane wyglądał gorzej niż jakikolwiek samochód na złomowisku. Wszystkie cztery opony zostały przebite. Okna wytłuczone. Zajrzał do środka i zobaczył, że siedzenia zostały pocięte nożem, a to, czym były wypchane, zostało wyprute i porozrzucone po całym samochodzie. Wszystkie rzeczy Nasha wałały się na betonowej podłodze garażu. Nash zawsze powtarzał, że musi być gotowy ruszyć w drogę, kiedy tylko będzie miał na to ochotę. Tak więc rzeczy rozrzucone wokół samochodu to było dwie trzecie jego dobytku. Pożar. Ten samochód. Sara Ivy.

To wszystko składało się w idealną całość.

Harley rozglądał się po tym bałaganie, szukał, czy nie da się czegoś uratować.

Rozgarniał rzeczy nogą niektóre podnosił i oglądał. Każda część ubrania została pracowicie podarta na strzępy. Płyty kompaktowe połamane. Książki. Jakieś pozycje naukowe. Podręczniki licealne. Po co one były mu potrzebne?

Podarte, rozdarte, urwane okładki, podeptane.

Kieszonkowe wydania powieści. Czasopisma. „Ziemia i Niebo”, „Niebo nocą”.

Coś walcowatego, czarnego. Luneta. Ale nie taka, jakie znał Harley. Nie teleobiektyw do aparatu fotograficznego, ale raczej teleskop. Taki, jakich używa się do obserwowania gwiazd.

Całe życie Nasha było teraz rozrzucone na podłodze garażu.

I tak naprawdę, nie było tam niczego, co dałoby się uratować.

Do Harleya po raz kolejny dotarło coś, o czym wolał nie myśleć. Świat jest naprawdę parszywym miejscem. Czuł brak tchu w płucach. Przydałby się teraz inhalator, ale zostawił go w mieszkaniu.

Coś zaszeleściło. Uskoczył i odwrócił się. Sterta kartek wyrwanych z jakiejś książki fruwała na wietrze.

Ukląkł i podniósł je. Cieniutkie jak bibułka i jakieś takie znajome...

Biblia.

Między te kartki wciśnięty był wycinek z gazety, zaraz obok Psalmu dwudziestego trzeciego. Obok pozółkły nekrolog, taki, jakim zawiadamia się o pogrzebie.

Haley Michaels.

Dziecko.

Dziewczynka.

Kim ona była? Co miała wspólnego z Nashem i jego tajemniczą przeszłością?

Wsunął nekrolog do kieszeni kurtki i skierował się do wyjścia z zamiarem znalezienia taksówki.

Kiedy Harley dojechał wreszcie do swojego mieszkania, znalazł Sarę z mokrymi włosami zwiniętą na kanapie. Miała na sobie białą sukienkę z włóczki, która niegdyś należała do jego byłej dziewczyny.

Nash, wycierając włosy, wyszedł z łazienki. Ubrany był w luźne szorty Harleya i czerwoną koszulę flanelową. Ze schowka dobiegał szum suszarki. Oboje wyglądali na wyczerpanych i Harley pomyślał sobie, czy przypadkiem w czymś nie przeszkodził. Przez moment był wściekły, i to z powodu Sary Ivy. To ona ściągnęła na nich to wszystko. A w dodatku przynosiła pecha jego przyjacielowi.

- Rozmawiałem z szefem straży pożarnej - powiedział. Założył ręce i oparł się o framugę.

Nash usiadł na sofie tuż obok Sary, z ręcznikiem przewieszonym przez szyję.

- Podpalenie?

- Na to wygląda.

Oczy Sary rozszerzyły się z przerażenia. Nawet w półmroku pokoju widać było w nich strach, zanim odwróciła głowę.

Harley wyciągnął z kieszeni kluczyki od samochodu Nasha i rzucił je na stół. Upadły z brzękiem, poślizgnęły się na wypolerowanej powierzchni blatu.

- Nie sądź, że jeszcze kiedykolwiek ci się przydadzą. Twój samochód jest

doszczętnie zdemolowany. Nic nie skradziono, po prostu został kompletnie zdewastowany.

Minęła chwila, zanim jego słowa dotarły do Nasha. Potem z trudem przełknął ślinę i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Mój Boże, naprawdę kochałem ten samochód

- Myślę, że masz poważne kłopoty.

Spojrzenie Harleya powędrowało powoli od Nasha do Sary. Nie patrzyła na żadnego z nich. Siedziała z podwiniętymi bosymi stopami, wpatrując się w ścianę. Harley spojrzął znów na Nasha, uniósł pytająco brwi.

Babki to zawsze nic więcej jak tylko kupa kłopotów, a zwłaszcza ta.

Jego oczy zdawały się mówić: „Zostaw ją. Zanim naprawdę wpędzi cię w poważne tarapaty, zanim ktoś cię zabije”.

Nash bez słowa pokręcił głową. Harley bez słów próbował go przekonać. Ta kobieta oznacza kłopoty. Duże kłopoty.

Wyglądało na to, że nic nie dociera do jego przyjaciela. Właśnie miał zamiar zaproponować, żeby zadzwonili na policję, gdy nagle Sara poderwała się z kanapy, wydała jakiś stłumiony jęk i wybiegła z pokoju. Trzasnęły drzwi od łazienki. Chwilę później słychać było przekręcany zamek.

Obaj mężczyźni podążyli za nią

Harley przyłożył ucho do zamkniętych drzwi. Cholera, płacze. Jego dotychczasowa niechęć zniknęła. Nash pociągnął za klamkę.

- Saro! Przestań. Wpuść mnie.

- Bardzo nie lubię, gdy babki płaczą - wyszeptał Harley. Nash skinął głową, wyglądał równie nieszczęśliwie.

Doszedł do nich dźwięk szarpanej rolki papieru. Potem głośne wycieranie nosa.

- Muszę wracać - powiedziała Sara zachrypniętym głosem przez zamknięte drzwi.

- Jeszcze czego! - To wszystko, co Nash miał do powiedzenia.

- To wszystko moja wina. Pożar. Twój samochód Muszę wrócić. Zanim stanie się jeszcze coś gorszego.

Nash znów szarpnął za klamkę.

- Otwórz.

Chwilę później, po kolejnych odgłosach rwanego papieru i wycierania nosa, drzwi się otworzyły i Nash natychmiast wślizgnął się do środka zamykając je za sobą.

- Muszę wracać - powtórzyła Sara pociągając nosem. Oczy i nos miała zaczerwienione. - On się nie uspokoi, dopóki nie wrócę.

- On się nie uspokoi, nawet jak wrócisz - powiedział Nash. - Nie teraz. Pomyśl o tym. Szarpała chusteczkę, którą miała w ręku.
- Powinnam wrócić i z nim porozmawiać, może uda mi się coś załatwić, coś utargować.
- To to się tak odbywa? Targujesz się z nim? Wytarła nos wierzchem dłoni.
- Czasami.

Opierała się plecami o ścianę, jakby chciała utrzymać równowagę.

- Ale nie tym razem. Nie pojedziesz tam, żeby się targować z nim o cokolwiek. Ani ja się na to nie zgodzę, ani Harley. - Właśnie.

Głos Harleya dobiegł zza zamkniętych drzwi i Sara lekko parsknęła śmiechem. Potem zasłoniła twarz dłońmi i odwróciła się do ściany.

- Nie wiem, mam już dość. Jestem taka zmęczona. Nie mam nawet siły myśleć.
- To daj pomyśleć za siebie.

Coś zapiszczało. Skończyło się pranie. Oboje podskoczyli nerwowo.

- Nasze ubrania - powiedziała Sara odruchowo. Harley właśnie opróżnił suszarkę.
- Na pewno ktoś was teraz szuka - powiedział Harley podając im ubrania. - Mogą obserwować to miejsce.

Sara i Nash ubrali się szybko. Miło było włożyć na siebie coś ciepłego. Nash poczuł się sennie, ale zarazem zdawał sobie sprawę z tego, że w powietrzu wisi nie wypowiedziane niebezpieczeństwo.

Harley grzebał w garderobie i wyciągnął parę czarnych wojskowych butów, które całkiem pasowały na Nasha. Dla Sary natomiast znalazł zupełnie nowe martensy.

- Kupiłem to dla Jolene. Zostawiła je, kiedy się wyprowadzała.

Sara usiadła na stołku w kuchni i zmierzyła buty. Były o pół numeru za duże.

- A co z telefonem na policję? - spytał Harley. Sara sznurowała buty.
- Niektórzy z nich pracują dla Donovana.
- Obawiałem się czegoś takiego. - Harley kiwał się z nogi na nogę. - Słuchajcie, chciałbym, żebyście wzięli mój samochód i wyjechali stąd jak najszybciej. Przeczekajcie gdzieś, aż się tu trochę uspokoi. Tymczasem może uda się coś wyjaśnić w sprawie tego podpalenia i pan Ivy zniknie gdzieś na trochę.
- Za godzinę byłby wolny - mruknął Nash.
- Dobra, ale tak czy owak wy dwoje jesteście w niebezpieczeństwie.

Musicie wyjechać, i to jak najprędzej. Pojedźcie sobie gdzieś na wycieczkę, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

- Harley, a twój samochód? - spytała Sara. - Właśnie straciłeś swoją gazetę, a teraz chcesz, żebyśmy wzięli i twój samochód?

- Wcale go wam nie daję w prezencie, tylko pożyczam. - Grzebał w portfelu.

Nash położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie potrzebujemy żadnych pieniędzy.

- No, dobra. Ale weźcie to. - Harley podał im papierową torbę. - Coś do jedzenia - wyjaśnił.

Już byli prawie przy drzwiach, kiedy Harley przypomniał sobie, że nie mają żadnych okryć. Wyciągnął z szafy skórzaną kurtkę i podał ją Nashowi, a potem złapał tę, którą przedtem miał na sobie, i dał Sarze.

Nash spojrzał na Harleya, człowieka którego stale trzymał na dystans, od kiedy go spotkał. Ale Harley zachowywał się absolutnie normalnie, jakby nie zrobił nic nadzwyczajnego.

Kiedyś Nash nie wahałby się ani chwili, żeby objąć kolegę i poklepać go po plecach. To było dwanaście lat temu.

Teraz, po latach powściągliwości, znów poczuł taką potrzebę.

Wyjechali z prywatnego garażu pod domem. W momencie kiedy przednie opony dotknęły jezdni, reflektory zaparkowanego naprzeciwko samochodu zaświeciły im prosto w twarz.

Nash błysnął długimi prosto w oślepiające ich światła i ruszył w ich kierunku, w ostatniej chwili wykręcając z piskiem opon. Kiedy tylko ominęli natręta, Nash wyłączył światła i szybko wjechał w pierwszą przecznicę, biorąc zakręt praktycznie na dwóch kołach.

Mknęli przez dzielnice willowe, pokonywali wzniesienia z taką prędkością, że z rozpędu koła odrywały się na kilka centymetrów od ziemi, a przy lądowaniu zawadzali podwoziem o asfalt, aż leciały iskry. Sara trzymała się kurczowo i modliła w duchu.

Opony piszczały na zakrętach. Zamiast poruszać się po linii prostej, Nash ciągle kluczył, aż znaleźli się na bocznej drodze do prywatnego domu. Zaparkowali obok furgonetki, zaraz za przyczepą campingową Nash wyłączył silnik, złapał Sarę za szyję i schylił do ziemi.

- Opuść głowę!

Pochylili się oboje, głowami prawie dotykając podłogi. W całej tej niewielkiej przestrzeni słyhać było tylko ich oddechy. Sara słyszała jak wali jej serce, czuła, jak zimny pot spływa jej po plecach. Po chwili usłyszeli zbliżający się do nich jakiś dźwięk.

Odgłos silnika. Samochód. Powoli jedzie ulicą, aż wreszcie mijają ich i oddala się.

Nash głęboko westchnął.

- Ktokolwiek to jest, nie obejrzał dokładnie samochodu Harleya - wyszeptał.

Sara właśnie podnosiła głowę, kiedy Nash znów gwałtownie pociągnął ją w dół.

- Wracaj!

Samochód znów przejechał. Dziesięć minut później raz jeszcze. Siedzieli tak w ciemnościach, nasłuchując.

- Całkiem dobrze ci to szło - wreszcie odezwała się Sara. Nash cicho się roześmiał.

- Byłem takim samym napalonym amerykańskim chłopakiem jak inni. Ubóstwiałem szybką jazdę, żeby zobaczyć, co można wycisnąć z samochodu. Mamy szczęście, że z samochodu Harleya można wycisnąć całkiem sporo.

Piętnaście minut później Nash wyprostował się, rzucił okiem na okolicę, potem przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaczął pracować, samochód ruszył.

Szybko wyjechali z uliczki i skierowali się do najbliższego objazdu, który pozwoli im jak najszybciej wydostać się z miasta.

- Gdzie teraz? - zapytał.

Gdzie? Sara myślała już o tym, ale teraz poczuła, że ponad wszystko chciałyby wrócić do domu. Do Wisconsin. Do tych letnich burz. Do wzgórz porośniętych lucerną.

W tym momencie zrozumiała, że tym, czego pragnie najbardziej, jest cofnięcie czasu.

- Daleko - powiedziała. - Jak najdalej stąd.

Nie chcę posiadać niczego, czego nie mógłbym zabrać ze sobą do grobu.

Fred Allen

Rozdział dwudziesty czwarty

Nash włączył antyradar, a następnie radio - zawsze słuchał muzyki, kiedy prowadził - i z powrotem opadł na siedzenie. Jechali przed siebie.

Nie robił tego od lat. Nic, tylko jedziesz. Nie wiesz nawet gdzie. To całkiem przyjemne. Powiew młodości. A najprzyjemniejszy ze wszystkiego był fakt, że jedzie z nim Sara.

Ubrana w cudze rzeczy. A pod spodem całkiem naga.

Skierowali się na wschód, jadąc wzdłuż południowego brzegu jeziora Michigan, wprost na wschodzące słońce. W tle muzyka. Wszystko wyglądało jak scena z jakiegoś filmu.

- Niezły sprzęt - powiedział Nash. - Harley lubi wszystko w najlepszym gatunku.

Podkreślił basy. Bardzo lubił, jak tak dudniło.

- Dlaczego to robisz? - zapytała Sara.

- Lubię czuć te wibracje gdzieś w środku. - Jego ręka znów wróciła na kierownicę. - Ale oczywiście, jeżeli ci przeszkadza, możemy to przyciszyć.

- Nie mówię o muzyce. Mówię o tym - zrobiła nieokreślony ruch dłonią - o tym wszystkim, co robisz, że mi pomagasz.

Rzuciła nerwowe spojrzenie do tyłu. Im więcej mijało czasu, tym bardziej rosły jej obawy. We wszystkie strony pędziły samochody. Czy ktoś ich śledzi?

Jedną ręką nadal trzymając kierownicę, a drugą grzebiąc w torbie z jedzeniem, którą dostali od Harleya, Nash wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Dlaczego naraża się dla niej na niebezpieczeństwo? A co więcej - dlaczego ona mu na to pozwala?

Zakryła oczy dłonią. Nie może już jasno myśleć. Za bardzo jest zmęczona i przerażona.

Może uda się Harleyowi zrobić coś z Donovanem, może uda mu się wsadzić go do więzienia.

Nie. O tym nie ma mowy. To wszystko na nic. Ona po prostu gra na zwłokę, egoistycznie wciągając w to Nasha.

- Czy patrzyłaś, co jeszcze Harley wsadza do tej torby? Muszę się czegoś napić.

- Jest tu mnóstwo soków owocowych - odpowiedziała.

- Oczywiście. Harley nie uznaje niczego, co nie jest zdrowe. Wyciągnęła z torby butelkę jakiegoś brązowego płynu. Wyglądało to mniej więcej tak jak woda z rzeki po ciężkim deszczu, który wzburzył muł z dna.

- To coś nazywa się „Żeńszeniowa Niespodzianka”.

- No cóż, spróbuję.

Odkręciła zakrętkę i podała mu butelkę.

Podniósł ją do ust, pociągnął łyk i... zakrztusił się, prychając „Niespodzianką” wokoło.

- Niezła niespodzianka - wysapał, przetarł szybę rękawem flanelowej koszuli i podał jej butelkę. - Masz ochotę spróbować?

- Chyba nie. Obiecałam sobie, że nigdy nie wypiję nic naturalnego. - Wzięła od niego butelkę, zakręciła i wrzuciła z powrotem do torby. - Jest tu coś z mango.

- Nie, dzięki, mam już dość. - Podniósł rękę, jakby chciał się zasłonić od wszystkich zdrowych napojów Harleya.

Chwilę później wskazał na coś palcem?¹

- Patrz!

Znak informacyjny.

- Na prawo dają coś do jedzenia.

Podjechali do budki. Nash kupił sobie kilka kanapek i kawę, a Sara sok pomarańczowy i bułkę.

Postój zabrał im zaledwie kilka minut, ale Sara denerwowała się okropnie. Nie mogła się opanować, żeby nie oglądać się nerwowo za siebie. Trochę później zjechali z autostrady i zatrzymali się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Sara wysiadła i weszła do małego sklepiku. Stała przed lodówką pełną wody mineralnej i soków, gdy wszedł Nash. Włosy miał zmierzwiłone, kurtkę Harleya rozpiętą, koszula flanelowa powiewała na wietrze, a czarne wojskowe buty i kilkudniowy zarost nadawały mu wygląd seksownego oberwańca.

Przez ułamek sekundy poczuła dziwne ukłucie na samą myśl o tym, co się może zdarzyć. Jeżeli tylko...

Każda chwila spędzona z nią groziła mu coraz większym niebezpieczeństwem.

Zostaw go. Powiedz mu do widzenia. Poproś go, żeby cię gdzieś podrzucił. Nie wiem - na przystanek, gdziekolwiek.

Powiedz mu, że nie chcesz, nie potrzebujesz jego pomocy...

Podał jej kilka pomiętych banknotów.

- Możesz zapłacić, a ja pójde do toalety?

Musiał spytać chłopaka za ladą o klucz, do którego doczepiony był breloczek, stukający o ladę za każdym razem, gdy zdejmowało się go z haczyka.

Zapłaciła za benzynę, kupiła torebkę cukierków cytrynowych, kilka gum do żucia i paczkę słodkich ciasteczek, i po chwili znów byli w drodze. Zdecydowali, że pojedą do Kanady.

- Jak najdalej stąd - powiedział Nash, zjeżdżając z autostrady na mniej uczęszczaną dwupasmówkę.

- W filmach zawsze jadą do najbliższego przejścia granicznego - powiedziała Sara.

Kilka godzin później zastanawiała się w duchu, co robić. Da sobie jeszcze kilka godzin na decyzję. Kiedy dojadą do Kanady, zadecyduje wreszcie, co ma zrobić z Nashem.

Omamy wzrokowe - powiedział Nash godzinę później, zjeżdżając na pobocze. - Zamieniłabyś się na miejsca?

Ma prowadzić? Prowadzić samochód?

Wysiadł i obszedł wóz, a Sara wsunęła się na miejsce kierowcy.

Kiedy tylko znalazł się z powrotem w środku, Nash natychmiast zapadł się w siedzenie pasażera, założył ręce i zamknął oczy. Sara w tym czasie oburącz starała się skrócić kierownicą, wpatrując się w deskę rozdzielczą.

Owszem, prowadziła samochód Nasha. Ale nie była to normalna jazda po normalnej drodze. A poza tym ujechała zaledwie kilka metrów.

Kiedyś często prowadziła. Prawie ciągle. Furgonetki. Traktory. Kiedyś nawet miała własny samochód. Czy z prowadzeniem samochodu jest jak z jazdą na rowerze? Jak raz się nauczysz, nigdy nie zapomnisz. Tak? Tak.

Kiedy Nash zorientował się, że nie wrzuciła natychmiast biegu ani nie skręciła z pobocza, zapytał:

- Chyba umiesz prowadzić samochód?

Był na tyle miły, żeby nie wspominać o jej klęsce tamtego popołudnia.

- Oczywiście. - Nie chciała mu tłumaczyć, że Donovan nie pozwalał jej prowadzić samochodu.

Miała kiedyś ciotkę, która nie miała prawa jazdy.

- Nie pozwalałam mojej pani prowadzić samochodu - przechwalał się zawsze wuj.

Wtedy myślała, że to zabawne i wzruszające. Zawsze myślała o ciotce jako o słabej, delikatnej kobiecie, która pozwalała się traktować w ten sposób. Teraz wcale nie uważała, że to jest w jakikolwiek sposób zabawne. Wcale.

Pociągnęła za dźwignię zmiany biegów, wrzuciła wsteczny, z powrotem na luz. Co znaczą te wszystkie rysunki w kształcie litery H na tej gałce? Koniec końców wrzuciła jedynekę.

Lekko nacisnęła pedał gazu, sprowadzając samochód z powrotem na drogę. Patrzyła na wskazówkę szybkościomierza. Trzydzieści pięć kilometrów na godzinę. Czterdzieści. Kiedy przekroczyła siedemdziesiąt, postanowiła nie zwiększać prędkości.

Na szczycie maski samochodu nie było żadnego znaczka, który mógłby jej pomóc w utrzymaniu się na właściwym pasie. Kiedy uczyła się jeździć, przyzwyczała się do takiego celownika. Dlaczego teraz go nie miała?

Nie poruszali się jednostajnie prosto przed siebie. Raczej były to gwałtowne skręty w lewo i w prawo. Cały czas usiłowała prowadzić pojazd między białymi liniami po obu stronach.

Wiedziała, że powinna jechać szybciej, ale teraz, gdy zjechali z autostrady, nie bała się już tak, że są śledzeni.

Piętnaście minut później znalazła się za kimś, kto jechał ciężarówką poniżej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zwolniła. Nie mogła zdecydować się, żeby go wyprzedzić.

Więc jechała za nim. Za nim i za nim.

Historia jej życia. Jak z „Reader's Digest”, skrócona do nowelki, którą można przeczytać w pół godziny. Kompletny brak decyzji, jeżeli chodzi o własny los.

Usiłowała rozsądnie przeanalizować, dlaczego nie może wyprzedzić samochodu przed sobą.

Niepewność. Nie potrafiła zaufać własnej ocenie sytuacji, nie ufała sobie. Dlatego była tu, gdzie była.

Kilka minut później Nash przeciągnął się i usiadł normalnie.

- Skręć tutaj. Ja będę prowadzić.

Była zbyt szczęśliwa, by protestować. Oczy ją bolały, jakby od kilku godzin ich nie zamykała szyję i ramiona miała kompletnie zdrtwiałe, palce ścierpły od ściskania kierownicy.

Skręciła na pobocze. Najpierw jechała za wolno, teraz za szybko. Wpadła w koleinę. Gdy nacisnęła hamulec, oboje polecili do przodu, opony poślizgnęły się na żwirze i samochód stanął w tumanie pyłu.

Spojrzała na elektroniczny zegarek. Jechała zaledwie przez godzinę. Nash obszedł samochód dookoła i zajął miejsce za kierownicą, a Sara przesunęła się na swoje.

- Pewnie wyszłaś z wprawy - powiedział, jakby wyczuwając jej zniechęcenie, gdy wjeżdżał z powrotem na szosę.

- Jeżeli ktoś nie siedział na rowerze, powiedzmy, kilka lat - zapytała ostrożnie - czy myślisz, że może wtedy z łatwością wskoczyć na rower i odjechać?

- Czy to ma być jakaś pouczająca historyjka? Nie znoszę. Sara otworzyła paczkę herbatników i poczęstowała Nasha.
- Oczywiście, to zależy od wieku tej osoby - kontynuowała z namysłem. - Czy myślisz, że zależy to też od tego, ile minęło lat?

Wziął kilka herbatników i włożył sobie wszystkie naraz do ust.

- I oczywiście od tego, jaki to rower. Wyścigówka na pewno byłaby problemem.

Sara włożyła cukierek do ust i skinęła poważnie głową.

W Port Huron musieli zatrzymać się przed mostem będącym przejściem granicznym z Kanadą. Sara przez moment poczuła ogarniającą ją panikę, kiedy strażnik przyglądał się im, jak się jej zdawało, podejrzliwie. Prawdopodobnie nie wyglądali jak para nowożeńców jadąca w podróż poślubną do których był przyzwyczajony.

Nash pokazał swoje prawo jazdy. Strażnik zadał im kilka rutynowych pytań. I znów byli w drodze.

Kilkaset kilometrów dalej, kilka godzin później i zaczęło świtać.

- Toronto - powiedział Nash. - CN wieża. Hockey Hall of Fame. Kiedy wyjechali z Toronto, pojechali na północ, wzdłuż zatoki Georgian. Dla Sary wszystkie wydarzenia tego dnia zlały się w jedną całość. Seria postojów po benzynę i po coś do jedzenia. Wszystko w biegu. Rozmowy o wszystkim i o niczym, ale nie dotyczące nawet ich położenia, jej położenia. Gra na zwłokę. A kiedy gra się na zwłokę, nie czuje się wyrzutów sumienia. Samochód zatrzymał się powoli na środku drogi, gdzieś na pustkowiu. Dwie smugi światła oświetlały nieruchomo drogę przed nimi.

Nash siedział za kierownicą obok niej, ale... z głową odchyloną do tyłu, oczy zamknięte, usta otwarte, chrapał.

Zasnął za kierownicą

-Nash?

Potrząsnęła go lekko za ramię. Nawet nie drgnął.

Obejrzała się do tyłu. Nic, tylko wygwieżdżone niebo. Znów szarpnęła go, tym razem mocniej i krzyżąc głośno jego imię.

Obudził się, ziewnął, pokręcił głową, dłonie na kierownicy.

Kiedy doszło do niego, że nie pędzą przed siebie, że po prostu stoją w miejscu, głośno westchnął i opuścił ręce.

- Cholera. - Oparł głowę na kierownicy, starając się głęboko oddychać. - Chwała Bogu, że nie wyłączyłem komputera.

Wyprostował się, podrapał po policzku.

- Kurczę, muszę się zdrzemnąć. Jak najszybciej.

Nacisnął pedał gazu. Samochód ruszył, stopniowo nabierając prędkości.

- Może ja teraz poprowadzę - zaproponowała.

- W porządku, dam radę. Jak daleko stąd do najbliższego miasta? Nie mam siły rozszyfrowywać tutejszych oznaczeń.

Zapaliła światło nad głową i rozłożyła mapę. Byli zaledwie o kilka godzin od Sault Sainte Marie, a stamtąd już tylko półtorej godziny do Wisconsin.

- Za jakieś trzydzieści kilometrów będzie miasto.

- Mam nadzieję, że mają tam jakiś hotel.

Mieli.

Hotel był stary, ale czysty. W pokoju jasne meble i pomarańczowa lampa, jak pojazd z filmu rysunkowego *Jetsonowie*.

Sarę piekły oczy, bolało całe ciało, skóra paliła.

Poszła prosto pod prysznic. Kiedy skończyła, umyła zęby myjką do ciała. Potem, ponieważ nie miała nic innego do ubrania, włożyła na siebie z powrotem sweter Nasha. Wyszła z łazienki, szczęśliwą że nie musi już gołymi stopami dotykać lodowatej podłogi.

Nash leżał na plecach w poprzek łóżka. Na podłodze walały się czarne buty, na najbliższym krześle rzucona flanelowa koszula. Miał na sobie nadal spodnie i szaro-niebieski podkoszulek. Spał, z włosami na twarzy, rękami złożonymi na unoszącej się równomiernie klatce piersiowej.

Włożyła pożyczone, za duże dzinsy. Zapieją pasek, złapała kurtkę Harleya i klucze od pokoju. Skierowała się do wyjścia. Zmierzała do baru po przeciwnej stronie ulicy. Musi się napić. Musi zdecydować, co ma zrobić z Nashem.

Leżał kompletnie jak nieżywy. Było ciemno. Coś dotykało go w ciemności, ktoś pieścił go przez sen. Delikatna skóra. Miękkie włosy. Zapach mydła. Zapach whisky.

Jęknął, jeszcze przez sen, i przekręcił się na bok, aż zatrzeszczał materac.

Czuł, jak rozpinają mu się spodnie. Słyszał odgłos rozsuwanego zamka. Zimna dłoń wsunęła się pod elastyczną gumkę spodenek. Dotknęła go. Ścisnęła.

Sara.

Czyjeś ręce ściągają mu przez głowę koszulkę, potem zsuwają spodenki.

201

Miękkie, ciepłe, nagie ciało rozciągnęło się na nim. Na torsie czuł okrągłe piersi, długie nogi po obu stronach jego bioder.

Przyciągnął ją do siebie, dłońmi obejmując gładkie pośladki.

- Sara - wymamrotał.

Czuł na twarzy jej oddech i ich usta się spotkały. Smakował ją, ten ciepły, erotyczny zapach whisky.

Czuł, jak napięcie w nim rośnie.

Sztywny napierał na jej łono. Uniósł ją lekko, potem posadził z powrotem na sobie. Czuł, jak go naprowadza i wciąga głęboko w sam środek rozpalonego wnętrza.

Podniosła się do pozycji siedzącej, opierając się dłońmi na klatce piersiowej Nasha. Czuł, jak zanurza się w niej głębiej i głębiej. Jak siedząca na nim Sara rusza się coraz szybciej.

Pchnął, unosząc ją lekko nad łóżko.

Zamiast tylko siedzieć na nim, objęła go mocniej, na każde jego pchnięcie odpowiadając swoim, naciskając nań całym ciężarem ciała.

Zawsze był dumny ze swych umiejętności doprowadzania kobiet do granicy wytrzymałości i utrzymania ich na skraju rozkoszy najdłużej, jak się dało. Teraz, bezsilny po tych wszystkich nie przespanych nocach, a zarazem wyrwany ze snu, czuł, jak ogarnia go kompletne wyczerpanie w tym erotycznym półśnie, jak traci siły. W ciemności i ciszy pokoju, w którym nie padło ani jedno słowo, a prócz ich gwałtownych oddechów i odgłosów dwóch wilgotnych ciał ocierających się o siebie nie było nic, nie był już w stanie dłużej się powstrzymać.

Przepraszam.

Myśl. Zamiar.

Nie mógł się odezwać, ruszyć...

- Przepraszam - powiedział chrapliwie, głośno wypuszczając powietrze. Jego ciałem wstrząsnął spazm. Uniósł biodra. Wypełnił ją swoim nasieniem. Kilka minut później spali już oboje, a jej wilgotne nagie ciało skulone było na nim. **Nash** obudził się leżąc na plecach, nie miał nic na sobie prócz zsuniętych na uda spodenek.

Z pomieszczenia obok dolatywał odgłos wody. Prysznic. Sara była pod prysznicem.

Podciągnął spodenki, potem spodnie, ale ich nie zapiął. Znów padł na łóżko. Zamknął oczy. Ostatnia noc... O Boże.

To było jak sen. Jak gorąca, erotyczna fantazja senna.

Poczuł, jak znów zasypia.

Gwałtownie się przebudził. Prysznic ciągle szumiał.

Nie był pewien, ile minęło czasu, ale wiedział na pewno, że można już było wziąć co najmniej dziesięć pryszniców. Zerwał się na równe nogi, pobiegł do drzwi łazienki, zapukał.

- Sara?

Ciszą nie licząc lejącej się bez ustanku wody. Spróbował nacisnąć klamkę. Puściła bez oporu. Uchylił drzwi, uderzyły go kłęby pary. -Sara?!

Serce zabiło mu mocniej. Pchnął drzwi tak mocno, że uderzyły o ścianę. Złapał plastikową zasłonkę i pociągnął. Nic. Pusto.

Pod prysznicem nie było nikogo. Zakręcił wodę.

Jeszcze nie do końca rozbudzony, oparł się o ścianę, z czołem wspartym na ręce. Jego umysł walczył z tą nową łamigłówką biorąc pod uwagę najgorsze rozwiązania.

Porwanie przez UFO.

Jeden z lepszych pomysłów.

Nagła utrata pamięci.

Kolejny wyśmienity pomysł.

Wyszedł z domu na chwilę po paczkę papierosów i nigdy nie wrócił... Prysznic... To było alibi. Trochę go otrzeźwiło.

Mózg zaczął pracować. Zaczął myśleć logicznie. Nie wiadomo skąd pojawił się nowy pomysł, nowe wyjście, o którym nigdy by sam nawet nie pomyślał.

Oderwał się od ściany, odwrócił i z miejsca rzucił wzrokiem na telewizor. Portfel.

Porwał go i zaczął przeszukiwać.

Wszystkie Królowe Matki, Washingtony i Jacksony, każdy najmniejszy grosik, wszystkie jego pieniądze, kanadyjskie czy amerykańskie, wszystko zniknęło. Został splukany. Przez nią.

Wyprostował się. Jedną ręką podparł się, drugą drapał w głowę. Cholera.

Nowa myśl wpadła mu do głowy.

Rzucił się do drzwi, szarpał z zamkiem, wreszcie pchnął. Pomiedzy dwoma żółtymi liniami, gdzie wczoraj zaparkował samochód Harleya, było pusto.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła siebie samą, pogrążoną w cierpieniu.

Rozdział dwudziesty piąty

Dużo trzeba było, żeby go zdenerwować, ale to, **co** czuł teraz, było bliskie dzikiej wściekłości. Nawet nie zawracając sobie głowy prysznicem czy goleniem, narzucił koszulę, wsunął nogi w nie zawiązane buty, złapał portfel i kurtkę i pobiegł na stację benzynową przy hotelu.

Zajął mu dwie minuty, żeby znaleźć kogoś, kto widział Sarę.

- Była tu jakieś pół godziny temu - powiedział chłopak pracujący na stacji. - Pytała, którądy jechać do Sault Sainte Marie.

Wskazał palcem kierunek.

- Dzięki. - Nash się odwrócił i rzucił się do wyjścia, prosto w zimny poranek.

Kiedy zaczął biec w kierunku szosy, bardzo szybko zadyszał się, a jego rozwiązane buty klapały po chodniku. Minął wysepkę z dystrybutorami ropy, przeskoczył kanał i przeciął szosę. Szedł w kierunku, w którym odjechała Sara, pod stopami miał zmarzniętą trawę. Zapiął kurtkę i słuchał nadjeżdżających samochodów. Kiedy usłyszał, że coś się zbliża, odwrócił się szybko i idąc tyłem machał ręką

Obok niego przemknął samochód. Nash zachwiał się od uderzenia powietrza. Dziesięć minut później z piskiem zatrzymała się ciężarówka. Zdał sobie sprawę, że ta szosa nie jest najbardziej uczęszczana.

Wspiął się do szoferki i usiadł na miejscu pasażera. Już miał przygotowaną historyjkę. Kiedy samochód ruszył, schylił się, żeby zawiązać sznurowadła i zaczął opowiadać, jak on i jego żona zatrzymali się w hotelu, pokłócili się, ona wzięła samochód, pieniądze, jednym słowem wszystko. Dobre kłamstwo ma zawsze w sobie ziarno prawdy.

Kierowca roześmiał się, wyglądało na to, że dobrze się bawi.

- Kobiety zawsze wściekają się o każde głupstwo.

- Nie kpij sobie.

Kilka kilometrów od miasta zauważyli samochód stojący na poboczu. Ciemny, prawie szary, sportowa sylwetka. Nash wyprostował się.

- To może być ona.

Ciężarówka zwolniła, aż byli wystarczająco blisko, żeby Nash rozpoznał rejestrację. Po chwili poznał samochód Harleya. A na koniec doszło do niego, że samochód jest pusty.

Przed nimi było widać zarys idącej postaci.

Ktoś o lśniących ciemnych włosach, w dżinsowej kurtce.

Sara.

Kierowca już był gotów jechać dalej, kiedy Nash zawołał, żeby się zatrzymał.

Kiedy Sara usłyszała zbliżający się pojazd, odwróciła się i zaczęła machać ręką. Ciężarówka zatrzymała się.

Najpierw to bieganie i szukanie, potem jazda. To wszystko dało Nashowi czas do namysłu i trochę się uspokoił. Ale teraz widząc Sarę, myśląc o tym, co zrobiła, poczuł, jak znów narasta w nim wściekłość.

Otworzył drzwi tak, żeby go nie rozpoznała, i szybko wyskoczył.

- Cześć, kochanie. Klasyczne zaskoczenie.

Poruszała ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Nash pomachał kierowcy, trzasnął drzwiami i poczekał, aż ciężarówka odjedzie i ucichnie hałas, zanim odwrócił się do Sary.

- Zaskoczona jesteś, że mnie widzisz? Nie musisz odpowiadać. Od razu widać, że tak. Co, pewnie myślałaś, że ciągle jestem w Rusty Gables w pustym hotelowym pokoju.

Sara wydała jakiś zduszony dźwięk.

- Więc co zrobiłaś z samochodem Harleya?

- Skończyła się benzyna. Nash parsknął śmiechem.

- Skończyła się benzyna? Zatrzymałaś się na stacji, żeby zapytać o drogę, a nie wzięłaś benzyny?

Złożyła ręce, nerwowo skubiąc kurtkę.

- Dlaczego ciągle za mną łazisz?

Sam był ciekaw. Większość facetów nie zastanawia się głębiej nad tego typu sprawami, ale on nie tylko chciał jej pomóc, ale sądził, że gdy ona zostawi Donovaną kiedy jej życie zacznie się układać, to będzie to szansa dla niego. Ale na to nie wyglądało.

- Czy ty masz wszystkich naprawdę głęboko gdzieś? Potrzęsnęła głową, uniosła dumnie brodę i odwróciła się.

- Mieszasz człowiekowi w głowie, a potem go odtrącasz, obdzierasz ze wszelkich złudzeń. A na domiar wszystkiego bierzesz jeszcze samochód jego przyjaciela. Jak do cholery możesz ciągle robić mi takie rzeczy? Próbowałem ci pomóc!

Odwróciła się powoli. Jej twarz była zacięta.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

Wolno i wyraźnie, tak żeby żadnego z nich nie uronił, padły słowa:

- Mam cię już dość.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do przodu, wymachując rękami. Patrzył, jak zaczyna biec. Biec coraz szybciej.

Logiczną rzeczą w tej chwili było dać jej odejść. Po prostu, niech sobie idzie.

Nawet się nie obejrzała. Biegła przed siebie.

Ruszył za nią. Ziemia była ubita, zamrznięta. Pełna grud. Bardzo trudno byłoby po niej nawet iść. Żeby łatwiej pokonać odcinek między nimi, wbiegł na jezdnię. Po asfalcie poruszał się o wiele szybciej.

Zaczął ją doganiać. Był od niej dziesięć metrów, kiedy zwolnił, żeby jej nie wyprzedzić.

- Hej, pani Ivy!

Potknęła się, odzyskała równowagę i biegła dalej.

Już prawie nie mógł oddychać, serce waliło mu potwornie. Sara natomiast zataczała się już ze zmęczenia, nawet z takiej odległości słyszał, jak ciężko dyszy.

Miała już dosyć. Jeszcze trochę przyspieszył i wreszcie jej dopadł. Złapał ją i przewrócił na ziemię.

Nie zastanawiała się ani chwili. Wsparła się nogami o zamrzniętą ziemię. Wyrwała mu się.

Wyciągnął rękę i palcem zahaczył o jej pasek. Przyciągnął ją z powrotem.

- Puść mnie! - Walała go i kopała. - Zostaw mnie!

Nie zważając na jej krzyki i szarpaninę, trzymał ją nadal i obszukiwał jej kieszenie.

- Daruj sobie. Najpierw kurtka.

- Szukam kluczyków i pieniędzy.

Palce natrafiły na szkło. Wyciągnął. Butelka whisky. Rzucił ją na ziemię. Włożył ręce do następnej kieszeni, tym razem trafił na kawałek metalu.

Kluczyki.

Wyciągnął je, upadły na ziemię, wreszcie udało mu się je podnieść.

Teraz palcami wymacał papier. Bingo!

- Puść... mnie...

Sapała, coraz słabiej się szarpała.

Jedną ręką trzymając ją ciągle za pasek, drugą wyciągał coś, co wziął za pieniądze.

To nie były pieniądze. Co to...

Wycinek z gazety. Znajomy... Puścił ją.

Poczuł, że brakuje mu powietrza. Serce przestało mu bić.

Zapomniał o Sarze. O kluczykach. O pieniądzach.

Sara wreszcie się wyrwała, wstała, ciężko dysząc. Stała pochylona, z rękami opartymi na kolanach.

Słysząc było, jak nadjeżdża samochód. Zwolnił, potem odjechał.

Minęło kilka sekund, a Nash ciągle milczał. Zaczęła obawiać się tej ciszy.

Siedział na ziemi, a raczej klęczał podparty. Jedną ręką trzymał się za głowę, w drugiej coś ścisnął. Kawałek papieru.

Zrobiła kilka kroków, potem odwróciła się.

Nie poruszał się. Nie wyglądało na to, żeby zamierzał za nią podążyć.

Podeszła do niego, potem go obeszła. Twarz ukrył w dłoniach, włosy opadły mu na czoło.

Podeszła bliżej. I bliżej.

Aż mogła wreszcie zobaczyć, co takiego ścisnął tak kurczowo. Kawałek gazety. Pożółkły ze starości. Podarty na zgięciach.

Raptem, na jej oczach, kompletnie się załamał.

Wydał z siebie jęk. Uniósł jedno kolano i wreszcie udało mu się stanąć na nogi.

Odwrócił się i podszedł do niej.

- Skąd to masz? - Machał jej papierem przed nosem, cofała się. - Skąd to wytrzasnąłeś?

- Nie mam pojęcia. - Patrzyła na niego z przerażeniem.

- Moje dziecko! - pół krzyk, pół szloch. - Moja córeczka!

Miał ten skrawek papieru, szarpał go, wreszcie opadł znów na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

Sara wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co zrobić, co powiedzieć. Patrzyła, jak kawałek papieru wiruje na wietrze, jak opada, jak osiada na zamarznętej ziemi. Podeszła do niego. Podniosła. Rozwinęła.

Nekrolog. Małej dziewczynki.

O Boże. Dobry Boże.

Córka.

Ojciec.

On też był kimś innym w innym życiu. Też przed czymś uciekał.

Boże. Chciała podejść do niego, objąć go. Ale nie była jego godna i pewnie nie chciałby od niej współczucia. I nie chciała mu okazać swoich uczuć, bo wtedy czułby się w obowiązku jej pomagać.

Złożyła papieraek i włożyła go z powrotem do kieszeni kurtki. Zaczęła iść przed siebie, kiedy przypomniała sobie o pieniądzach. Włożyła rękę do spodni i wyciągnęła garść pomiętych banknotów. Przejrzała je, zostawiając sobie kilka dolarów. Resztę podała Nashowi.

- Proszę.

Kiedy nie wyciągnął po nie ręki, wsunęła mu do kieszeni koszuli. Po czym podniosła z ziemi kluczyki od samochodu i wcisnęła mu w rękę, zamykając dłoń.

- Wracaj do miasta, weź benzynę - powiedziała.

Kiedy nie odpowiadał, powtórzyła raz jeszcze, tym razem wolno i wyraźnie.

Obawiając się, że może odepchnąć jej rękę, dotknęła jego ramienia, lekko nim potrząsając.

Przeżyje to, powtarzała sobie w duchu. Powoli podniósł głowę. Oczy miał mokre od łez.

Jej ojciec mawiał, że mężczyźni nie płaczą. Nawet kiedy umarła matką jej ojciec nigdy nie uronił łzy.

Jego bezgraniczny smutek spowodował, że poczuła, jak bardzo go kocha, i że to wszystko, co musi zrobić, będzie jeszcze trudniejsze. Przeżyje to.

- Nie idź za mną - mówiła bez wahania a jednocześnie marzyła o tym, żeby mu powiedzieć, że za bardzo go kocha, żeby z nim zostać. - Nie potrzebuję ciebie.

Może w innych okolicznościach nie dałby się nabrać na ten patetyczny gest. Ale teraz, w takim był stanie, rozbity, z tak świeżym wspomnieniem o utracie córki...

Zdawało się, że jej słowa go ocuciły. Jego wzrok przestał gdzieś błędzić. Zobaczył ją skupił się na niej.

- Nie martw się o mnie - powiedział bez wyrazu, jakby stała się dla niego kompletnie nieważna, jakby miał już jej dość. Ból, który ją przeszył, był silniejszy od tego, jaki kiedykolwiek zadał jej Donovan.

Da sobie radę, powtarzała sobie w kółko, odwracając się i odchodząc. Nie była w stanie dłużej patrzeć na niego. Nic mu nie będzie.

Nash poruszał się jak we mgle. Zamiast rozglądać się za jakimś samochodem, szedł z powrotem na stację benzynową. Kiedy ktoś się zatrzymywał, żeby zaproponować podwiezienie, odmawiał. Trzy godziny później nalewał benzynę do pustego baku samochodu Harleya. Był tak otepiały na wszystko, co go otaczało, że nawet nie zauważył, jak obok zatrzymuje się samochód. Jak opuszcza stację w tym samym momencie co on i jak jedzie za nim.

Dom plonie.

Rozdział dwudziesty szósty

Było już po północy.

Franklin Hart zamknął rocznik 1985 „National Geographic” i odłożył go na stolik obok okularów. Potem podniósł się i wyłączył światło do czytania, które miał nad głową.

Teraz już nie tak łatwo zasnąć. To nie fair. Kiedy już jesteś stary i masz mnóstwo czasu, sen powinien przychodzić od razu.

Kiedy był młodszy, pracował czternaście godzin na dobę i zasypiał jak dziecko. Ale te dni dawno już minęły. Dni pracy przyprawiającej o porządny ból całego ciała. Dni, kiedy wstawał na długo przed wschodem słońca i jeszcze długo po jego zachodzie nie kładł się spać.

Teraz niechętnie kładł się do łóżka wieczorami i niechętnie rankami wstawał. Dni ciągnęły się przed nim jak droga o wiele za długą a on był już zbyt zmęczony, żeby nią iść. Nie wiadomo, co by zrobił bez codziennej krzyżówki w miejscowej gazecie.

Zimowy wiatr świstał w szczelinach piętrowego domku. Deszcz ze śniegiem walił w szyby.

Niedobra noc dla zwierząt domowych. Dobrze, że już ich nie miał. Jedynym stworzeniem, które zachował po wyprzedaży wszystkiego, był kucyk Sary. Nie był w stanie go sprzedać. Był, owszem, stary, prawie ślepy. Ale przeżył te wszystkie lata z godnością, akceptując to, jak traktowały go dzieci, które potrafią być tak okrutne dla zwierząt. Kucyk znosił cierpliwie i to, że był szarpany wędzidłem, i to, że go zajeżdżano prawie na śmierć, i także to, że walono go nogami po bokach. I jeszcze to, że zakładano mu różne rzeczy na głowę, aby zrobić z niego jednorożca. To wszystko Sara.

To zwierzę zasługiwało na to, żeby spędzić resztę życia we względnym spokoju, a nie zostać przerobionym na kaime dla psów lub klej.

Tak, dobrze rozumiał biednego konika. Był do niego tak podobny. Stary i bezużyteczny. Samotny.

Frank był samotnym starym człowiekiem. Kto by to pomyślał?

Nie o to chodzi, że nie miał towarzystwa. Czasami wpadały do niego wnuki, ale czuł, że robiły to, ponieważ im kazano. Nie mówił ich językiem, nie rozumiał ich. Nie wiedział nic o grach, w jakie grały dzieci na komputerze, ani o filmach, które oglądały, ani o science-fiction, ani co jest ostatnim krzykiem mody.

Ziemia.

Ciężka praca.

To były rzeczy, na których się znał. To były rzeczy, które utracił.

Prawie już zasnął, kiedy coś go obudziło, jego stare serce zaczęło bić mocniej. Dobre, mocne serce, mówił lekarz.

Ale czasami jakby zmieniało rytm.

Leżał w łóżku, nasłuchując, wstrzymując oddech. Puk, puk, puk.

Odgłos dochodził z dołu. Brzmiało to tak, jakby otworzyły się zewnętrzne drzwi.

Uniósł się z wysiłkiem i włączył światło nad głową. Potem odrzucił kołdrę i zsunął gołe stopy na zimną drewnianą podłogę, szukając kapci, które jego córka Gloria dała mu na ostatnią gwiazdkę.

Puk, puk, puk. Znowu.

Kiedy dzieci były małe, zawsze musiał zamykać po nich drzwi na klamkę. Kiedyś przyjdzie wielki wiatr i rozwali zawiasy - zwykł im powtarzać. Teraz on sam zapomniał je domknąć.

Czyżby choroba Alzheimera? O Boże, nie, miał nadzieję, że to nie to. Wstał z trudnością, zaczął schodzić na dół w swojej flanelowej piżamie we wzorki.

Nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem drzwi frontowych. Nikt ich nigdy nie używał. Udał się więc od razu przez kuchnię do drzwi ogrodowych, otworzył je i wszedł do nie ogrzewanej sieni.

Kiedyś w Sigourney raczej nie było przestępstw. Najwyżej jakieś głupstwa. Komuś dla żartu owinięto drzewa papierem toaletowym albo rozwalono składzik na narzędzia. Ale ostatniego roku mieli tu dwa włamania.

To całe szaleństwo jest coraz bliżej. To już tylko kwestia czasu i ludzie zaczną zamykać drzwi, nawet jak będą wychodzić na chwilę po coś do miasta. Sprawdził drzwi zewnętrzne. Haczyk był na swoim miejscu. Zapalił światło i próbował zobaczyć coś przez plastik, który został tam założony na czas zimy. Zauważył jakiś kształt, zarys. Osoby. Ktoś tam jest. Ktoś...

- Tato?

Gloria?

Zdjął metalowy haczyk i ostrożnie otworzył drzwi.

Kobieta. Ciemne włosy.

To nie Gloria.

Ciemne oczy. Ktoś obcy.

- To ja, Sara.

Serce mu drgnęło, w jakiś dziwny sposób, jak to już zdarzało się nieraz. Nie, to nie był ból, raczej jakby zmiana rytmu.

Spojrzał poza nią. Żadnego samochodu na podjeździe.

- S-Sara?

Nie wymawiał tego imienia od lat. Teraz nie szło mu łatwo.

- Czy m-mogłabym wejść?

Otworzył drzwi trochę szerzej i cofnął się. To były te same drzwi od czterdziestu lat. Kiedy Sara miała trzy łątką nie mogła sięgnąć klamki, przybił szpulkę, dużo niżej, specjalnie dla niej, żeby mogła sama sobie otwierać drzwi. Ta sama szpulka była tam nadal. Weszła do środka Zamknął za nią drzwi. Jak sen.

To wszystko było jak w śnie, który miał już tysiąc razy. Ale tym razem czuł bardzo wyraźnie zimne powietrze nocy. Szedł za nią, nie odrywając od niej wzroku. Był w stanie wyłącznie zdumiewać się, że jest tu naprawdę.

W kuchni odwróciła się nagle i posłała mu zawstydzony uśmiech.

- Przepraszam, wiem, że już jest bardzo późno. Późno. Tak, bardzo późno. Za późno o dziesięć lat.

Westchnęła i odwróciła wzrok, przygryzając przy tym dolną wargę, tak jak robiła to zawsze. Pamiętał.

Sara nigdy nie zachowywała się jak inne kobiety w jego rodzinie. Nigdy nie była gadatliwa. Raczej nieśmiała, a kiedy coś miała powiedzieć, najpierw długo się nad tym zastanowiła. Zawsze chciał ją osłaniać, być dla niej oparciem. I tak zawsze było, aż pewnego lata odepchnęła go, zraniła tak okropnie. Kiedy teraz tak na nią patrzył, widział, jak bardzo jest wyczerpana. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że było też czuć od niej alkohol. Była jego córką, ale zarazem nie była Kiedy ostatni raz ją widział, była taka niewinna, niedoświadczona przez życie. Teraz wyglądała, jakby życie stało się dla niej zbyt ciężkie. Czuł, jak coś go drapie w gardle, jak szczypią go oczy.

- Jesteś zmęczona.

- To było wszystko, co powiedział. Po dziesięciu latach tylko tyle był w stanie powiedzieć. Chciał jej dotknąć, objąć, ale nigdy nie odznaczał się wylewnością nie okazywał swoich uczuć. A poza tym obawiał się, że jeżeli

jej dotknie, mógłby się rozplakać, co byłoby najbardziej poniżającą wstydliwą rzeczą którą, jego zdaniem, mógłby zrobić mężczyzna.

Szła w kierunku drzwi, potem weszła do salonu.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy zobaczył cały ten bałagan i brud. Wszędzie wałały się sterty starych magazynów. Na grubym dywanie było błoto, a z sufitu zwisały pajęczyny. Na wszystkim leżała gruba warstwa kurzu, tak gruba, że można by po niej pisać palcem.

Jego żona, matka Sary, nigdy nie pozwalała im na większy bałagan niż szklanka wody w salonie. Jak to się stało, że tak łatwo o tym zapomniał?

- Tu jest cudownie.

- Twój pokój jest ciągle na górze.

Nie chciał, żeby mu odmówiła, nie chciał też, żeby została tylko dlatego, iż uznałaby, że powinna. To wszystko już tyle razy słyszał.

Znow się uśmiechnęła. Powolnym, smutnym, zmęczonym, pełnym ulgi uśmiechem.

- Tak mi się tu podoba. Sara.

Jego córka, ale jakby nie jego.

Kiedyś droga do domu, teraz ślepa uliczka.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nie powinna była tu przyjeżdżać. Powtarzała to bez przerwy, robiąc sobie kawę następnego ranka. Ale miała nieprzepartą chęć ujrzenia ojca i miejsca, w którym wyrosła. Potrzeba powrotu do tych korzeni była zbyt silną żeby z nią walczyć, to było coś instynktownego.

Nie zamierzała zostać tu na noc, ale czuła się naprawdę wykończona. Dom sam zdawał się ją zapraszać, a ojciec... wydawał się tak szczęśliwy, że ją widzi. Szczęśliwy. Prócz bałaganu nic się tu nie zmieniło. Kubki siały na tym samym miejscu. Tak samo talerze, sztućce. Na ścianach te same tapety. Ta sama lodówka, ten sam piec.

Jeszcze dwa dni temu zdawało się jej, że upłynęło co najmniej sto lat, od kiedy opuściła to miejsce. Teraz było tak, jakby zaledwie wczoraj wstała od tego okrągłego dębowego stołu.

Ojciec postanowił koniecznie pojechać do miasta po zakupy. Niedługo wróci. Zjedzą razem śniadanie. Może porozmawiają. Ale nie o niej, nie o tych wszystkich latach, co minęły. Nie, ona chciała dowiedzieć się, co u Glorii, jak jej rodzina. Chciała dowiedzieć się, co z farmą, jak nadchodzący sezon. To było kiedyś jej życie. Kiedyś. Chciała odzyskać coś z tego, co straciła, nawet jeżeli byłoby to tylko na chwilę.

A potem pójdzie swoją drogą, spokojna, że u ojca wszystko w porządku.

To był bardzo przytulny dom. Jakoś nie zauważała tego wcześniej. Przed laty wydawał się stary i okropnie tradycyjny z tymi swoimi drewnianymi ramami pomalowanymi białą emalią, koronkowymi zasłonkami, teraz zakurzonymi i upstrzonymi przez muchy, wiszącymi na oknach, które zdawały się być nie myte już od długich miesięcy.

Przypomniała sobie, że jako dziecko pomagała myć te okna. Jeszcze teraz słyszała dźwięk szmatek polerujących szybę, czuła zapach octu...

Z zamyślenia wyrwały ją odgłosy kroków w przedsionku. Towarzyszyły im dźwięki podobne do tych, które wydaje ktoś niosący coś ciężkiego.

Wstała, uśmiechnęła się. Mówiła ojcu, że wszystko, czego potrzebuje, to grzanka, ale on się uparł, żeby zrobić jej prawdziwe wielkie śniadanie. Kiedy otworzyła drzwi, uśmiech zamarł jej na wargach. W drzwiach nie stał ojciec. To był Nash.

Oczy zmęczone i nabiegłe krwią mętny wzrok, ciemny, kilkudniowy zarost pokrywał mu brodę.

- Cześć.

Temu krótkiemu powitaniu towarzyszył słaby uśmiech.

Nie miał na sobie kurtki. Zastanawiała się, dlaczego nie miał na sobie kurtki? Jej umysł był zaskoczony, próbowała myśleć jasno i znaleźć sens w jego pojawieniu się tutaj.

Koszula!

Jego flanelowa koszula była cała poszarpana, poplamiona czymś, co wyglądało jak krew.

I wtedy doszedł do niej dziwny zapach, który przypominał jej stary, brudny szpital, czarną matową gumę i bolące gardło.

- Nash, co...

Nagle, jakby go popchnął ktoś z tyłu, poleciał do przodu, prawie potykając się o próg, w ostatniej chwili zapanował znów nad swoim ciałem i udało mu się odzyskać równowagę.

Za nim stał Donovan.

W rękę miał pistolet. Lufa przyłożona do Nasha. Powiodła wzrokiem od pistoletu do Donovan, a potem znowu spojrzała na Nasha.

Poruszył ustami. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Sara... - wycharczał wreszcie Nash.

Oczy mu uciekły i upadł. W ostatniej chwili Sarze z ledwością udało się podtrzymać jego głowę, żeby nie uderzyła o podłogę. Jego ręce. Przeguby. Były związane. Krwawiły.

Klęknęła nad nim. Przyłożyła mu rękę do czoła. Zimne. Chłodne. Urywany oddech.

Oglądając go dokładnie, rzuciła gniewne spojrzenie Donovanowi. Był ogolony, ale miał brudne włosy i pognieciony garnitur.

- Co ty mu zrobiłeś? - zapytała. Nie czuła strachu tylko gniew. Była oburzona

- Myślę, że pytanie powinno brzmieć - odezwał się Donovan - co ty mu zrobiłaś.

To się nie mogło wydarzyć. To niemożliwe. Nie w domu jej ojca. Skądś

dobiegał znajomy dźwięk gotującego się czajnika. Poranne słońce sączyło się przez zasłonki nad zlewem. Na drzwiach lodówki rysunki jej małych siostrzeńców przytrzymywały magnesy z miejscowego sklepiku. „Gruba żona i wielka stodoła nigdy nie zaszkodzą mężczyźnie”. „Rozkwitaj tam, gdzie wyrosłeś”. „Kwiaty zawsze odwracają się do słońca”. Nash powoli poruszał ustami. Jakby każdy ruch, każdy oddech sprawiał mu ból.

- Mówiłem mu... - Próbował otworzyć oczy, widziała, że nie może zebrać myśli, że trudno mu się skupić. Starał się zmobilizować, przypomnieć sobie, o czym mówił. - Mówiłem mu... że jesteś... naprawdę okropna... Że nawet cię nie lubię... ale ten łobuz nie chciał słuchać.

Wydała zduszony dźwięk, niby śmiech, niby jęk.

- Jesteś doprawdy wzruszająco naiwna, jeżeli chodzi o wybór mężczyzn - powiedział Donovan protekcjonalnym tonem, którym często do niej się zwracał. - Czy wiesz, że Nash Audubon to nie jest nawet jego prawdziwe nazwisko? Czy wiesz o tym, że siedział w więzieniu? Za morderstwo.

Nie odrywała wzroku od Nasha.

- Kłamiesz.

To był jej błąd Okropny błąd.

- To prawda.

- Prawda, prawda - wymamrotał Nash. Kiwnął głową, zamrugał i zamknął oczy.

Morderstwo? Nash? Nie będzie o czymś takim nawet myśleć. Nie teraz. W tym momencie to było ponad jej siły.

Donovan przeszedł do ważniejszych spraw - do siebie samego.

- Zawiodłaś mnie, Saro. Okropnie zraniłaś. Nie jestem pewien, czy będę w stanie dalej z tobą żyć, po tym, co zrobiłaś, teraz, po tej całej sprawie i zdradzie.

Czyżby mówił o rozwodzie?

- Zgłosiłem twoje zaginięcie. Powiedziałem policji, że Audubon cię porwał, a potem zażądał okupu.

Cień nadziei zniknął. Znowu opanowało ją znajome uczucie beznadziejności. Donovan zawsze coś wymyślił, zawsze miał jakiś perfekcyjny plan, historię obmyśloną w najdrobniejszych szczegółach. Umiał kierować swoimi sprawami. Był w tym naprawdę dobry.

- Mogę powiedzieć policji, że zabił najpierw ciebie, a potem siebie. Zabójstwo i samobójstwo.

To nie może dziać się naprawdę. Po co tu przyjechała? Dlaczego zadawała się z Nashem? Położyła rękę na jego policzku, ale nie zareagował. Nash. Boże, Nash!

Próbowałam cię w to nie mieszać.

Lata spędzone na próbach zjednywania Donovana spowodowały, że stało to się już jej drugą naturą. To, co zrobiła, było więc oczywiste. Wiedziała dobrze, jak się zachować w takiej sytuacji. Musi zabrać stąd Donovana, jak najszybciej, jak najdalej, najdalej od Nasha.

Wstała. Zmusiła się, żeby podejść do Donovana. Staneja u jego boku.

- Chodźmy stąd - powiedziała proszącym tonem, z dłonią opartą na jego ramieniu. - Ty i ja.

Chodźmy stąd Ty i ja. . Do leżącego na podłodze Nasha jej słowa dochodziły jakby przez długi, ciemny tunel.

Chodźmy stąd Ty i ja.

Słowa wypowiedziane przez Sarę. Do Donovana.

Nie ma mowy, żeby pozwolił jej pójść z tym sukinsynem. Nie ma mowy.

Miał zdrętwiałe ręce. Tak już było od dłuższego czasu.

Musi wziąć się w garść. Musi otworzyć oczy, wstać...

Spróbował się unieść. Potworny ból przeszył mu bok, dokładnie w miejscu, gdzie skopali go bandyci Donovana.

Co się z nimi stało? Próbował sobie przypomnieć, zebrać myśli... Donovan odprawił ich... Dlaczego?

Nagle zrozumiał.

A więc nie będzie żadnych świadków...

Starając się nie zwracać uwagi na ból w boku, zmusił się do powstania.

Wziął kilka głębszych oddechów, po czym zaczął posuwać się w stronę ściany pomalowanej w kwiatki. Poczuł, jak opanowują go mdłości. Znow odetchnął kilka razy, po czym wyprostował się, opierając się o ścianę.

- Nie... odchodź - wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

Czuł, jak oblewa go zimny pot, robi mu się ciemno przed oczami, trzęsą mu się nogi.

Ze wszystkich sił starał się otworzyć szeroko oczy, skupie się na **tamtej** parze.

Ręka Sary wyciągnięta w kierunku Donovana, jakby w błagalnym geście. Ale twarzą była ciągle zwrócona do Nasha. Oczami usiłowała go zatrzymać z dala od siebie. Oczami pełnymi bólu, strachu.

Nagle znow go zamroczyło. Spróbował opanować się, zrozumieć, co się dzieje.

- Nie... - Spróbował przełknąć, miał suche usta. - Nie... odchodź... z... nim.

Patrzył, jak Sara podchodzi bliżej do Donovana.

Nie!

Wsparła się na ramieniu Ivy'ego, tym z bronią, jakby próbując pchnąć go w kierunku drzwi.

Jej twarz. Jej słodka, niewinna twarz. Oczy. Wielkie, smutne oczy.

Odchodziła z Donovanem, ale ciągle odwracała się do niego. Do niego. Nasha Audubona.

Próbowała ratować jego cholerny tyłek! Przecież to właśnie robiła przez ten cały czas.

Próbował skupić się na myślach huczących mu w głowie. Próbował skoncentrować się, ale jego mózg był otępiały.

Tak chciałby mieć czas, aby zastanowić się nad swoim odkryciem.

Jego marzenia przerwał mu głos Sary, naglący Donovana do wyjścia.

- Chodźmy!

Podniesiony głos, prawie histeryczny.

- Chodźmy!

Wszystkie członki ciała wydawały się Nashowi niewymownie ciężkie, ale głowa dziwnie lekka, jakby zamierzała się oderwać... Dlaczego nie może się ruszyć? Ivy i jego bandziory pobili go, ale było coś jeszcze...

Coś mu jeszcze dali. Chloroform? Czy naprawdę ludzie tego używają? Nie miał pojęcia. A może to zdarza się tylko w kinie? Nie miał pojęcia. Naprawdę nie miał pojęcia. Ale wiedział na pewno, że na języku mógł wyczuć słodki smak, gdy pociągnął nosem, czuł ten dziwny, słodki zapach. Eter?

Jak się domyślił? Nie miał pojęcia. I nic go to nie obchodziło. Po prostu wiedział.

Głos. Męski. Kto to? Ach tak, Ivy. Z tych dupków Ivy'ych. Jakież odgłosy przedzierały się przez oszołomiony mózg Nasha. Donovan wydawał jakieś dźwięki, próbując ją uspokoić.

- Dobrze, kochanie.

Nie wymawiaj tego słowa.

- Ale najpierw... Jakaś szamotanina.

- Nie! - Sara krzyknęła, potem zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć. Następne dwie rzeczy stały się prawie jednocześnie.

Kuchnię rozdarł wybuch strzału. Przeraźliwy ból rozdarł bok Nasha, uderzając nim o ścianę.

Strzał. Ten sukinsyn do niego strzelił!

Czuł, że jest mokry. Ciepło. Lepko.

I ten przeraźliwy krzyk.

Próbował otworzyć oczy... ruszyć się. Ale nie mógł...

- Nie! Donovan! Nie!

Padł kolejny strzał. Nash poczuł znów rozdzierający ból, tym razem w innym miejscu, tak że poprzedni wydał się niczym. Ze wszystkich sił starał się nie stracić przytomności. Walczył z ogarniającym go zamroczeniem.

Dzwoniło mu w uszach. Huczało mu w głowie. Bum, bum, bum.

Głosy. Z oddali.

Głos Sary.

Kocham cię, Saro.

- Nash! - Jej krzyk był pełen przerażenia.

Jak przez mgłę zdawał sobie sprawę z szamotaniny, która rozgrywała się gdzieś nad nim. W głowie widział obrazki z talerzami walącymi o podłogę, pękającymi szybami, pomieszane dźwięki przyływały i odpływały.

Sara. Znów krzyczy.

Wstrząs, jakby ciało uderzające o ścianę. Czuł, że gdzieś spada.

Rozległ się kolejny strzał, tym razem głośniejszy niż poprzednie. Po nim nastąpił jakiś głuchy odgłos. Nash leżał na boku i czekał, aż kolejna kula dosięgnie jego ciała, czekał na kolejny przeszywający ból.

Nie nadchodził. Było ciepło, ale nie czuł bólu, nawet w boku. Nic nie czuł, tylko jakiś urywany oddech na swojej twarzy.

Oczy. Musi otworzyć oczy, zobaczyć...Sare.

Sara.

Zmusił się do podniesienia powiek. Spojrzał prosto w martwe oczy Donovana Ivy'ego. I wtedy wszystko znikło.

Księżyc wschodzi i zachodzi...

Rozdział dwudziesty ósmy

Nashowi śnił się stary sen.

Stał bez ruchu przed budynkiem sądu, w tłumie. Potrącali go reporterzy, ale **on** nie zwracał **na to** uwagi. Nie odrywał wzroku od zamkniętych drzwi. Drzwi, które **za** moment się otworzą. Nie miał pojęcia, jak długo tak stał **na** marmurowych stopniach. Czas nie miał znaczenia. Świat, który był niegdyś jego światem, już nie istniał.

Drzwi otworzyły się.

Nash przesunął się ostrożnie. Powoli, niespiesznie, tak aby nie ściągnąć **na** siebie uwagi. Wysunął rewolwer spod płaszcza. Wycelował. Nacisnął spust. Ludzie zaczęli coś wołać. **Jakaś** kobieta zaczęła przeraźliwie krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć...

Nash! Nash! Ręce.

Szarpały **go**. To bolało. Objęły **go** jakieś ramiona. Płacz. Pełen rozpacz, histeryczny szloch.

- On nie żyje! On nie żyje! Ktoś **go** ciągnął, trząsał nim. Nie mógł oddychać, nie mógł...

- To moja wina! To wszystko moja wina!

Jakiś inny głos, którego nigdy przedtem nie słyszał. Głos mężczyzny. Spokojny, zrównoważony.

- Dziewczyno, nie umarł, ale jak będziesz go tak tarmosić, to go z pewnością udusisz.

Uścisk rozluźnił się. Świeże powietrze wypełniło jego płuca. Otworzył oczy. Zobaczył nad sobą słodką twarz Sary.

- On odszedł - mówił Nash kompletnie przytomnie, ciężki język, ścierpłe usta. - Ten facet zabił moją córkę... a potem po prostu sobie poszedł. I zwolnili go.

220

Odgarnęła mu włosy z czoła.

- Nic nie mów. Nic nie mów.

- **Jeżeli** system prawny nie jest w stanie wymierzyć sprawiedliwości, ktoś to musi zrobić. Prawda?

- Cii...

Jego spojrzenie powędrowało za nią. Stał tam wysoki mężczyzna. Siwe włosy, czyste farmerki, czerwona flanelowa koszula. W ręku miał strzelbę.

Nieźle. Zrobił to, czego Nash nie był w stanie. Uratował swoją córkę.

Przeszłość i teraźniejszość zaczęły mu się mieszać. Przez chwilę myślał, że jego mała córeczka ciągle żyje. Ale to była Sara, to ona została uratowana.

Koniec. Wreszcie koniec. Można zasnąć, odpocząć.

Był tak okropnie zmęczony...

Zanim zapadł w sen, chciał jeszcze raz spojrzeć na Sarę, musiał ją zobaczyć, upewnić się, że z nią już wszystko w porządku, powiedzieć jej... Coś bardzo ważnego...

Jej oczy napękały się łzami. Te przepiękne oczy.

Ścierpł mu język, nie mógł ruszyć ani ręką ani nogą.

- Dziewczyny z podkrążonymi oczami... zawsze mi się... podobały...

Nie pozwolono jej z nim jechać.

Karetka odjechała zabierając ze sobą poranionego mężczyznę, którego Sara kochała, i drugiego, martwego, mężczyznę, o którym kiedyś myślała, że go kocha. Kiedy z oddali dolatywał jeszcze odgłos sygnału karetki, Sara, stojąc na ganku, z rękami skrzyżowanymi na piersi, odpowiadała policjantowi na pytania.

Ogarnęło ją jakieś odrętwienie. Straciła poczucie czasu, rzeczywistości. Po jakimś czasie podniosła głowę i zobaczyła że oficer zamknął już swój notes i przygląda się jej w skupieniu. Był młody. Może miał dwadzieścia sześć, może dwadzieścia siedem lat. Trochę młodszy od niej. Dziwne. Bardzo dziwne.

- Wygląda na to, że był to oczywisty przypadek obrony koniecznej. Musimy teraz porozmawiać z Audubonem, usłyszeć jego wersję wypadków. Potem nastąpi dochodzenie. **Jeżeli** będzie pani miała szczęście, na tym wszystko się skończy. Policjant poszedł. Bezmyślnie odwróciła się i weszła do domu. Szła po schodach. W swoim pokoju ściągnęła bluzkę poplamioną krwią i włożyła czystą. Musi pojechać do szpitala. Musi znaleźć ojca, poprosić go, żeby ją zawiózł... Zeszła z powrotem na dół. Do kuchni. Krew. Na podłodze. Na ścianach.

Nagle zakręciło jej się w głowie, poczuła skurcz w żrątku. Oparła się ręką o ścianę, opadła na krzesło. Zgięła się w pół. Lepiej, teraz lepiej.

Otarła pot z czoła. Spojrzała na krew na podłodze. Krew Nasha. Krew Donovana.

Nie wiedziała, jak dużo czasu upłynęło, kiedy tak siedziała, ale nagle dotarło do niej, że ojciec coś mówi od dłuższej chwili. Oderwała wzrok od podłogi i spojrzała na niego.

- ...rozmawiałem ze szpitalem. Powiedzieli, że wyjdzie z tego. Dzięki Bogu. Wielkie dzięki.

Czuła jak coś w niej zadrzało, gdzieś głęboko w środku. I jak jej całe ciało zaczyna się trząść.

- Kochanie, czy ty mnie słyszysz?

Zupełnie nieprzytomna wpatrywała się w ojca. On dla niej zabił. Uratował życie Nasha. Uratował jej życie. Dziękuję ci, tatusiu.

Coś mówił, ale nic nie rozumiała. Czuła się tak jak wtedy, gdy ogląda się obcojęzyczny film bez podpisów. Poklepał ją po ramieniu i wyszedł z kuchni.

Znów wstrząsnęły nią dreszcze. Zupełnie nie mogła nad rym zapanować.

Potem wrócił ojciec. Tym razem ktoś z nim przyszedł. Doktor Hamilton. Dobrze go pamiętała. Wycinał jej migdałki.

Uśpił ją eterem. Ten zapach. Na samą myśl o tym zapachu już robiło się jej niedobrze, czuła...

Doktor Hamilton podwinął jej rękaw. Poczuła coś zimnego i mokrego, a potem ugryzienie komara, uczucie, jakby coś ją ukuło.

Zastrzyk.

Środki uspokajające.

Coś, co znała nazbyt dobrze.

Poczuła, jak opuszcza ją cała energia. **Jak** spada z krzesła na podłogę. Zsuwa się... zsuwa... Nie może dolknąć krwi!

Nie chce dotykać tej krwi!

W ostatniej chwili, kiedy jej ciało było już bezwładne, ktoś ją uniósł.

Ojciec? Niesie ją? Ale przecież jest za ciężka. Ojciec sobie zaszkodzi. Nie powinien... nie powinien...

Wszystko się rozplynęło... Sara obudziła się dwadzieścia godzin później. Nash.

Musi się dowiedzieć, co z nim.

Jeszcze bardzo słaba, próbując nie zwracać uwagi na pulsowanie i szum w głowie, odchyliła kołdrę. Potem, ciągle w tym samym ubraniu co wcześniej, zeszła na dół.

Kuchnia znowu była czysta. Może nawet bardziej niż wczoraj.

- Tato? Cisza.

Powoli skierowała się do salonu. Na ścianie wisiało jej zdjęcie z matury. Strasznie blada. Okropne włosy, niepewny wyraz twarzy. Obok zdjęcie Glorii. Blond włosy, niebieskie oczy. Uśmiechnięta, pewna siebie Gloria.

Na zewnątrz usłyszała jakieś dźwięki. Przekręciła zamek, pchnęła frontowe drzwi. Otwierały się z trudnością, zwykle były zamykane na całą zimę. Oślepił ją blask słońca na śniegu. Trzask aparatów fotograficznych.

Reporterzy.

Koczujący na schodach. Zasypali ją pytaniami.

- Czy zabiła pani męża dla pieniędzy?

- Jeżeli panią wykorzystywał, dlaczego go pani nie opuściła?

- Czy kochała go pani?

- Nazywają panią Czarną Wdową. Co pani o tym sądzi?

- Czy miała pani romans?

- Jeżeli panią wykorzystywał, dlaczego go pani nie opuściła? Dlaczego go nie opuściła? Dlaczego go nie opuściła...

Chciała im wykrzyknąć, że właśnie go opuściła. Czy tego nie widać? Zrobiła to. I co się stało? Dlaczego oni zawsze zadają kobiecie to pytanie?

- Co tu się dzieje?

Ojciec stanął za nią w swoich spodniach farmera i białym siatkowym podkoszulku. W rękę miał strzelbę.

Dziennikarze zrobili krok do tyłu, potem następny.

Uparty młody człowiek podniósł aparat i nacisnął spust migawki.

- Czy z tej strzelby zastrzelono Donovana Ivy'ego?

- Nie! - krzyknął ojciec. - Ale mogę użyć tej strzelby przeciwko tobie! To teren prywatny.

Podniósł strzelbę lufą w górę, zarepetował, odbezpieczył, nacisnął spust Powietrze przeszył strzał. Echo odbiło się od stodoły i od skarpy kanału przecinającego pole laikurydzy. Tłum reporterów rozpierzchł się.

Niektórzy pochowali się za drzewa. Inni uciekli w stronę drogi, gdzie zostawili samochody.

Kiedy wreszcie zniknęli, ojciec Sary zamknął metalową bramę na końcu podjazdu, na której wisiała tabliczka „Teren prywatny”.

Raj utracony.

Chciała powiedzieć: „Przepraszam, tatusiu, strasznie cię przepraszam”.

Najpierw zbierz fakty, a potem możesz je przekreślać, jak ci się żywnie podoba.

Mark Twain

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Zanim go wypuszczą **do** domu, Nash musiał zostać w szpitalu jeszcze pięć dni. Dom.

Domem zwykł nazywać pomarańczową kanapę w „Shoot the Moon”. I samochód. **Jedno** i drugie już nie istnieje. Teraz nie ma już niczego. Nie był nawet właścicielem ubrań, które przecież pożyczył od Harleya. Pocięli je na pogotowiu.

Nieposiadanie niczego dało mu poczucie wolności, nieskrępowania. Kiedy leżał w szpitalu, codziennie dzwonił do niego Harley. I Tootie. Nawet ojciec Sary. Ale nie Sara.

- Znaleźli mój samochód - oświadczył Harley podczas jednej z ich długich rozmów telefonicznych. - W jednym z tych małych masteczek niedaleko granicy.

- Pojadę i odbiorę go, jak tylko mnie stąd puszcza

- Coś ci powiem. **Jak** już będziesz mógł wracać do domu, daj mi znać, wtedy to ja odbiorę samochód, a po drodze wstąpię po ciebie.

.Rozmowa kończyła się opisem, jak to Harley szuka nowego budynku na redakcję. Poczucie beznadziejności, które go opanowało po pożarze, ustąpiło. Był gotów zacząć wszystko od początku, ale tym razem zamierzał zrobić wszystko porządnie. Żadnej polityki. Tylko ciekawe, zabawne rzeczy. I oczywiście chciał, żeby Nash mu pomógł. W pokoju Nasha znalazły się też gazety. **Jeden** z wyjątkowo agresywnych szmatławców umieścił zdjęcie ojca Sary na pierwszej stronie. Stał na ganku, ze strzelbą w ręce, a podpis głosił: „Tatuś ma spluwę”. Cały artykuł i to zdjęcie próbowały z Sary i jej ojca zrobić parę analfabetów, a do tego urodzone bestie. Nash wyrzucił gazetę z niesmakiem. Nie dziwił się, że Sara zawsze unikała rozgłosu. Nie dziwił się też, że Harley wolał brukowce od tak zwanej porządnej prasy.

Franklin Hart bardzo wiele nauczył się przez ostatnie kilka lat. Kiedy tylko po raz pierwszy spojrzął na Donovana Ivy, od razu zobaczył egoistę, zepsutego do szpiku kości szczeniaka, który nie był godzien jego córki. Sara myślała, że protesty ojca powodowane są troską o ziemię, o farmę. Teraz sam widział, że i w tym było trochę prawdy. Ziemia na swój sposób uwodziła ludzi, sprawiała, że tracili dystans. Kiedyś dla Franklina Harta ziemia była wszystkim. Ale przecież interesował go też los córki. Wiedział, że nie należy nikogo faworyzować, ale Sara zawsze zajmowała specjalne miejsce w jego sercu. Może dlatego, że czuł się z nią bliżej związany niż z kimkolwiek innym. Może dlatego, że gdy dochodziło do kontaktów z ludźmi, była taka sama jak on. Nieśmiała czuła się pewniej sama niż w tłumie. Kiedy jego żona i druga córka szły do miasta po zakupy, spotkać się z ludźmi, on i Sara wybierali się na ryby. Uczył ją, jak zakładać haczyk, jak zarzucać wędkę, jak sterować łódką. Później uczył ją jeździć na traktorze, ścinać zboże i układać w snopki, rozkładać je właściwie w stodole.

Wtedy pojawił się Donovan Ivy... i kompletnie zawrócił w głowie Sarze. A Franklin czuł się głęboko zraniony i znieważony zdradą córki.

Teraz Ivy nie żyje. Zabił go.

Nie żałował tego. Tak naprawdę uświadomiło mu to, że w końcu nie był jeszcze tak kompletnie bezużyteczny.

Uratował swojej córce życie. Co mogło być ważniejszego niż to?

Nash Audubon...

Nie był związany z ziemią ale i Sara też już nie była do niej przywiązana. Nietrudno było zauważyć, że ten człowiek wiele przeszedł, ale przy tym był naprawdę porządny. Naprawdę, głęboko prawy człowiek. I tak bardzo zraniony.

Może Sara i Nash będą umieli sobie pomóc.

Kiedy nadszedł czas, że Nash mógł wyjść ze szpitala Franklin pojechał po niego, proponując mu gościnę do czasu zakończenia dochodzenia. W szpitalnej sali pokazał mu parę wytartych farmerek i koszulę.

- Nogawki mogą być trochę za krótkie, ale to chyba lepsze niż ubranie, które dają ci tutaj. Luźne ubranie nie podrażni ci gojących się ran. - Obok łóżka postawił skórzane buty Nasha. - Były całe we krwi, ale wyczyściliśmy je porządnie. Mam nadzieję, że nie skurczyły się przez to za bardzo. Okazało się, że Nash nie bardzo wie, jak włożyć spodnie. To było bardzo zabawne dla Franklina. Ludzie z Sigoumey zaczynają nosić drelichowe farmerki, zanim zdejmą pieluchy. Franklin dał mu kilka wskazówek.

- Odwróć tę płaską miedzianą sprzączkę, odsuń ten drucik i wsuń tu szelkę. Dobrze. Teraz możesz wyregulować jej długość.

Pięć minut później Nash był wreszcie ubrany. Popatrzył na siebie, potem na Franklina, i znów na siebie. Wyglądali identycznie. Franklin uśmiechnął się.

Nash do reszty podbił serce starego Franklina, odwzajemniając uśmiech.

- Te portki są bardzo wygodne.

- Nie miałem ich na sobie od ponad sześćdziesięciu lat. Są tak zniszczone, że powinienem był je dawno wyrzucić, lecz nie byłem w stanie tego zrobić.

Na farmie Harta Nash został umieszczony na kanapie w salonie. Dostał białe, pachnące czystością prześcieradło i od razu poczuł się lepiej. Miał wszystko, czego mężczyzna potrzebuje do życia. Jedzenie. Łazienka. Pilot do telewizora. Życie.

Sara, owszem rozmawiała z nim, ale były to rozmowy raczej zdawkowe. Co byś zjadł? Czy jest ci wygodnie? A może chcesz jeszcze jedną poduszkę? Nie bardzo wiedząc, jak powinien się znaleźć w takiej sytuacji, poddawał się jej.

Posiłki jadali na zardzewiałych metalowych tackach w salonie przed telewizorem, oglądając teleturnieje. Nash odkrył, że Franklin Hart był wręcz uzależniony od teleturniejów.

Nocami Nash nie mógł spać. Leżał na dole w kompletnej ciemności, najczarniejszej, jaką kiedykolwiek widział...

Nad jego głową, z pokoju Sary, dobiegał go miarowy odgłos trzeszczącej podłogi.

Dochodzenie przebiegło nad wyraz łagodnie. Każde z nich opowiedziało mniej więcej tę samą wersję wydarzeń, z tym że Nash miał trochę luk, có oczywiście było zrozumiałe. W aktach sprawy napisano, że śmierć Donovana Ivy'ego nastąpiła niewątpliwie w wyniku samoobrony.

Na Sary szczęście, i to prawdopodobnie uchroniło ją od dalszego śledztwa, stwierdzono, że na śmierci Ivy'ego nic nie zyskała. Przed ślubem podpisała intercyzę - Ivy chciał mieć pewność, że nie poślubiła go dla pieniędzy. W wypadku gdyby umarł wcześniej od niej, Sarze nie należało się nic.

Kiedy dochodzenie się skończyło, Nash był wolny, mógł opuścić dom Franklina Harta. Zadzwoił do Harleya.

Sara stała na zewnątrz, z rękami w kieszeniach. Mimo że temperatura była ciągle poniżej zera, na twarzy czuła ciepłe promienie słońca. Za każdym razem, kiedy lekki wiaterek rozwiewał jej włosy, czuła, że nadchodzi wiosna.

Ktoś zatrzymał się przy bramie, już z oddali było widać błysk metalu. Zgrzyt zawiasów, szczęk otwieranej bramy, odgłos zamykanych drzwi samochodu, a na koniec ruszającego pojazdu.

Lśniący czarny karawan wyłonił się zza rogu i jechał w kierunku domu
Samuel Geimes.

Już od wielu dni próbował skontaktować się z nią, ale nie czuła się jeszcze na tyle pewnie, żeby móc z nim rozmawiać, i nie zadzwoniła do niego.

Sara pamiętała Samuela sprzed lat. Zawsze był to sumienny młody człowiek, a przy tym bardzo miły. Firmę w Sigourney założył jego ojciec. Przedtem, kiedy ktoś zmarł, trzeba było wieźć ciało aż do Mayfair.

Jedyną rzeczą dotyczącą Geimesa, którą zapamiętała Sara było to, że Samuel i jego rodzina jeździli tym karawanem wszędzie. Do szkoły, do miasta, żeby coś zjeść. Nieco później, kiedy Samuel był już na tyle dorosły, żeby prowadzić samochód, jeździł nim nawet na randki.

Wypolerowany i błyszczący karawan wtoczył się teraz przed dom i wysiadł z niego Samuel. Na tę okazję włożył czarny garnitur. W rękach trzymał urnę. Czarną Lakierowaną.

- Prochy twojego męża - oświadczył. Poczula skurcz w żołądku.

- Nie chcę ich.

Jeszcze nigdy nie spotkał się z taką reakcją. Był zaskoczony i przez chwilę nie bardzo wiedział, co dalej robić.

- A-ale - rozglądał się nerwowo, jakby w poszukiwaniu pomocy - może będziesz chciała zorganizować skromną uroczystość... byłbym szczęśliwy mogąc...

-Nie.

- W każdym razie prochy należą do ciebie - powiedział. - Zrób z nimi, co zechcesz.

Wyciągnął rękę z urną. Kiedy nie wzięła jej, podszedł bliżej.

Rzuciła się do tyłu, zahaczając łokciem o urnę. Wyślizgnęła się Samuelowi z rąk i upadła na ziemię, pokrywa spadła. Sara wpatrywała się z przerażeniem na popiół na jej stopach. Stała akurat pod wiatr, który unosił popioły. Osiadały na jej ubraniu, na butach. Krzyknęła i odskoczyła.

Szarość.

Szarość.

Zaczęła się otrząpywać, ale nic to nie pomagało. Spojrzała na dłonie. Czarne.

Wydała zduszony okrzyk, odwróciła się i pobiegła w stronę domu, w stronę zbiornika z wodą.

Z trudnością oddychała serce jej waliło. Próbowwała odkręcić kurek. Był zardzewiały i ledwo jej się udało. Woda popłynęła wąskim strumyczkiem. Włożyła ręce pod lodowaty strumień wody, moczając rękawy kurtki, ale w ogóle nie zwracała na to uwagi.

- Saro!

Głos Nasha. Zaniepokojony. Zmieszany.

Do tego momentu dawała sobie świetnie radę. Cały czas powtarzała sobie, że jest opanowana. Ale w tej chwili, kiedy Nash stał zaledwie kilka kroków od niej, miała wrażenie, że zaraz się rozklei. Tarła dłonie. Musi to zmyć, musi...

- Muszę... się tego... pozbyć... Powtarzała sobie: „Myśl tylko o swoich rękach, tylko o tym, żeby je wreszcie umyć”.

Woda była lodowata, jej palce stały się zupełnie czerwone. To powinno boleć, ale nic nie czuła. Żadnego bólu.

- Saro, masz już czyste ręce. Wystarczy.

- Nie. - Nie mogła oddychać.

Woda płynęła coraz mniejszym strumieniem, aż w końcu w ogóle przestała. Sara mocniej odkręciła kran. Zaczęło lecieć więcej wody.

- Saro...

- Ty nic nie wiesz, nic nie rozumiesz.

Zamilkła na chwilę, jakby zastanawiając się, jak mu to wytłumaczyć. Potem powiedziała:

- Zobaczyłam, jak Grimes stoi przed domem i próbuje zgarnąć ten proch z powrotem do urny. Powiedziałam mu, żeby wyrzucił resztę w krzaki i wynosił się stąd. Kiedy go widziałam ostami raz, szedł w stronę samochodu, z czarnym pojemnikiem po pachą jak z piłką!

Przez ułamek sekundy Sara wyobraziła sobie szokujący obraz, jak Samuel Grimes chodzi na czworakach, próbując wsadzić Donovaną Ivy'ego z powrotem do urny.

- Czyżby popiół był dobry dla bzu? - zapytał Nash.

- Przestań. To nie jest śmieszne.

- A może się przyda do szorowania podłogi?

- Przestań!

Miała ochotę się roześmiać. Nie, miała ochotę rozplakać się. Była wściekła. Nie, raczej smutna.

Ale dlaczego? To naprawdę było śmieszne, kiedy się nad tym zastanowić. To, jak wszystko się rozsypało. To, jak się zachowała jak zachował się Grimes.

Nagle zaczęła się śmiać. A kiedy zaczęła - nie mogła przestać. Przycisnęła mokre, zimne dłonie do ust, próbując stłumić śmiech. Odetchnęła głęboko i odsunęła się od cysterny, trzymając się za brzuch, zwijając się ze śmiechu. Śmiejąc się i śmiejąc...

I tak samo nagle, jak zaczęła się śmiać, przestała.

Zacząła płakać. Wstrząsało nią głośne, przeraźliwe łkanie, nad którym nie mogła zupełnie zapanować, które ją samą przerażało.

Musi uciekać stąd jak najdalej...

Ciepłe dłonie ujęły ją za ramiona, odwróciły, przytuliły do piersi Nasha Audubona. Poczują jak obejmują ją, osłaniają uspokajają

- O-on... jest., wszędzie - wyszeptała wreszcie trzęsącym się głosem, próbując uspokoić się. - Nigdy nie odejdzie.

Nawet po śmierci nie odejdzie.

Nash głaskał ją po głowie. Czuła dotyk jego palców.

- Odejdzie - powiedział, delikatnie ją kołyszając. - Odejdzie.

Ciągle ją obejmując skierował się do domu, gdzie posadził ją na starym obdrapanym krześle. Ruszając się ostrożnie z uwagi na bolący ciągle bok, pomógł jej zdjąć buty, wiedząc, że nie chce już ich dotykać. Potem pomógł jej wstać i rozpiął jej spodnie. Zsunęła je i szybko wyszła. Chwilę później usłyszał, jak idzie po schodach, a później nad głową rozległo się skrzywienie podłogi. Włożył spodnie i trampki do pralki, nasypał proszek, zamknął. Żegnaj, panie Ivy.

Późnym popołudniem, kiedy zachodziło już słońce i zapadał wieczór, przyjechał Harley. Nash zostawił go z Franklinem, a sam poszedł poszukać Sary. Znalazł ją na górze w sypialni.

Włożyła czarne obcisłe spodnie. Miała bose stopy. Ciągle jeszcze nie przyszła do siebie po zajściu z Grimesem.

Niepewny, co ma powiedzieć, czując nagle zakłopotanie, nie wiedząc, jak się z nią pożegnać, włożył ręce do kieszeni spodni i podszedł do obrazka wiszącego na ścianie. To była akwarela, w pastelowych kolorach, zwykły widoczek domu na tle zachodu słońca. I wtedy zauważył podpis w prawym dolnym rogu. Sara Hart.

- To ty to namalowałaś? - zapytał wskazując na obrazek.

- Tak. - Stanęła obok niego. - Okropne, prawda? Pamiętam, jak się tym zachwycałam. Teraz wydaje się to...

Pretensjonalne. Albo za proste. Wzruszyła ramionami.

Ale jednak coś w tym było. Dobra kompozycją równowaga światła i cienia, co jest istotne w każdym obrazie.

Nieważne, czy to jest malarstwo, czy fotografia.

Przez ułamek sekundy miał pomysł. Ostatnia deska ratunku... Czy myślałaś kiedykolwiek o pracy w gazecie? O montowaniu zdjęć? Pomysł znikł tak szybko, jak się pojawił. Szaleństwo. I co - odjedzie z dwoma facetami, którzy nic nie mają? Ma się nagle zacząć interesować rysowaniem pajaków z ludzkimi twarzami? Albo Marsjanami, którzy jedzą lunch z Timothy Leaiym? Nash odwrócił się i spojrzał na nią I nagle poczuł się tak jak wtedy, na plaży. Nie mógł myśleć, oderwać od niej wzroku. Wreszcie się odezwał:

- Wyjeżdżam.

- Widziałam samochód Harleya.

Zaczęła przypatrywać się z uwagą swoim zaciśniętym dłoniom, potem spojrzała na niego, odwróciła głowę. Ciężko westchnęła. Przestraszył się, że znów może się rozplakać.

- Pozdrów ode mnie Harleya. - Zagryzła dolną wargę.

Chciał, żeby pojechała z nim. To było właśnie to, czego pragnął, czego potrzebował tak naprawdę. Ale przecież nie miał nic. Zupełnie nic. Cholera, nawet to ubranie, które miał na sobie, nie było jego. Po tym wszystkim, co przeszła zasługiwała na coś lepszego niż on. Skinął głową.

- Oczywiście, zrobię to.

- Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę?

- A chcesz tego? - Zdawał sobie sprawę, że stawia ją w kłopotliwym położeniu, ale nie mógł stąd wyjechać nie mając świadomości co do stanu jej uczuć.

- Nie wiem. Nie wie.

- Aha. - Jej odpowiedź zraniła go do żywego, ale nie zamierzał tego pokazywać po sobie. Zmusił się do uśmiechu i pomyślał, że chyba wyszło to całkiem naturalnie. - Do widzenia, Saro.

- Nash...

Zatrzymał się. Powoli się odwrócił, mając nadzieję...

- Jakie jest twoje prawdziwe imię? Wyglądało na to, że się zastanawia.

- Miałem kiedyś inne, ale to było tak dawno temu Już nie jestem tym samym człowiekiem.

Sara kiwnęła głową, jakby zrozumiała.

- To dobrze. Chcę cię zapamiętać jako Nasha.

Sara patrzyła przez okno, jak Nash idzie do samochodu Harleya. Zanim wszedł, podniósł głowę i uniósł rękę, żeby jej pomachać.

Powinna była zejść na dół, pożegnać się z nim, przywitać Harleya, ale wiedziała, że nie byłaby w stanie. Z pewnością rozkleiłaby się.

Teraz patrząc, jak Nash się jej przygląda, podniosła rękę. Przycisnęła otwartą dłoń do zimnej szyby.

Żegnaj.

Do widzenia.

Czy chcesz mnie jeszcze kiedyś zobaczyć? Nie wiem.

Dlaczego to powiedziała?

Zaskoczyło ją to pytanie. To było coś, czemu nie umiała stawić czoła. Jej oddech zaparował szybę. Wytarła ją otarła łzy, a kiedy znów spojrzała, Nash już zniknął.

List do redakcji „Shoot the Moon”:

Co mam zrobić ze swoim sąsiadem? Przez cały rok jego dom jest obwieszony ozdobami choinkowymi.

Wkurzony z Missouri

Drogi Wkurzony!

W Missouri jest takie prawo, że żadne dekoracje nie mogą być zdejmowane przed Czwartym Lipca. Dla Missourian ' nie ma nic przyjemniejszego od widoku dyni z pierwszego listopada lądującej w koszu na Wielkanoc.
Ed.

Rozdział trzydziesty

Wiosna. Na wsi.

To było właśnie to, czego Sara całe życie nienawidziła.

Wilgoć przenikająca do szpiku kości. Błoto po kolana. Drogi pozamykane, ponieważ nie można nimi przejechać.

Topniejący śnieg na drogach. Kiedy się po nich chodzi, jakby uginały się pod tobą

Deszcz. Bez końca. Spływający po zaoranych polach, wprost do potoków i stawów, jednostajnie stukający w dach, bulgoczący w rynnach, spływający strugami po szybach.

Po deszczu nadchodził łagodny poranek, słońce połyskiwało na zielonych listkach. I ptaszki. Śpiewające o świcie. I kwiaty. Tulipany, żonkile, hiacynty. Kołyszące się na wietrze, rozsiewające słodki zapach w powietrzu.

Wiosna. To było to, co zawsze tak kochała. Wszystko, co utraciła.

Pewnego dnia, kiedy liście bzu nie były jeszcze wiele większe niż uszy wiewiórki, przyjechała z miasta jej siostra,

Gloria. Sara i Gloria nigdy nie były sobie bardzo bliskie, a teraz - biorąc pod uwagę dziesięć lat rozłąki oraz przeszłość Sary - ich powtórne spotkanie wypadło dosyć niezręcznie. Byłoby łatwiej rozmawiać z kimś obcym.

Gloria była wciąż drobna i gadatliwa, z mnóstwem blond włosów, tryskająca energią.

- Tata wygląda o pięć lat młodziej - powiedziała stawiając na stole kubek z kawą. Trzasnęły drzwi ganku, a zaraz potem doleciał tupot nóg i śmiech. To były

dzieci Glorii, chłopiec i dziewczynka. Stańeli w drzwiach, bez tchu, z zaróżowionymi policzkami.

- Dziadek powiedział, że osiodła Peppera! - zawołali zgodnym chórem.

232

- Przywitajcie się z ciocią Sarą - powiedziała Gloria, popychając ich lekko do przodu.

Z ich twarzy znikły uśmiechy. Stali na baczność, z rękami po bokach, i nie drgnęli nawet, kiedy Gloria przynaglała ich do przywitania.

Sara nigdy nie miała za wiele do czynienia z dziećmi, ale ta sytuacja przypomniła jej własne dzieciństwo, kiedy matka zmuszała ją do czegoś w podobnych okolicznościach. Raz był to święty Mikołaj, który miał nieświeży oddech i w ogóle pachniał nie najprzyjemniej. Później wielki wujek Jesup z drewnianą ręką.

- Nie ma sprawy - powiedziała Sara, próbując uśmiechnąć się do tych wrośniętych w ziemię dzieci, czując, jak zagryza wargi.

- Kiedyś się tego nauczą - powiedziała Gloria. Sara dalej się uśmiechała.

- Oczywiście, że tak. Oczywiście.

Kilka tygodni później Sara postanowiła znaleźć pracę, ale w Sigourney nie było o to łatwo.

Miała szczęście. Szukali kogoś do miejscowego baru.

Kawiarnia. Bardzo oryginalna nazwa dla jeszcze bardziej oryginalnego miejsca, pomyślała niechętnie. ; ^

- Kelnerka? - zdziwił się ojciec, kiedy powiedziała mu o swoim nowym zajęciu. - A co z tymi milutkami obrazkami, które kiedyś malowałaś? Czy kiedykolwiek jeszcze będziesz zajmować się czymś takim?

Milutkie obrazki.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak kiedyś śmiał się z niej i z tych obrazków, kiedy nazywał to stratą czasu, czymś dla ludzi nie chodzących twardo po ziemi, ale z głową w chmurach.

Milutkie obrazki. Miała wątpliwości, czy cokolwiek „milutkiego” jeszcze w niej zostało.

- Nie - odpowiedziała.

- Twoje farby są nadal na górze. Powinnaś je wyciągnąć. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Może.

Ale wiedziała, że tego nie zrobi.

Pewnego dnia zadzwonił Nash. Ale ich rozmowa była dość niezręczna. Sara powiedział mu, że pracuje w kawiarni.

On - że w Chicago jest gorąco.

W słuchawce było słychać normalny miejski hałas. Trąbiące samochody, syreny alarmowe. Brzmiało to zupełnie inaczej, teraz, stad. Przypominało - na

ułamek sekundy - ich związek, że kiedyś ich drogi się spotkały, na jedną, krótką chwilę, a potem każde poszło w swoją stronę.

- Słyszę ruch uliczny - powiedziała.

- A ja ptaki - odpowiedział. - I jeszcze jak wszystko rośnie.

- Naprawdę?

- O, to było tak tylko...

- Aha. Milczenie. Cisza.

- No, muszę kończyć - powiedział Nash.

- Dobrze.

- No to trzymaj się.

- Ty też.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zrobiło jej się beznadziejnie smutno i prawie żałowała że w ogóle zadzwonił. Prawie.

Mniej więcej po miesiącu ojciec poprosił, żeby poszła z nim do kościoła.

Jak tylko Sara i jej ojciec znaleźli się w kościele, pełnym witraży i dębowych ławek, wszystkie głowy natychmiast się zwróciły ku nim.

Oczy wokół głowy - tak to nazywał ojciec.

Ostatnie ławki zapępniały się pierwsze. Te z przodu były długo puste, nawet podczas mszy wielkanocnej. Sara wraz z ojcem poszli boczną nawą i zajęli miejsca w czwartym rzędzie.

Nie rozglądając się na boki, Sara wzięła tekturowy obrazek, który był zatknięty w Biblię. Z jednej strony była tam prawie pozbawiona już kolorów postać Jezusa patrzącego w niebo, z którego padał wprost na niego promień światła. Z drugiej strony był adres i telefon miejscowego domu pogrzebowego. Pewnie był to ten sam obrazek, który oglądała, jak miała sześć lat. Sigourney nic się nie zmienia... Kiedy już ucichła fala szeptów, kościelni prymusi usiedli, aby wysłuchać kazania i znaleźć właściwe hymny w śpiewnikach. Sara miała możliwość, żeby się trochę rozejrzeć. Uniosła głowę i wzrok jej padł na rodzinę, która siedziała kilka ławek przed nimi. Josh Hastings, chłopiec, za którego ojciec chciał ją wydać, ziemia jego ojca sąsiadowała z ich ziemią. Idealna partia. Josh był teraz dorosłym mężczyzną z żoną i trójką dzieci. To mogłabym być ja. Mieć normalne, miłe życie. Ale wtedy pomyślała sobie o człowieku z ciemnymi, niesfornymi włosami, który wkroczył w jej życie i od tego momentu wszystko się zmieniło. O człowieku, który nazwał swoją małą córeczkę imieniem komety.

Sara wróciła do rzeczywistości. Odetchnęła głęboko, wyprostowała się, zacisnęła palce na obrazku. Ojciec pochylił się ku niej.

- Dobrze się czujesz? - wyszeptał.

- Tak, tato, wszystko w porządku.

Sara pracowała w barze od jedenastej rano do siódmej wieczorem. Od lunchu albo raczej - jak nazywali to miejscowi - obiadu, do kolacji. Serwowano tam specjały takie jak gotowana szynka, tłuczone ziemniaki z tłustym sosem oraz zieloną fasolą z puszki. Jedynym powodem dumy był placek z masłem orzechowym, jedyna jadalna pozycja w menu, przyjaźniej w opinii Sary.

W pracy Sara nosiła różową sukienkę w paski, biały fartuszek i białe tenisówki.

Wzięła tę pracę, żeby oderwać się od wszystkiego, co się ostatnio wydarzyło, ale w końcu po prostu ją polubiła. To było takie zwyczajne, typowy Środkowy Zachód, tak odległe od życia, które prowadziła przedtem. W pracy czuła się zupełnie jak ktoś inny.

Ale pewnego dnia kiedy zaczęło się prawdziwe lato, gdy motyle fruwały nad polami, a ptaki śpiewały, siedząc na drutach telefonicznych, zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie częścią tego "Wszystkiego, w głębi duszy zawsze będzie czuła się tu obco. Mogła włożyć znowu swoje stare ubrania spodnie, mogła spać w łóżku, w którym spała jako dziecko, ale nic nie zmieni faktu, że nie była już tą samą osobą co dawniej.

Nie można do czegoś wrócić i oczekiwać, że nic się nie zmieniło.

Było teraz gorąco i wilgotno. A ojciec Sary nie wierzył w klimatyzację. Uważał, że to oznaka słabości.

W nocy Sara rzucała się i wierciła na łóżku. Buczący wentylator dmuchał w nią gorącym, lepkiem powietrzem.

Wreszcie, gdy zbliżał się świt i temperatura spadała o kilka stopni, mogła zasnąć, ale zaraz budziła się znowu, cała mokra i lepka od potu.

Parne poranki nie były o wiele lepsze i kiedy przychodziła do pracy na swoją zmianę, w pomieszczeniu było nie do wytrzymania, znacznie gorzej niż na dworze. Wentylatory na suficie nie radziły sobie z temperaturą ciał, rozgrzanych pieców i gorącej wody do zmywania naczyń.

Niewiele ludzi przychodziło na obiad, nie pojawiali się nawet zagorzali bywalcy. Około pierwszej było kompletnie pusto.

Kucharka wyszła powoli z kuchni, biały podkoszulek miała kompletnie przyklejony do pleców, a w kącie ust zwiślał papieros. Po jej twarzy widać

było, że nie miała lekkiego życia, bruzdy wokół oczu i ust. Sara nie mogła uwierzyć, kiedy dowiedziała się, że ma ona zaledwie trzydzieści pięć lat.

- Powinnyśmy zamknąć i iść do domu - powiedziała Maxine, opierając się biodrem o ladę i wierzchem dłoni odgarniając włosy z czoła.

- Poszłabym chętnie wykąpać się gdzieś w zimnej wodzie - powiedziała Sara.

- Do kamieniołomów.

Kamieniołomy... Sara zupełnie zapomniała o przejrzystej, lodowatej wodzie w kamieniołomach.

Drzwi jęknęły, a potem trzasnęły.

- O, cholera.

Mannę wyjęła papierosa i strząsnęła popiół na dłoń. Spojrzała w kierunku drzwi i jej zmęczone oczy ożywiły się.

- Nie oglądaj się teraz, kochaną ale zjawił się tu nie lada przystojniaczek. Sara odruchowo chciała się odwrócić.

- Nie teraz! - wyszeptała Maxine ochryplym głosem.

Więc Sara ciągle stała ryłem do drzwi, a Maxine opisywała jej każdy szczegół.

- Rozgląda się... Wziął jadłospis... Usiadł przy stoliku niedaleko drzwi. Maxine z wrażenia nie zauważyła, że popiół spadł na podłogę. Odruchowo wytarła dłoń w spodnie. Zaciągnęła się głęboko. Przymknęła powieki.

- Chwała Bogu, żeśmy nie zamknęły.

- Ale ja nadal wołałabym raczej popływać. Maxine wskazała brodą w kierunku stolika.

- Idź i rzuć okiem, a potem pogadamy, czy rzeczywiście wołałabyś być teraz gdzie indziej.

Sara roześmiała się, wzięła bloczek i ołówek i ruszyła w stronę mężczyzny ukrytego za kartą z jadłospisem.

Z przygotowanym do notowania ołówkiem zapytała:

- Co podać?

Karta została złożona i...

Nash.

Opalony. Szaro-niebieski T-shirt bez rękawów. Nagie, muskularne ramiona. Włosy zmierzwił jak przez jakąś wichurę. We wszystkim świetnie wyglądał. W wielkich spodniach Harleya i w starym ubraniu jej ojca.

Odgarnął włosy z czoła. Potem położył obłożone plastikiem menu na stole, założył ręce na piersi, oparł się o ścianę i popatrzył na nią z uśmiechem. - A co macie tu dobrego?

Kiedy Sara czekała na lód Nash podszedł do grającej szafy. Wrzucił kilka monet, nacisnął coś. Muzyka.

Od lat nie było tu żadnych nowych piosenek. To co tu jest, to na pewno stary, wolny rock.

- To jak w reklamie.

Maxine pojawiła się obok niej. Miała na ustach świeżo nałożoną szminkę.

- W reklamie? - zapytała Sara zaskoczona. Praktycznie od kilku lat nie interesowała się zupełnie telewizją.

- No wiesz, ta kiedy facet wchodzi do nagrzanego baru, gdzie ze wszystkich leje się pot, a tu nagle zaczyna padać śnieg, ot tak, po prostu, z sufitu. Sara wzruszyła ramionami i pokręciła z rozbawieniem głową.

- Przepraszam.

Wzięła kawałek placka z masłem orzechowym, mrożoną herbatę i skierowała się do Nasha.

Ciasto przed nim. Z jednej strony szklanka. Serwetka. Widelec.

Stała tak chwilę, po czym opierając się rękami o blat, wsunęła się na miejsce naprzeciwko niego.

- Biało-różowe paseczki - stwierdził z pełnymi ustami, przyglądając się jej mundurkowi. - Bardzo... twarzowe.

Dotknęła białych mankietów z tworzywa sztucznego przy krótkich rękawach, potem poprawiła kołnierzyk.

- Wszyscy takie coś tu noszą.

Pociągnął duży łyk mrożonej herbaty i spojrzał na nią w taki sposób, że gdzieś w środku poczuła się dziwnie.

- Jakoś zawsze wyobrażałem sobie ciebie w czymś... no, nie znam się na materiałach, ale w czymś bardziej... ekscentrycznym. Nie wiedziała, czy to komplement, czy kpina.

- O której kończysz?

- Nie przez najbliższe pięć godzin.

- Poczekam.

- Nie możesz tu siedzieć całe popołudnie! - Wyobraziła sobie, jak tu siedzi i obserwuje każdy jej ruch.

Jego spojrzenie zwróciło się ku komuś, kto był za nią Maxine.

- Idź - powiedziała. - Nikt tu nie przyjdzie, kiedy jest tak gorąco. I tak przecież miałam wysłać cię do domu.

Nash posłał Maxine taki uśmiech, że prawdopodobnie podskoczyło jej ciśnienie.

- Dzięki - powiedziała Sara.

- Dzięki - powiedział Nash.

Kiedy tylko wyszli, Sara dowiedziała się, dlaczego włosy Nasha są w takim stanie. Przyjechał kabrioletem.

Prawdziwym krążownikiem szos.

- Czy masz słabość do brzydkich samochodów? - Sara obeszła monstrum

dookoła, głaszcząc chromowe wykończenia. - Już sobie wyobrażam, ile to pali.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi, naprężonymi mięśniami, stał oparty biodrem o grill. Nagle, znad drzwi spadła jakaś dekoracja bożonarodzeniowa, wisząca tam od czasu ostatnich świąt

- Nie jest tak źle, jak myślisz. Jedyne problem, że nie mogę wrzucać moich szpargałów na tylne siedzenie, bo od razu je wywiewa. No i nie jest zbyt wygodny, kiedy pada.

- Jak to?

- Nie ma dachu. To dlatego kupiłem go tak tanio.

- Bez dachu? - Sara spojrzała w pustą dziurę za tylnym siedzeniem, gdzie powinien znajdować się złożony dach.

- Nauczyłem się szybko jeździć i chować za przednią szybą. Sara roześmiała się.

Uśmiechnął się do niej.

I wtedy poczuła, jaka to ulga znów go zobaczyć. Mimo że kochała ojca, mimo że lubiła swoją nową pracę, aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak obco, samotnie się czuła. Oto ktoś, kto mówił jej językiem, ktoś, kto w dziwny sposób był jakby częścią niej samej.

Niestety, miałem nieszczęście oglądać horror „Children of the Com”.

Nash o życiu farmera

Rozdział trzydziesty pierwszy

Nash otworzył Sarze drzwiczki. Przednie siedzenie było pokryte jasnym, pożółkłym plastikiem o wypukłej fakturze.

- Czeka! - Zajrzał do tyłu i wyciągnął jakiś kawałek płótna które położył na siedzeniu. - Usiądź na tym, bo inaczej się poparzysz.

Sara usiadła, Nash zamknął drzwi.

Plastik parzył nawet przez materiał jej sukienki, kiedy plecami dotknęła oparcia. Postanowiła więc za bardzo się nie opierać. Nash wskoczył na swoje siedzenie. ^

- Drzwi działają - wyjaśnił - ale kiedy już zdecydujesz się je otworzyć, możesz mieć problem z ich zamknięciem.

Pokryta grubą warstwą kurzu deska rozdzielcza kiedyś prawdopodobnie czerwoną ale teraz był to raczej wyblakły od słońca róż. W miejscu na radio była dziura i sterczały kolorowe druciki. Na siedzeniu między nimi stał sprzęt Nasha i sterta kaset i płyt kompaktowych.

- A teraz sobie czegoś posłuchamy - powiedział Nash wkładając płytę. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaczął pracować. Głęboki, mocny

dźwięk. Czują, jak pod jej stopami drży podłoga.

Jedną ręką kręcąc kierownicą wycofał się z podjazdu, zakręcił i ruszył do najbliższej drogi.

- Gdzie teraz? - krzyknął.

Wiatr rozwiewał im włosy, muzyka na pełny regulator. Gdzie?

- Gdziekolwiek.

Jeździli bocznymi drogami, co jakiś czas mijając miejscowe atrakcje.

- To stary dom pana Newtona - powiedziała Sara wskazując palcem. -Jego żona umarła w wieku dwudziestu dwóch lat. Od pięćdziesięciu lat trzyma jej wyblakłe zdjęcie w oknie.

Kilka minut później.

256

- A te dwa domy należą do braci Lewisów. Poślubili dwie siostry, potem się z nimi rozwiedli i znów się pożenili, tym razem każdy wziął żonę brata.

- Niezły pomysł.

- A to dom Carli Day. Chodziłam z nią do szkoły. Wyszła za męża i ma czworo dzieci.

Małżeństwa, małżeństwa. Sara zaczynała wchodzić w tak zwany dojrzały wiek i co? Do czego w życiu doszła?

Obawiała się, że straciła najlepsze swoje lata. Nie wiedziała co robić z czasem. Z jednej strony gwałtownie chciałyby coś zmienić, z drugiej wszystko zatrzymać.

Piętnaście minut później zaproponowała, by pojechali do niej do domu.

- Możemy się tam napić czegoś zimnego.

- Mów mi, jak mam jechać.

Dziesięć minut później znaleźli się na drodze prowadzącej do domu.

Przez te wszystkie lata, kiedy mieszkała z Domwanem, nigdy nie myślała o domu, który z nim dzieliła, jako o swoim domu. Ale to miejsce, cokolwiek by się z nią stało, gdziekolwiek by się znalazła, zawsze zostanie jej domem.

Dwupiętrowy domek prezentował się nieźle. Z jednej strony pole kukurydzy, z drugiej - fasoli. Wyglądał jak z angielskich książeczek dla grzecznych dzieci, świeżo pomalowany białą farbą z fioletowym powojem porastającym pergolę nad drzwiami. Wzdłuż drogi rosły bukszpany. W dzieciństwie Gloria i Sara robiły z kwiatów lalki.

Rozwinięty był spódniczka, a paczek stanowił głowę. Patrząc teraz na to wszystko, czuła gdzieś w środku ból, tęsknotę za czymś, co odeszło na zawsze, za tym czasem w jej życiu, którego nie doceniała w pełni, póki trwał.

Jej ojciec wyjechał na cały dzień na jakąś aukcję do Sycamore. Pojechał bardziej spotkać się z ludźmi niż coś kupić, ale Sara dobrze wiedziała że wróci do domu z czymś dla niej, zabytkową szpilką do kapelusza czy starym zdjęciem.

- U nas nie ma klimatyzacji - powiedziała do Nasha, nagle czując się nieśmiała i skrępowana faktem, że znalazła się z nim sam na sam. Zrozumiał, o co jej chodzi i poczekał na zewnątrz, w cieniu, kiedy Sara pobiegła na górę przebrać się. Próbowwała nie zwracać uwagi na nerwowe podniecenie, które ją ogarnęło. Zrzuciła szybko mundurek, wciągnęła szorty, które były po prostu starymi džinsami, obciętymi tuż nad kolanem/Włożyła z powrotem tenisówki, białą koszulkę na ramiączkach, po czym zbiegła na dół po dwie szklanki mrożonej herbaty.

W pierwszej chwili, gdy znalazła się na zewnątrz, otwierając sobie drzwi nogą nie zauważyła Nasha. Ale raptem go zobaczyła. Siedział na metalowym krzeselku pod jednym z dużych klonów.

Te krzesła były tutaj, odkąd sięgała pamięcią od lat malowane zieloną

farbą, warstwa po warstwie. Jako dziecko nie lubiła ich właśnie z powodu tego koloru i dlatego jeszcze, że były tak okropnie zimne przy zetknięciu z nagą skórą. Teraz w świecie, gdzie nic nie jest tak naprawdę stałe, lubiła je właśnie za tę ich niezmiennność.

Podawała Nashowi szklanekę, usiadła obok, metalowe siedzenie lekko się pod nią ugięło.

Sączyli herbatę.

- Wyjeżdżam - oświadczył nagle. - Wynoszę się z Chicago. Całe radosne podniecenie gdzieś nagle znikło.

- Gdzie?

- Do Corpus Christi.

- Corpus Christi?

Tak daleko. Równie dobrze mógł stwierdzić, że wyjeżdża do innego kraju.

- Harley przenosi tam siedzibę gazety. Udało mu się tam wynająć świetny budynek na redakcję.

- Aha.

Nigdy w życiu nie była w Corpus Christi, wiedziała tylko, że to w Teksasie, nad zatoką, daleko, bardzo daleko stąd. Nie mogła go sobie tam wyobrazić, gdzieś w jakimś miejscu, którego nigdy nie widziała na oczy.

Nagle zrozumiała powód tej wizyty. Przyszedł się pożegnać.

Istniało wiele miejsc na ziemi, których nigdy nie widziała. Rzeczy, których nigdy nie robiła. Jej życie przemijało.

Czuła bezradność i zarazem wściekłość na siebie, że się na to zgadza.

Przyszedł się pożegnać. Siedzieli zwrócenii twarzami do drogi, przed sobą mieli pola kukurydzy i skrzynkę na listy.

Słońce zachodziło, powoli chowało się za wzgórze, było coraz niżej nad horyzontem. Z trudnością przedzierało się przez chmury. Siedzieli w cieniu, sączyli herbatę, patrzyli, jak mija dzień. Jak stare dobre małżeństwo.

Tyle rzeczy chciała mu powiedzieć, ale nie wiedziała, jak zacząć. W jej rodzinie nigdy nie rozmawiało się o uczuciach. Chciała go przeprosić za to, że zostawiła go wtedy w hotelu. Zamierzała mu wytłumaczyć, że zrobiła to jedynie ze względu na jego bezpieczeństwo. Pragnęła powiedzieć, że cały czas usiłowała trzymać go z dala od swego poplątanego życia. Wreszcie chciała mu podziękować za to, że dał się w nie wciągnąć.

Tak bardzo chciała mu powiedzieć, że tęskniła za nim i że będzie za nim tęsknić. Było tego dużo, dużo więcej, ale resztę lepiej zostawić nie wypowiedzianą, zwłaszcza że przenosi się do Teksasu, zwłaszcza że przyszedł się pożegnać. - Masz ochotę przejść się? - zapytała. Wiedziała, że jest przyzwyczajony do ruchu, zamieszania, lubi, żeby dużo się działo. Wieś pewnie go nudziła.

- Dobry pomysł.

Wstali, odstawili puste szklanki na krzesła i ruszyli zarośniętą ścieżką, która prowadziła wzdłuż pastwiska, ciągle jeszcze należącego do jej ojca. Po lewej rosły rzędy kukurydzy, ciężkie kolby chwiały się nad ich głowami. Liście poskręcane z gorąca. W stojącym, dusznym od wilgoci powietrzu unosił się ciężki, prawie tropikalny zapach zielonych liści. To był zapach, który Sara zawsze kochała, zapach, który powinien być sprzedawany w puszkach. Sara szukała właściwych słów, żeby mu podziękować.

- Do kolan na czwartego czerwca. A to co ma znaczyć?

Zwolnił i spojrzał na nią

- Co?

- Farmerzy mówią, że na dzień czwartego czerwca kukurydza powinna sięgać kolan.

Spojrzał na strzeliste łodygi.

- Naprawdę? A co mówią o kukurydzy wyższej od człowieka pod koniec lipca?

Uśmiechnęła się lekko zdenerwowana. "

- To był dobry rok.

Spojrzenie Nasha powędrowało z kukurydzy na sąsiednie pole.

- Staw - powiedział zauważając lśniąca w słońcu błękitną wodę. - Może pójdziemy tam?

Było widać, że zapalił się do tego pomysłu.

- Pastwisko i staw to dwie rzeczy, których ojciec nie sprzedał. Zamienił je w swoisty rezerwat i po prostu nie potrafił się ich pozbyć.

Zamiast iść pół mili z powrotem do bramy, przeszli przez płot. Potem ramię przy ramieniu brnęli przez wysoką po pas trawę.

Zamiast ścinać łub wypasać na niej bydło, Franklin zostawił trawę przy brzegu stawu w naturalnym stanie. Nad wodą stał domek dla kaczek, na brzegu, na drzewach, domki dla szpaków. Na środku stawu zbudował sztuczną wyspę, gdzie gęsi miały swe gniazda, w których spokojnie mogły wysiadywać jajka.

- Łódka!

Nash wskazał na leżącą niedaleko brzegu odwróconą dnem do góry drewnianą łódkę.

Sara uniosła brwi ze zdziwienia, że zwykła łódka może tak kogoś zainteresować.

- Czyżbyś zamierzał nią popłynąć? - zapytała, przekonana, że odpowie odmownie.

Jednak zanim skończyła mówić, Nash już podążał w kierunku łódki, z rękami uniesionymi do góry z uwagi na trawy.
Po jego przejściu zostawała ścieżka.

260

Odwrócił łódkę, drewniane wiosła uderzyły o dno. Po czym zaczął ciągnąć ją w kierunku wody.

Kiedy już prawie cała była w wodzie, odezwała się wreszcie Sara:

- Ty wsiądź, a ja cię odepchnę.

Bez wahania wskoczył do łodzi. Trochę zgarbiony, ręce rozłożone na boki, żeby utrzymać równowagę. Łódź kołysała się. Gdy Nash doszedł do jej drugiego końca, oderwała się od brzegu.

Czując, że coraz trudniej ustać, Nash usiadł, a w tym samym momencie wsiadła Sara. Wzięła wiosło, odepchnęła się nim od brzegu, po czym sama usiadła. Łódka powoli zaczęła płynąć.

- O rany - powiedział Nash, jak dziecko, co nie może usiedzieć cicho, gdy jest po raz pierwszy w Disneylandzie. - To wspaniałe. Sara uśmiechnęła się i pomyślała: „Tak, to naprawdę przyjemne”.

Po kilku minutach wziął drugie wiosło, zanurzył je w wodzie i nagle zaczął wiosłować jak szalony.

Łódka natychmiast zaczęła kręcić się w kółko. Sara parsknęła śmiechem, rzuciła swoje wiosło do łódki i mocno zaparła się rękami. Z prawdziwym zapamiętaniem Nash wyjął wiosło z wody i zanurzył je z drugiej strony. Powoli łódka zwolniła, woda rozpryskiwała się na boki. Zaczął wiosłować. Jak pies kopiący w ziemi zanurzał wiosło i odgarniał wodę. Poruszali się szybko do przodu. Zaczął to robić coraz szybciej - i znów zaczęli kręcić się w kółko. Sara roześmiała się w głos. - Istnieje taka technika, w której nie musisz wiosłować po obu stronach łodzi, ale nie udało mi się nigdy jej opanować. -Aha.

Nash skinął głową z pełnym zrozumieniem, gorliwie starając się dojść prawie do perfekcji. Machnął z jednej strony, uniósł wiosło i... ochlapał ją wodą

- Przepraszam.

I znów z drugiej strony. Z jednej, z drugiej - i tak na zmianę. Teraz poruszali się do przodu urywanymi ruchami.

- Za bardzo się starasz - powiedziała.

- To mój pierwszy raz.

Znów się roześmiała, chyba już po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku minut.

- Niepotrzebnie wkładasz w to tyle energii. Pływanie łódką ma być przyjemnością - powiedziała, cały czas uważając, by się czegoś trzymać.

Przestał wymachiwać nerwowo wiosłem na wszystkie strony. Łódź zaczęła posuwać się o wiele łagodniej.

- Proszę bardzo. Teraz nad nią panuję.

Przeplłynęli przez lilie. Kilka metrów dalej przerażone żaby wskoczyły do wody.

- Teraz wreszcie jest tak, jak trzeba. - Twarz Nasha wyrażała pełną koncentrację.

Sara kątem oka zauważyła, że coś mignęło na dnie łódki. Coś małego i szarego. Mysz polna.

Lubiły mieć gniazda pod wyciągniętymi na brzeg łodziami. Przechylone tworzyły w ten sposób przytulny daszek. Zapomniała że należało najpierw postukać w dno łodzi, zanim się ją odwróciło. Żeby wypędzić wszystkie myszy.

Sara straciła ją z oczu, ale nagle usłyszała chrobotanie, pazurki drapiące dno łodzi.

- Co to jest?

- Mysz.

- Co?!

Przerwał wiosłowanie i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, jakby mu właśnie oświadczyła że złapali w pułapkę grzechotnika.

- Mysz.

Malutki szary kształt mignął im pod stopami, potem znikł pod siedzeniem Nasha.

Krzyknął i skoczył na równe nogi. Łódź zakołysała się. A potem się wywróciła.

Parada po wschodzie księżycy...

Rozdział trzydziesty drugi

Nash wpadł do wody z głośnym pluskiem. Lodowatozimna.

Wypląnął, wynurzył głowę nad powierzchnię wody. Zaczerpnął powietrza. Oślepił go błysk światła tańczący na przewróconej łodzi. Sara.

Zaczął jej szukać. Aby utrzymać się na wodzie, rękami i nogami poruszał w jednostajnym ruchu. Serce biło mu niespokojnie, starał się ogarnąć wzrokiem pomarszczoną taflę stawu.

- Sara! - Po głosie można było poznać; że nagle ogarnęła go panika. -Sara!

- Tutaj! Jestem tutaj!

Jej głos dochodził z drugiej strony łódki.

Opłynął łódkę i zobaczył, jak próbuje się wdrapać na kadłub, cała mokra, ale zupełnie opanowana. Nawet się uśmiechała. Nagle poczuł się jak głupek.

- No tak. Zupełnie zapomniałem, że zawsze świetnie pływasz. Uśmiech zniknął. Cień niechęci przemknął jej przez twarz. Szybko jednak

został zastąpiony przez obojętność.

Nie zamierzał wyciągać spraw związanych z przeszłością.

W ciągu ostatniej godziny poczuł, że wreszcie się rozluźniła, miał nadzieję, że to jest dla niego jakaś szansa.

I wszystko zepsuł.

Nagle zaczęła się zachowywać, jakby najważniejszą rzeczą była łódź.

- Pomóż mi ją odwrócić.

Chwycił jeden koniec łodzi, Sara drugi. Zamierzali się i jednym ruchem odwrócili ją.

Nieźle, jak na mieszczucha. Wyłowili wiosła i wrzucili je do środka. Potem dopłynęli do brzegu prowadząc łódź między sobą.

Kiedy dotarli na płytką wodę, szarpnął nim tępy ból w udzie i w boku, gdzie czuł jeszcze rany po strzale. Zdążył się już do tego przyzwyczaić, bo

pojawiał się za każdym razem, gdy napręzał nie wygojone jeszcze do końca mięśnie.

Mokre, ociekające wodą ubranie było okropnie ciężkie, jednak chwycił łódź i wyciągnął ją na brzeg. Wsunęła się na trawę, trąc dnem o ziemię. Po czym padł na brzegu. Noga i bok ciągle nie dawały mu spokoju.

- Czy kiedykolwiek pływałeś łódką?

Podniósł głowę i zobaczył, jak Sara stoi nad nim, podparta pod boki. Nie złą ale raczej zirytowana. A to już było coś, lepsze od obojętności czy wręcz strachu.

- Prawdę mówiąc, to nie.

- Nie należy gwałtownie wstawać.

- Teraz mi to mówisz? - powiedział podnosząc się do siadu i patrząc na ociekające buty. Nie sądził zresztą żeby tak naprawdę miało to jakieś znaczenie, gdyby nawet wiedział o tym wcześniej. Po prostu nie przepadał za myszami.

Zdjął buty i wylał z nich wodę. Kiedy ściągał namoknięte skarpetki, ukradkiem zerknął na Sarę.

Ciągle wyglądała na bardzo drobną co natychmiast zauważył, kiedy tylko wszedł do baru. Była lekko opalona, co sprawiało, że wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Wciąż tak samo pełna wdzięku, bardzo szczupła, może nawet za szczupła. I ciągle miała cienie pod oczami. Z jednej strony wyglądała dużo lepiej, niż kiedy widział ją po raz ostatni, z drugiej - gorzej. Nie sposób było nie zauważyć, że czasami ręce jej się trzęsą, że zaciska pięści, aż bledną jej kostki. Wycisnął skarpetki, które były kiedyś białe, a teraz zupełnie szare.

- Przepraszam za to, co powiedziałem o twoim pływaniu.

Zdjęła buty, siedziała na trawie, rękami objęła kolaną wpatrywała się w coś ponad stawem.

Podniósł ręce, żeby zdjąć koszulkę, ściągnął ją przez głowę. Wykręcił ją, strzepnął i położył na trawie.

W tym momencie Sarze wyrwał się okrzyk. Odwrócił się i zobaczył, że wpatruje się w jego bok, gdzie kula przeszła na wylot Cholera. Pozostała blizną ciągle świeża i czerwona, ze śladami po szwach. Nie wyglądało to zbyt pięknie.

Powinien był zostać w koszulce.

- Twój bok. - Jej twarz wyrażała zarazem odrazę i podziw. Przejmowanie się własnym wyglądem było dla niego czymś zupełnie nowym. Nie lubił tego.

Poczuł nieprzepartą chęć zakrycia blizny. Zamiast tego położył się z rękami pod głowę

Trawa była niezwykle miękka. Widział ostre, obcięte końcówki na tle zamglonego nieba. Czuł na skórze delikatny powiew wiatru. Myślami powrócił

do wcześniejszych obserwacji. Były przecież bliźny jeszcze gorsze niż te fizyczne.

- To jest taka bliźną z którą można żyć - odezwał się wreszcie. Zamknął oczy z nadzieją że zakończą ten temat.

Czuł, jak słońce grzeje jego nagą klatkę piersiową Nie pamiętał już, kiedy ostatnio się tak wygrzewał. I te dźwięki... Te wszystkie dźwięki, których nigdy nie słyszał. Niezwykły szum, ale zarazem był to odgłos ciszy, tak inny od tego, do którego przywykł w mieście. Bzyczące owady, gdzieś nad uchem, gdzieś daleko. I ptaki. Całe mnóstwo ptaków, śpiewających tak pięknie.

- Czasami - jej głos dolatywał jakby z oddali, jakby miała odwróconą głowę - myślę, że go widzę. Czuję się, jakby na mnie patrzył.

Serce mu zamarło. Leżał bez ruchu, zastanawiając się, czy usłyszy coś jeszcze, obawiając się, że usłyszy coś więcej.

- Ja - przerwała by po chwili podjąć znowu - starałam się nie myśleć o tym dniu, o tym, co wydarzyło się wtedy w kuchni, ale mam ciągle ten obraz w głowie. I to pojawia się nagle, kiedy najmniej się tego spodziewam. To może być w momencie, kiedy przyjmuję od kogoś zamówienie i nagle...

Usłyszał cichy szloch.

Otworzył oczy i usiadł gwałtownie.

Siedziała do niego plecami, ciągle obejmując kolana.

Jej płacz łamał mu serce.

Przysunął się do niej zapominając o bliźnie. Usiadł obok niej.

- Saro, nie płacz.

Nie był w stanie znieść jej płaczu. Przyciągnął ją do siebie, mocno objął, jej zimna koszulka na jego piersi.

- Chcę, żeby to zniknęło - powiedziała stłumionym głosem. Cały czas ją trzymał, głaskając po mokrych włosach.

- Miałem kiedyś córkę... - Zdał sobie sprawę, że mówi o tym, o czym nigdy nikomu nie mówił. - Byłem nauczycielem. Trudno w to dziś uwierzyć, wiem. Pewnego dnia moją córkę "została... zamordowana. To był jeden z tych przypadkowych aktów przemocy, które są nie do pojęcia dla normalnych ludzi. Jedna z takich rzeczy, która cię oszałamia i zostawia z wiecznym pytaniem: dlaczego, bez końca.

- Zabiłem go - dodał po chwili. - Człowieka, który zabił moją córkę. Pauza. Potem dorzucił:

- Tak, ale nie mogłem już uratować Haley. Nie mogłem uratować mojej małej dziewczynki.

- Ale może uratowałeś inne dzieci, inne małe dziewczynki... -Tak.

Trafiła w sedno tego, co trzymało go przy życiu przez te wszystkie lata, od utraty Haley do spotkania Sary.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Jej twarz wyrażała bezgraniczny smutek, z oczu płynęły łzy.

- Czasami - wyszeptała - śni mi się, że Donovan cię zabił. I wydaje mi się to tak realne, że budzę się z myślą, że nie żyjesz.

Spojrzała w dół i drżącymi palcami delikatnie dotknęła jego blizny.

- Kiedy pomyślę o tym, co się omal nie stało... Ujął ją pod brodę podnosząc jej twarz.

- Ale się nie stało. Myśl tylko o tym.

Wolno, żeby jej nie spłoszyć, opuścił głowę. Ustami musnął jej wargi... Zdawało mu się, że westchnęła.

Bardzo powoli i ostrożnie pocałował ją, leniwym, czułym pocałunkiem. Ich wilgotne wargi i oddechy się spotkały.

To była ta kobieta, która doprowadzała go do granic wytrzymałości. Ta, która przysłała do niego w środku nocy,

pełna namiętności, a potem zostawiła go kompletnie wycieńczonego i z pustką w głowie. Ale dziś wyczuwał, że

znów jest inna, o wiele bardziej krucha. Kiedy żył Donovan, musiała być wytrzymała na wszystko. Ale teraz jej

odporność zmalała i nie był pewny, czy potrafi być na tyle delikatny, by jej nie zranić. Pocałunek się przedłużał i

stawał coraz bardziej namiętny. Ich języki się splotły i czuł, że dochodzą do punktu, od którego nie ma odwrotu.

Wtedy nic ich już nie powstrzyma. Zanim oboje zupełnie stracą głowę, zmusił się, żeby się od niej oderwać i

pociągnął ją w trawę, najwyższą, jaką kiedykolwiek widział. Tam z pewnością nikt ich nie zobaczy. Odchylił się do

tyłu, oparł na łokciu, jedną ręką ciągle ją obejmując, delikatnie przyciągnął do siebie. Położyła mu drżącą rękę na

piersi. - Nie wiem, czy potrafię to zrobić. Nagle się przestraszyła. Nawet więcej. Była po prostu przerażona.

Nigdy nie kochała się w ten sposób, w biały dzień, zupełnie świadoma swych czynów. Seks z Donovanem nigdy nie

był niczym innym niż tylko cierpieniem i bardzo szybko nauczyła się, że najlepiej przedtem dużo wypić. Nauczyła

się też, że najlepiej o tym szybko zapomnieć.

Nash nie nalegał. Bogu dzięki, nie zmuszał jej do niczego. Zamiast tego puścił ją. Zamiast tego po prostu wzruszył

ramionami, jakby nic nie zaszło. Zamiast tego lekko uśmiechnął się do niej, zmrużył oczy od słońca i zapytał:

- A dlaczego nie mielibyśmy się rozebrać do naga?

- Do naga?!

- Tak. Położyć się tu i poczekać, aż słońce wysuszy nasze ubrania. Żeby to zademonstrować, zaczął rozpinać

spodnie, po czym je ściągać.

Przez cały czas, gdy walczył z opornym, mokrym materiałem, klął w duchu. Wreszcie je zdjął, wywinął na prawą

stronę, strzepnął, a potem rozłożył na trawie. Właśnie sięgał do spodenek, kiedy odwróciła wzrok!

Prócz głosów ptaków i owadów wokoło panowała cisza.

Bijące serce Sary. Jej urywany oddech. Już od dłuższego czasu siedziała na trawie, nawet nie patrząc w stronę Nasha. Słyszała, jak zdjął wszystko do końca, położył się na plecach mruczając jak kot

Bardzo, bardzo powoli zaczęła odwracać głowę. Leżał z zamkniętymi oczyma, z rękami pod głową Ciemne włosy na napiętych mięśniach.

Jej wzrok powędrował w dół...

Płaskie brązowe sutki wśród włosów.

I jeszcze niżej...

Muskularny tors, płaski brzuch, pępek, wąskie biodra... ciemna kępka włosów.

Szybko odwróciła głowę, wzrok padł z powrotem na jego twarz. Oczy miał ciągle zamknięte, pierś równomiernie unosiła się i opadała. Śpi?

Bardzo powoli zaczęła rozpinąć guziki swojej bluzką Wreszcie zdjęła już wszystko.

Położyła się obok niego zupełnie naga mocno zaciskając oczy, czekając, aż serce przestanie jej tak walić.

Poczuła jak się rozluźnia. Z wolna docierały do niej nowe wrażenia. Grzejące słońce. Ciało, skórę, piersi, brzuch...

Zaczął być jej naprawdę dobrze, niesłychanie dobrze... Nie była pewna, ale chyba zasnęła. Trochę później poczuła na sobie coś delikatnego. I znów. Na piersiach, na brzuchu, na udach. Otworzyła oczy i zobaczyła Nasha który pochylony nad nią, rozsypywał koniczynę. - Szukam czterolistnej, ale jakoś mi się nie udaje - powiedział.

Wpatrywała się w niego, nie mogąc oderwać oczu ani na chwilę.

- Nie mogę tego zrobić, gdy jestem trzeźwa - powiedziała bez tchu, serce znów jej waliło, wiedziała, że doskonale widać jej przerażenie i nienawidziła się za to.

- Pomogę ci - wyszeptał.

I wtedy uśmiechnął się do niej, a był to uśmiech tak pełen czułości, że zatykał dech w piersi.

- Będę mówił do ciebie przez cały czas. To że rozumiał jej przerażenie, które nagle ją ogarnęło, spowodowało, że poczuła, jak bardzo go kocha, tego właśnie człowieka, który zaraz wyjedzie, który przyjechał tu tylko po to, żeby się z nią pożegnać. Ciągle patrzyła mu w oczy, gdy on tymczasem pochylał się nad jej ciałem i upuścił kolejną koniczynę. Tym razem musnęła ona sutkę, spadła.

- Zamknij oczy - rozkazał. Zamknęła.

- I tak trzymaj.

Czas gdzieś zniknął.

- Boże, jaka jesteś piękna.

W jego głosie było coś takiego, że poczuła jak jej całym ciałem wstrząsa dreszcz.

Zaczął ją lekko uderzać delikatnymi listkami koniczyny. Wszędzie.

A potem dotykać jej dłońmi, palcami.

Pieścić.

Gładzić.

Powoli.

Szybko.

Wilgotno.

Głęboko.

Czuła jak jej całe ciało napina się. Czuła, jak pod wpływem jego palców jej ciało ogarnia najwyższa ekstaza. Czuła, jak gdzieś odpływa... Powoli zaczęła przychodzić do siebie.

Serce jej waliło, ciało lśniło od potu. Uniosła ciężkie powieki i zobaczyła Nasha, jak leży na boku, z głową podpartą na łokciu, i przygląda się jej.

- Jesteś za dobry - powiedziała, czując się nagle równocześnie i ocieężała, i słaba, i głodna.

Przekreślił się na plecy, ręce powędrowały za głowę, przyspieszony oddech.

Jej wzrok przesunął się od wpół pizyrnkniętych oczu, bijącego puls na szyi, w dół, po jego wilgotnej klatce piersiowej, płaskim brzuchu. I w dół...

Teraz już się nie bała, była bardziej śmiała, gdy na nią nie patrzył. Dotknęła go. Delikatnie. Ostrożnie.

- To ty jesteś piękny - powiedziała zduszonym głosem. - Delikatny. Jak kwiat.

Słyszała jego głęboki oddech, wiedziała, że cała jego uwaga skupiona jest teraz na jej dłoniach. Ale wiedziała też, że on jej nie dotknie. Teraz była jej kolej.

I wtedy powiedziała to, o czym wiedziała, że pragnie usłyszeć:

- Pragnę cię.

W ułamku sekundy znalazł się na niej, szepcząc jej imię. Poczowała, jak ją wypełnią wypełnia ją całą.

- Sara, Sara - powtarzał ochryplym głosem, patrząc na nią z góry, trzymając jej głowę w swoich dłoniach.

Objął ją ramionami, przyciągając do siebie. Przetoczyli się. Ona teraz była górą. Ogarnął ich słodki zapach koniczyny. I znów się przetoczyli. Objął ją za pośladki, przycisnął do siebie, na szyi czuła przyspieszony oddech. Urywane słowa, pełne seksu, żądzy, rozkoszy. I jej imię, powtarzane bez końca.
- Sara, słodka Sara... Potoczyli się w uścisku.

269

To wszystko było ponad jej siły. To, że byli tu, teraz i tak razem, stało się czymś mezwyczajnym, czystym i tak prawdziwym, że miała ochotę zarazem śmiać się i płakać.

Zabrał ją tam, gdzie żaden narkotyk nigdy nie zdołał. Jej imię, okrzyki bólu i rozkoszy, męka i ekstaza. Ręce na piersiach, palce we włosach, usta na ustach, ciężar ciała...

Przestała go obejmować i zatopiła ręce w trawie, w ziemi, i wygięła się na przyjęcie spełnienia. I poczuła jak zabrał ją do gwiazd, wyżej niż księżyc.

Po jakimś czasie zdała sobie sprawę z ciężaru jego ciała między udami. Bicie serca głośny oddech na szyi i słońce, takie jasne i oślepiające.

Uniósł się powoli, czując, że staje się coraz cięższy, po czym przycisnął usta do jej włosów.

- Bądź ze mną.

- Myślę, że właśnie pokazałam, że jestem. Roześmiał się.

- Nie - wysapał ciężko - nie to miałem na myśli. Chodziło mi o Corpus Christi. Jedź ze mną do Corpus Christi.

To co cię nie zniszczy, umocni cię...

Rozdział trzydziesty trzeci

Osiem miesięcy później

Morskie powietrze wpadło przez okno mieszkania na piętrze, unosząc przezroczystą, białą firankę. Odblask zachodzącego słońca padł na drewnianą, wypastowaną podłogę, a potem na szklanę z wodą która stała na brzegu blatu, przy którym siedziała na stołku Sara z ołówkiem w ręku. W szklance stała biała gardenia, którą ostatniego wieczora na spacerze zerwał Nash. **Jej** słodki, duszący zapach wypełniał pokój.

Corpus Christi było zupełnie różne od wszystkich innych miejsc, które знаła Sara. Ta pogoda. Ocean. Styl życia. Ale ta odmienność była dobra. Pozwoliła jej zapomnieć o tym, co było.

Harley był zadowolony, bo znalazł stary dom w stylu wiktoriańskim. I tam umieścił nowy, ulepszony „Shoot the Moon”. Dom stał nad zatoką i miał mnóstwo miejsca na górze, które można było zamienić na ogromne mieszkania. Sara nie chciała zostawić ojca, opuścić go znów po tylu latach, ale nalegał, żeby wyjechała, żeby spróbowała raz jeszcze ułożyć sobie życie.

Kilka miesięcy temu, kiedy delikatnie mu zasugerowała, żeby przeniósł się z nimi do Corpus Christi, powiedział jej, że nie potrafiłby zostawić farmy. Że zostanie tu i kiedykolwiek zechce, może do niego przyjechać. To jest jej azyl. Oaza spokoju. Bezpieczeństwa.

Nie zostaną tu jednak na zawsze. Kiedyś wrócą pewnie na Środkowy Zachód, może do Chicago, a może nawet do Sigoumey.

Kiedy dwa razy odwiedzili ojca Nash zdobył się nawet na lekkie zainteresowanie życiem na farmie. A Sara zobaczyła, że tak jak ojciec odczuwa silną więź z ziemią.

Ale jak na razie są w Corpus Christi, gdzie w powietrzu unosi się zapach oceanu, a słońce mocno grzeje. Gdzie kwitną gardenie. Gdzie życie jest proste... Tak proste, że aż idealne, i Sara obawia się czasami, że może to

stracić. Kiedy myślami była daleko, kiedy jej uwaga była skupiona na czymś innym, wtedy nagle ogarniał ją strach, który pojawiał się nie wiadomo skąd. Bała się, że pewnego dnia się obudzi i okaże się, że jest ciągle z Donovanem, a tylko jej biedny umysł wymyślił sobie wspólne życie z Nashem. Gdy tylko pojawiała się taka wizja chodziła w kółko, czekając, aż wróci Nash, obejmie ją i będzie do niej mówił tak długo, aż przepędzi ten strach, aż ją uspokoi swoim dotykiem i mocnym biciem serca. Na dole trzasnęły drzwi. Słysząc było odgłos kroków na schodach.

Nash... Przeszedł przez to wszystko i był z nią. Nie bał się. Był dla niej wszystkim.

Gdy wreszcie wszedł po schodach, nie mógł złapać tchu. Znalazł Sarę pochyloną nad sztalugą. Jej delikatne, drobne dłonie uniesione nad rysunkiem. Widział ruch i słyszał odgłos ołówka na papierze.

Była boso, miała na sobie letnią sukienkę, która opływała łagodnie jej ciało. Głowa pochylona nad kartką papieru. Ciemne, lśniące włosy zebrane na karku odsłaniały białą szyję. Podeszedł bliżej... i pocałował to odsłonięte miejsce. Wdychał zapach gardenii, którym przesiąkły jej włosy. Usłyszał, jak cicho westchnęła.

Odłożyła ołówek, wyprostowała się, a tffl objął ją przyciągnął do siebie, tak że oparła się o niego plecami. Oparł brodę na jej ramieniu, żeby przyjrzeć się rysunkowi.

Każdy rysunek zachwycał go, każdy następny bardziej niż poprzedni.

- To świetne.

- Czy myślisz, że spodoba się Harleyowi? - spytała, choć w jej głosie słysząc było, że jest z siebie zadowolona.

Rysunek przedstawiał kobietę podającą przepis żonie prezydenta.

Położył rękę na jej lekko zaokrąglonym brzuchu.

- Harley będzie zachwycony.

Kilka dni temu obudziła go w środku nocy i mógł poczuć, jak dziecko poruszyło się po raz pierwszy. To było wstrząsające przeżycie. Rozplakał się. Nash znów ją pocałował, tym razem gdzieś w Okolicach ucha. Sięgnęła do niego rękami i oparła głowę.

Wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Trochę przytyła, skóra miała jasny, ale zdrowy kolor. Nie piła od miesiący, a jedyne pastylki, jakie łykała, to były witaminy przepisane przez lekarza.

Nie było łatwo. Zdarzyły się ciężkie chwile. Czasem nie był pewien, czy zdoła spełnić jej oczekiwania. Czasem długo płakała w jego ramionach.

Ale jego miłość była tak silną że mogła wszystko znieść i przetrwać.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać. - Miał nadzieję, że zabrzmiało to

absolutnie zwyczajnie. Ale sam usłyszał napięcie w swoim głosie. I natychmiast wyczuł jak Sara sztywnieje, wyczuł jej strach.

Serce zaczęło mu bić szybciej, pot zrosił czoło.

To było coś, o czym myślał od długiego już czasu, nie wiedząc, jak to powiedzieć, nie wiedząc, jak na to zareaguje.

- Pobierzmy się. Małżeństwo.

Nigdy o tym wcześniej nie wspominał, nie chciał do tego wracać, nie chciał jej wystraszyć, Ale teraz, kiedy dziecko było w drodze, dużo o tym myślał.

W czasach gdy żył na ulicach Chicago, gdyby ktoś do niego podszedł i powiedział, że za cztery lata będzie oczekiwał dziecka, że będzie szczęśliwy, Nash stwierdziłby, że ten ktoś jest szalony.

Nigdy nie pogodził się ze śmiercią córki i nigdy się nie pogodzi, tak jak Sarą która nie mogła zapomnieć, co przeszła z Donovanem. Ale jakoś z tym wszystkim żyli i z każdym dniem było łatwiej. I nagle poczuł, że jest gotów jeszcze raz ulec tradycji.

Małżeństwo.

Dla niej będzie to oznaczało poślubienie byłego więźnia. Ich dziecko będzie miało byłego skazańca za ojca. Uroczą wizja...

Postawił wszystko na jedną kartę. A jeżeli powie nie... co on wtedy zrobi?

Spojrzał na wiszące na ścianie naprzeciw niego małe zdjęcie w ramkach córeczki Haley. Życie jest takie trudne.

Wstała i powoli odwróciła się. Z oczu płynęły jej łzy i serce w nim zamarło. Nie chciał, by kiedykolwiek jeszcze cierpiała. Chciał uczynić ją szczęśliwą a nie smutną

Płakała.

Zaryzykował wszystko i... przegrał.

Chciał cofnąć to, co powiedział przed chwilą zaczął mówić bardzo szybko:

- Zapomnij o tym, co powiedziałem. Najlepiej wyjdę i jeszcze raz wejść, jak gdyby nigdy nic. Jeżeli nie chcesz wyjść za mnie...

Chciał wybiec, ale go zatrzymała, złapała za rękę. Zmusiła go, żeby się do niej odwrócił, i ujęła jego twarz w dłonie.

- Nie dałeś mi odpowiedzi.

- Czy - przełknął - wyjdiesz za mnie? Uśmiechnęła się przez łzy.

- A czy słońce wschodzi i zachodzi?

- Prawdę mówiąc, to ziemia kręci się wokół słońca.

- Naprawdę? Od kiedy ziemia jest tak płaska? - W jej głosie dało się słyszeć nutkę żartu, a nawet kpiny, która nagle pojawiła się nie wiadomo skąd. - A ja zawsze byłam święcie przekonana że słońce topi się w oceanie.
- Masz na myśli statki wikingów i węże wodne? - zapytał przeciągając tę grę.

274

I nagle doszło do niego, co powiedziała. Co do niego mówiła. Czuł, jak serce mu mocno bije, ale nie ze strachu, tylko z radości. Chciała wyjść za niego.

- Kiedy siedziałem w więzieniu, nie zastanawiałem się, czy ma to jakiekolwiek znaczenie, czy żyję, czy też nie. Do czego miałem się spieszyć tam, na wolności? Ale nocami, kiedy stałem w mojej celi, przez okno widziałem skrawek nieba. Kilka gwiazd. To zawsze sprawiało, że czułem się lepiej, czułem, że żyję.

- To byłem ja. To ja na ciebie czekałam.

- Tak - powiedział, wiedząc, że rozpoznał swój los - to ty.

Ich usta się spotkały, poczuł słony smak łez, które napęłniły jego serce słodkim bólem. Ale to był dobry ból. Był taki czas, gdy nic nie czuł, ani bólu, ani cierpienia, ani szczęścia. Kiedy po prostu egzystował, nic więcej.

Tak, ból jest dobry.

Cztery miesiące później

Ostatni numer „Shoot the Moon” donosił na pierwszej stronie wielkimi literami:

DWOJE LUDZI DAŁO ŻYCIE DZIECKU PŁCI MĘSKIEJ

A w środku artykuł. Żę matka ma się dobrze, ojciec ledwo żywy, a dziecko...

„Lekarze twierdzą: śliczny jak pączek w maśle i nie wiadomo po kim taki mądry”.